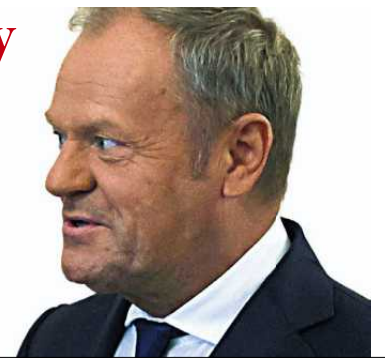


Trybunał Konstytucyjny

Tusk czy Nawrocki – kto posunął się za daleko?

Dyskutują Wielowieyska, Matczak, Wieliński, Gruszczyński ▶ 6



WYSOKIE OBCASY

Przyjaciele, moja rodzina z wyboru



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

KURONIOWIE

Piękna miłość z polityką w tle

▶ 19

FOT. ANNA WŁOCH/ NEXT FILM

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 45>

Palantir nas obroni czy skrzywdzi ▶ 9

Golfiści chcą być lubiani ▶ 24



Mobbing Będzie łatwiej o sprawiedliwość ▶ 28

FOT. SHUTTERSTOCK, REUTERS/UMIT BEKTAS



Demokraci biorą władzę
• El-Sayed, nowy Obama? • Jak Trump się odgryzie ▶ 13

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 7-12 listopada 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 261.11360, 1 Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl f179aa1425

Sędziowie TK pokazują lepsze państwo

Tusk przeciera szlaki

Przy wszystkich zastrzeżeniach, rząd nie ma łatwo. W zachodnim świecie od długich lat nikt nie musiał na taką skalę mierzyć się ze zdewastowanym państwem.

Arkadiusz Gruszczyński



Przy okazji awantury wokół Trybunału Konstytucyjnego ujawniły się najważniejsze problemy i patologie współczesnej polityki.

Sprzątanie po rządach prawicowych populistów jest skomplikowane, o ile nie ma się w ręku pełnej władzy.

PiS zdemolowało wymiar sprawiedliwości, w Sądzie Najwyższym zasiadają nieprawidłowo wybrani sędziowie, TK nie znalazł czasu w latach 2015-23 na rozpatrzenie blisko 1,3 tysiąca spraw.

Koalicja rządząca realizuje to, co zapowiadała w 2023 r.: przywraca powagę instytucji publicznych. Nadzwyczajnymi środkami, ale wiele miał ułatwić prezydent z obozu rządzącego. Gdyby głową państwa został Rafał Trzaskowski, mielibyśmy ustawę o TK, nad awansami sędziów pracowałaby nowa KRS, a media publiczne doczekałyby się porządnej ochrony prawnej przed politykami.

Rząd jest o tyle w niewygodnej sytuacji, że w zachodnim świecie od długich lat nikt nie musiał na taką skalę mierzyć się ze zdewastowanym państwem.

Trump za pierwszej kadencji nie miał jeszcze solidnego zaplecza, nie ruszał więc instytucji publicznych. Nigdzie na szeroko rozumianym Zachodzie przed 2023 r. nie testowano projektu „Naprawa państwa w jednej kadencji parlamentu".

Poszukiwanie precedensowych rozwiązań – jak postawienie w stan likwidacji mediów publicznych czy wykorzystanie prawa o organizacji sądów powszechnych do naprawienia TK – jest wpisane w logikę rządów po okresie populizmu.

•

Mając w pamięci to zastrzeżenie, możemy przyjrzeć się pod lupą kilku banalnym błędom, jakie popełnili sędziowie wybrani przez obecną większość parlamentarną. Ale najpierw sekwencji zdarzeń. Bo już z jej powodu w ostatni piątek społeczeństwo mogło poczuć się zagubione.

Najpierw pod Trybunałem pojawiło się mnóstwo policji. Potem komenda stołeczna wydała enigmatyczne oświadczenie, że funkcjonariusze znaleźli się tam na prośbę sędziów. Następnie na stronie TK pojawiło się mętne, napisane prawniczym językiem postanowienie o zawieszeniu prezesa Bogdana Święczkowskiego i jego zastępcy. Po chwili konferencję prasową zwołał Waldemar Żurek, który mówił coś o immunitetach obu panów.

W pierwszych godzinach panował chaos, który ułatwił prawicy sączenie narracji o zamachu stanu.

Skoro powszechnie wiadomo, że obieg informacji i dezinformacji przyspieszył za sprawą serwisów społecznościowych, sędziowie mogli nagrać krótki filmik, na którym wyjaśniliby w prostych słowach, dlaczego Święczkowski zostaje zawieszony, co ta zmiana oznacza dla obywateli i czemu pod TK jest kilkuset policjantów. Popełniono błąd, który jest znakiem rozpoznawczym liberałów na całym świecie, czyli zapomniano o komunikacji z ludźmi.

Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego pokazali ludziom, że instytucja państwa w Polsce może działać tak, jak powinna: spokojnie, merytorycznie i odpowiedzialnie

Kolejny problem ujawnił się przy okazji nocnej wizyty prezydenta w TK. Karol Nawrocki najpierw staranował Annę Korwin-Piotrowską, która zastępuje Święczkowskiego w fotelu prezesa, potem wykrzykiwał w jej stronę, że nie jest sędzią, a na koniec posiedział kilka godzin w budynku, nie załatwiając niczego.

Prezydentowi wydaje się – co ujawniło również wtorkowe posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego – że nimb urzędu pozwala mu w środku nocy wejść do sądu, pouczać premiera, jak ma rządzić i wskazywać, kto jest sędzią, a kto nie.

Zachowanie Nawrockiego jest objawem choroby, którą możemy nazwać politycznym narcyzmem. Tej, którą zdradza Trump, gdy wyprasza z Gabinetu Owalnego dziennikarzy zadających niewygodne pytania, bagatelizuje wyroki sądów, dopisuje swoje nazwisko do nazw starych i zupełnie z nim niezwiązanych instytucji.

Nawrockiego z Trumpem łączy i to, że nie zrozumiał wizerunkowych skutków nocnego wtargnięcia. We wtorek rugał premiera za wprowadzenie chaosu konstytucyjnego, Korwin-Piotrowską nazwał „kobietą dwojga nazwisk", ale ani słowem nie zająknął się o swojej roli w kryzysie.

Gdyby prezydent odebrał ślubowania od sędziów, ci zaczęliby pracę, poczekali do stycznia, kiedy Sejm wybierze kolejnego orzekającego i powoli budowali większość w Zgromadzeniu Ogólnym.

Więc jeśli polityka jest jak nigdy wcześniej pojedynkiem na obrazki, to prezydent ją przegrywa. Nawrockiego ludzie zapamiętają z piątkowych scen, a Tuska – ze spokojnego, wręcz usypiającego orędzia. Prezydent został awanturnikiem, premier – mężem stanu, który „wyciąga rękę do zgody" i zgadza się na powołanie wiceprezesów NBP - instytucji kierowanej przez nominata PiS.

Ten wizerunek koncyliacyjnego państwowca Tusk podbił, proponując prezydentowi spotkanie w cztery oczy w sprawie TK. Bez obecności kamer i informowania opinii publicznej o czasie i miejscu, by uniknąć kolejnych zgromadzeń.

•

Dwa kolejne problemy są związane właśnie z mediami i taktyką prawicy.

Na antenie Republiki od piątku można usłyszeć o zamachu stanu, dyktaturze przygotowującej ostateczne rozliczenie z opozycją oraz o Tusku, który niszczy państwo prawa. Kadry spod Trybunału są tak wybierane, żeby widzowie odnieśli wrażenie rewolucji, choć w alei Szucha protestuje kilkaset osób, które nakręcają przemawiający. Na własny uszy słyszałem o tym, że Tusk jest Hitlerem, a jego ludzie będą zabijać opozycjonistów.

Hiperbolizacja, używanie słów zarezerwowanych na inne czasy i wydarzenia, zagrzewanie opinii publicznej poprzez budowę fałszywej wspólnoty, manipulacja kadrami i wypowiedziami – to parodia mediów, a jednocześnie coś, co charakteryzuje ostatnie lata w polityce.

Dodajmy do tego AI, dzięki której działacz PiS Oskar Szafarowicz wygenerował zdjęcie Trumpa czytającego raport o zamachu stanu w Polsce. I która ułatwia nieprzemyślane reakcje przeciwnikom populistycznej prawicy. To zdarzyło się obrońcy praw osób LGBT Bartowi Staszewskiemu, który wygenerował zdjęcie z Nawrockim szturmującym drzwi TK.

Takie zawstydzające incydenty nie zmieniają faktu, że w fejkach i przeinaczeniach z użyciem najnowszych technologii wyspecjalizowała się prawica.

Dlatego dobrze, że ten kryzys się wydarzył. Bo naświetlił i metody prawicy, i słabości narracyjno-wizerunkowe obozu liberalnego, i wszystkie szersze problemy współczesnej polityki.

A wracając w aleję Szucha i do dzielnicy rządowej: metoda wybrana przez demokratów zadziałała.

Z zaskoczeniem oglądałem transmisję posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego TK, gdzie sędziowie długo roztrząsali kilka paragrafów, dopytywali prezes o podstawy prawne jej decyzji i dbali o przedstawienie jak najbardziej szczegółowej wykładni konstytucyjnej obecnej sytuacji.

Czyli pokazali ludziom, że instytucja może działać tak, jak powinna: spokojnie, merytorycznie i odpowiedzialnie. Bo państwo – co by nie mówili o nim prawicowi politycy i ich wspólnicy medialni – jest nudne i powinno być przewidywalne. Z pożytkiem dla obywateli. ●

Arkadiusz Gruszczyński

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl



Z niecierpliwością czekamy na współpracę z nimi. Prawdopodobnie coś wymyślimy



DONALD TRUMP
tuż po ogłoszeniu pełnego zwycięstwa Demokratów

Żyjemy w najwspanialszym kraju na świecie. Będę walczył z socjalistyczną agendą w Waszyngtonie



MIKE JOHNSON,
Republikanin, spiker Izby Reprezentantów

eprasa.pl f179aa1425

Co zrobi Trump po wyborach połówkowych

Im bardziej kaczka kulawa, tym niebezpieczniejsza

Końcówka kadencji prezydenta USA to będzie piękna katastrofa. Niestety z naszym udziałem. Przed nami dwa najbardziej ryzykowne lata.

Mazzini





FOT. REUTERS/JONATHAN ERNST

To smutny paradoks: przekraczająca najśmielsze prognozy skala tryumfu Demokratów w Izbie Reprezentantów i w Senacie sprawia, że Donald Trump będzie przez ostatnie dwa lata kadencji egzystencjalnym zagrożeniem dla wszystkich systemów międzynarodowych.

Żeby zilustrować skalę ryzyka, które stworzy, cofnijmy się w czasie o prawie dwie dekady – do grudnia 2008 roku.

To był ostatni miesiąc rządów George'a W. Busha, przed Trumpem najbardziej nieudolnego prezydenta Ameryki ostatnich dekad. Gospodarka była w opłakanym stanie, bo kryzys finansowy wybuchł kilka miesięcy wcześniej i nabierał impetu. Recesja trwała już 12 miesięcy, bezrobocie wzrosło, wyniki giełdy były fatalne.

Społeczeństwo, już zmęczone coraz bardziej abstrakcyjnymi wojnami w Iraku i Afganistanie oraz rozrastającym się po zamachach 11 września 2001 państwem nadzoru, było przerażone.

Bush był tak niepopularny, że kiedy przemawiał na żywo, ludzie go wygwizdywali. W grudniu wiedział już, że zastąpi go Barack Obama, apostoł wielkiej nadziei na zmianę w amerykańskiej polityce, w tym zmianę pokoleniową i rasową.

W ostatnim sondażu poparcia przed odejściem, właśnie w grudniu 2008 r., pracownia YouGov obliczyła społeczne poparcie dla Busha na poziomie 30 proc. Przez wiele lat ten odczyt sondażowy był synonimem klęski, ostatecznego upadku bardzo popularnego niegdyś polityka.

Aż do ostatnich tygodni. 25 października, tydzień przed głosowaniem połówkowym, które zakończyło się katastrofą Republikanów, według danych CNN poparcie dla obecnego prezydenta wynosiło 32 procent. Najmniej nie tylko w historii jego dwóch prezydentur, lecz właśnie od czasu niesławnego odejścia Busha.

Trump jest prawie tak niepopularny jak najgorszy z jego niedawnych poprzedników. Z tą różnicą, że Bushowi poparcie niżej już nie spadło, bo wyprowadził się z Białego Domu. Trump ma przed sobą jeszcze całe dwa lata rządów. Znając jego charakter, sytuację wewnętrzną w USA i geopolityczną na świecie, można założyć, że przebije podłogę społecznego poparcia, na której rozbił się Bush.

Przez kolejne 24 miesiące będzie najbardziej niepopularnym i po prostu najgorszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, być może w całej historii kraju.

●

Problem w tym, że idąc na dno, może pociągnąć za sobą setki milionów ludzi, nie tylko we własnym kraju.

Biorąc pod uwagę stan amerykańskiej gospodarki oraz otoczenie międzynarodowe, można zaryzykować, że końcówka drugiej kadencji Trumpa to będzie finał Busha juniora na sterydach.

Analizy banku ING wskazują, że inwestycje związane z rozwojem sztucznej inteligencji odpowiadają już teraz za jedną trzecią całego wzrostu gospodarczego USA. Z kolei bank inwestycyjny Morgan Stanley wymienia 41 największych spółek technologicznych, których sumaryczna wartość wynosi prawie połowę – 49 procent – kapitalizacji indeksu giełdowego S&P 500. Problem w tym, że żadna z wielkich firm inwestujących w sztuczną inteligencję jeszcze na niej nie zarabia i długo nie będzie. Póki co finansowanie pochodzi z długu.

Więc jeśli nadzieje pokładane w nowych technologiach nie spełnią się, rozczarowani inwestorzy zareagują – co jest już normą na rynkach – impulsywnie i hossa gwałtownie się skończy, gospodarka wpadnie w kryzys, przy którym zbledniе załamanie sprzed dwóch dekad. Dodając do tego rosnący deficyt, olbrzymie koszty obsługi długu publicznego, pauperyzację społeczeństwa, które musi ponosić coraz wyższe koszty opieki zdrowotnej, studiów, utrzymania nieruchomości – widać jak na dłoni, że gospodarka USA to kolos na glinianych nogach.

Pęknięcie bańki AI – które może nastąpić nie tylko po odkryciu, że król jest nagi, również choćby z powodów regulacyjnych, całkiem realnych, bo i przejmujący Kapitol Demokraci, i co uczciwsi lub wyczuwający, skąd wieje wiatr Republikanie uważają kierunek tej technologii za niebezpieczny – rozleje się także na Europę i Azję. Tamtejsze fundusze inwestycyjne, zwłaszcza emerytalne, inwestują na amerykańskim rynku olbrzymie pieniądze. Na przykład niemieckie instytucje finansowe alokują tam 80 razy więcej pieniędzy niż na swoim rynku krajowym.

Bańka AI narasta i rozczarowanie inwestorów lub regulacje Demokratów mogą ją wkrótce przekłuć. Jeśli amerykańska gospodarka stanie w płomieniach, Trump raczej wyleje na nie benzynę niż zgasi pożar

Krach w USA oznaczałby konsekwencje dla kilkudziesięciu krajów na kilku kontynentach. Tym dotkliwsze, że, jak zauważa Michael Lewis, znany amerykański dziennikarz finansowy, autor słynnej książki „The Big Short" o kryzysie 2008 roku, nowa katastrofa działałaby się w innym otoczeniu międzynarodowym. Dolar słabnie, oprocentowanie amerykańskich obligacji rośnie, a wiarygodność USA jako stabilnego partnera jest mocno nadszarpnięta przez działania Trumpa.

Po przejęciu Kongresu przez Demokratów Trump stanie się nawet nie *lame duck*, „kulawą kaczką, a *super-lame duck*. Przez dwa lata nikt nie będzie go traktować jako poważnego czy niezbędnego rozmówcę. On sam też raczej nie byłby zainteresowany wyciąganiem świata z kryzysu. Nie mówiąc o tym, że jego administracji, wyczyszczonej z ekspertów i bezpartyjnych biurokratów z doświadczeniem, zabrakłoby kompetencji, by takim kryzysem zarządzić.

Niespełna dwie dekady temu do dyspozycji byli późniejszy noblista z ekonomii Ben Bernanke, wtedy szef Rezerwy Federalnej, rektor Harvardu i były sekretarz skarbu Larry Summers czy filozof polityki Michael Sandel, częsty gość w Białym Domu w pierwszych latach rządów Obamy. Dzisiaj tę rolę nieformalnych doradców, zaufanych ludzi i autorytetów niekoniecznie umocowanych instytucjonalnie w administracji, u których prezydent zasięga opinii, pełnią synowie Trumpa, techno-oligarchowie czy gardzący ekspertami arywiści w rodzaju doradcy do spraw handlu, Petera Navarro, znanego z tego, że całkowicie zmyślił analityka, którego obficie cytował w swojej książce o chińskiej gospodarce.

Jeśli więc ciągu najbliższych dwóch lat amerykańska gospodarka stanie w płomieniach, Trump raczej wyleje na nie benzynę niż zgasi pożar.

●

Fatalnie wyglądają perspektywy najświeższej wojny Ameryki. W Iranie USA weszły do tej samej rzeki, do której, jak obiecywał Trump, miały po nauczkach Iraku i Afganistanu nie wchodzić: znowu są zagrzebane w kosztowny konflikt, którego przyczyn nikt już nie rozumie.

Co gorsza, dziś Waszyngton nie ma żadnej jasnej teorii zwycięstwa, czyli założeń, co, po co i jakimi metodami chce osiągnąć. Wojnę prowadzi nakręcony tematami wojny kulturowej szef Pentagonu, który spędza całe dnie, oglądając na tablecie uderzenia amerykańskich pocisków w cele. Pete Hegseth jest wprawdzie faworytem do utraty stanowiska, bo ktoś musi wziąć na siebie winę za fiasko w Iranie i jeśli nie wyrzuci go Trump, do jego impeachmentu doprowadzą Demokraci.

Tylko co z tego, skoro nie zastąpi go ktoś bardziej kompetentny. Trump zgodzi się tylko na kogoś, kto będzie mu we wszystkim przytakiwał. W pierwszej kadencji miał sekretarzy obrony, którzy blokowali jego autorytarne impulsy. Drugi raz nie popełnił tego błędu.

Nie ma więc znaczenia, czy Hegseth straci stanowisko – bo amerykańska armia nadal będzie uwiązana w Zatoce Perskiej. A więc ceny ropy utrzymają się na wysokim poziomie, dostawy kluczowej broni dla Europejczyków nadal będą opóźniane, a festiwal besztania sojuszników za niechęć do angażowania się na Bliskim Wschodzie jeszcze się rozkręci.

●

No i Trump zacznie po prostu mścić się na amerykańskim narodzie, który okazał się niegodny zaufania i go zdradził, na przykład podejmując kolejne niszczycielskie dla klimatu, kultury i praw obywatelskich decyzje w walce z „lewactwem". Oraz poprawiać sobie samopoczucie robiąc to, w czym się spełnia, czyli zarabiając i napawając się sobą.

Coraz więcej będzie więc prób kumulacji władzy i decyzji napełniających kieszenie jego kamaryli. Demokraci stawią temu opór i spróbują temperować ambicje prezydenta, ale chaos spowodowany wydawanymi i zatrzymywanymi sądowo dekretami oraz retorycznymi wyskokami prezydenta będzie narastał.

A to wszystko pośród egzystencjalnych ryzyk destabilizujących nasze życie. Rozwój AI, awanturnictwo Rosji w krajach Unii, możliwa eskalacja wokół Tajwanu, rekordowa liczba osób cierpiących głód i potrzebujących pomocy humanitarnej – nad tym wszystkim unosić się będzie duch Trumpa, rozdrażnionego i niegodzącego się z odchodzeniem w wielu wymiarach, od politycznego po metafizyczny.

Zapnijmy pasy. To mogą być dwa najbardziej przerażające lata w życiu nas wszystkich. ●

Mateusz Mazzini

eprasa.pl f179aa1425



eprasa.pl f179aa1425

1 RP
Kraj/34456962

krywców

Superb Combi

Odwiedź salon Škody
i odkryj ofertę dla siebie

Zeskanuj i sprawdź ofertę >

Dla modelu Octavia Sportline Liftback zużycie paliwa wynosi od 4,6 l / 100 km do 7,0 l / 100 km, emisja CO_2 od 117g/km do159 g/km. Dla modelu Superb Combi paliwa wynosi od 4,9 l / 100 km do 8,1 l / 100 km, emisja CO_2 od 117g/km do 185g/km. Dane na podstawie świadectw homologacji typu, określone w cyklu mieszanym.

eprasa.pl f179aa1425

TEMAT WAŻNY

Warto pójść na herbatkę z **puczystą**

Trybunał Konstytucyjny z nowymi ludźmi, którzy cieszą się autorytetem i będą szanowani także przez prawicową opozycję – **to możliwe.**



Dominika Wielowieyska

Donald Tusk rozegrał sprawę TK sprytnie, jego przeciwnicy z Pałacu Prezydenckiego zostali na spalonym.

Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK, na którym nie pojawiła się piątka sędziów wybranych za PiS, głosami ośmiu wybranych w tej kadencji uznało, że kworum wynosi ośmioro sędziów. Uzasadnienie: Bogdan Święczkowski i Bartłomiej Sochański, dotychczasowy prezes i wiceprezes, mają przerwę w pełnieniu obowiązków, a Jarosław Wyrembak jest dublerem. Ogólna liczba sędziów maleje do 12 – a kworum stanowi jej 2/3.

Zgromadzenie zatwierdziło plan kosztów TK, co nie było możliwe od miesięcy. Wyłoniono składy sędziowskie, które ocenią przerwy w obowiązkach Święczkowskiego i Sochańskiego.

Mimo to kolejne noce pod Trybunałem mimo obecności demonstrantów są spokojne.

Jak tę sytuację oceniają politycy prawicowej opozycji? Nieoficjalnie przyznają, że Święczkowski nie przygotował się na to, co zdarzyło się w piątek. Wyjechał na trzy dni do Serbii, wrócił w piątek po południu, nie zajrzał do Trybunału, od razu ruszył do domu na Śląsk. Gdy około 18 na stronie TK pojawił się komunikat, że została zarządzona przerwa w pracy prezesa i wiceprezesa, zawrócił. Ale pod Trybunałem stał już kordon policji.

„Przecież z taką pompą zatrudniał Andrzeja Stróżnego, byłego szefa CBA, bliskiego człowieka ziobrystów, aby zapewniał bezpieczeństwo. I co?" – mówią moi rozmówcy. A było wiadomo, że sędziowie mogą wejść od strony kancelarii premiera, której tereny przylegają do ogrodu Trybunału. Od dawna ostrzegała o tym Republika.

„Nie wiem, jaki prezydent miał plan, powinien wejść do Trybunału z Święczkowskim" – słyszę.

Ludzie Nawrockiego wyjaśniają, że policja by Święczkowskiego nie wpuściła, a on przecież z funkcjonariuszami nie będzie się bił. Ale dlaczego Nawrocki nie próbował wejść z Święczkowskim? „A kto by się chciał pokazywać z Święczkowskim?" – odpowiada polityk prawicy.

Mało kto przepada za zaufanym Ziobry. Wszyscy pamiętają go jako szefa ABW i prokuratora krajowego, który zalazł za skórę nie tylko opozycji, ale i politykom PiS.

Jeśli chodzi o kontakty Pałacu Prezydenckiego z Trybunałem, to „łącze mieli Boguckiego z wiceprezesem Sochańskim". Ale żadnych scenariuszy nie przygotowali.

„Święczkowski powinien spróbować się przedostać i okupować budynek, iść za prezydentem. Nawet jak by się poszarpał z policjantami, to co" – słyszę. „Prezydent tego nie chciał, to by nic nie dało" – mówi inny rozmówca.

„Generalnie to był obraz nędzy i rozpaczy. Wiem, że wielu zwolenników prezydenta jest zachwyconych, że wszedł, że był kategoryczny, ale wszyscy widzą, że wszedł, poprzepychał się z sędziami, pobiegał po schodach w górę i w dół i wyszedł" – dworuje polityk prawicy.

●

Za to grupa sędziów na czele z Anną Korwin-Piotrowską, wybraną w tej kadencji, przygotowywała się do piątkowych wydarzeń bardzo intensywnie.

Termin przejęcia zarządzania Trybunałem wybrano nieprzypadkowo. Wiedziano, że Nawrocki leci do Senegalu, założono, że Święczkowski z samolotu z Serbii pojedzie od razu na Śląsk. Skąd ta pewność? Bo wcześniej Maciej Berek zmylił Święczkowskiego, mówiąc, że Polacy na gwiazdkę dostaną działający Trybunał. I wszyscy sądzili, że jeśli do czegoś dojdzie, to tuż przed świętami.

1 listopada miał jeszcze inne atuty: ludzie jadą na groby, miasto pustoszeje, a we wtorek wybory połówkowe w USA z niemal pewną klęską Republikanów, więc na finiszu kampanii polityczni patroni Nawrockiego za oceanem mają inne rzeczy na głowie.

Plan był opracowywany od tygodni, rozważano wiele scenariuszy. „Największa obawa dotyczyła tego, co może zrobić Nawrocki, czy wywoła wojnę domową" – mówi jeden z moich rozmówców z Koalicji 15 Października.

Minusem była obawa przed zamieszkami na Marszu Niepodległości 11 listopada, ale założono, że nastroje się wyciszą. No i czy narodowcy oraz konfederaci będą bić się za pisowców, których osłabienie jest im na rękę?

Kalkulacje się potwierdziły. Po wydarzeniach w Trybunale ambasador Tom Rose zamieścił wpis na platformie X, ale nie taki, który spełniłby oczekiwanie Pałacu Prezydenckiego: wezwał do dialogu najważniejszych organów państwa.

Oświadczenie wydali też sędziowie TK wybrani w poprzedniej kadencji. Napisali, że sędzia Korwin-Piotrowska nie miała podstaw prawnych do działania, ale o zamachu stanu nie wspomnieli, tylko również namawiali do porozumienia premiera i prezydenta.

Święczkowski był rozczarowany, choć nie powinien być zaskoczony – nawet wśród „starych" sędziów z czasów rządu Zjednoczonej Prawicy nie ma gorących zwolenników prezesa, który w ordynarny sposób manipulował składami sędziowskimi. „On nie jest lubiany w kręgu sędziów. Julia Przyłębska zarządzała na miękko, temu dała trochę pieniędzy, temu fajny wyjazd, a »Godzilla« miał twardą rękę, jak klasyczny człowiek służb specjalnych" – słyszę od osoby znającej relacji wewnątrz Trybunału.

Kierujący Sądem Najwyższym Zbigniew Kapiński, który naradzał się z prezydentem pamiętnej nocy, zgodnie z ustaleniami miał doprowadzić do wydania uchwały po myśli Święczkowskiego przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN. Ale i to nie wypaliło. Zabrakło kworum, bo grupa sędziów SN chce od Kapińskiego i prezydenta trzymać się z daleka. Skończyło na stanowisku wąskiego gremium, czyli kolegium SN.

Kapiński i Nawrocki nie zorientowali się, że popełnili wizerunkowy błąd. Władza sądownicza nie może opracowywać strategii politycznej z władzą wykonawczą. Więc gdy teraz opozycja zarzuca rządowi i ministrowi Żurkowi, że sterował operacją przejęcia Trybunału, to symetryści spokojnie mogą powiedzieć: „halo, ale tu też mieliśmy sojusz prezydenta z sędziami".

Tak więc zgromadzenie Ogólne Sędziów TK zwołane przez Korwin-Piotrowską doszło do skutku.

●

Donald Tusk już był spokojny. Wiedział, że to starcie wygrał. Teraz przyszedł czas na realizację drugiej części planu, czyli deeskalację. Od lutego zwlekał z podpisaniem wniosku o powołanie czworga członków zarządu NBP, kierowanego przez Adama Glapińskiego – „kasjera Kaczyńskiego" w początku lat 90. i jego zaufanego od 35 lat – co groziło paraliżem banku centralnego. Taka decyzja prezydenta wymaga kontrasygnaty szefa rządu.

I właśnie w poniedziałek podpisał wszystkie wnioski – co było wynikiem kompromisu. Bo Marta Kightley to prawa ręka prezesa NBP, któremu już nie za bardzo się chce pracować, a pani wiceprezes bierze na siebie zarządzanie bankiem. Marcin Zarzecki jest kolegą Nawrockiego, a zasłynął tym, że wziął około 400 tys. zł odprawy za zakaz konkurencji, gdy odchodził po upadku rządu Morawieckiego z zarządu Polskiej Fundacji Narodowej. Ponadto w zarządzie NBP znaleźli się Ludwik Kotecki, wiceminister finansów w rządzie PO-PSL, oraz kojarzony z PSL Przemysław Litwiniuk – na otarcie łez ludowców zestresowanych sytuacją w Trybunale.

Gdy we wtorek o 15 rozpoczynała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego w Pałacu Prezydenckim, Tusk był wyluzowany. Siedział uśmiechnięty, spokojnie słuchał przemówienia prezydenta, który zarzucał mu łamanie prawa i skok na Trybunał. Mina Tuska mówiła: „Karol, przegrałeś, wygadaj się chłopie, bo tylko to ci zostało".

Po posiedzeniu premier ogłosił, że chce się spotkać z prezydentem w cztery oczy, żeby obniżyć ciśnienie. Ku zaskoczeniu wielu obserwatorów reakcja Pałacu Prezydenckiego była pozytywna. „Idzie ku dobremu" – napisał premier na X.

Ten wpis i zapowiedź spotkania prezydenta z premierem potwornie rozzłościły „tego trzeciego": Jarosława Kaczyńskiego. „Niestety, nic nie idzie ku dobremu. Bałagan wokół najważniejszych instytucji państwowych się pogłębia. Spotkanie zorganizowanej grupy przestępczej w Trybunale Konstytucyjnym pokazuje jak w soczewce, w jak dramatycznej sytuacji znalazła się Polska pod rządami Tuska. Deeskalacja? Nowe kłamstwo? Nowa maska? Trudno w to uwierzyć, gdy zamiast prawa mamy przemoc, a zamiast spokoju i przewidywalności – chaos. To, co robią, jest skrajnie nieodpowiedzialne, zwłaszcza w obliczu zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa. Tusk szkodzi na każdym kroku".

To sygnał do Nawrockiego: „Popełniasz błąd. Z autorem zamachu stanu nie umawia się na herbatę".

Wcześniej Kaczyński był zadowolony: w końcu doszło do starcia, polaryzacja się pogłębiła. „Akcja pod Trybunałem" zmusiła prawicowych maruderów do jasnego określenia, po której stronie stoją, w tym co bardziej niezależnych prawicowych komentatorów, którzy zadawali niewygodne pytania, na jakiej podstawie prawnej prezydent odmawia przyjęcia ślubowania sędziów TK.

eprasa.pl f179aa1425



Wśród radykałów po prawej stronie pojawiają się groźne pomysły. Otoczenie Nawrockiego takie emocje studzi. Trzeba docenić, że ludzie prezydenta poważnie traktują odpowiedzialność za państwo

Teraz emocje buzowały. Nawet Krzysztof Stanowski, uznawany za malowanego alt-rightowca, ogłosił koniec demokracji. Choć kiedyś wyśmiewał przejętych działaczy KOD, teraz przejął ich retorykę.

Dlatego „Naczelnik" liczył, że ruch rządu w sprawie Trybunału da mu efekt taki sam, jaki niegdyś dał Tuskowi pisowski pomysł powołania komisji ds. wpływów rosyjskich, która miała zakazać ówczesnemu liderowi opozycji kandydowania. Wyszło inaczej, dzięki tak ordynarnej, kojarzącej się z metodami wczesnego Putina czy Orbana, próbie zneutralizowania przeciwnika Tusk zmobilizował cały elektorat niechętny prawicy.

Prezes PiS widział choćby, jak wielu prawników ma zastrzeżenia do legalności działań Korwin-Piotrowskiej i że nie są to osoby związane z prawicą, więc marzył o fali antytuskowej. Nie wyszło. – Jedyne, co udało się prezesowi – mówi gorzko polityk prawicy – to ukoszernienie Brauna, który sobie strzelił selfie z Jarosławem.

•

Co nie zmienia faktu, że jedność prawicy w ostatnich dniach była iluzoryczna.

Gdy rozpoczynała się RBN, Mateusz Morawiecki, który mimo niedawnego dystansowania się – „popełniliśmy błędy" – wobec zamachu na sądownictwo za jego rządów – tak pryncypialnie stawał w obronie „niezależności Trybunału", teraz nie zatrzymał się, by przywitać się z prezesem PiS. A tu jeszcze wiadomość, że Nawrocki godzi na rozmowy w cztery oczy. I do tego fotki w sieci, jak na spotkaniu RBN prezydent z uśmiechem ściska dłoń premiera. Jak w takich warunkach głosić tezę o zamachu stanu?

Przynajmniej prezes Kapiński zaprosił uchodźców z Trybunału do siedziby SN. Chce im dać pokój.

Ale małe szanse, by w tym pokoju narodził się zalążek skutecznego ruchu oporu. Świeczkowski musiałby namówić piątkę sędziów z czasów PiS, by z nim orzekali w alternatywnym Trybunale. W tej piątce są osoby Święczkowskiemu oddane, ale są też ludzie, którzy, choć krytyczni wobec działań Korwin-Piotrowskiej, od niego chcą się trzymać z daleka.

• Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk na posiedzeniu Rady Gabinetowej, pierwszej po wyborach prezydenckich . Warszawa, Pałac Prezydencki, 27.08.2025

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.P

A w drugiej grupie panuje zgoda i jedność. Ósemka sędziów uważa, że Święczkowski notorycznie łamał prawo, nie dopuszczając sędziów do orzekania, i ma jasny plan.

Składy orzekające ocenią zasadność przerwy w pracy Święczkowskiego i Sochańskiego, potem rozpocznie się postępowanie dyscyplinarne; najcięższą karą jest pozbawienie sędziego funkcji. Będzie głosowany wniosek o uchylenie immunitetu prezesa i wiceprezesa TK. Przerwa w pełnieniu obowiązków sędziego ma trwać 30 dni, ale sąd dyscyplinarny może uznać, że powinna dłużej.

Pytam więc polityków prawicy, czy jest plan, co robić? „Obawiam się, że nie ma" – słyszę od wszystkich.

Zbigniew Bogucki dopytywany o to samo w Radiu Zet powiedział, że prezydent nie ma tu pola manewru i działać musi sam Święczkowski.

Szef Kancelarii Prezydenta ostro atakuje rząd, ale jego pierwsza konferencja po piątkowych wydarzeniach była nastawiona na deeskalację.

W Zetce Bogdan Rymanowski pięć razy pytał Boguckiego, czy Nawrocki jako zwierzchnik armii wyprowadzi wojsko przeciwko policji, aby umożliwić Święczkowskiemu odbicie Trybunału. Minister nie odpowiedział jednoznacznie. Natomiast wśród radykałów takie groźne pomysły się pojawiają. Wiktor Świetlik, publicysta związany z wSieci, wzywał, by SOP strzelał do sędziów. Jacek Karnowski w telewizji wPolsce24 ogłaszał, że Tusk wprowadzi stan wojenny w nocy z wtorku na środę. Podobne informacje suflowała TV Republika.

Otoczenie Nawrockiego musi takie emocje studzić. Trzeba docenić, że ludzie prezydenta zachowują rozsądek i poważnie traktują odpowiedzialność za państwo. Nikt nie zamierzał takich akcji inicjować.

•

O ile Tusk na posiedzeniu RBN uśmiechał się, o tyle Władysław Kosiniak-Kamysz nerwowo skubał brodę.

Gdy sytuacja w alei Szucha eskalowała, lider ludowców obawiał się, że prawicowe zaplecze będzie naciskać na prezydenta, by podjął drastyczne kroki. Co prawda przed Radą szef MON był na konsultacjach u prezydenta i już wiedział, że nastąpi deeskalacja. Ale teraz co innego spędza sen powiek ministrowi obrony.

Aktywowi ludowców nie podobała się akcja z Trybunałem. Ludzie PSL-u wiedzą, że deeskalacja może być chwilowa – i że propagandyści prawicy łatwo mogą przedstawić całą sytuację odbiorcom niezorientowanym albo zdystansowanym w sposób przekonywujący.

Oto grupka sędziów realizuje plan większości rządzącej w porozumieniu z premierem i ministrem sprawiedliwości oraz szefem MSWiA. Juryści przemykają się przez teren kancelarii prezydenta i przejmują budynek TK z pomocą policji, która blokuje może i niefajnego, ale urzędującego prezesa. Władzę przejmuje sędzia o najdłuższym stażu w sposób, który kwestionuje wielu uznanych, bezstronnych prawników. A potem jeszcze obniża się kworum, by grupa „rządowa" mogła podjąć decyzje po myśli władzy, co też jest kwestionowane od strony prawnej.

Taki obraz niepokoi działaczy PSL w terenie, bo słyszą, że wzburza wielu lokalnych komentatorów i zaangażowanych obserwatorów polityki.

Nie należy tych emocji lekceważyć, bo są szczere i autentyczne. Można z przekąsem mówić, żeby zaniepokojeni założyli swój KOD, od którego kiedyś się dystansowali albo wyśmiewali. Że gdy rząd PiS szedł na rympał w kwestiach praworządności, to ci sami ludzie byli obojętni, mówili: „przecież wiemy, jak sądy działają" albo wręcz cieszyli się. Niemniej obrazki z policją, która otacza Trybunał, to dla wielu obywateli naprawdę nie jest dobry sygnał o funkcjonowaniu polskiej demokracji. Wywołuje niepokój, więc obniżenie napięcia jest konieczne.

Taką logiką kieruje się Kosiniak-Kamysz, który trwa na partyjnym, a więc i rządowym stanowisku, głównie dzięki aparatowi partyjnemu. Jeśli aparat przyjmuje działania ekipy Tuska negatywnie, to sytuacja polityczna się komplikuje. „Przed akcją z Trybunałem Kosiniak-Kamysz już prawie przekonał działaczy, że trzeba iść na wspólnej liście z KO, teraz ta wizja się bardzo oddaliła" – słyszę.

•

A zarzuty pod adresem „ósemki" są poważne. Wielu prawników uważa, że nie da się obniżyć kworum do ośmiu sędziów. Wątpliwości mają ludzie, którym trudno zarzucić prawicowe sympatie, za rządów PiS występujący w obronie państwa prawa. Prof. Marcin Matczak, zarząd Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, były RPO prof. Marcin Wiącek, szef Naczelnej Rady Adwokackiej Przemysław Rosati – te głosy trudno zlekceważyć.

Z kolei byli szefowie TK popierają działania Korwin-Piotrowskiej.

Ale to wciąż tylko opinie, niezależnie od ich wagi.

Kluczowe jest co innego: determinacja sędziów, by wyprowadzić Trybunał na prostą, wspólnie podejmując decyzje i biorąc za nie odpowiedzialność. Jeżeli Korwin-Piotrowskiej uda się przekonać do tego przynajmniej część sędziów wybranych za PiS, będzie to jej wielki sukces.

Krytyczni prawnicy też są w trudnej sytuacji, ponieważ alternatywą był stan bezprawia, który Święczkowski starał się utrwalić. Nie dopuszczał sędziów do orzekania, Zgromadzenie Ogólne nie mogło się zebrać. Panował chaos. Nie było widoków na kompromis ani na reset konstytucyjny. PiS ani prezydent takiej woli nie wykazywali. A wiara w to, że człowiek służb, bezwzględnie wykorzystujący aparat przemocy i prokuraturę do niszczenia politycznych konkurentów, szanowałby reguły albo zaakceptowałby kompromis, wydaje się naiwnością. Wybór, przed jakim stanęli rządząc, był więc taki: albo ryzykowne z punktu widzenia prawa i spokoju społecznego decyzje, albo dalsze gnicie.

Do tego urzędowanie Święczkowskiego naszpikowane było skandalicznymi decyzjami. Wydawano zabezpieczenia na każde życzenie PiS, a inne sprawy, nie tylko nie po myśli środowiska politycznego prezesa, również te wpływające od obywateli, leżały odłogiem. Święczkowski podejmował decyzje poszerzające kompetencje prezydenta w niezgodzie z konstytucją, co zauważali nawet sędziowie wybrani za PiS. Trybunał Święczkowskiego wpadł nawet na pomysł, by zakazać Sejmowi wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa, bo chciał, aby trwała stara neo-KRS zdominowana przez aktywistów PiS.

W alei Szucha naprawdę była jazda bez trzymanki, tylko już nikt nie zwracał na to uwagi, bo rząd nie publikował tych decyzji.

To wszystko oraz rzeczy, które PiS wyprawiał przez osiem lat z TK, sprawia, że obrońców Święczkowskiego jest mało nawet w środowisku politycznym, które z zasady powinno bronić byłego prokuratora i eksszefa ABW.

•

Jestem gorącą zwolenniczką zasady, że sędziów TK wybiera się większością kwalifikowaną i kandydatami nie mogą być osoby, które przez ostatnie cztery lata były parlamentarzystami lub ministrami. Nie miałbym nic przeciwko resetowi. Ale nie widzę większości, która by to przeprowadziła. Dogadanie się stron tak ostrego politycznego konfliktu jest mało prawdopodobne, podobnie jak decyzja wszystkich sędziów TK o odejściu w stan spoczynku, by umożliwić wybór nowego składu wedle nowych reguł.

Prof. Marcin Wiącek zauważa, że w polskim systemie politycznym Trybunał jest sobie sam sterem i żeglarzem. Nikt z zewnątrz go nie kontroluje. To przez lata wykorzystywał PiS, utrzymując tam dublerów.

Profesor ma jeszcze jedno istotne spostrzeżenie: niezależnie od wątpliwości wobec decyzji ósemki sędziów, każda ma domniemanie legalności – i nie ma instytucji, która byłaby władna je podważyć. Podobnie mówi Przemysław Rosati: w momencie, gdy inne organy państwa uznają uchwały TK, trzeba uznać, że działa legalnie i jego decyzje są w obiegu prawnym.

Więc prawdopodobny scenariusz wygląda tak: Anna Korwin-Piotrowska będzie nadal zarządzać Trybunałem, sędziowie będą realizować plan, równocześnie będą trwały próby namówienia sędziów wybranych za czasów PiS do nawiązania współpracy. Może zostanie zawarty kompromis, kto mógłby zostać nowym prezesem TK, gdy Święczkowski ostatecznie zostanie odsunięty.

A jeżeli prezydent nie pójdzie na ustępstwa, Trybunałem nadal będzie rządzić Korwin-Piotrowska jako sędzia o najdłuższym stażu. I nie jest to – z punktu widzenia koalicji rządzącej – zły wariant. Bo wówczas nie trzeba się dogadywać z Nawrockim w sprawie prezesa TK.

A czy kiedyś uda się odbudować naprawdę apolityczny Trybunał? W styczniu kończy się kadencja Jarosława Wyrembaka. Może dobrze by było, aby to miejsce zaproponować prawnikowi, który dziś miał wątpliwości prawne, i niezależnie od osobistych poglądów nie udziela się czynnie w polityce, nie jest związany z żadną partią.

Jeśli po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych władzę przejmie skrajna prawica, szybko zacznie odkręcać dzisiejsze decyzje i karać sędziów. Natomiast jeśli obecna ekipa utrzyma władzę, będzie miała szansę wprowadzić nowych ludzi, cieszących się autorytetem i szanowanych także przez opozycję.

To nie jest niemożliwe. Przypomnę, że na zasadzie takiego konsensusu wybrano niegdyś na RPO prof. Marcina Wiącka, a na szefa NIK Mariusza Haładyja. Takie cuda w polskiej polityce się jednak zdarzają. ●

eprasa.pl f179aa1425

Użyjcie metafory piłkarskiej

Wiemy, co zostało poświęcone: na przykład szczegółowe trzymanie się prawa. Ale co zyskaliśmy?



Marcin Matczak

Sprawę wydarzeń, które mają miejsce wokół Trybunału Konstytucyjnego, Bartosz T. Wieliński na łamach „Gazety Wyborczej" opatrzył tytułem „Stan wyższej konieczności". Nie tylko on. Myślę, że wielu obserwatorów tych wydarzeń miało wrażenie, że w obliczu tego, co z Trybunałem zrobił PiS, trzeba sięgnąć po środki specjalne, bo zwyczajne już niczego nie dadzą.

Dlatego jest w Polsce wielu ludzi, którzy uważają, że to, co się stało w piątek 30 października, może i było ryzykowne i wywołało ogromne kontrowersje, ale konieczne. Konieczne – ale dla czego?

Muszę o to zapytać, ponieważ mam wrażenie, że cel tego kontrowersyjnego ćwiczenia nieco nam umyka. Stan wyższej konieczności to konstrukcja, w której dobro niższej wartości poświęca się, by ratować dobro wartości wyższej. Wiemy, co zostało poświęcone: na przykład szczegółowe trzymanie się prawa, ponieważ konstrukcja prawna, którą zastosowano, by odsunąć prezesa i wiceprezesa, jest naciągnięta do granic możliwości i pełna wewnętrznych sprzeczności.

W tym przypadku poświęcony został także wizerunek Polski jako dojrzałego kraju, który swoje spory prawne potrafi rozstrzygać na sali sądowej, a nie na ulicy, z pomocą oddziałów policji w kaskach i tarczach.

Niestety, wszystkie liczące się media na świecie pokazały w weekend niepowołanych prawidłowo przez obecny Sejm sędziów TK w togach i biretach, ale budynek Trybunału w ujęciu, które dla niewprawnego, zagranicznego oka przypomina obrazek ze stanu wojennego.

No cóż, nieraz trzeba wiele poświęcić, żeby uzyskać jeszcze więcej. Ale co, pytam z uporem, bo jeśli dobro, które w ten sposób się uratuje, jest naprawdę wartościowe, to może było warto.

•

No właśnie nie jest jasne co. I to jest największy problem. Przywrócenie praworządności i naprawa Trybunału to hasła, które padają w tym kontekście. Jaki jednak ma być ten naprawiony Trybunał? No taki, jak przed 2015 rokiem, rozumiem, a więc mający autorytet PONADPOLITYCZNY. Trybunał, który wydaje wyroki szanowane przez wszystkie strony sporu, który może być arbitrem rzeczywistym naszych zmagań i politycznych walk. Jeśli to miał być cel, to nie tylko nie został on osiągnięty, ale być może został on wręcz zaprzepaszczony.

Pomyślcie o tym wszystkim, używając metafory piłkarskiej.

W meczach Legii z Lechem ktoś zaczyna ustawiać sędziowanie. Kilkoma podejrzanymi krokami prowadzi do efektu, w którym sędziowie sędziujący polski klasyk są obsadzani przez sztab Lecha, a dodatkowo są byłymi piłkarzami tej drużyny. Mają jednak formalne kwalifikacje, żeby sędziować, więc sztab Lecha ogłasza, że wszystko jest w porządku. Ale oczywiście nie jest. Sędziowie otwarcie sprzyjają Lechowi, Legia dostaje kartkę za kartką, jeśli jest karny, to zawsze dla Lecha, a VAR nigdy nie pomaga przeciwnikowi. Co więcej, wszystkie mecze Lecha z innymi drużynami także sędziuje ten skład.

Po kilku meczach nikt nie chce tego cyrku oglądać, bo większość wie, że taka gra nie ma sensu. Ale kibice Lecha się cieszą ze zwycięstw i sędziów popierają.

Co w tej sytuacji powinien zrobić sztab Legii, żeby przywrócić rozgrywkom sens? Wydaje się to oczywiste: zadbać o to, żeby do sędziowania byli powoływani sędziowie, których kibice wszystkich drużyn rozpoznają jako bezstronnych, i trzymać standard, mimo że jedna z drużyn tego standardu nie trzyma. Tymczasem sztab Legii postanawia z policją wejść do szatni, za pomocą naciągania regulaminu zawiesić sędziów wyznaczonych przez Lecha i oddać sędziowanie wszystkich meczów w lidze sędziom wybranym przez siebie, w tym jednemu, który jeszcze chwilę temu był ich graczem.

Czy kibice Ekstraklasy będą chcieli oglądać takie rozgrywki? Czy uznają, że teraz jest już dobrze i tak jak powinno być? Myślę, że dalej będą mieli poczucie, że to wszystko jest bez sensu i że nie o to chodziło.

•

Mnie też się wydaje, że nie o to chodziło. Byłem zaangażowany w spór o TK od samego początku, między innymi jako pełnomocnik w sprawie K 47/15, w której TK oceniał pierwszą antytrybunalską ustawę PiS. Potem przez 11 lat wypowiadałem się publicznie przeciwko PiS, który jest największą chorobą polskiej praworządności.

I dzisiaj chcę wam powiedzieć: nie o to chodziło. Zupełnie nie o to.

Piątkowe wydarzenia nie były początkiem czegoś dobrego, ale końcem czegoś bezsensownego: szeregu decyzji rządu Donalda Tuska, które w przemyślany sposób nie miały na celu naprawienia TK, ale najpierw izolowanie go jako ciała obcego, a następnie przejęcie jako swojego.

Mechanika tego procesu była dla prawników jasna, a wprost opisał ją Krzysztof Król na Facebooku. Prawnicy proponowali legalną drogę usunięcia dublerów z TK, ale rządowi to się nie opłacało – gdyby ich usunął, usunąłby skazę na Trybunale, która pozwalała mu go lekceważyć i nie publikować wyroków. Podobnie nie opłacało się mu powoływać w terminie nowych sędziów – wszak głupio byłoby lekceważyć TK, w którym zasiadają jego nominaci. Dopiero gdy przyszła szansa na większość w TK, rząd uznał, że teraz można już go naprawić. Ale jak już się wziął do naprawiania, to z przytupem – wprowadzając sędziów do TK z policją, i z Maciejem Berkiem ogłaszającym, że teraz TK będzie już funkcjonował normalnie.

Nie, nie będzie. I dobrze by było ustalić, jaka prawnicza głowa w rządzie stała za tym genialnym planem utrzymywania chorego TK w stanie wegetacji, niepublikowania wyroków, niepowoływania sędziów i pozbawiania ich wynagrodzeń. Bo to od początku nie była strategia naprawy, ale strategia przejęcia. A jej finał wszyscy widzieliśmy w piątek i wszyscy, w tym przede wszystkim demokracja, zapłacimy za to, jak został on przeprowadzony.

Co można było zrobić? Pokazać kibicom tej gry, że sędziowanie meczów Ekstraklasy przez sędziów Lecha nie ma sensu, dokładnie tak samo, jak ich sędziowanie przez sędziów Legii.

Zbudować mechanizm, w którym powołuje się do sędziowania ludzi, do których apolityczności i kwalifikacji nie można się przyczepić. Eksponować przekręty tych sędziów, którzy są stronniczy. A potem pozwolić obserwującym grę zagłosować, jakiego modelu gry chcą, i przez następną kadencję realizować ten model do skutku.

Ale teraz już się nie da tego zrobić. ●

Nie stójmy po stronie niemocy i klęski

Dziwię się, że fakty nie przekonują Pana do stanu wyższej konieczności.



Bartosz T. Wieliński

Prof. Marcin Matczak komentuje mój artykuł, który ukazał się w „Gazecie Wyborczej", niespełna trzy dni po odsunięciu prezesa TK Bogdana Święczkowskiego i przejęciu jego obowiązków przez sędzię Annę Korwin Piotrowską. I niespełna dwa dni po bezprecedensowym wjeździe do Trybunału prezydenta Karola Nawrockiego ze świtą, po użyciu przez niego siły wobec stojącej na progu sędzi Korwin-Piotrowskiej i chaotycznych poszukiwaniach przez jego ludzi kluczy do budynku.

Artykuł zatytułowałem „Stan wyższej konieczności", parafrazując uzasadnienie decyzji sędzi Korwin-Piotrowskiej. Prof. Matczak ze mną się nie zgadza. Przyjmuję to do wiadomości.

Nikt z nas nie ma tu monopolu na mądrość. W sprawie zasadności działań sędzi Korwin-Piotrowskiej od prawniczych autorytetów słyszymy diametralnie różne opinie. Konflikt między Zarządem, a Radą Fundacji Helsińskiej, który doprowadził do rezygnacji pracy w Radzie takich postaci jak prof. Andrzej Rzepliński, prof. Mirosław Wyrzykowski. prof. Wojciech Sadurski czy dr Hanna Machińska, dotyczy właśnie tej kwestii. Skuteczność decyzji o odsunięciu Święczkowskiego ocenią zapewne sądy, prawdopodobnie będzie to Europejski Trybunał Praw Człowieka.

•

Prof. Matczak życzy naszemu krajowi jak najlepiej, to bezdyskusyjne. Bardzo szanuję jego bezkompromisowe podejście do kwestii państwa prawa. Nie rozumiem jednak, dlaczego alergicznie reaguje na stwierdzenie faktu, że pod względem konstytucyjnym mamy w Polsce stan nadzwyczajny, wobec którego trzeba podjąć nadzwyczajne kroki. Trybunał Konstytucyjny pozostając częścią partyjnego aparatu PiS, ogranicza swoją działalność do szkodzenia legalnemu rządowi, wybranego przez wyłonioną w demokratycznych wyborach sejmową większość.

Prezes Trybunału wykorzystuje swoją pozycję, by uniknąć zarzutów dotyczących bardzo poważnych przestępstw. Jednocześnie utrzymuje ścisłe i ostentacyjne związki z prezydentem wyzbywając się sędziowskiej niezależności. A na koniec partia, która kontrolowała trybunał, zwołuje pod jego bramę agresywny tłum, próbując siedzibę trybunału najechać i splądrować. A w sukurs przychodzi im prezydent, który używa siły wobec stojącej na czele TK sędzi.

Dziwię się, że ta sekwencja faktów nie przekonuje prof. Matczaka do stanu wyższej konieczności.

Mam dojmujące wrażenie, że część polskich demokratów, zwłaszcza ta ortodoksyjna, chce odnosić zwycięstwa moralne. Takie stawianie sprawy to tylko usprawiedliwienie niemocy i klęski.

Teraz najważniejsze: czy prof. Matczak ma alternatywną propozycję naprawy TK wobec tego, co zrobiła sędzia Korwin-Piotrowska. W jego wywodzie znalazłem tylko jedno zdanie: „Zbudować mechanizm, w którym powołuje się do sędziowania ludzi, do których apolityczności i kwalifikacji nie można się przyczepić." Ależ panie profesorze, taki mechanizm stworzono, w ustawie o TK, którą Sejm przyjął w 2024 r. a Andrzej Duda, zamiast ją podpisać, odesłał do Trybunału Święczkowskiego! Czy ma pan pomysł, jak wdrażać dobre pomysły wbrew prezydentowi, który wszystko wetuje? Jak ma funkcjonować państwo, gdy w najwyższej instancji sądowej zalega 1700 spraw?

•

Są też tezy prof. Matczaka, które budzą moje głębokie zdziwienie. To m.in. sugestia, że ośmioro sędziów, którzy we wtorek zebrali się na posiedzeniu zgromadzeniu ogólnego, nie spełnia kryterium apolityczności. Myślę, że szybko okaże się, że prof. Matczak nie ma racji. Druga sprawa to passus, że „poświęcony został wizerunek Polski jako dojrzałego kraju, które swoje spory prawne potrafi rozstrzygać na sali sądowej, a nie na ulicy, przy pomocy oddziałów policji w kaskach i tarczach".

Zaszyta w tym zdaniu sugestia, że policja asystowała sędzi Korwin-Piotrowskiej, jest nieprawdą. Zadaniem jej funkcjonariuszy było tylko niedopuszczenie do szturmu na Trybunał, do którego wzywali politycy PiS i na którego stanęli czele.

Nieustannie czytam też prasę międzynarodową i nie znalazłem niczego, co wskazywałoby na zmianę stosunku do Polski.

Sytuacja wokół Trybunału Konstytucyjnego z dalszej perspektywy jest jednoznaczna. I szkodziła wizerunkowi naszego kraju, gdy w 2016 r. Barack Obama w Warszawie musiał publicznie napominać Andrzeja Dudę, że praworządności nie można łamać nie zaprzysięgając wybranych przez Sejm sędziów. Albo gdy polska dyplomacja domagała się od swoich niemieckich partnerów, by mieszkającą w Berlinie Julię Przyłębska tytułować na zaproszeniach prezesem Trybunału Konstytucyjnego, a nie małżonką ambasadora Andrzeja Przyłębskiego.

Na spór o Trybunał Konstytucyjny trzeba patrzeć nie przez pryzmat ostatniego tygodnia, tylko ostatnich 11 lat. ●

eprasa.pl f179aa1425

KRAJ



MÓWI SIĘ, ŻE KTO MA TĘ BROŃ, *włada światem*

Ale co naprawdę potrafi i czym w ogóle jest Palantir?

Piotr Cieśliński

Wchodzę na czwarte piętro WeWork w gmachu warszawskiego Hotelu Europejskiego, żeby spotkać się z potworem.

Taki obraz Palantira można sobie wyrobić po lekturze wielu publikacji na temat tej firmy. Tajemnicza spółka założona przez Petera Thiela, miliardera, jednego z najbardziej wpływowych ludzi Doliny Krzemowej i mrocznego wizjonera lansującego jego zdaniem racjonalną i merytoryczną – technooligarchię w miejsce demokracji.

Pracuje dla CIA, armii, wywiadów i policji – amerykańskiej i dziesiątek innych krajów. Śledzi terrorystów, przestępców i migrantów. Wybiera wojsku cele do zniszczenia. Wie o nas rzeczy, których my sami możemy nie wiedzieć.

Sama nazwa jest znacząca. Pochodzi od palantírów, „kamieni widzenia" z „Władcy Pierścieni", którego Thiel, jak wielu *tech bro*, jest wielkim miłośnikiem. Wielu komentatorów przypomina, że pozwalały ich właścicielom zaglądać w odległe miejsca i komunikować się ze sobą.

Mniej pamięta, że palantiry nie były wszechwiedzące. Pokazywały obrazy prawdziwe, ale można je było błędnie interpretować, a Sauron umiał wykorzystać je tak, by przeciwnicy zobaczyli to, co chciał im pokazać.

Jak na firmę, której biznes polega na tym, aby ludzie mogli zobaczyć coś więcej w ogromnej masie danych, ale też oskarżanej o różne niecne sprawki, nazwa jest dobrana niemal bezczelnie trafnie.

Tak więc spodziewałem się orków pilnujących wierzei. Zamiast tego za anonimowo eleganckimi drzwiami małej salki konferencyjnej czekał na mnie przy zwyczajnym stole konferencyjnym niewielki polski zespół Palantira z Maciejem Łaską, szefem oddziału na nasz kraj. Przez ponad dwie godziny jego ludzie pokazywali mi, co właściwie sprzedają na całym świecie.

Człowiek decyduje, ale kto zawinił

To między innymi Maven, system przeznaczony do zarządzania informacją na polu walki.

Na dużym ekranie widzę interaktywną mapę niczym rozbudowaną grę strategiczną: kolorowe symbole, trójkąty, kwadraty, linie i znaczniki oznaczające jednostki, sensory, obiekty i potencjalne cele. Kto zna grę „Command: Modern Operations", poczułby się tu znajomo.

System akurat znalazł obiekt, który może być ważnym celem: zestaw antenowy. Nie dowiedział się o nim z jednego źródła. Zebrał dziewięć różnych detekcji –to dane z rozpoznania radioelektronicznego, obserwacje z bezzałogowców, informacja z satelity, jest też zgłoszenie wprowadzone przez człowieka.

Wrogi obiekt został sklasyfikowany i zlokalizowany. Pewność, że dziewięć różnych źródeł i detekcji rzeczywiście wskazuje ten sam cel, system oszacował na 0,83. Powyżej 0,8 obiekt trafia do kategorii „PID probable", czyli prawdopodobnie pozytywnie zidentyfikowanych.

– Ostateczną decyzję zawsze podejmuje człowiek – podkreśla szef Palantira. Operator ma pełny wgląd w źródła, może sprawdzić dane, zakwestionować wniosek i skonsultować się z innymi.

Jeśli ma na to czas. Pozostawienie człowieka w „decyzyjnej pętli" nie rozwiązuje wszystkich problemów.

Pokazał to tragiczny przypadek z lutego. Podczas pierwszych amerykańskich nalotów na Iran pociski Tomahawk uderzyły w szkołę w Minab, zabijając ponad 150 osób, w tym ponad sto dziewczynek. Budynek wiele lat wcześniej należał do kompleksu wojskowego, szkoła działała w nim od dawna.

Maven był jednym z głównych narzędzi wykorzystywanych przez amerykańskie dowództwo do tworzenia i porządkowania list celów. Według osób znających dochodzenie Pentagonu problemem były przestarzałe dane: szkoła wciąż figurowała w systemie jako obiekt wojskowy za sprawą zdjęć satelitarnych z... 2013 roku.

Część personelu zakładała, że Maven sam zasygnalizuje niespójność informacji. Bo właśnie na zarządzanym przez algorytmy AI zestawianiu ze sobą i weryfikowaniu danych z wielu różnych źródeł miała polegać jego wyjątkowość na tle już wcześniej używanych narzędzi.

Palantir bronił się, że jego oprogramowanie nie odpowiada za jakość danych dostarczanych przez wojsko. Po tragedii firma dodała jednak funkcje, które mają ponownie sprawdzać informacje o celu i wychwytywać sprzeczności.

Przypadek szkoły w Minab pokazuje więc, że system może działać tak, jak został zaprojektowany, a mimo to pomóc bardzo szybko podjąć katastrofalną decyzję, jeśli dostanie błędne dane albo ludzie zbyt mocno będą ufać jego wynikowi.

Arthur Holland Michel, który bada wykorzystanie automatycznych systemów w wojsku, zwraca uwagę, że za ich sprawą decyzja rozkłada się na coraz więcej etapów, coraz bardziej fragmentaryzuje. Jedni ludzie odpo-

• **Monitoring operacji wojskowych w wirtualnym centrum dowodzenia** FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f179aa1425

wiadają za dane, inni za algorytmy, jeszcze inni analizują wynik, a ktoś kolejny ostatecznie zatwierdza atak.

Owszem, człowiek nadal podejmuje ostateczną decyzję. Tyle, że gdy dojdzie do tragedii, odpowiedź na pytanie „kto zawinił?" może stać się trudniejsza, a nie łatwiejsza.

MON rozmawia z Palantirem

Oglądając Mavena – tu „kreatywni" Palantira nie wykazali się, sięgając po znaczące nazewnictwo ze świata Hollywood czy nerdowskiej wyobraźni, „maven" to po prostu znawca, ekspert, niekiedy koneser – po raz pierwszy uświadamiam sobie, czym są naprawdę systemy Palantira, o których krąży tyle legend i teorii spiskowych.

To nie jest Pegasus, który włamuje się do telefonu Kowalskiego. Nie cyberbroń w rodzaju wirusa komputerowego, który można wystrzelić w Rosjan i zgasić im serwery. Nie superinteligencja przewidującą przyszłość ani baza danych o sekretach całej ludzkości.

To przede wszystkim pośrednik i konsjerż – system, który integruje dane klienta: wojska, policji, urzędu czy przedsiębiorstwa, pomaga je uporządkować, powiązać i wykorzystać. To system do łączenia kropek. Jego wyjątkowość i potęga polegają na tym, że tych kropek mogą być miliardy.

Ekran, który oglądam w Warszawie, nie jest – tak twierdzą gospodarze – tylko prezentacją przygotowaną dla dziennikarza. Przedstawiciele firmy przekonują, że pokazują mi „piaskownicę", formalniej – instancję testową, czyli system działający w zamkniętym środowisku, bez dostępu do sieci, ale w pełni reprezentatywny. W tym przypadku podobny do Mavena, z którego wcześniej korzystali polscy żołnierze.

– To nie była demonstracja produktu przez naszych inżynierów ani symulacja. Żołnierze faktycznie mieli konta w środowisku testowym i mogli wykonywać swoje zadania, ćwiczyć i testować software wedle własnego uznania, tyle że przy użyciu fikcyjnych danych testowych – mówi jeden z przedstawicieli firmy.

Maciej Łaska nie chce zdradzić, na jakim etapie są dziś rozmowy z MON. Odsyła mnie z tym pytaniem do resortu. Mówi tylko, że dostarczenie takich zdolności polskim siłom zbrojnym jest obecnie strategicznym priorytetem Palantira w Polsce.

Technologiczny plaster

Firma powstała w 2003 roku. Opisuje swoją genezę jako odpowiedź na problem, który po zamachach z 11 września 2001 roku stał się dla amerykańskich służb wyjątkowo dotkliwy: liczne informacje o zagrożeniach istniały, ale były rozsiane po agencjach, bazach, komputerach i systemach. Nikt nie widział całości.

Mieniący się merytokratą Thiel – który od lat jakimś sposobem łączy wiarę w wyższość zachodniej cywilizacji i wartości ze sceptycyzmem wobec jej zdobyczy, na przykład praw człowieka czy jednostki jako zaburzających procesy decyzyjne, czyli sprawność instytucji państwa – zaczął więc budować oprogramowanie dla amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej, przede wszystkim do analiz związanych ze zwalczaniem terroryzmu.

Problem rychło okazał się bardziej uniwersalny niż walka z dżihadystami. Każda duża organizacja posiada dziś mnóstwo danych. I często nie potrafi z nich korzystać.

Jeden z inżynierów Palantira, który pracuje w firmie od kilkunastu lat, ujmuje to prosto: – Cały świat wciąż opiera się na plikach Excela o nazwach w rodzaju „Final wersja 13", które ludzie przesyłają sobie e-mailem.

I nie chodzi tylko o urzędy gmin, które utknęły w roku 2004. Ten sam bałagan panuje, jak mówi inżynier, przy produkcji najnowocześniejszych samolotów, w logistyce, ubezpieczeniach, bankach i wojsku. Niby coraz więcej instytucji czy firm przechodzi na SAP czy inne systemy integrowania obiegu dokumentów i „spinania" zmian w podsystemach – księgowości, HR-u i tak dalej – w jednej bazie. Ale mimo to dane wciąż siedzą, bez kontaktu z innymi danymi, w arkuszach kalkulacyjnych, w dokumentach PDF, w skrzynkach pocztowych, w systemach czujników czy archiwach zdjęć satelitarnych.

I każdy zapisuje i mówi inaczej. Palantir sprawia, że ze wszystkimi można porozumieć się w jednym, uniwersalnym języku.

Oprogramowanie Palantira jest więc czymś w rodzaju technologicznego plastra. Instytucja, która go zamówiła, nie musi od razu wyrzucać starych baz i systemów, czasem pamiętających poprzednią epokę informatyki. Palantir spina je wspólnym interfejsem, dzięki któremu rozsiane dane można wykorzystywać tak, jakby należały do jednego systemu.

Powody ogromnego sukcesu tego oprogramowania są jednocześnie zalążkiem przyszłego uzależnienia odeń: im więcej problemów rozwiązuje Palantir, tym mniej pilna staje się przebudowa tego, co znajduje się pod spodem.

Palantir jak „czarna skrzynka"

Palantir tę wspólną warstwę nad cyfrowym bałaganem nazywa ontologią.

To termin wprost z filozofii: greckie on, ontos oznacza „byt". Ontologia zajmuje się tym, co istnieje i jak poszczególne byty mają się do siebie. Palantir przenosi te dociekania do świata danych.

Dla komputera wszystkie byty, ożywione i nie, są rzędami i kolumnami w tabelach. Człowiekowi łatwiej myśleć o osobie, samochodzie, fabryce, radarze, części zamiennej czy jednostce wojskowej. System Thiela przedstawia więc dane jako takie obiekty, opisuje ich cechy i pokazuje relacje między nimi. Jeśli w kilku bazach znajdują się informacje o tej samej osobie, pojeździe albo instalacji wojskowej, Palantir zestawi je w jednym miejscu.

Co istotne, system zachowuje także swoisty rodowód informacji. Kiedy patrzę na wynik analizy, mogę cofnąć się przez kolejne przekształcenia i zobaczyć, z jakiego źródła wzięła się dana informacja, kiedy powstała i w jaki sposób została przetworzona.

Przedstawiciele firmy podkreślają ten punkt, bo Palantir bywa przedstawiany jako „czarna skrzynka". – Jeśli analityk albo operator widzi jakąś relację czy połączenie, może zweryfikować, z którego źródła ono pochodzi, jak aktualne są dane i jaka logika doprowadziła do powstania wyniku – tłumaczy jeden z inżynierów.

Przy tym AI wcale nie pełni funkcji magicznego mózgu Palantira. Firma podkreśla, że klient może podłączyć modele OpenAI, Anthropic czy europejskiego Mistrala, rozwiązania open source albo własne. Palantir nie ma swoich modeli sztucznej inteligencji, raczej buduje drogi dla zewnętrznych agentów AI klienta: platforma pozwala mu określić, do jakich danych mają dostęp, z jakich narzędzi mogą korzystać i co wolno im zrobić z uzyskaną informacją. – Gdyby trwała gorączka złota, Palantir sprzedawałby dżinsy i kilofy – inżynier szuka obrazowego porównania. Chodzi o to, że firma nie wydobywa sama – ani dla siebie – „złota" z danych, tylko dostarcza narzędzia tym, którzy chcą to robić.

– Platformy Palantira to fabryka narzędzi – dodaje Maciej Łaska.

Jednym słowem, jest to platforma, na której klient sam buduje kaplikacje, procedury i sposoby wykorzystania danych.

Ale właśnie to tłumaczy zarówno ogromny sukces Palantira, jak i lęk, który budzi.

Na pomoc Ukrainie

Przez lata Palantir pozostawał w półcieniu. Wiadomo było, że współpracuje z CIA, Pentagonem i służbami, ale szczegóły kpozostawały nieprzejrzyste. Dziś nie jest już niszową firmą.

• Według najnowszego raportu giełdowego pod koniec czerwca miał 1049 klientów, zarówno instytucji publicznych, jak i przedsiębiorstw.

• Tylko w drugim kwartale tego roku uzyskał 1,94 mld dolarów przychodów, niemal dwa razy więcej niż rok wcześniej. Około połowy pochodziło od klientów rządowych.

Szczególne znaczenie firmy widać jednak nie w jej wynikach giełdowych, lecz w tym, gdzie używa się jej oprogramowania.

• W maju 2025 roku Pentagon zwiększył o 795 mln dolarów kontrakt na licencje dla Maven Smart System (MSS), czyli rodziny systemów, której wersję oglądam w Warszawie.

• Miesiąc wcześniej własną wersję Maven kupiło NATO. Sojusz opisuje MSS NATO jako platformę wykorzystującą sztuczną inteligencję do łączenia informacji wywiadowczych, zwiększania świadomości sytuacyjnej, planowania i wskazywania celów.

Kiedy Palantir przedstawia swoje oprogramowanie jako „system operacyjny" współczesnej wojny, nie jest to już wyłącznie efektowna metafora marketingowa. Jego technologie stają się jednym z cyfrowych elementów infrastruktury, przez którą amerykańskie wojsko i NATO próbują oglądać pole walki.

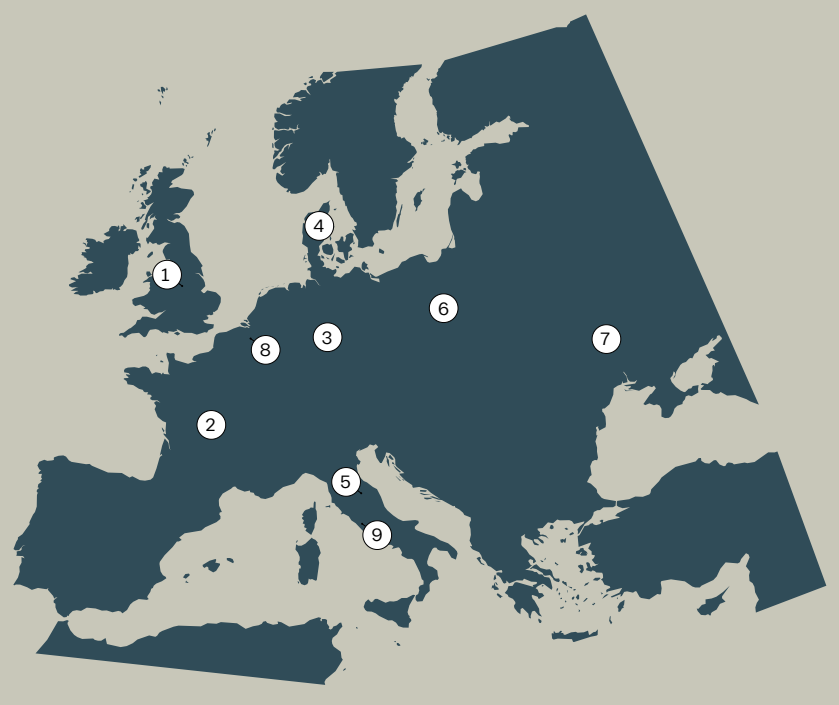
– Kiedy rosyjskie czołgi wjeżdżały na terytorium Ukrainy, a zachodni dyplomaci uciekali z Kijowa, nasi inżynierowie jechali w drugą stronę – mówi mi jeden z przedstawicieli firmy.

2 czerwca 2022 roku, tuż po pełnoskalowej rosyjskiej inwazji, Alex Karp, współzałożyciel i od lat szef Palantira, spotkał się w Kijowie z Wołodymyrem Zełenskim. Według kancelarii ukraińskiego prezydenta był pierwszym szefem dużej zachodniej firmy technologicznej, który przyjechał do Ukrainy po ataku Rosji.

Już w grudniu tego roku dziennikarz „Washington Post" David Ignatius oglądał w Kijowie ukraińskich oficerów pracujących na oprogramowaniu Palantira. Na ekranie mieli cyfrową mapę frontu pod Bachmutem. Na nią nakładane były zdjęcia satelitarne, obrazy termiczne, informacje o rosyjskiej artylerii, czoł-

Palantir w Europie

Dziewięć przykładów: siedem krajów oraz NATO w Brukseli i WFP w Rzymie. Wdrożenia, umowy, testy i projekty archiwalne.



Numery odpowiadają opisom poniżej. Punkty krajowe są orientacyjne; NATO i WFP oznaczają siedziby organizacji, nie państwa członkowskie ani kraje odbiorców pomocy. Wizualizacja poglądowa. Opisy archiwalne nie potwierdzają obecnego stanu umów. Przykład MON dotyczy testów i listu intencyjnego.

1. Wielka Brytania – NHS England
Produkt: Federated Data Platform (FDP).
System danych szpitalnych o kolejkach, łóżkach, liczbie personelu i zaopatrzeniu.

2. Francja – Airbus
Produkt: Skywise, na technologii Palantira.
Łączy dane o produkcji samolotów, łańcuchu dostaw, eksploatacji maszyn i obsłudze technicznej.

3. Niemcy – Policja Hesji
Produkt: hessenDATA.
Rejestr przestępczości i terroryzmu.

4. Dania – Policja
Produkt: POL-INTEL (Gotham).
Rejestr przestępstw.

5. Włochy – Scuderia Ferrari
Produkt: Foundry.
Analiza danych dotyczących jazdy i obsługi bolidów.

6. Polska – Ministerstwo Obrony Narodowej
Produkt: Rozwiązania analizy danych i AI; produkt niewskazany.
Cyberbezpieczeństwo i logistyka wojskowa.

7. Ukraina – Ministerstwo Gospodarki
Produkt: GRIT na infrastrukturze Palantira.
Program do rozminowywania gruntów.

8. NATO, Bruksela
Produkt: Maven Smart System NATO.
Rejestr informacji wywiadowczych.

9. Rzym – Światowy Program Żywnościowy ONZ
Produkt: Foundry; wsparcie narzędzia Optimus.
Planowanie łańcuchów dostaw żywności i kosztów pomocy humanitarnej.

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: NHS ENGLAND, AIRFRAMER, MSW HESJI, IT UNIVERSITY OF COPENHAGEN, PALANTIR, MON, MINISTERSTWO GOSPODARKI UKRAINY, NATO, WFP.

Palantir miał być odpowiedzią na problem, który po zamachach na WTC z 11 września 2001 roku stał się dla amerykańskich służb wyjątkowo dotkliwy: liczne informacje o zagrożeniach istniały, ale były rozsiane po różnych instytucjach, agencjach, bazach, komputerach i systemach. Nikt nie widział całości

eprasa.pl f179aa1425

gach i dane z ziemi. System pozwalał zebrać te źródła w jednym miejscu i przejść od rozpoznania do wyboru środków, którymi można zaatakować wskazany obiekt.

W maju Zełenski ponownie spotkał się z Karpem. Ukraina i Palantir rozwijają obecnie między innymi projekt Bravel Dataroom, w którym dane zebrane podczas wojny mają służyć do trenowania modeli AI wykrywających i zwalczających rosyjskie drony.

Palantir wspierał też ukraińskie systemy analizowania ataków powietrznych, przetwarzania danych wywiadowczych i planowania uderzeń dalekiego zasięgu.

Jak znaleźć dziecko

To właśnie przez Ukrainę Palantir wszedł do nas. Ale nie zaczęło się od wojska czy policji.

W pierwszych tygodniach wojny do Polski zaczęły zjeżdżać dzieci ewakuowane z ukraińskich domów dziecka. Administracja musiała wiedzieć, kto przyjechał, gdzie trafił i z kim przebywa. Trzeba było przy tym pilnować, żeby nie rozdzielać rodzeństw i żeby dzieci trafiały do zweryfikowanych miejsc.

Przedstawiciele Palantira opowiadają mi, że po pierwszym kontakcie z Ministerstwem Rodziny i Polityki Społecznej w ciągu 72 godzin ich ludzie pojawili się w centrum recepcyjnym w Stalowej Woli. – Pracowaliśmy na trzy zmiany: Nowy Jork, Warszawa i Australia. Właściwie 24 godziny na dobę – wspomina jeden z nich. Powstał system rejestrujący dzieci i pozwalający monitorować, dokąd zostały skierowane. Z danych polska administracja korzystała m.in.przy wypłacaniu świadczeń rodzinom zastępczym. Wyznaczony pracownik ministerstwa mógł też eksportować informacje i przekazywać je władzom ukraińskim, które pytały, gdzie znajdują się dzieci.

Palantir brał udział również w dwóch innych projektach związanych z falą uchodźców. Jeden, realizowany z Ministerstwem Cyfryzacji, łączył oferty pracy od różnych firm z CV Ukraińców szukających zatrudnienia. Drugi miał pomagać administracji w zbieraniu informacji o dostępnych miejscach noclegowych.

Teraz gra toczy się o wielki kontrakt dla polskiego wojska.

Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz mówił w październiku 2025 r., że testy, ćwiczenia i spotkania z Palantirem trwają w siłach zbrojnych już od grudnia 2023. Według MON objęły wszystkie rodzaje sił zbrojnych i dziesiątki spotkań oraz ćwiczeń. Memorandum dotyczące współpracy w AI, IT i cyberbezpieczeństwie podpisano rok później, w grudniu 2024. 27 października 2025 r. MON podpisało z Palantirem list intencyjny.

Kosiniak-Kamysz przekonywał wtedy, że nowoczesnej armii nie wystarczą czołgi, samoloty i śmigłowce. Musi również umieć błyskawicznie wykorzystywać dane. Palantir miałby pomóc połączyć informacje z różnych części sił zbrojnych w jeden system.

To niektórych niepokoi. W sierpniu posłanka Daria Gosek-Popiołek, wiceprzewodnicząca klubu Lewicy, zapytała MON o zakres współpracy, wartość ewentualnych umów, dostęp firmy do danych oraz zabezpieczenia przed uzależnieniem wojska od amerykańskiego dostawcy. Do 24 października w sejmowym rejestrze nie pojawiła się odpowiedź resortu. MON dwukrotnie przedłużało termin jej udzielenia.

Podobne obawy pojawiały się wcześniej w innych krajach, zwłaszcza tam, gdzie Palantir trafił nie do wojska, lecz do policji.

Policyjne Google

Bo jeśli Palantir rzeczywiście potrafi tak sprawnie łączyć informacje, jak zobaczyłem, jego największa siła staje się źródłem największych obaw i kontrowersji. Co się bowiem stanie, jeśli zamiast danych z radarów, dronów i satelitów podłączymy do tej maszyny dane o ludziach?

To pytanie zadałem Vasilisowi Galisowi, badaczowi z IT University of Copenhagen. Wraz z Björnem Karlssonem przez lata badali system POL-INTEL, używany przez duńską policję, a oparty na Gotham, jednej z głównych



• **Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski przyjmuje w Kijowie Alexa Karpa, współzałożyciela Palantira, 2 czerwca 2022 r.** FOT. KANCELARIA PREZYDENTA UKRAINY

platform Palantira, wykorzystywanej przez policje, służby wywiadowcze i wojsko. Rozmawiali z inżynierami firmy i z policjantami, którzy na co dzień pracują z tym systemem.

Znów, nazwa jest nieprzypadkowa i nawiązuje do jednego z bardziej charakterystycznych motywów popkultury. Gotham City to przeżarta przestępczością metropolia podobna do upadłego Nowego Jorku, w której bezradną i skorumpowaną policję wyręcza Batman – miliarder nadrabiający brak supermocy technologicznymi możliwościami.

Galis tłumaczy mi działanie Gotham na prostym przykładzie. Policjant wpisuje nazwisko człowieka. System nie pokazuje go tylko jako rekordu w jednej bazie, lecz jako element sieci powiązań z innymi ludźmi, miejscami, pojazdami, zdarzeniami i sprawami. Zamiast osobno zaglądać do kolejnych rejestrów, funkcjonariusz może w jednym miejscu zobaczyć jego przeszłość kryminalną, interwencje, miejsca zatrzymań, samochody, adresy, nieruchomości oraz związki z innymi osobami.

– Duńscy policjanci mają na to określenie. Mówią, że to „Google policji" – dodaje Galis.

W tradycyjnym wyobrażeniu policyjnego śledztwa najpierw pojawia się podejrzany. Policja ma powód, żeby zainteresować się Kowalskim, więc sprawdza jego kontakty, samochód, bilingi, miejsca pobytu.

Platforma integrująca wiele baz pozwala odwrócić kolejność. Można zacząć od zbioru danych. Zapytać, kto bywał w określonym miejscu? Kto kontaktował się z osobą X? Kto jeździ takim samochodem? Kto pojawia się jednocześnie w kilku interesujących policję zbiorach? A potem sprawdzić, jakie nazwisko wyłoni się z sieci. Simon Egbert, niemiecki socjolog, używa obrazowej metafory, że to jak przejście od łowienia ryb kuszą do połowów za pomocą sieci. W pierwszym przypadku widzę konkretną rybę i próbuję ją złapać. W drugim zarzucam sieć i patrzę, co złowiłem.

Egbert z Leną Ulbricht badali hessenDATA, oparty na platformie Gotham system używany przez policję w Hesji. Analizowali dokumenty dotyczące wdrożenia, rozmawiali z zespołem projektu i oglądali demonstrację systemu. Opisują hessenDATA jako system pozwalający rozbijać dotychczasowe „silosy danych" i w kilka minut analizować sieci powiązań, których ręczne odtworzenie zajmowało znacznie więcej czasu, jeśli w ogóle było możliwe.

Samo w sobie nie brzmi to złowrogo. Jeśli policja szuka terrorysty albo członka zorganizowanej grupy przestępczej, możliwość szybkiego połączenia informacji z wielu legalnie zgromadzonych źródeł jest oczywistą zaletą. I są przykłady, że rzeczywiście tak się dzieje.

W 2018 r. policja w Hesji badała 17-latka podejrzewanego o przygotowywanie islamistycznego zamachu. Po zabezpieczeniu jego kont śledczy mieli do przejrzenia materiał odpowiadający około 100 tysiącom stron dokumentów i niemal 250 tysięcy wiadomości. Korzystając z hessenDATA, w ciągu kilku dni wyłowili z tej masy m.in. kontakty z innym podejrzanym oraz informacje o próbnych detonacjach. Podczas przeszukania znaleziono materiały wybuchowe.

W innym śledztwie ten sam system analizował miliony rekordów związanych z wykorzystywaniem seksualnym dzieci. Jednym z tropów okazała się informacja, że dwóch podejrzanych w tym samym czasie korzystało z sieci wi-fi o tej samej nazwie. Metadane zdjęć pozwoliły ustalić miejsce, a dalsze łączenie danych doprowadziło śledczych do kolejnych sprawców i ofiar.

To w takich sprawach najlepiej widać siłę tego rodzaju platform. Potrafią w ogromnej masie informacji szybko wskazać związki, których człowiek mógłby nie zauważyć.

Problem zaczyna się, gdy w takiej sieci znajdują się ludzie, którzy nie są o nic podejrzani.

Arthur Holland Michel nazywa to rozszerzaniem „sieci podejrzeń". Nie chodzi wyłącznie o Palantira, lecz o całą klasę systemów łączących dane. W jednym z analizowanych przez niego systemów nowojorskiej policji znalazły się nawet informacje pochodzące z miejskiej infolinii 311. Można tam zadzwonić, żeby zgłosić nieuprzątnięte liście albo oblodzony chodnik. Takie zgłoszenie nie ma nic wspólnego z przestępstwem. Ale jeśli dane można później automatycznie zestawiać z innymi zbiorami, również ono może stać się jednym z punktów w policyjnej sieci powiązań.

Im łatwiejsze łączenie danych, tym bardziej kuszące może być zbieranie kolejnych: nigdy nie wiadomo, które okażą się przydatne.

Co więcej, połączenie danych może ujawnić coś, czego nie ma wprost w żadnej z baz.

Galis odwołuje się do słynnego ekonomisty Josepha Schumpetera: innowacja bywa „nową kombinacją starych rzeczy". Palantir nie musi zdobyć żadnej nowej informacji. Może wziąć informacje już istniejące i połączyć je w sposób, który tworzy nową wiedzę.

Banalny przykład. Jedna baza mówi, że Kowalski jest właścicielem samochodu. Druga, że samochód pojawiał się w określonym miejscu. Trzecia zawiera dane o osobie, która z tego miejsca korzystała. Czwarta pokazuje połączenia telefoniczne. Nigdzie nie zapisano informacji: „Kowalski jest związany z X". Ale system może wykryć właśnie taki związek.

To nie jest wyłącznie teoretyczny problem wymyślony przez krytyków Palantira. W lutym 2023 r. niemiecki Federalny Trybunał Konstytucyjny zajął się przepisami pozwalającymi policji w Hesji i Hamburgu prowadzić zautomatyzowaną analizę danych. W Hesji narzędziem wykorzystywanym do tego była właśnie platforma Gotham.

Jeśli Palantir rzeczywiście potrafi tak sprawnie łączyć informacje, jak właśnie zobaczyłem, jego największa siła staje się zarazem źródłem największych obaw i kontrowersji

Trybunał uznał, że obowiązujące przepisy dawały policji zbyt szerokie uprawnienia. Sędziowie odwołali się do prawa do autonomii informacyjnej, czyli prawa człowieka do kontroli nad tym, jakie informacje na jego temat państwo zbiera i wykorzystuje. Zwrócili uwagę, że naruszeniem tego prawa może być nie tylko ponowne użycie wcześniej zebranych danych, ale także nowa wiedza o człowieku, która powstaje dopiero wskutek ich automatycznego połączenia. Przepisy pozwalały też obejmować analizą dane osób postronnych, które wcześniej nie dawały żadnego powodu, by podejrzewać je o popełnienie przestępstwa. W skrajnym przypadku system mógłby szukać statystycznych anomalii, tworzyć oceny ludzi, a nawet prognozować potencjalne zagrożenie z ich strony.

Galis uważa, że jesteśmy świadkami takiej właśnie zmiany: – Przechodzimy od policji reaktywnej do bardziej proaktywnej.

Nie oznacza to, że policjant zostanie zastąpiony przez komputer przewidujący przestępstwa. I to takie, o których przestępca nawet nie wie, że je popełni, bo jest Bogu ducha winnym obywatelem, lecz system już wie, co, kiedy i do czego go popchnie, jak w „Raporcie mniejszości" Philipa K. Dicka.

Galis zastrzega, że jeszcze bardzo daleko do takiego świata. W Danii predykcja stosowana w POL-INTEL dotyczy miejsc, na przykład obszarów, w których można spodziewać się określonego rodzaju przestępczości, a nie prognozowania zachowania konkretnych ludzi.

Ale kierunek zmiany jest jasny. Z państwa reagującego na przestępstwa przesuwamy się w stronę systemu, który próbuje przewidywać zachowania obywateli.

Jeden z badaczy, z którymi rozmawiałem, ujmuje tę obawę znacznie ostrzej. – Jeśli zmierzamy w stronę totalitarnego policyjnego modelu, niezwykle ważne staje się pytanie, kto decyduje, co ma być przewidywane i co takie prognozy mają obejmować. Koncentracja takiej władzy w rękach niewielkiej grupy twórców oprogramowania nie może być dobra dla demokracji.

W labiryncie danych

Polski zespół Palantira jest przygotowany na podobne zarzuty. Przedstawiciel firmy twierdzi, że dobrze skonfigurowane oprogramowanie może wręcz zmniejszyć liczbę danych o niewinnych osobach oglądanych przez policjantów.

Podaje mi przykład. Policjant dostaje wielostronicowe zeznanie świadka. W tradycyjnym świecie musi przeczytać całość. Poznaje nazwiska ludzi, którzy nie mają związku ze sprawą, informacje o życiu prywatnym, bardzo intymne szczegóły. – Jeśli dokument leży na biurku, może nawet pokazać go koledze. System tego nie zapisze, bo żadnego systemu nie ma. Nikt z przełożonych ani kontrolujących tego nie odnotuje, bo nie ma żadnego cyfrowego śladu – tłumaczy jeden z przedstawicieli Palantira.

Platforma pozwala ograniczyć dostęp do konkretnych fragmentów informacji, ukryć tożsamość świadka, przypisać prawa dostępu, sprawić, by ograniczenia były dziedziczone przez raporty powstałe na podstawie danych źródłowych. Każdy krok podjęty przez użytkownika jest audytowalny, co zapewnia pełną rozliczalność z wykorzystania systemu.

Gotham ma rozbudowany system kontroli dostępu. Dane mogą mieć oznaczenia określające ich wrażliwość; użytkownik musi mieć uprawnienia, aby w ogóle je odnaleźć lub zobaczyć. Są też mechanizmy, dzięki którym ograniczenia bezpieczeństwa „wędrują" razem z informacją podczas jej przetwarzania.

Jeśli źródłowa informacja ma określone ograniczenia dostępu, to – jak tłumaczą inżynierowie – raport, tabela czy inny produkt utworzony na jej podstawie automatycznie dziedziczy te ograniczenia. Nie zdarzy się więc

eprasa.pl f179aa1425

tak, że tajny albo wrażliwy dokument zostaje przetworzony, a jego pochodna nagle staje się dostępna dla wszystkich.

System może zapisywać, kto oglądał dane, kiedy to robił i jakie czynności wykonał.

W przypadku hessenDATA dostęp funkcjonariusza musiał być uzasadniony konkretnym poważnym przestępstwem, przyznawano go na ograniczony czas, można go było zawęzić do części danych, a aktywność użytkowników była rejestrowana i podlegała kontrolom.

W duńskim POL-INTEL wszyscy policjanci mają dostęp do podstawowej funkcji, „Google'a policji", ale bardziej zaawansowane narzędzia analityczne trafiają do śledczych i wybranych pracowników administracji.

Tyle że to nadal nie rozwiązuje głównego problemu. Bo pytanie „kto może zobaczyć dane?" nie jest tym samym, co pytanie, czy państwo w ogóle powinno móc połączyć te dane ze sobą i dowiedzieć się o Kowalskim czegoś, czego wcześniej nie wiedział żaden jego urząd.

Paradoks Gotham

Pozostaje jeszcze jeden problem. Załóżmy, że policja zebrała dane legalnie, system prawidłowo pilnuje dostępu, każde kliknięcie zostaje zapisane i nie dochodzi do żadnego wycieku ani formalnego nadużycia. Ale czy samo narzędzie, przez które policjant ogląda i analizuje te informacje, jest neutralne?

Simon Egbert i Vasilis Galis zgodnie odpowiadają: nie. I wracają do słowa, które podczas spotkania w Warszawie słyszałem chyba częściej niż „sztuczna inteligencja": ontologia. To ona określa, jak rzeczywistość zostaje odwzorowana w systemie. Rozproszone dane stają się osobami, pojazdami, transakcjami, miejscami i zdarzeniami, między którymi system pokazuje określone relacje.

Zanim bowiem przed ekranem usiądzie policjant, ktoś musi zdecydować, jakie obiekty znajdą się w jego cyfrowym świecie, jakie będą miały cechy, które związki między nimi warto pokazać i jak je pokazać.

Byli pracownicy Palantira zwracali w rozmowie z „Wired" uwagę na paradoks Gotham. Gdy system składa w jeden obraz kontakty człowieka, miejsca, dokumenty i zdarzenia z wielu baz, użytkownik może odnieść wrażenie, że widzi jego pełną historię. Tymczasem ogląda tylko tę część życia, która pozostawiła ślad w danych dostępnych systemowi. Informacje mogą być prawdziwe, ale nie znaczy to jeszcze, że obraz jest kompletny.

– Oprogramowanie nie tylko pomaga policji widzieć rzeczywistość. W pewnym sensie kształtuje też to, co policja widzi, czego szuka i jak tę rzeczywistość rozumie – mówi Galis. – Palantir ma określoną politykę, coś w rodzaju ideologii bezpieczeństwa. Zakłada wizję świata, który powinien być nadzorowany i to w określony sposób. Firma mówi o obronie zachodnich wartości, o wyższości Zachodu i o tym, że Zachodu należy bronić. To wszystko wpływa na jej oprogramowanie i systemy.

Co ciekawe, gdy kilka dni później rozmawiam o tym w Warszawie z przedstawicielami Palantira, wcale nie upierają się, że firma jest politycznie i ideowo neutralnym producentem oprogramowania.

Informatyka ma poglądy

Wręcz przeciwnie.

– Mówiliśmy, że nigdy nie będziemy pracować w Rosji, nigdy nie będziemy pracować w Chinach. Ludzie się pukali w głowy: to jest jakieś nieekonomiczne szaleństwo – opowiada Maciej Łaska. – Jasno zadeklarowaliśmy się po jednej ze stron i się tego trzymamy.

Inny przedstawiciel firmy idzie jeszcze dalej. Przypomina popularne zdanie ze Spider-Mana: „z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność", po czym mówi o świadomej, „nie tylko biznesowej, ale filozoficznej" decyzji Palantira „zaangażowania firmy w obronę cywilizacji Zachodu". – Kiedyś brzmiało to górnolotnie. Ale w 2022 r. nabrało konkretnego znaczenia, gdy nasi inżynierowie jechali do Ukrainy.

Tyle że wyraźna polityczna orientacja ma też znacznie bardziej kontrowersyjne wymiary. Palantir od lat pracuje dla amerykańskiej służby imigracyjnej ICE. Początkowo współpraca dotyczyła przede wszystkim jej pionu śledczego, zajmującego się między innymi terroryzmem, handlem narkotykami, gangami i przemytem ludzi. Z czasem objęła jednak także egzekwowanie prawa imigracyjnego.

W 2025 r. ICE zamówiło u Palantira system ImmigrationOS. Ma pomagać w ustalaniu priorytetów operacji, wskazywaniu osób do zatrzymania, śledzeniu tak zwanych dobrowolnych wyjazdów z kraju oraz w logistyce całego procesu deportacyjnego. W tym roku ujawniono również narzędzie ELITE, które pozwala funkcjonariuszom lokalizować osoby przeznaczone do zatrzymania i deportacji oraz wskazywać na mapie miejsca, w których może znajdować się ich więcej.

Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (ACLU) i Amnesty International zarzucają Palantirowi, że jego technologia stała się częścią infrastruktury umożliwiającej masowe zatrzymania i deportacje oraz może zwiększać ryzyko naruszania praw migrantów.

Podobne obawy ma Linda Xia, była inżynierka Palantira. Zwraca uwagę na problem, który wykracza poza samo zbieranie nowych informacji. Dane zgromadzone w jednym celu mogą zostać połączone z innymi i wykorzystane do zupełnie innego. To, co powstało jako zapis podatkowy, administracyjny czy policyjny, po połączeniu z kolejnymi bazami może zacząć służyć także do wyszukiwania osób przeznaczonych do zatrzymania lub deportacji.

Inżynier z Palantira: – Kiedy rosyjskie czołgi wjeżdżały do Ukrainy, a zachodni dyplomaci uciekali z Kijowa, nasi inżynierowie jechali w drugą stronę

Palantir odpowiada, że nie prowadzi polityki imigracyjnej, lecz tylko dostarcza narzędzia państwu. To ono decydują, jak ich używać.

Galis uważa jednak, że wizja świata twórców oprogramowania może przenikać do samych kategorii, zależności i reguł, według których system porządkuje rzeczywistość. Mimo że – jak pokazuje mi Palantir podczas demonstracji – wiele z tych reguł klient może samodzielnie audytować i zmieniać.

A w przypadku Palantira trudno abstrahować od poglądów Thiela, który uważa, że przejmujący się obcymi i jednostkami (wyjątek czyni dla wybitnych i „przydatnych") liberalny porządek musi upaść, do tego ma obsesję na punkcie zagrożeń dla bezpieczeństwa Zachodu.

Egbert dopowiada, że platforma zaczyna z czasem organizować sam sposób pracy policji: zamiast wielu oddzielnych systemów funkcjonariusz dostaje jeden interfejs, wyszukiwarkę i mapę powiązań. Gotham przestaje być kolejną bazą danych, a staje się pośrednikiem między policjantem a informacją.

Dlatego, argumentuje badacz, państwo musi kontrolować nie tylko prywatnego dostawcę, lecz także sposób, w jaki jego własne służby korzystają z nowych możliwości.

Kto trzyma klucze?

Oczywiście jest jeszcze pytanie o suwerenność cyfrową. Co się stanie, jeśli polska armia oprze część swoich najważniejszych procesów na Palantirze, a za kilka lat interesy Warszawy i Waszyngtonu przestaną być zbieżne?

To wcale nie jest abstrakcyjne pytanie – co widać na przykładzie Ukrainy, której Amerykanie w pewnej chwili bez uprzedzenia ograniczyli dostęp do Starlinka. A wielu ekspertów militarnych jest zdania, że podobnie Pentagon może wyłączyć funkcje, których użycie będzie USA nie na rękę, w F-35 czy pociskach HIMARS.

Czy gdzieś po drugiej stronie Atlantyku jest przycisk, którym Palantir może odciąć klienta?

– Nie istnieje coś takiego – zapewnia Maciej Łaska. – Wyobraźmy sobie, że podpisał pan z nami umowę tylko do 31 grudnia 2026 roku. Co się dzieje 1 stycznia? Nic. Nasz software dalej działa.

Przedstawiciele firmy zarzekają się, że nie ma mechanizmu, który po zakończeniu kontraktu automatycznie wyłącza platformę, ani tym bardziej zdalnego *kill switcha*. – Nie mamy w żaden sposób możliwości wyłączenia platformy, a już tym bardziej wyłączenia jej zdalnie. Nie jest to po prostu możliwe – przekonuje jeden z nich. Software może zostać zainstalowany *on-premise*, czyli na serwerach należących do klienta, wewnątrz jego własnej infrastruktury. Sieć może być całkowicie odłączona od internetu. Palantir nie przywozi nawet własnych serwerów. Kupuje je i administruje nimi klient.

Przedstawiciele Palantira zapewniają mnie też, że klient może sam zarządzać kluczami szyfrującymi. To on ustala, kto ma dostęp do danych. Inżynier Palantira, jeśli w ogóle jest potrzebny, ma być w takim systemie gościem, któremu konto zakłada administrator klienta.

Tylko skąd klient ma wiedzieć, że w oprogramowaniu nie ma „tylnych drzwi", które pozwalałyby komuś dostać się do systemu?

– Nie chcemy, żeby nam tylko ufano. Chcemy, żeby nas sprawdzano. Wielu naszych klientów przeprowadza regularne testy penetracyjne swoich środowisk, zgodnie ze standardami branżowymi – odpowiada Maciej Łaska. I wskazuje przykład Niemiec. Na zlecenie bawarskiej policji Fraunhofer Institute for Secure Information Technology zbadał kod źródłowy Palantira, przeprowadzał testy penetracyjne i analizę podatności. Według bawarskich władz nie stwierdzono funkcji, które umożliwiałyby nieautoryzowany dostęp z zewnątrz.

Przedstawiciele firmy podkreślają, że mimo ponad dwóch dekad działalności i pracy z wyjątkowo wrażliwymi danymi nie jest im znany przypadek wycieku danych z ich produktów. – Może pan sprawdzić, czy kiedykolwiek pojawiła się informacja, że z systemów Palantira wyciekły jakieś dane – mówi Łaska.

Przywołuje wieloletnią współpracę firmy ze służbami we Francji, Niemczech i krajach nordyckich. – To nie są kraje, które wierzą nam, bo nam ufają. One regularnie sprawdzają, jak nasz software działa i mają pełną kontrolę nad swoimi środowiskami.

Gdy jednak pytam o to Simona Egberta, który badał systemy Palantira w policji niemieckiej, jest sceptyczny. Nie wierzy, by jakikolwiek audyt mógł dać stuprocentową pewność. Nawet jeśli dziś w kodzie nie ma żadnych „tylnych drzwi", kolejna aktualizacja może go zmienić.

Rozstanie z algorytmem

Poza tym Egbert uważa, że problem cyfrowej suwerenności nie kończy się na pytaniu, kto ma dostęp do danych i serwera. Można trzymać system we własnym budynku, używać własnych kluczy szyfrujących, a nawet całkowicie odłączyć go od internetu – i nadal być zależnym od zagranicznego dostawcy.

Wyobraźmy sobie, że polskie wojsko wdraża Mavena i używa go przez wiele lat. Podłącza kolejne źródła danych, buduje własną ontologię i aplikacje. System integruje się z radarami, logistyką, rozpoznaniem, dowodzeniem i infrastrukturą NATO. Tysiące żołnierzy uczą się na nim pracować i w praktyce uzależniają się od niego. Po dłuższym czasie diabelnie trudno jest z dnia na dzień przejść na inny system.

W informatyce taki problem nazywa się *vendor lock-in*, uzależnieniem od dostawcy. Polska administracja zna ten problem aż za dobrze. I nie tylko ona, również wielu z nas, zwykłych obywateli, z własnych potyczek z ZUS-em. Jego Kompleksowy System Informatyczny przez lata rozwijał jeden główny wykonawca, a wiedza o nim była tak skoncentrowana, że konkurentom przez długie lata trudno było wejść do gry.

Palantir zna ten zarzut. – Technicznie odejście jest dziecinnie proste. Jeżeli klient chciałby wyeksportować wszystko do innego systemu w swoim posiadaniu może to zrobić samodzielnie – mówi jeden z inżynierów.

Podczas demonstracji jego przedstawiciele pokazują mi narzędzia do eksportowania danych w standardowych formatach, takich jak CSV, JSON czy XML. Zapewniają też, że kod, algorytmy i logika stworzona dla klienta pozostają pod jego kontrolą.

Tyle że problemu *vendor lock-in* nie rozwiąże się za pomocą przycisku „eksportuj". Problemem są lata integracji, aplikacje, procedury, uprawnienia, wiedza pracowników i tysiące drobnych decyzji zaszytych w działaniu całej organizacji.

Przykład daje amerykańska administracja. W 2026 r. Federalna Administracja Lotnictwa (FAA) uzasadniała, dlaczego kolejny kontrakt na Palantira chce przyznać właśnie tej firmie, bez otwierania go na konkurencję. Platforma Foundry działa tam od 2019 r. i została wbudowana w wiele kluczowych procesów. Zmiana dostawcy oznaczałaby odtworzenie procedur, migrację danych, ponowną certyfikację zabezpieczeń i szkolenie personelu. FAA uznała, że to zbyt duże koszty i opóźnienia.

W Europie co najmniej 11 europejskich krajów ma kontrakty z Palantirem w sektorze publicznym, ale coraz wyraźniej widać próby ograniczania zależności od amerykańskiej firmy. Francja, Niemcy i Holandia zaczęły budować lub wybierać europejskie alternatywy, szczególnie tam, gdzie systemy przetwarzają dane wojska i służb.

Francuski kontrwywiad, który korzysta z amerykańskiego oprogramowania od zamachów terrorystycznych w 2015 r., w czerwcu zdecydował, że zastąpi je platformą Argonos francuskiej firmy ChapsVision. Nie jest to proste. Przeniesienie systemów i procesów może potrwać około dwóch lat.

Z drugiej strony NATO i Wielka Brytania właśnie rozszerzają współpracę z Palantirem.

Sami ludzie Palantira problem technologicznej suwerenności przedstawiają inaczej. Według nich oprócz kwestii pełnej kontroli nad danymi, prawdziwa niezależność oznacza zdolność do efektywnego korzystania z własnych danych: budowania na nich aplikacji, zmieniania reguł, podłączania nowych źródeł i decydowania, kto ma do czego dostęp. – Można przecież zapisać dane na pendrivie i wrzucić go do rzeki. Formalnie nadal są nasze, tylko niewiele możemy z nimi zrobić – mówi jeden z przedstawicieli firmy.

Z tej perspektywy platforma taka jak Palantir ma wręcz zwiększać suwerenność klienta, bo daje mu narzędzia do samodzielnego wykorzystywania własnych danych.

No i poza wszystkim, Palantir nie jest jedyną firmą oferującą takie rozwiązania. Daleko nie trzeba szukać: wrocławski DataWalk wprost przedstawia swój system jako alternatywę dla Gotham.

Przewaga Palantira nie polega na jednej magicznej funkcji. Rzecz w skali i dojrzałości całego systemu: ponad dwie dekady integracji, wdrożeń i doświadczeń zdobytych w wojsku, wywiadzie, policji i wielkich przedsiębiorstwach.

Vasilis Galis patrzy na to w nieco odmienny sposób. – Jeśli mówimy wyłącznie o technologii, nie sądzę, żeby Palantir był unikalny – mówi, zastrzegając, że nie jest inżynierem oprogramowania. – Są inni dostawcy, którzy robią podobne rzeczy. Problem polega na tym, że Palantir jest bardzo dobry w robieniu biznesu.

I nie chodzi wcale o pierwsze skojarzenie, jakim jest telefon z Waszyngtonu z prośbą o przychylność.

Firma wchodzi do instytucji przez niewielki projekt. Potem klient podłącza kolejne źródła danych, szkoli ludzi, nadbudowuje aplikacje i procedury. Z czasem coraz więcej pracy zaczyna przechodzić przez tę samą platformę. Po kilku latach trudno się już bez niej obyć.

I bez zakodowanej w niej wizji świata. ●

1 RP

eprasa.pl f179aa1425

ŚWIAT

ABDULRAHMAN MOHAMED EL-SAYED
49. prezydent USA



• **Abdul El-Sayed pierwszym muzułmaninem w Senacie USA. Sukces świętował u boku żony Sarah Jukaku**

FOT. REUTERS/ BRIAN SNYDER

Jędrzej Słodkowski

Abdul od dziecka się wyróżniał. Jest inteligentny, zmotywowany i ma ogromną charyzmę. Jego etyka pracy jest na bardzo wysokim poziomie. Zawsze uważałem, że osiągnie sukces – mówi dr Piotr Westwalewicz, wujek nowego senatora, wykładowca polonistyki na University of Michigan. – Jest bardzo ciepły i serdeczny. Sympatycznie się z nim rozmawia na wszystkie tematy. To równy gość. Fajny facet.

Nie wszyscy podzielają jego zdanie na temat 42-letniego Abdulrahmana Mohameda El-Sayeda. Zwłaszcza Donald Trump: „Mohammad to dżihadystyczny szaleniec, który nienawidzi naszego kraju”; „To radykalny ekstremista, sympatyk terrorystów”; „Komunistyczny przegryw, który nienawidzi Żydów i Izraela”; „Będzie musiał przejść przez wykrywacz metalu, zanim pozwolą mu wejść do Senatu”. Wiceprezydent J.D. Vance zobaczył w nim „coś bardzo, bardzo złego”. Republikański konkurent El-Sayeda, były agent FBI Mike Rogers, zarzucał mu i jego rodzinie związki z Bractwem Muzułmańskim, Hamasem, Hezbollahem i Al-Kaidą. „Jesteś po stronie Ameryki czy tych organizacji terrorystycznych za granicą?” – pytał.

Wszystko na nic. Rok po tym, jak Zohran Mamdani wygrał wybory na burmistrza Nowego Jorku, kolejny lewicowiec i muzułmanin z pokolenia millenialsów odniósł sukces w wyścigu wyborczym, który śledziła cała Ameryka. Pokonał Rogersa różnicą 7 pkt. proc.

A to, jak mówi dr Nazira Lajevardi z University of Michigan, autorka książki „Outsiders at Home: The Politics of American Islamophobia” („Obcy w domu: polityka amerykańskiej islamofobii”), nie było takie oczywiste. – Według nowego sondażu Michigan State University 38 proc. mieszkańców stanu mniej chętnie zagłosuje na kandydata, jeśli wyznaje on islam – mówi.

Żadne sondaże nie przewidziały, że Republikanie dostaną takie lanie. „Niebieska fala” (niebieski to tradycyjny kolor Demokratów w USA) zalała nie tylko stany purpurowe, raz głosujące na jedną, raz na drugą partię (jak Michigan), ale przelała się przez czerwone falochrony w Ohio, Teksasie, Iowa, Karolinie Południowej czy Kansas. Demokraci zmiażdżyli też Republikanów w wyborach do Izby Reprezentantów. Mają bezpieczną większość w obu izbach Kongresu. Przez ostatnie dwa lata swojej drugiej kadencji 47. prezydent USA będzie częściowo politycznie sparaliżowany.

El-Sayed powiększy klubik najbardziej lewicowych senatorów. Będzie też pierwszym tak wyraziście izraelosceptycznym członkiem tej izby. W kampanii udowodnił, że jest przebojowy, retorycznie błyskotliwy, pewny siebie i świetnie czuje się w zwarciu. Będzie się działo!

•

Gdy El-Sayed ogłosił w 2017 r. start w demokratycznych prawyborach na gubernatora Michigan, „Politico” zatytułowało poświęcony mu tekst: „Czy Michigan jest gotowe na gubernatora o imieniu Abdul?”.

Wtedy nie było, chociaż drugie miejsce i 30 proc. głosów to, jak na debiutanta, wynik więcej niż przyzwoity. Może problemem było nie imię, ale brak wyrobionego nazwiska i niewiele ponad trzydziestka na karku?

W powszechnej świadomości Michigan to Ford, Chrysler i General Motors – przemysł samochodowy. Ale, jak w „Especially in Michigan” śpiewał Anthony Kiedis z Red Hot Chili Peppers, to stan, „w którym objawienia szaleją”: jedno z najbardziej zróżnicowanych religij-

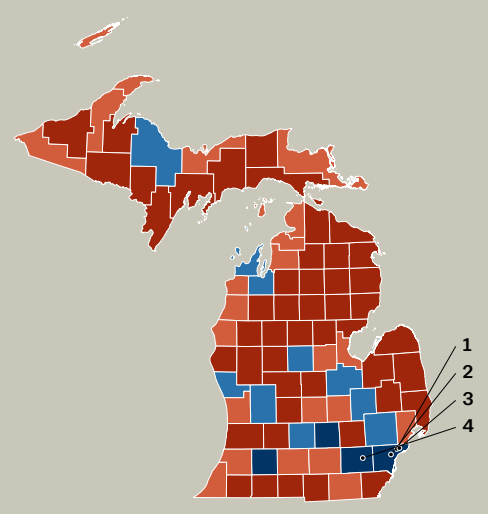
eprasa.pl f179aa1425

Michigan. Wybory do Senatu

Abdul El-Sayed
52,5% · 2 507 454 głosów

Mike Rogers
45,5% · 2 172 586 głosów

Przewaga w hrabstwie: Rogers ponad 20 p.p. do 20 El-Sayed do 20 ponad 20





Wyniki w miastach

1. Detroit
El-Sayed 91,8% · Rogers 5,4%

2. Dearborn
El-Sayed 82,2% · Rogers 16,9%

3. Hamtramck
El-Sayed 92,1% · Rogers 7,0%

4. Ann Arbor
Brak danych

Wyniki nieoficjalne. Dane: 5.11.2026, godz. 10:01.

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: CNN, WAYNE

nie, ekonomicznie, społecznie, narodowościowo, rasowo i kulturowo miejsc w USA.

Leżącą przez pół roku pod śniegiem północ stanu zasiedlali traperzy ze Skandynawii.

Na zachodzie osiedlali się Holendrzy z tulipanami i kalwińską przedsiębiorczością (tam narodził się Amway). A także Niemcy – i to pewnie dzięki nim Michigan jest amerykańskim zagłębiem browarów kraftowych.

Leżące po drugiej stronie stanu Detroit, nim stało się jedyną czarną metropolią na północy USA, było północnym bastionem Ku Klux Klanu, który bronił anglosaskiego, protestanckiego charakteru Detroit przed masowo napływającymi do miasta czarnymi, Żydami, a zwłaszcza katolikami – przede wszystkim Polakami. Ale ktoś przecież musiał składać te auta: między 1910 a 1930 r. aglomeracja Detroit spuchła z 760 tys. do 2,3 mln mieszkańców.

Na północny zachód od multirasowego tygla Detroit oraz ultraliberalnej bańki Ann Arbor, gdzie mieści się University of Michigan, alma mater Abdula El-Sayeda, rozciąga się michigański interior. Farmerski. Myśliwski. Niemal stuprocentowo biały. Trump zdobywał tu po 60–80 proc. głosów.

Mój znajomy, który spędził tam dzieciństwo, zmęczony wielkim światem, postanowił wrócić w rodzinne strony i uwić tam rodzinne gniazdo. Wybił to sobie z głowy po godzinnym rekonesansie. – Żona źle znosiła sposób, w jaki ludzie się na nią gapili – wspominał. Żona ma korzenie indyjskie. Bezpieczniej czują się dziś w zróżnicowanym etnicznie miasteczku pod Detroit.

Nie twierdzę oczywiście, że tamtejsi mieszkańcy czy też wyborcy Republikanów to en masse rasiści. W całym USA niewiele jest jednak miejsc, gdzie w ciągu ledwie godzinnej przejażdżki autem można odbyć podróż przez tak wiele nieprzystających do siebie wersji Ameryki.

Współczesnych pogrobowców KKK na tej trasie drażnią jednak przede wszystkim dwa przystanki: w Dearborn, zaczynającym się tuż za zachodnią granicą Detroit, i Hamtramck, mieście-enklawie w sercu Detroit. Arabskie sklepy, kebabownie, meczety, z których muezzini wzywają na modły – można czasem zapomnieć, że to Środkowy Zachód, a nie Bliski Wschód.

Jeśli ktoś jednak miał wątpliwości, że to nie Żydzi i czarni, ale właśnie muzułmanie są dziś głównymi wrogami prawicowej ekstremy, to musiał się ich podczas tej kampanii pozbyć. Wróg zyskał konkretną postać – Abdula El-Sayeda.

●

Pierwsi Arabowie, w większości chrześcijanie, napłynęli do Detroit pod koniec XIX w. z terenów dzisiejszego Libanu, Syrii i Palestyny. Kiedy w 1914 r. po świecie rozeszła się wieść, że Henry Ford płaci dniówkę w wysokości 5 dol. (na dzisiejsze pieniądze: 160 dol.), do Michigan zaczęli napływać ludzie z całych Stanów i z całego świata. W tym kolejni Libańczycy i Syryjczycy.

W Highland Park, mieście, które podobnie jak Hamtramck obroniło się przed aneksją przez Detroit", składali na taśmie słynny model T. W 1921 r. wznieśli tam jeden z pierwszych meczetów w USA.

Nie działał on jednak długo. Ford zbudował nową siedzibę w Dearborn, a robotnicy podążyli za pracą. I firma, i arabscy robotnicy trwale zapuścili tam korzenie. A gdy w latach 60. Demokraci poluzowali reguły migracyjne, do Dearborn zaczęli przyjeżdżać kolejni Libańczycy. Zwłaszcza gdy w 1975 r. Liban na lata pogrążył się w wojnie domowej. Potem przed śmiercią uciekali Irakijczycy, Palestyńczycy i Jemeńczycy. Ci ostatni zaczęli osiedlać się także w Hamtramck, podupadłej w latach 80. polskiej enklawie, która wkrótce zaczęła przyciągać również mieszkańców innych państw pogrążonych w wojnie, chaosie lub nędzy: Bośni, Albanii, a przede wszystkim Bangladeszu.

Oba miasta zyskały ogólnokrajową sławę w poprzedniej dekadzie, gdy w Dearborn Arabowie, a w Hamtramck muzułmanie (Arabowie i Banglijczycy) uzyskali większość w radach miejskich. Do Michigan zjeżdżali się dziennikarze. Pete Hegseth, wtedy prezenter Fox News, dziś sekretarz obrony, narzekał po wizycie w Hamtramck: „Wszędzie meczety, wezwania do modlitwy". Panikę moralną siały jednak także media liberalne. Dziennikarka CNN dopytywała ówczesnej burmistrzyni Hamtramck Karen Majewski, czy się nie boi. Majewski odparła: dlaczego miałabym się bać moich sąsiadów, z którymi rozmawiam o łataniu dziur w drogach?

Szacunki (w spisie powszechnym nie zadaje się pytania o wyznanie) mówią, że muzułmanie stanowią ok. 2,8 proc. mieszkańców 10-milionowego stanu. W najludniejszym hrabstwie Wayne, obejmującym Detroit, Hamtramck, Dearborn i jego przedmieścia – Dearborn Heights – 8 proc.

●

El-Sayed nie wychował się w którejś z muzułmańskich enklaw, lecz na bogatych, białych przedmieściach Detroit. Jego rodzice przyjechali do USA z Egiptu. Ojciec projektował samochody dla General Motors. Matka, która w Egipcie kształciła się na lekarkę, w Stanach została pielęgniarką.

Rodzice rozwiedli się, gdy Abdul miał trzy lata. Wychowywał go ojciec, który ożenił się z rodowitą Michiganką Jacqueline Johnson, także inżynierką mechaniczką. W ten sposób Abdul wszedł do rodziny z tradycjami – jego macocha jest potomkinią Abigail Adams, żony drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Wielkie wrażenie wywarła na 13-letnim Abdulu pierwsza podróż do Egiptu. Konfrontacja z warunkami życia w skorumpowanej dyktaturze, spotkania z babcią – analfabetką, a zarazem „najmądrzejszą osobą, którą w życiu spotkał" – i kuzynami uświadomiły mu, jak bardzo mu się poszczęściło. „Nawet w najgorszy dzień mojego życia żyje mi się lepiej, niż większość moich kuzynów mogłaby sobie wymarzyć" – mówił później.

Jego uniformem są dżinsy i obcisła koszulka, demonstracyjnie dowodząca, że Abdul niczym nie różni się od młodych Amerykanów, dla których siłownia jest częścią stylu życia, miejscem spotkań równie naturalnym co kawiarnia. Na ławce Abdul wyciska 158,8 kg. Ponad 6 kg więcej niż przyjaciel Trumpa Karol Nawrocki

Namysł nad tym, jak na ludzkie losy wpływa nierówność szans, zaprowadził go na studia biologiczne i politologiczne.

Jedną z najlepszych publiczną uczelni w USA ukończył ze wszystkimi możliwymi wyróżnieniami. Żartuje, że nie miał wyboru: kochał sport, a ojciec postawił mu ultimatum: nie będzie piątek, nie będzie grania. Ale były nie tylko piątki, ale i stypendia oraz nagrody, więc Abdul mógł grać w pierwszym składzie uniwersyteckiej drużyny lacrosse i trenować zapasy.

Po licencjacie przeniósł się na medycynę. Dzięki prestiżowemu stypendium wyjechał na Oxford, gdzie zrobił doktorat ze zdrowia publicznego. Dyplom lekarski otrzymał na Uniwersytecie Columbia. Jego mentor, epidemiolog Sandro Galea, zainteresował go badaniami z Kalifornii nad wpływem dyskryminacji na zdrowie. Wcześniejsze badania wykazały, że po 11 września zwiększyło się ryzyko rodzenia przez amerykańskie Arabki dzieci o niższej masie urodzeniowej dzieci.

Galea i El-Sayed najpierw sprawdzili, że w Michigan to zjawisko nie występuje, a potem wykazali, że Arabki z Dearborn, żyjące w dużej społeczności arabskiej, rzadziej rodzą dzieci z niską masą urodzeniową niż Arabki z innych części stanu, gdzie nie chronią ich tak społeczne więzy.

Wtedy pomyślał, że może zamiast leczyć ludzi, będzie leczył niesławny amerykański system ochrony zdrowia. W 2015 r. wrócił do podnoszącego się powoli po dekadach upadku Detroit. Misja: odbudować miejski departament zdrowia publicznego. Jednym z problemów, za które wziął się od samego początku była walka z zatruciami ołowiem ze starych farb i rur u dzieci. Efekt: już po roku wpływowa politycznie organizacja ekologiczna z Michigan przyznała mu tytuł urzędnika roku.

Po politycznym falstarcie w 2018 r. prowadził podcast, a podczas pandemii występował – jest dyplomowanym epidemiologiem – w roli eksperta. Po pandemii wrócił na podobne stanowisko, tylko że we władzach hrabstwa Wayne. Odszedł, gdy znów poczuł zew polityki. Tym razem chyba na dobre.

●

Wziąwszy pod uwagę, kto i kiedy jako pierwszy zobaczył w nim zwierzę polityczne, aż dziw bierze, że senatorem został tak późno.

Ponieważ Abdulrahman okazał się oczywiście najlepszym studentem w swoim licencjackim roczniku, został wyznaczony do wygłoszenia przemowy podczas rozdania dyplomów. Nie myślcie, że to jakaś nudna akademia. Przygotowywany miesiącami show z udziałem uczelnianych orkiestr odbywa się na trzecim największym stadionie świata (pojemność: 107 tys.). Na co dzień grają na nim futboliści Michigan Wolverines, uniwersyteckiej drużyny, której całe Ann Arbor i okolice fanatycznie kibicują.

Tata nie odpuścił mu nawet w tamtej chwili. Oznajmił, że przyszedł słuchać nie jego, ale Billa Clintona, który był główną gwiazdą ceremonii. Pierwszy przemawiał prymus. „Świat potrzebuje nas, byśmy pomagali tym, którzy mieli mniej szczęścia – przekonywał. – Mamy czelność wierzyć, że możemy zmienić ten świat!". Chwilę później były prezydent USA zaczął własną mowę od pochwalenia przedmówcy: „Chciałbym, żeby każdy człowiek na świecie mógł dziś usłyszeć twoje przemówienie". Jak mówił El-Sayed, dopiero wtedy jego tata „pierwszy raz w życiu mu zaklaskał".

Po przemowie Clinton podszedł do El-Sayeda. Zapytał, po co wybiera się na medycynę, skoro ma dar przemawiania do ludzi. Powinien rozważyć politykę. „Może kiedyś wystartujesz w wyborach?" – zachęcał go. El-Sayed odpowiedział: „Miło z pana strony, ale mam imię liczące 11 liter, zawierające dźwięki wydobywające się z takich części gardła, o których istnieniu większość ludzi nawet nie wie. Tacy jak ja nie kandydują w wyborach".

A Clinton? „Przez chwilę się nad tym zastanawiał, potem zachichotał i odszedł" – wspomina dzisiaj El-Sayed.

●

Jak to w przypadku prymusów bywa, Abdul miał też na studiach czas, by udzielać się w rozmaitych organizacjach. W Stowarzyszeniu Studentów Muzułmańskich poznał Sarah Jukaku, studentkę dwa roczniki niżej, Michigankę urodzoną w rodzinie imigrantów z Indii. Szybko wzięli ślub. Sarah została psychiatrką. Wychowują dwie córki; niedawno wrócili do Ann Arbor i mieszkają rzut beretem od uczelni, na której studiowali.

Tu ujawniają się kolejne paradoksy w historii nowego senatora. Abdul El-Sayed co prawda nie jest, jak Mamdani, członkiem Demokratycznych Socjalistów Ameryki, a nawet zadeklarował, że „kocha kapitalizm", ale jego agenda znacząco nie odbiega od postulatów socjalistów. To powszechna opieka zdrowotna, zakaz finansowania kampanii przez wielkie firmy, kasa nie na wojny (USA w Iranie, Izraela w Palestynie – popiera za to pomoc dla Ukrainy), ale na szkoły i domy, wyższe podatki dla bogatych, zakończenie wojen celnych, wprowadzenie ograniczeń w budowie centrów danych, wzmocnienie związków zawodowych, prawo do aborcji.

El-Sayed stał się, jak wcześniej Mamdani, rzecznikiem tych, których pod rządami Trumpa nie stać na zakupy. Zwykłych Amerykanów. I on też roztacza wokół siebie aurę zwykłego Amerykanina. Do swoich rozmówców zwraca się per „stary" („bro"), a o Mike'u Rogersie podczas debaty konsekwentnie mówił „ten gość". Jego uniformem są dżinsy i obcisła koszulka z długimi rękawami, demonstracyjnie dowodząca, że Abdul niczym nie różni się od młodych Amerykanów, dla których siłownia jest częścią stylu życia, miejscem spotkań równie naturalnym co bar czy kawiarnia. Na ławce Abdul wyciska 158,8 kg. Ponad 6 kg więcej niż przyjaciel Trumpa Karol Nawrocki.

Z filmików, które namiętnie wrzuca na Instagrama, emanuje aura bystrego ziomala z osiedla. Ale ten ziomal dzięki wżenieniu się w rodzinę Jukaku stał się człowiekiem majętnym.

To oczywiście nic złego. Gdyby się jednak czegoś czepiać, to można by tego, że jego teść zarabia na prywatnej ochronie zdrowia (prowadzi klinikę nefrologiczną). Wpłacił 300 tys. dol. komitetowi wspierającemu zięcia. A że jest prominentnym działaczem CAIR, organizacji broniącej praw amerykańskich muzułmanów, w 2007 r. wymienionej w dokumentach procesu organizacji finansującej Hamas, Rogers za-

eprasa.pl f179aa1425

czął zarzucać El-Sayedowi powiązania z organizacjami terrorystycznymi.

CAIR nie postawiono jednak żadnych zarzutów. Nasz polski tryb wyborczy, dzięki któremu można postawić kłamcę przed sądem, to zaiste wspaniały wynalazek.

Republikanin sugerował też, że jakieś przestępcze dno kryje się w dwóch mieszkaniach, które El-Sayed ma, jak twierdził, w Dubaju i Egipcie. El-Sayed wyśmiał go, że nawet się nie przygotował. Tłumaczył, że chodzi o dobytek rodziny jego żony, a dom w Dubaju i mieszkanie w Indiach są wynajmowane.

•

Jeszcze po pokonaniu w prawyborach proizraelskiej kongresmenki Haley Stevens El-Sayed był demonizowany przede wszystkim jako „komunista". Potem Republikanie już na całego przestawili wajchę w stronę „dżihadysty". Przywódcy Republikanów, jego kontrkandydat, a za nimi prawicowe telewizje, influencerzy, podcasterzy i komentariat przedstawiali go jako krwiożerczego islamskiego radykała. Celowo przekręcali jego imię i nazwisko. Insynuowali, że chce wprowadzić szariat.

– Ta retoryka skuteczna po prawej stronie sceny politycznej. Odwołuje się do strachu i mobilizuje wyborców. Chodzi o to, żeby ludzie poczuli, że istnieje bezpośrednie zagrożenie dla ich dobrostanu, bezpieczeństwa, dla całego kraju. To poczucie zagrożenia ma ich zmobilizować do działania – mówi dr Nazira Lajevardi. I dodaje: – Widzieliśmy już taką retorykę u polityków ubiegających się o najwyższe urzędy, w tym o prezydenturę, choćby w 2016 r. Ale teraz ten język przenika również na niższe szczeble polityki. Oczywiście islamofobia w USA nie zaczęła się za sprawą Donalda Trumpa. Nie zaczęła się nawet po 11 września 2001 r. Bez wątpienia jednak to tamten dzień zapoczątkował procesy prowadzące do dehumanizacji społeczności muzułmańskiej z wykorzystaniem całego aparatu państwa.

El-Sayed okazał się na te ataki, godzące w jego wiarę i zniesławiające jego rodzinę, impregnowany. Podczas debat nie dawał się sprowokować, nie tłumaczył, że nie jest wielbłądem, i wytykał przeciwnikowi: ludzi interesują ceny, szkoły, zdrowie. I tak przez cały czas. Szariat? Podkreślał, że jest wierny wyłącznie konstytucji USA. A zamiast „sharia law" wybiera „shawarma law", czyli prawo szoarmy: nie będziesz dodawał do niej sałaty.

•

Tym, co raz po raz rozsadzało jego kampanię, była jednak kwestia jego stosunku do Izraela.

Sojusz z Izraelem pozostaje dogmatem w amerykańskiej polityce. AIPAC, wpływowa organizacja izraelskiego lobby, tylko w prawyborach na obronę tego dogmatu wydała 30 mln dol.: 10 na wsparcie Haley Stevens i 20 na ataki na El-Sayeda. AIPAC nigdy wcześniej nie wydał tak gigantycznej sumy na wsparcie jednego kandydata. Trochę pomogło, bo mającej przewagę finansową 11:1 Stevens prawie nadrobiła stratę z sondaży. Przegrała o włos.

Później albo źródełko przyschło, albo AIPAC nie wierzył w możliwość zatrzymania El-Sayeda, bo we właściwych wyborach wydał w Michigan tylko 828 tys. dol.

Po porażce Stevens otarła łzy i poparła konkurenta. Który wcale nie łagodził swojego stanowiska. Żądał, by Stany przestały sprzedawać broń Izraelowi, wojnę w Gazie nazywał ludobójstwem, a politykę wobec Palestyńczyków – apartheidem. Twierdzi, że Izrael, który wciągnął administrację Trumpa w bezsensowną wojnę przeciw Iranowi, nie jest żadnym przyjacielem Ameryki, co jest już jawnym złamaniem obowiązujących w amerykańskiej polityce zasad.

Prawdziwa awantura wybuchła jednak, gdy El-Sayed odmówił odpowiedzi na pytanie, kto jest większym zagrożeniem dla Ameryki: Iran czy Izrael. Republikanie, licząc, że przeciągną na stronę Rogersa michigańskich Żydów, wyciągali niezręczny komentarz po marcowym zamachu na synagogę na przedmieściach Detroit oraz współpracę z internetowym trybunem amerykańskiej lewicy Hasanem Pikerem, który ma na koncie antysemickie wypowiedzi (El-Sayed ostatecznie się od niego odciął).

Atmosfera zagęściła się na kilka dni przed wyborami, gdy niezależny komitet wspierający El-Sayeda wypuścił reklamówkę, z której wynikało, że ceny w sklepach są wysokie, bo Stany wysyłają pieniądze do Izraela, żeby zabijać Palestyńczyków (El-Sayed ostatecznie odciął się od reklamy, zapewniając, że nie powstała przy udziale jego sztabu).

Najpierw narzeczony Haley Stevens, Żyd, poparł Mike'a Rogersa. A następnie, tuż przed demonstracją jedności michigańskich Demokratów, zrobiła to Haley Stevens. W partii wywołało to trzęsienie ziemi. Stevens została wyrzucona z partii, a zdradę potępili najwyżsi partyjni notable, niezbyt przychylni El-Sayedowi. Ten gest, jak się spodziewano, mógł kosztować El-Sayeda mandat, a dla Demokratów mógł oznaczać utratę szansy na przejęcie kontroli nad Senatem.

Młody lekarz z dyplomem Columbii pomyślał, że może zamiast leczyć ludzi, będzie leczył amerykański system ochrony zdrowia. W 2015 r. wrócił do podnoszącego się powoli po dekadach upadku Detroit. Misja: odbudować miejski departament zdrowia publicznego. Jednym z problemów, za które wziął się, była walka z zatruciami ołowiem ze starych farb i rur u dzieci

Tak się, jak wiemy, nie stało. Również dlatego, że wielu demokratycznych Żydów zaangażowało się w kampanię na rzecz El-Sayeda.

Jednym z nich jest prof. Jonathan Levine, urbanista z University of Michigan, członek Partii Demokratycznej i społeczności synagogi Temple Beth Emeth w Ann Arbor. Rozmawiamy w przedwyborczy piątek. Cały weekend profesor zamierza spędzić na chodzeniu od drzwi do drzwi i przekonywaniu do głosowania na El-Sayeda. Czeka na siostrę i siostrzenicę, które przylatują z Kalifornii, żeby pomóc sprawie. – Czy zgadzam się ze wszystkimi jego poglądami? Nie. Z wieloma. Zgadzam się, że Izrael nie zachowuje się jak przyjaciel USA. I płacze moje serce, gdy widzę, jak rząd Netanjahu zniszczył opinię o Izraelu swoją polityką wobec Gazy i Zachodniego Brzegu – tłumaczy, dodając, że jego żona jest Izraelką. – Uważam jednak, że USA powinny dalej sprzedawać Izraelowi broń defensywną. Potrafię jednak odłożyć różnice na bok, bo uważam, że zdobycie przez Demokratów większości w Senacie jest znacznie ważniejsze. Inaczej grozi nam dalsze osuwanie się ku autokracji.

Prof. Levine opowiada, że w jego kręgach towarzyskich toczą się zażarte dyskusje. – Spotkałem Abdula osobiście kilka miesięcy temu – wspomina. – To była kameralna rozmowa z ludźmi ze środowiska liberalnych Żydów związanych z Izraelem. Po spotkaniu mieliśmy o nim bardzo dobre zdanie. Oceniam, że w moim środowisku jakieś 60 proc. ludzi popiera Abdula. Pozostali nie zamierzają głosować, a tylko nieliczni poprą Mike'a Rogersa.

•

El-Sayed często podkreśla, że wychowywał się w okolicy, w której mieszkało wielu Żydów, zresztą tej samej, do której wybierał się prof. Levine. Wspominał, że co chwilę bywał na bar i bat micwach żydowskich kolegów i koleżanek.

We wspomnianej rozmowie z „Politico" z 2017 r. opowiada również o swojej wielowyznaniowej rodzinie. Rodzice jego macochy są prezbiterianami, babcia Abdula nawet diakonisą (oboje nagrywali reklamówki wspierające wnuka), a na kolację w dniu Święta Dziękczynienia przychodził też do nich polski „wuj Piotr, zadeklarowany ateista".

Wuja Piotra odnalazłem w Ann Arbor, dokąd z Krakowa przyjechał w 1985 r. Na University of Michigan uczy polskiej kultury i języka, pokazując, jak polscy punkowcy i Pomarańczowa Alternatywa stawiali się komunie. Uczy też dzieci grać w piłkę nożną w klubie, który sam założył.

– To prawda, Święto Dziękczynienia obchodzimy zawsze razem – opowiada dr Piotr Westwalewicz, mąż siostry macochy Abdula. – Nasze rodzinne spotkania przy stole są zawsze ciekawe. Mamy różne korzenie, poglądy i jesteśmy różnych wyznań, ale każdy może mówić to, co myśli. To nie przeszkadza nam dobrze się ze sobą czuć. Dlaczego poglądy miałyby nas dzielić? Przecież każdy z nas, niezależnie od nich, zasługuje na szacunek.

I dodaje: – Brak szacunku wobec innych, nienawiść to zjawiska, które odpychają mnie od dzisiejszej polityki. Dlatego podziwiam Abdula, że zdecydował się wejść do polityki. To ogromne poświęcenie.

Dr Westwalewicz uważa, że „Abdul ma stuprocentową rację w swojej diagnozie, jeżeli chodzi o problemy, z którymi mierzą się dziś zwykli obywatele w USA".

– Dostęp do opieki zdrowotnej, słaba edukacja, ceny – wylicza. – Sam ciągle łapię się na tym, jak bardzo podrożały produkty spożywcze. Dawniej szedłem do sklepu, wydawałem 40–50 dol. i wracałem z zakupami na kilka dni. Teraz właściwie nie mogę wyjść ze sklepu, nie wydawszy ponad stu dolarów, a jedzenia wystarcza na krócej. Jak te wszystkie problemy rozwiązać, to zupełnie inna sprawa. Ludzie nie powinni bankrutować z powodu choroby, ale wprowadzenie powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego wydaje się bardziej skomplikowane, niż wynikałoby to ze słów polityków. Tyle że republikańska formuła polega na tym, że nie ma żadnej formuły i każdy musi walczyć o przetrwanie sam.

•

Wejście muzułmanina-lewicowca na salony Kapitolu jest szokiem dla wielu Amerykanów. Ja postawię tezę, że szokujący jest raczej system polityczny USA.

Patologiczne połączenie jednomandatowej ordynacji z kompletną wolnoamerykanką w finansowaniu kampanii prowadzi do drastycznego ograniczania społecznej reprezentatywności Kongresu. To system naczyń połączonych. Zwycięzca bierze wszystko, obejmuje urząd i podczas kadencji wyrabia sobie nazwisko. Łatwiej mu zebrać kasę od sponsorów na kolejne kampanie: najpierw prawyborczą, w której z automatu jest faworytem, a potem wyborczą. Wygrywa, wraca na urząd, gdzie pilnuje interesów sponsorów, którzy odwdzięczają się przed kolejną kampanią. I tak to się kręci.

Spójrzmy na liczby.

Wiara? Według danych z września islam wyznaje 1,6 proc. populacji USA. 1 proc. miejsc w Senacie nie powinien więc wydawać się czymś szokującym.

Wiek? El-Sayed skończył właśnie 42 lata, jest więc tuż powyżej mediany wieku amerykańskiego społeczeństwa (39,4 roku). Jak na realia amerykańskiej gerontokracji jest jednak oseskiem. Średnia wieku w dotychczasowym Senacie wynosiła 65,4 roku. W Polsce ta dysproporcja jest dalece mniejsza: średnia wieku obywateli to 43,8 lata, a posłów – 54,1.

Poglądy? W Senacie zasiadają co prawda Bernie Sanders czy Elizabeth Warren, a wyraziście lewicowymi można by określić jeszcze dwie, może trzy postacie, ale to wciąż garstka.

Tymczasem stale rośnie odsetek Amerykanów popierających wprowadzenie powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego (66 proc.) i zwiększenia roli związków zawodowych (47 proc.). 68 proc. uważa, że korporacje płacą za niskie podatki, a 64 proc., że więcej powinni płacić najbogatsi.

Coraz bardziej lewicowe przekonania mają zwolennicy Partii Demokratycznej. W ciągu 14 lat odsetek demokratów określających się jako liberalni wzrósł z 55 do 71 proc., a konserwatywni spadł z 33 proc. do 16 proc.

39 proc. Amerykanów rozważyłoby zagłosowanie w wyborach prezydenckich na demokratycznego socjalistę.

Teraz senacki klub „lewacki" powiększy się o Peggy Flanagan z Minnesoty, Troya Jacksona z Maine, no i El-Sayeda.

Tylko że zwycięstwo Abdula waży więcej. Wszyscy pozostali progresywiści reprezentują bowiem niebieskie stany. Lewe skrzydło Partii Demokratycznej zyskuje dzięki temu silną kartę w rozgrywce przed wyborami w 2028 r. Bo jeżeli człowiek wyzywany od komuchów i dżihadystów wygrał w stanie purpurowym, to upada argument demokratycznej wierchuszki, że szanse w takich stanach mają wyłącznie centryści. Demokratyczni socjaliści wprowadzili do Izby Reprezentantów pięcioro nowych kongresmenów. Ich kandydaci zostali burmistrzami Waszyngtonu, Providence, stolicy Rhode Island, oraz Ann Arbor.

To wszystko może ośmielić 37-letnią Alexandrię Ocasio-Cortez do startu w demokratycznych prawyborach. Demokratyczna socjalistka portorykańskiego pochodzenia 48. prezydentką USA? Ona sama ten scenariusz rozważa.

•

Bo kampania przed wyborami prezydenckimi już się zaczęła. Od czwartku w Waszyngtonie trwa pierwsza po wyborach połówkowych konferencja części środowisk demokratycznych. Kolejna, o znamiennym tytule „What's Next?" („Co dalej?"), odbędzie się w następny weekend w Denver. Czy za parę lat na tych przeglądach potencjalnych kandydatów na prezydenta padać będzie nazwisko El-Sayeda? Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Przenieśmy się zatem do lipca 2004 r.

19-letni Abdul zmywa naczynia w domu rodziców. W tle gra telewizor; w Bostonie trwa właśnie przedwyborcza konwencja Demokratów. Na scenę wchodzi 42-letni Barack Hussein Obama, który planuje przenieść się ze stanowego do krajowego Senatu. – Kiedy zaczął przemawiać, po prostu zamarłem. Stałem z rękami pokrytymi pianą, która z nich ściekała, i patrzyłem na tego człowieka. Nigdy wcześniej nie widziałem polityka, który wyglądałby i mówił tak jak on – a pośrednio także tak jak ja – wspominał El-Sayed w rozmowie z Jonem Stewartem z „The Daily Show".

Przemówienie nieznanego poza stanem Illinois syna Kenijczyka i białej Amerykanki, w którym wezwał do zasypywania podziałów partyjnych oraz rasowych („Nie ma Ameryki liberalnej i konserwatywnej. Są Stany Zjednoczone Ameryki"), zrobiło piorunujące wrażenie nie tylko na Abdulu.

Obama w cuglach wygrał wybory do Senatu. A cztery lata później został pierwszym czarnym prezydentem USA.

22 lata później znów czarował tłumy na wiecach, tym razem jako gość. W Detroit El-Sayed zapowiedział go tak: – Więc kiedy mówią mi: „Ale przecież on ma na imię Abdul", przypominam im: „A tamten miał na imię Barack!".

Czy Abdul El-Sayed może zajść wyżej niż Senat? – Oczywiście. On ma misję. Wierzy w to, co mówi. I gra tak, żeby wygrać – kwituje Piotr Westwalewicz. ●

eprasa.pl f179aa1425



To ci młodzi, którym pandemia i decyzje dorosłych odebrały ważną część dzieciństwa, lub młodości dziś protestują na ulicach europejskich miast

OKRADZENI Z PRZYSZŁOŚCI

Z **EDWINEM BENDYKIEM**, SZEFEM FUNDACJI BATOREGO ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Młodzi obalili rząd w Serbii, zmobilizowali się przed drugą turą wyborów w Brazylii, wyszli na protesty we Francji i Hiszpanii. Jesteśmy świadkami rewolty pokolenia Z?
– Gołym okiem widać, że we Francji, Serbii czy we Włoszech wybuchł bunt młodego pokolenia wobec gerontokracji. Nie chodzi o poszczególnych polityków, bo przecież 48-letni Emanuel Macron nie jest stary – tylko o elity państwa i ich pozycję w strukturze społecznej, kulturalnej i politycznej.

Rzecz nie tylko w tym, że w strukturach tych dominują ludzie starsi, owi geronci. Ta ich pozycja odzwierciedla głęboką zmianę demograficzną i wzrost liczebnego udziału seniorów żyjących coraz dłużej. W efekcie priorytety państw demokratycznych przesuwają się w kierunku zaspokajania potrzeb ludzi starszych kosztem spraw młodszych pokoleń.

Stąd malejące znaczenie edukacji w politykach państwowych. We Francji od 40 lat utrzymanie szkół wynosi niezmiennie 7 proc. PKB, a nakłady na system emerytalny skoczyły z 7 do 14 proc. W Grecji na edukacje wydaje się zaledwie 3 proc. PKB.

Dodajmy, że w Europie jedynie premierzy Islandii i Holandii są przed czterdziestką.
– Ano właśnie. Jeśli jednak rację ma Peter Turchin, autor książki „Czasy ostateczne" analizującej przyczyny rewolucji społecznych, zmiana wymaga nałożenia kilku czynników.

Masowego społecznego gniewu wynikającego z rosnącej niezgody na własną kondycję życiową i poczucie niesprawiedliwości: rosnące koszty życia, pogarszający się dostęp do usług publicznych i ich coraz słabsza jakość przy jednoczesnym przekonaniu, że nie wszyscy równie dzielą te trudy.

I odkrywaniu, że indywidualne doświadczenie przekłada się na połeczny proces – najważniejszym dziś jest deklasacja i pauperyzacja klasy średniej. O tym były masowe protesty „żółtych kamizelek" we Francji w 2018 roku.

W efekcie narasta polityczny chaos, bo rosnące grupy społeczne nabierają przekonania, że polityczne elity, nie tylko rządzący, ale cały system demokratyczny ich nie reprezentuje. To wystarczający powód do rewolty, jak w 2018.

Żeby doszło do rewolucji, musi pojawić się poczucie aspirujących do elity, a więc młodych wykształconych ludzi, że mechanizm społecznego awansu nie pracuje.

Turchin zwraca uwagę, że najczęściej awangardą takiego ruchu są prawnicy, bo znają mechanizmy działania systemu i kompetentnie posługują się symbolami, dzięki którym mogą wyrażać swoje roszczenia. Przypomina, że prawnikiem był Robespierre i Lenin. Gdy to poczucie staje się odpowiednio dojmujące, młodzi wychodzą na ulice. Tak jest teraz.

Turchin dochodzi jednak do kontrowersyjnych wniosków, że wymiana elit dokonuje się na drodze eksterminacji.
– Dotychczasowa historia rzeczywiście podpowiada, że w szczególnie głębokich kryzysach to najczęstszy scenariusz. „Odblokowanie" nie musi być skutkiem rewolucyjnych decyzji politycznych. Zwróć uwagę, że w czasie pandemii mówiło się sporo o pierwszej korekcie dokonanej za pomocą natury – najczęściej chorowali i przedwcześnie umierali ludzie starsi.

Oczywiście nie sugeruję, że pandemię „wymyślono" jako sposób na wymianę elit. Ale warto sobie przypomnieć sposób, w jaki rządzący wówczas ludzie starsi potraktowali młodzież – przymusowe zamknięcie, nauka na odległość bez odpowiedniego przygotowania i potem brak działań, które byłyby odpowiedzią na koszty psychiczne i deficyty socjalizacyjne młodych.

To ci młodzi, którym pandemia i decyzje dorosłych odebrały ważną część dzieciństwa, lub młodości dziś protestują na ulicach europejskich miast.

We Francji, Hiszpanii, we Włoszech, Serbii, Belgii czy Portugalii młodzi wychodzą na ulice, bo nie stać ich na kupno, a nawet wynajęcie mieszkania, koszty życia pożerają ich pensje, bezrobocie w najmłodszej grupie wiekowej przekracza 20 proc., a awans klasowy jest zablokowany. Skoro problemy są opisane, dlaczego władza nic z nimi nie robi?
– We Francji, ale też w innych krajach europejskich, widzimy - tak nazwał to niemiecki politolog Philip Manow - dekonsolidację państwa, które nie jest w stanie pełnić swoich funkcji, czyli odpowiadać na realne potrzeby społeczeństwa.

Zamiast tego politycy zarządzają najczęściej transferami kapitału do warstw bardziej uprzywilejowanych lub kompetentnych w uzyskiwaniu wpływu na władzę. Przykładem jest rynek nieruchomości, który służy do akumulacji bogactwa, a nie do zapewniania podstawowych potrzeb społecznych, duże fundusze inwestycyjne są obłożone zbyt niskimi podatkami, a w wielu krajach właściciele kilku mieszkań nie płacą w ogóle podatków od dodatkowych lokali.

Na dodatek młodzi nabierają przekonania, że „skradziono im przyszłość". Odziedziczą gigantyczny dług publiczny – we Francji osiągnął już 120 proc. PKB, narastający dług ekologiczny i klimatyczny.

Do tego dochodzi zmiana technologiczna i zapowiedzi, że sztuczna inteligencja zabierze większości ludzi pracę. A nim do tego dojdzie, francuscy licealiści siedzą w klasach liczących do 40 osób, w których temperatura w czerwcu sięgała 40 stopni. A potem ostra selekcja podczas wyboru studiów. I nawet jeśli dostaniesz się na uczelnię, masz poczucie, że przyszłości nie ma nie tylko dlatego, że starsi zablokowali awans. Ale też konsekwencje wszystkich złych decyzji przez nich podjętych spadną na twoje pokolenie.

Jak jeszcze dołożymy fantazje obecnych „władców świata", czyli szefów korporacji technologicznych i jednocześnie najbogatszych ludzi, to skóra cierpnie. Bo wizja świata wielu z nich to po prostu faszyzm.

Jak myślisz, czy właściciele Facebooka czy Palantira chcieliby wprowadzić rządy faszystowskie, bo w kraju niedemokratycznym łatwiej się dogadać z czymś na wzór komitetu centralnego?
– Są też inne powody. Daron Acemoglu, ekonomista i laureat nagrody Nobla zrobił analizę: co się bardziej opłaca ekonomicznie – porozumienie z pracownikami i związkami zawodowymi, czy stosowanie przemocy wobec protestujących. Wyszło, że firmy zyskają na drugim rozwiązaniu. Rachunek ekonomiczny podpowiada więc konsolidację faszystowską. To oczywiście tylko wynik modelowania ekonomiczno-społecznego, ale jeśli się go zestawi z tekstami takich ludzi, jak Alex Karp, szef Palantira, to przestaje być zabawnie.

Idźmy dalej: francuski historyk Jacques Ellul napisał w latach 30. XX wieku słynny esej „Faszyzm, syn liberalizmu". Przekonywał w nim, że obietnice składane przez system wolności gospodarczej i konsumpcji nie mogą być realizowane w nieskończoność, machina akumulacji kapitału zatyka się i przestaje działać.

Sposobem jej poruszenia jest konsolidacji państwa i kapitału z użyciem przemocy do uzyskania dyscypliny i mobilizacji społecznej. Tekst jest znacznie subtelniejszy, to najprościej wyrażona jego główna teza. Nie mówi ona, że liberalizm musi zakończyć się faszyzmem, tylko że system liberalny i demokratyczny może przestać realizować potrzeby społeczne, co otwiera możliwość scenariusza faszystowskiej konsolidacji.

To co opisywał Ellul w kontekście lat 30. dziś powtarza się we Francji. Jedna z pierwszych decyzji Macrona w roli prezydenta było zniesienie podatku dla najbogatszych. Część oligarchii gospodarczej, której uosobieniem jest Vincent Bolloré jawnie wspiera skrajną prawicę i kontroluje ważną część przestrzeni medialnej dbając o jej przekaz.

Marine Le Pen, być może przyszła prezydentka Francji, coraz częściej kontaktuje się z liderami biznesu, Jordan Bardella, jeden z liderów Zgromadzenia Narodowego, wżenił się w arystokrację, a konserwatywny „Le Figaro" opublikował z nim duży wywiad akurat w przeddzień kolejne fali manifestacji.

Już dziś nominalnie liberalne państwo coraz chętniej sięga po przemoc prawną i fizyczną, by tłumić protesty, zamiast podejmować społeczny dialog. Przekonali się o tym w 2023 roku uczestnicy wielkiego ruchu

eprasa.pl f179aa1425



• **Młodzi Hiszpanie domagają się od rządu zmiany prawa mieszkaniowego. Plac Puerta del Sol w Madrycie, 12 października 2026 roku** FOT. ALEJANDRO MARTINEZ VELEZ

strofę klimatyczną, zastosowano ustawę antyterrorystyczną. W Wielkiej Brytanii zakazuje się protestów antyizraelskich, uczestnicy protestów ekologicznych blokujący drogi dostają wieloletnie wyroki więzienia, a w Polsce rząd wpadł na pomysł karania za niesienie pomocy uchodźcom. Na szczęście ktoś poszedł po rozum do głowy i z noweli się wycofano.

Nie chce mi się wierzyć, że politycy po cichu dogadują się z przedsiębiorcami, z którymi na końcu wprowadzą faszyzm. Za dzisiejsze kryzysy może odpowiada atmosfera końca XX wieku i ślepa wiara w wolny rynek.

Fantazje o tym, że państwa będą budowały autostrady, linie kolejowe, centra danych, a obywatele z domu będą zamawiać ciągle nowe ubrania i elektronikę, są nierealizowalne w dłużej perspektywie

– Jasne, masz rację. Nie powielam teorii spiskowych o rzekomej umowie władzy z wielkim kapitałem, tylko opowiadam o pewnych tendencjach, jakie widzimy w wielu państwach. Zgadzam się, że mamy do czynienia z kulturą intelektualną związaną z paradygmatem neoliberalnym, choć we Francji próbowano w latach 80. XX wieku wprowadzić coś na kształt prawdziwego socjalizmu.

Prezydent François Mitterand z komunistami przeprowadził wiele socjalnych reform: skrócenie czasu pracy, obniżenie wieku emerytalnego, wzrost płacy minimalnej, nacjonalizacja banków i przemysłu, podatek dla najbogatszych. Część z nich już w 1983 roku zablokowały rynki kapitałowe. Nastąpił zwrot neoliberalny, choć mniej spektakularny niż w Polsce po 1989 roku.

Na obecny kryzys w Paryżu nałożyły się też procesy globalizacyjne, na których Polska raczej korzysta, a Francja nieustannie traci: nad Sekwaną udział przemysłu w PKB wynosi obecnie 10 proc., nad Wisłą – 20 proc.

W warunkach europejskich jesteśmy krajem przemysłowym, a Francja się zdezindustrializowała i ten proces się pogłębia. Macron próbował go zahamować, stawiając na rozwój firm technologicznych i zrobienie z Francji „startup nation". Efektem jest choćby Mistral działający na polu AI, ale to zbyt mało, żeby zawojować świat i gospodarkę. Spójrzmy szerzej na Francję: próba uruchomienia nowego napędu – czyli inwestycje w sektor technologiczny są siłą rzeczy hamowane przez obciążenia społeczne budżetu państwa – kosztują one 57 proc. PKB.

Francuskie społeczeństwo jest przyzwyczajone do pewnej jakości życia, którą coraz trudniej utrzymać. Takie impulsy, jak wzrost cen paliwa wysadzają budżety państwa i te domowe. W 2018 roku, kiedy na ulice wyszły „żółte kamizelki", takimi impulsami był podatek klimatyczny i ograniczenia prędkości. Wydawało się, że niewielkie podniesienie akcyzy na paliwo nie wywoła większego sprzeciwu. Lecz dla mieszkańców prowincji decyzja rządu przelała czarę goryczy. Przez 40 lat w małych miejscowościach zamykano urzędy pocztowe, szkoły czy szpitale, więc ich mieszkańcy muszą dojeżdżać do większych miast, żeby załatwić wiele swoich spraw czy po prostu wyjść do restauracji. Podniesienie podatku na paliwo uderzało więc głównie w ludzi, których stracili dostępu do wielu usług publicznych i rozrywki. W latach 60. działało we Francji 200 tys. lokali typu bistro lub bar, do 2023 r. liczba ta spadła do 35 tys.

Ograniczenie prędkości na drogach lokalnych zostało podobnie odczytane: Paryż zabrał nam nie tylko urzędy, teraz rzuca się na nasz czas! Bo przecież w stolicy, która jest miastem 15-minutowym, działa dobra komunikacja publiczna i wszystkie najważniejsze sprawy można załatwić w trakcie jednego spacerku, mało kto zdaje sobie sprawę, że te same czynności na prowincji pożerają kilka godzin.

Osiem lat temu Macron przeprowadził wielotygodniowe konsultacje społeczne, odwołując się do tradycji Cahiers des doléances (zeszyty skarg), zapoczątkowanej przez Ludwika XVI. Wzięło w nich udział 10 tys. gmin, powstało setki tysięcy stron postulatów, przetworzonych już wtedy przez sztuczną inteligencję.



FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Edwin Bendyk

• jest szefem Fundacji Batorego i wieloletnim publicystą tygodnika „Polityka". Autor kilku książek, badacz ruchów społecznych. Twórca Ośrodka Badań nad Przyszłością Collegium Civitas.

I co się z nimi stało?

– Niemal nic. Nie wprowadzono akcyzy na paliwo, ale cała reszta problemów nie została rozwiązana. Osiem lat temu zobaczyliśmy więc pęknięcie na linii Paryż – reszta kraju.

Organizowano panele klimatyczne, eksperci, merowie i obywatele zastanawiali się wspólnie, w jaki sposób przestawić francuską gospodarkę na zielone tory w sytuacji rosnących kosztów życia. Fantazjowano o samowystarczalności energetycznej, bioregionach.

Potem przyszła pandemia, która zrujnowała budżet państwa. Wybuch wojny w Ukrainie i odcięcie od tanich, rosyjskich surowców to kolejny wstrząs, do tego wymagający zwiększenia nakładów na zbrojenia.

Dzisiaj widzimy więc podobny proces: uczniowie, którzy rozpoczęli protesty, mówią o zwykłych sprawach takich jak temperatura w salach lekcyjnych, wytępienie karaluchów w szkołach, więcej miejsc na uczelniach.

Rząd zamiast spotkać się z przedstawicielami demonstrujących, po wielu dniach zakomunikował swoje decyzje poprzez edukacyjnych celebrytów i influencerów. I zamiast obiecanych 10 mld euro na remonty szkół, znajduje o połowę mniej, a dodatkowe etaty dla nauczycieli nie przekreślą faktu, że w czasach dwóch kadencji Macrona liczba uczniów wzrosła, a nauczycieli zmalała o 7 tys.

Widać też wyraźnie, że styl rządzenia francuskiego prezydenta jest coraz bardziej autorytarny, podejmuje jednoosobowo większość decyzji, komunikuje się za pomocą rolek na portalach społecznościowych. Dialog społeczny niemal zamarł.

Prezydent powiedział, że „Francja czuje gniew i wstyd".

– Czym udowodnił, że nie odrobił lekcji z protestów „żółtych kamizelek" lub raczej jest wyrazicielem obozu „porządku", który przekonuje, że młodym się w głowach poprzewracało, są zmanipulowani przez skrajną lewicę Melenchona, ulegają wpływom rosyjskim.

Bardella w rasistowskim stylu dodaje, że najbardziej rozrabiają dzieci z korzeniami imigranckimi, bo obca im jest jeszcze francuska kultura. Do tego obozu należy wspomniany „Le Figaro" ciągle publikujący moralizujące teksty o zepsuciu młodzieży. Ale jest też drugi nurt, reprezentowany przez lewicowe „Libéra-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34460186

WE WTOREK

wyborcza

na Święto Niepodległości

Oraz dodatki specjalne:

• Raport o bezpieczeństwie • Kolej na kolej



1 RP

eprasa.pl f179aa1425

tion" lub „Le Nouvel Obs" zwracające uwagę, że protesty są w słusznych sprawach, ponadto towarzyszy im republikański duch zaangażowania politycznego, z czego trzeba się cieszyć.

To skomplikujemy ten obraz jeszcze bardziej: Francja może pochwalić się hojnym systemem emerytalnym, a więc państwo wydaje więcej pieniędzy na programy socjalne niż na potrzeby młodego pokolenia.
– A wiek emerytalny jest nadal niski, próba jego podniesienia wywołała potężne zamieszki po ostatnich wyborach parlamentarnych. Ludzie co rusz wychodzą na ulice, bo mają poczucie, że model zmiany jest niesprawiedliwie skonstruowany: nie chodzi o to, że Francuzom nie chce się pracować. Im chodzi m.in. o niskie podatki, które płacą najbogatsi. Poziom nierówności nad Sekwaną nie jest wysoki, lecz z roku na rok wyraźnie widać postępującą pauperyzację klasy średniej, zwłaszcza na prowincji.

No ale teraz na ulice wyszło również trzecie pokolenie migrantów. Czyli protest dotyczy czegoś innego?
– To prawda. A obok nich demonstrowali przedstawiciele ‚żółtych kamizelek" i dzieci tych, którzy wychodzili na ulice w 2018 roku. Licealiści widzą, że ich rodzicom nie udało się wygrać z rządem, ich niska pozycja społeczna się reprodukuje, status się z roku na rok pogarsza.

Wspomniałeś o czynnikach psychologicznych. Na czym one polegają?
– Badacz opinii społecznej Jerome Fourquet stwierdził ostatnio, że zmienił się dominujący wzorzec psychologiczny, który nazwał Homo accidentalis. Kilka dekad temu, kiedy nie mogłeś zaspokoić potrzeb konsumpcyjnych nakręconych marketingiem, to byłeś co najwyżej smutny, zniechęcony czy rozczarowany. Dzisiaj jesteś wkurzony. Ta zmiana tłumaczyć ma dewastację sklepów czy podpalanie samochodów w czasie protestów. Choć akurat palenie samochodów to szczególna cecha Francji, liczba pożarów podczas nocy sylwestrowej używana jest jako miernik nastrojów społecznych. Bywa, że dochodzi do półtora tysiąca.

Ciekawi mnie coś jeszcze: wszyscy się obawiamy, że stoimy u progu faszyzmu. Że Marine le Pen, niemiecka AfD, VOX w Hiszpanii czy Reform UK w Anglii zniszczą demokrację liberalną. A czy protesty, które wybuchają w Europie, nie sugerują innej odpowiedzi? A mianowicie takiej, że system dokona socjalnej korekty?
– Trudno to sobie wyobrazić, jakkolwiek to potrzebne. Wystarczy popatrzeć na histerię, jaką wywołała propozycja podatku dla najbogatszych ekonomisty Gabriela Zucmana. Rzucono się na niego jak na bolszewika, choć zaproponował dodatkowe 2 proc. podatku dla gospodarstw domowych z majątkiem przekraczający 100 mln euro.

Obawiam się jednak, że rządy w demokracjach liberalnych będą służyły jedynie konsolidacji władzy i utrzymaniu obecnego modelu ekonomicznego. Nawet jeśli pojawiają się fantazje związane ze sztuczną inteligencją, która zastąpi ludzi w fabrykach i sklepach, a państwa będą wypłacały dochód gwarantowany, to nie uchronimy się przed najważniejszym kryzysem naszych czasów, czyli trwałym kryzysem energetycznym.

Dochodzimy do kluczowego momentu naszej rozmowy: fantazje o tym, że państwa będą budowały autostrady, linie kolejowe, centra danych, a obywatele z domu będą zamawiać ciągle nowe ubrania i elektronikę, są nierealizowalne w dłużej perspektywie.

Państwo ani gospodarka nie będą cały czas ekspansywne, ponieważ kończą się zasoby, które umożliwiają ciągły wzrost. Przy rosnącym deficycie dostępu do nośników energii nie da się utrzymać coraz bardziej skomplikowanej infrastruktury cywilizacyjnej.

Dlatego znaleźliśmy się w momencie cywilizacyjnym: trwa wojna w Ukrainie, w innych częściach świata wybuchają konflikty, młodzi protestują, rosną koszty życia, energia drożeje i zaczyna jej brakować, narastają koszty ekologiczne dotychczasowego modelu rozwoju.

W biedniejszych krajach wszystkie te kryzysy mogą przełożyć się na polityki masowej eksterminacji wynikające z walki o podstawowe zasoby, w tym żywność. Nie zapominaj, że dzisiaj jedzenie to globalny system polegający na transferze kalorii z ropy naftowej na to, co mamy na talerzu.

Jeśli zabraknie paliwa lub stanie się ono niewyobrażalnie drogie, wówczas będziemy świadkami globalnego głodu.

Dotychczasowy system opierał się na tanich paliwach: udział handlu w światowej gospodarce sięga dzisiaj 65 proc. I żeby utrzymać ten model, należy nadal przewozić towary z jednego kraju do drugiego. Przy drogiej benzynie wszystko zaczyna się sypać.

Idźmy dalej: zal0 proc. światowego PKB odpowiada turystyka. Jeśli rządy postanowiłyby opodatkować paliwa lotnicze, na podróże byłoby stać nielicznych. Co mogłoby się przełożyć na wpływy w restauracjach i branży hotelarskiej, a to na bezrobocie i biedę w poprzemysłowej gospodarce opartej na usługach.

Opowiadam o turystyce, bo doskonale pokazuje skomplikowany obraz infrastruktury społecznej i gospodarczej, której nie da się naprawić prostymi metodami. Słuszne postulaty o samoograniczeniu czy opodatkowaniu wielkich firm nie zawsze przynoszą dobre efekty.

Lewica nie ma odpowiedzi na te problemy?
– Ależ ma, co widać we Francji, gdzie znaczna część protestujących popiera Jeana-Luca Melenchona, czyli lidera skrajnej lewicy, który obiecuje anulowanie długu publicznego i większą redystrybucję.

Ukraina jest dzisiaj laboratorium, w którym powstaje społeczeństwo postapokaliptyczne, które w warunkach permanentnego kryzysu szuka możliwości dobrego życia

Ale z czego mamy sfinansować to wszystko, czego chcą młodzi ludzie, czyli nowoczesne szkoły i mieszkania na tani wynajem?
– Nie da się tego sfinansować w dłuższej perspektywie. Można odbierać majątek bogaczom i wydawać go na świadczenia socjalne, lecz problem leży gdzie indziej: wyczerpuje się możliwość kreowania konsumpcji.

Dodajmy do tego kolejny element: 655 mln ludzi na świecie nie ma dostępu do prądu. Jeśli zostaną podłączeni do sieci, a mają do tego prawo, naprawdę się zagotujemy. Wyporność świata na naszą konsumpcję przekłada się mniej więcej na dwa kilowaty mocy, jaka może przypadać na jednego mieszkańca Ziemi.

W USA wartość ta wynosi ponad 20, w Europie ponad 10. Podzielimy się? George Bush powiedział na pierwszym Szczycie Ziemi w Rio w 1992 roku, że amerykański styl życia jest nienegocjowalny. Donald Trump pokazuje, co to znaczy.

Mówiłem już o tym, ale nie zaszkodzi powtórzyć: o ile globalna Północ wybierze formę protestów w imię utrzymaniu swojego stylu życia, o tyle na Południu pojawią się głód i eksterminacja. Choć wojna w Ukrainie pokazuje, że apokalipsa może wydarzyć się bliżej.

To jeszcze inaczej: czy G20 lub G7, czyli nieformalne stowarzyszenie najbogatszych krajów świata nie mogą zadekretować zmian, które na nowo wymyślą system dzielenia się wypracowanym bogactwem?
– Nie po to oddajemy władzę populistom, obiecującym że będzie jak było, żeby teraz proponowali zmiany wbrew tej obietnicy. Trump jasno określił, że nie będzie niczego zmieniał, inni przywódcy nie są zainteresowani reformami.

To Ukraina w jakimś sensie jest dzisiaj laboratorium, w którym powstaje społeczeństwo postapokaliptyczne, które w warunkach permanentnego kryzysu szuka możliwości dobrego życia, zachowania wartości, utrzymania solidarności.

Ukraińcy w gruncie rzeczy są pogodzeni z tym, że wojna może nigdy się nie zakończyć, więc muszą się nauczyć z nią żyć.

I jak to wygląda w praktyce?
– Jewhen Hołowacha, wybitny socjolog, mówi o rutynizacji wojny, by uniknąć jej normalizacji. Normalizacja, to sytuacja, kiedy logika wojny zaczyna dominować w codziennym życiu, kiedy wojną uzasadniamy decyzje dotyczące nie tylko działań zbrojnych ale i życia, np. kultury. Najgorszym wymiarem normalizacji jest uznanie, że o życiu decyduje przemoc, jak na froncie.

Rutynizacja polega na podporządkowaniu wojny życiu. Wiemy, że każdego dnia możemy zginąć, tym bardziej prowadzimy życie, jakie byśmy prowadzili bez wojny: chodzimy do knajp, do teatru, zajmujemy się hobby.

I jednocześnie wplatamy realia wojny w siatkę codziennych zadań: pomoc armii, pomoc słabszym, dostosowanie się do wyłączeń prądu. Na przykład przez tworzenie wspólnot energetycznych w blokach mieszkaniowych. Ale też ciągłe zaangażowanie w sprawy publiczne przez obywatelską kontrolę władzy, nawet w formie protestów ulicznych.

W efekcie mamy społeczeństwo, które mimo trudności utrzymuje więź społeczną i polityczną opartą na idei wolności, solidarności, odpowiedzialności i demokracji. A wojna nie jest – jak mówił Jurko Stecyk, artysta i żołnierz, który zginął na froncie zimą 2022 roku – końcem świata, tylko ciężką, długą pracą.

Podsumujmy najważniejsze wątki: młodzi ludzie protestują, bo nie zgadzają się z tym, jak działa system polityczny i gospodarczy, politycy nie są zainteresowani reformami, a jednocześnie naszym największym wyzwaniem jest wyczerpywanie się zasobów naturalnych. To jakie są alternatywy?
– Wspomniana książka „Entropy Economy" to wielki powrót do myśli ekonomii biofizycznej i ekologicznej zapoczątkowanej w latach 70. XX wieku. W Polsce wiele zrobił dla jej popularyzacji Jerzy Hausner. Oczywiście, ekonomiczny główny nurt ciągle tkwi w myśli neoklasycznej.

Nie brakuje propozycji, zarówno spod szyldu zielonego konserwatyzmu, jak i eko-socjalizmu. Najważniejsze jest jednak, czy jesteśmy gotowi uznać, że zasada sprawiedliwości, a więc prawo do godnego życia, dotyczy wszystkich ludzi na Ziemi.

Inaczej dojdzie do katastrofy. Niestety, badania nad scenariuszami możliwego ludobójstwa i masowej eksterminacji wynikające z konieczności walki o zasoby także się dynamicznie rozwijają. Pokazują, że alternatywą jest powrót do koncepcji lebensraumu, poszerzanie przestrzeni życiowej, czyli realizowanie polityki Hitlera. Podobną strategię realizuje dzisiaj Putin w Ukrainie.

Z drugiej strony nie doceniamy, jak szybko może dojść do potrzebnych zmian. Na początku XX wieku niewielu przypuszczało, że można w państwach narodowych wprowadzić podatek dochodowy.

Wydaje się, że przemiany strukturalne, czyli załamanie łańcuchów dostaw, globalny kryzys paliwowy wywoła zmianę kulturową w definiowaniu tego, czym jest dobre życie.

I być może podróże pociągiem po kontynencie czy własnym kraju będą bardziej atrakcyjne niż lot na drugi koniec świata, a rozwój nieprzemysłowych choć nowoczesnych form rolnictwa zapewni żywność, ale też przyczyni się do zmniejszenia bezrobocia.

Weźmy jeszcze dwa przykłady: młodzi ludzie protestujący w Nepalu wybrali nowego premiera, do zmiany władzy na podobnej zasadzie doszło w Serbii. Czyli jednak gdzieś te procesy niezadowolenia przyjmują inną dynamikę. Dlaczego?
– Polityka to najbardziej nieprzewidywalna sfera życia. Więc możliwe są i takie przypadki. Pytanie jednak, czy partia studentów w Serbii rzeczywiście będzie rządzić realizując swój program, czy da się ograć przez establishment polityczny i biznesowy? Trzeba mieć świadomość, że przestrzeń do realizacji ambitnych polityk jest strukturalnie ograniczona. Wspominaliśmy Mitteranda z 1981 roku.

No dobrze, a dlaczego w Polsce młodzi nie protestują? Dostęp do mieszkań jest utrudniony, politycy mają po 70 lat, a bezrobocie wśród najmłodszych sięga 11 proc.
– Mieliśmy przecież masowe demonstracje w 2020 roku, kiedy Trybunał Konstytucyjny zaostrzył prawo aborcyjne. Na ulice wyszło 4 mln osób, a energia polityczna trzy lata później dała władzę liberałom i lewicy.

Choć niczego nie możemy być pewni: w 2011 roku nikt nie przewidział strajków przeciwko ACTA, czyli unijnej dyrektywie kontrolującej internet. W 2019 roku nic nie zapowiadało protestów aborcyjnych, ani tego że młodzieżowy ruch klimatyczny zaistnieje w ok 100 miastach. W badaniach wychodziło, że ludzie są apatyczni. A w 2021 roku nikt nie przypuszczał, że w lutym 2022 masowo, oddolnie i bezinteresownie pomożemy Ukraińcom uciekającym przed wojną.

Co czeka Francję?
– W 1789 roku rewolucja przyczyniła się do wymiany elit w sposób radykalny. Między innymi dlatego dzisiaj z taką uwagą obserwujemy Paryż, który kolejny raz staje się laboratorium procesów politycznych. Specyfiką Francji jest nie tylko konflikt, jako zasada wpisana w życie polityczne i wynikająca stąd pokusa radykalizmu. Obserwatorzy z zewnątrz mogą mieć wrażenie, że kraj jest nieustannie na granicy wojny domowej. Nie dochodzi do niej, bo konflikt rozgrywa się w ramach republiki, szacunek dla której jest rodzajem obywatelskiej religii przyjmowanej także przez obywateli o korzeniach imigracyjnych.

Francuzi w ramach republiki szukają nie tyle zgody, co mechanizmów współistnienia i artykulacji sprzecznych interesów oraz poszerzania kategorii obywatelstwa. Temu służą takie gesty, jak pochówek w Panteonie Missaka i Mélinée Manouchianów, imigrantów z Armenii, członków komunistycznego ruchu oporu zgładzonych przez nazistów. Czy Aya Nakamura pochodząca z Mali, śpiewająca z orkiestrą Gwardii republikańskiej na otwarciu olimpiady.

13 lipca wszystkie remizy we Francji organizują pikniki, na których bawią się wszyscy mieszkańcy. Póki trwa republika, nie ma wojny domowej.

Czy to, co dzisiaj dzieje się we Francji, Hiszpanii czy we Włoszech czeka za 10 lat Polskę?
– Nie sposób przewidzieć. Poza tym, że musimy nauczyć się jak najszybciej żyć z wielkim przejściem demograficznym, które generuje dokładnie takie same problemy, jak dziś w innych państwach Europy.

Jeśli tak samo zignorujemy potrzeby młodych, mogą – choć nie muszą – upomnieć się o swoje przez radykalizację. Częściowo już to się dzieje w formie nieproporcjonalnie dużego poparcia wśród młodych dla Konfederacji.

I trzeba pamiętać, że szybko docieramy do granicy dotychczasowego modelu rozwoju. Renta demograficzna zamieniała się w dług, innowacyjności nie uruchomiliśmy, a mityczny silnik polskiej gospodarki – przedsiębiorczość – zatarł się już przed dekadą.

A niebawem trzeba będzie płacić rachunki za wzrost nakładów na bezpieczeństwo, wybudowaną infrastrukturę i rosnące koszty utrzymania starzejącego się szybko społeczeństwa. ●

eprasa.pl f179aa1425

KULTURA OBYCZAJE



Gdyby mi ktoś pisał o miłości tak, jak Jacek pisał do Gajki, to bym mu chyba nie uwierzyła. Ja bym wolała, żeby nie pisał, tylko przyjechał i mnie uratował.

Z AKTORKĄ **MAGDALENĄ POPŁAWSKĄ** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Zimny chów cieląt

• **Magdalena Popławska pozuje jak Gajka Kuroń na zdjęciu zrobionym w Kuklach latem 1979 r.** FOT. DANIEL JAROSZEK/NEXT FILM, JERZY BRUKWICKI/ZBIORY OŚRODKA KARTA (Z ARCHIWUM RODZINNEGO JACKA KURONIA)

eprasa.pl f179aa1425

W filmie „Nasza rewolucja", w którym grasz Gajkę Kuroń, wypowiadasz zdanie, które wydaje mi się patetyczne i nieadekwatne do sytuacji.
– Kiedy i jakie?

Kiedy gubicie esbeckie ogony, udając nieznajomych, przesiadacie się z tramwaju w autobus, docieracie do domku w lesie, a filmowy Jacek wyważa zamek w drzwiach, by oddać się z żoną namiętności. Rankiem spogląda na drzwi i powiada, że może uda się je naprawić od samego patrzenia. A wtedy Gajka, ledwie przebudzona, mówi, że szkoda, że tak nie można z Polską.
– Górnolotne słowa są zawsze trudne, ale niektórzy potrafią się nimi posługiwać.

Taki patos po czułej nocy?
– Wyobrażam sobie, że to mogło być możliwe. Przecież ich życie kręciło się wokół walki o idee, w które oboje wierzyli. Może ta ucieczka przed szpiegującymi ich ubekami dodaje smaku fabularnej opowieści o ich miłości, ale w realnym życiu musiała być stresująca.

Wyjeżdżali, by pobyć ze sobą, bo przez ich mieszkanie przewijał się tłum ludzi. Nie mieli szans na prywatność.
– Ich codzienność była podporządkowana walce o Polskę. Słyszę, że brzmi to patetycznie, ale nie wiem, jak inaczej to powiedzieć. Gajce dochodziła jeszcze walka o byt. Praca w poradni psychologicznej, gotowanie, dbanie o dom, o syna Maćka i swojego młodszego o 17 lat brata, który przez lata mieszkał z Maćkiem w jednym pokoju.

Zastanawiałaś się, czy ona używała wielkich słów?
– Nie wiem. Jest bardzo mało materiałów, z których mogłam się czegoś o niej dowiedzieć. Znałam Jacka Kuronia, ale powierzchownie. Wiedziałam, kim był, pamiętałam jego dżinsową koszulę, whisky w termosie i zupy, które nalewał z wielkiego kotła na mieście. O istnieniu Gajki nie miałam pojęcia.

Rozmawiałam z jej bliskimi, przeczytałam „Jacka" Anny Bikont i Heleny Łuczywo oraz „Autobiografię" Kuronia wydaną przez Krytykę Polityczną. Widziałam nagranie, na którym wypowiada się w sposób stanowczy i zdecydowany, oglądałam jej zdjęcia i czytałam listy, jakie pisali do siebie, kiedy Jacek siedział w więzieniu. Przygotowanie się do tej roli na podstawie źródeł historycznych było moim najszybszym przygotowaniem się do zagrania realnej, żyjącej postaci.

Nie jestem specjalistką od Gajki tylko dlatego, że ją zagrałam. Opowiadanie o niej w „Gazecie Wyborczej", w gronie ludzi, którzy ją znali, jest dla mnie jakieś zawstydzające.

Aż tak?
– Przecież mogę mówić tylko o swoich przeczuciach dotyczących jej osoby, a one nie są obiektywne. Słuchałam wspomnień o niej, które były podobne, co w pewnym momencie stało się niemalże nie do zniesienia. Wszyscy powtarzali to samo: wspaniała, mądra, kochana, piękna. Nikt nie powiedział o niej złego słowa.

Kiedy przygotowywałam się do roli Agnieszki Osieckiej, to każdy mówił coś innego, co jest zrozumiałe, bo w różnych konstelacjach jesteśmy inni, nie traktujemy wszystkich tak samo, mamy różne dni i różne etapy w życiu. Ale wspomnienia o Gajce są spójne.

Mogłybyśmy porozmawiać o wyjątkowych kobietach żyjących w cieniu swoich mężów, bo to jest obszerny temat, ale nie jestem pewna, czy to jest ten przypadek. Nie wiem, czy miała aspiracje do bycia liderką, ale bez Gajki Jacek nie byłby tym Jackiem, którego zapamiętaliśmy.

Pisał do niej z więzienia, że to jej zawdzięcza wszystko, co jest w nim wartościowe. Motywowała go, zwracała mu uwagę, że „w pogoni za syntezą gubi zawiłości ludzkich wnętrz", a w końcu kategorycznie wybiła mu z głowy



FOT. ANNA WŁOCH/NEXT FILM-JAKUBIK

• **Magdalena Popławska w roli Gajki Kuroń w filmie „Nasza rewolucja". Scena przed Stocznią Gdańską** FOT. REUTERS/EVAN VUCCI

Znałam Jacka Kuronia, ale powierzchownie. O istnieniu Gajki nie miałam pojęcia

zgodę na przyjęcie od generała Kiszczaka paszportu w jedną stronę i wyjazdy za granicę na jej leczenie. Była odważnym, dzielnym i prawym człowiekiem.

Co czułaś, czytając ich listy pełne intymnych, miłosnych wyznań?
– To nie jest mój rewir emocjonalny. Jestem bardzo powściągliwą osobą, nie umiem mówić o miłości. W moim domu panował – jak to mama mówiła – „zimny chów cieląt", czego się teraz raczej wstydzi.

Gajka miała wspierających rodziców. Jej ojciec powtarzał swoim wszystkim córkom, że są najmądrzejsze i najpiękniejsze. I prawdopodobnie to z rodzinnego domu brała się Gajki pewność siebie.
– Na pewno nieobecność ojca, czy w ogóle rodzica, ogranicza rozwój emocjonalny dziecka, ale nie wiem, jak to było z Gajką.

Wsparcie ojca dla córki jest bardzo istotne, wiem, bo ja go nie miałam, przez co mam bardzo duże braki w poczuciu własnej wartości.

Jeśli się go nie wyniesie z domu, to potem dużo czasu zajmuje nabranie pewności siebie. Bardzo dużo czasu. Nawet bym powiedziała, że całe życie. Nie wstydzę się już mówić o tym, że mój ojciec był alkoholikiem i chorował na depresję.

Bałaś się go?
– Raczej bałam się o niego. Żeby sobie nie zrobił krzywdy, kiedy zdarzało mu się wychodzić przez balkon z domu, a mieszkaliśmy na drugim piętrze. Albo że spowoduje wypadek samochodowy, bo zdarzało mu się prowadzić po alkoholu.

Bałam się też później, kiedy został sam i przeprowadził się do swojej matki do Horodła. Kiedyś nie mówiło się, że alkoholizm albo depresja są chorobą. Alkoholizm był traktowany jako wybór, co oznaczało, że jeśli ktoś chce, to może rzucić picie, a człowiek w depresji miał się wziąć w garść. Tato nie potrafił się wziąć w garść. Tęsknię za tymi czasami, kiedy był wspaniałym ojcem.

Nawet teraz, kiedy opowiadam o jego chorobie, chce mi się płakać, bo wyobrażam sobie, jak bardzo musiał cierpieć. Długo miałam te emocje wycięte, bo były zalane złością. Musiałam być dorosła jako dziecko, skoro ojciec nie był dorosły. Klasyczne DDA.

Dziś wiem, że był cudownym, bardzo wrażliwym człowiekiem. Nie pasowali z mamą do siebie, ale wtedy nie mówiło się również o tym, jak ważna w relacji jest rozmowa o uczuciach i komunikowanie swoich potrzeb. Kto, jaki był, taki był, nie chodziło się na terapię par.

Dziś nawet najlepsze pary wiedzą, że kiedy dopada je kryzys, muszą poprawić komunikację. Kryzys nie oznacza, że się kończy miłość. Nasi rodzice nie rozmawiali. Każdy żył trochę oddzielnie.

Masz starszą siostrę.
– Między mną a Olą są cztery lata różnicy, dziś to niewiele, ale wtedy bardzo dużo. Dojrzewałam dużo wolniej od siostry, dzieliła nas przepaść intelektualna, emocjonalna, fizyczna. Miałyśmy wspólny, mały pokój i kiedy Olka zaczęła zapraszać chłopaków, nie rozumiałam, dlaczego muszę z niego wychodzić.

30944583

Moja siostra też miała przekichane, bo od początku w tej dziwnej konstelacji rodzinnej musiała być za mnie odpowiedzialna.

W jednej z waszych wspólnych rozmów powiedziałyście, że uczycie się mówić sobie, że się kochacie.
– Tak, to dość trudne i czasem nie umiem jej odpowiedzieć, kiedy przysyła mi SMS-a, że mnie kocha. Ale ona to dobrze wie.

Odpisujesz: „nie umiem?".
– Hm. Ona rozumie, o co chodzi.

Wiesz, dlaczego tak jest?
– Nie jestem wylewną osobą. Nie wierzę słowom. Mój ojciec wielokrotnie przepraszał.

Gdyby mi ktoś pisał o miłości tak, jak Jacek pisał do Gajki, to bym mu chyba nie uwierzyła. Ja bym wolała, żeby nie pisał, tylko przyjechał i mnie uratował.

Słowa można podważyć. Można mówić jedno, a robić drugie. Czyny są jednoznaczne.
– Chociaż wiem, że słowa mają ogromną moc, i uczę się używać tych właściwych w życiu. Wielokrotnie powtarzam mojej córce, że ją kocham. To nie jest tak, że ja nie byłam kochana, ale w domu nie mówiło się o miłości.

To jak radziłyście sobie z brakiem czułości?
– Miałyśmy psy.

Śmiejesz się, ale one rzeczywiście w okazywaniu miłości są niezastąpione.
– Nie jest tak, że mama nas nie przytulała, ale emocjonalne wyznania jej też nie przychodziły łatwo.

Byłyśmy wychowywane w czasach, kiedy przemoc była powszechna.
– Kabel od żelazka czy pas? To były dosyć częste narzędzia wychowawcze. Wtedy to było oczywiste. Dziś nie umiem sobie tego wyobrazić, żeby uderzyć dziecko. To jest dla mnie abstrakcja.

Moi rodzice też pochodzili z bardzo trudnych domów, w których nie było czułości. Świat się zmienił, rozwinęły się psychologia i psychiatria. Wiemy, jakie są konsekwencje powielania jakichś schematów rodzinnych.

I pewnie przez ten brak autorytetów fascynuje mnie w Kuroniu rys pedagogiczny jego działalności i zaangażowanie w wychowywanie młodych ludzi.

Wydaje mi się, że autorytety stawiają granice, a dorastające dzieci ich potrzebują.
– Ale autorytety z bliska bywają bardzo rozczarowujące. Prawdopodobnie takie podejście uchroniło mnie przed wieloma przykrymi sytuacjami związanymi ze zgodą na przekraczanie granic, „bo to przecież autorytet jest" albo „bo wszyscy tak robią".

Uniknęłaś molestowania przez księdza? Pytam, bo nazwałaś go „obrzydliwym człowiekiem".
– Bo był bardzo brutalny. Miał okrutne metody wychowawcze, wykręcał nam nosy. Przychodził też do naszego domu, palił papierosy i pił alkohol. Jeśli na dzieciństwo przypada moment, że mogłam uwierzyć w Kościół, to był on bardzo rozczarowujący. Nie miał nic wspólnego z tym, o czym się w nim opowiada – to jest dla mnie kwintesencja mówienia i nierobienia.

Mama autorytetem nie była?
– Była, bardzo długo, dopóki nie zaczęłam dostrzegać, że jako współuzależniona tkwiła w tej chorej konstelacji, a my nie byłyśmy wystarczająco zaopiekowane emocjonalnie. Ale jako fanatyczka teatru i niedoszła aktorka zaraziła nas tą swoją miłością.

Przygotowywała nas z siostrą na konkursy recytatorskie, które zwykle wygrywałyśmy, ale o tym już często w wywiadach opowiadałam. Mama też była wspaniałym pedagogiem i wychowała parę pokoleń ludzi, którzy mają z nią do tej pory kontakt i wiele jej zawdzięczają, jak mówią.

Czytałam też, że skończyłaś szkołę ekonomiczną, a nie umiesz odróżnić netto od brutto, i o tym, że obie z siostrą macie ADHD.
– Mama też została zdiagnozowana. Diagnoza przyniosła nam wszystkim ulgę, bo pomaga zrozumieć własne zachowanie i nie brać wszystkiego do siebie.

Czy tymi konkursami spełniałyście jej własne marzenia?
– Tak, ale myśmy je lubiły. W poezji, w prozie czy w poezji śpiewanej można było nadrobić braki emocjonalne w domu. Zastanawiałam się, czy nie jestem aktorką za mamę, bo bardzo długo uprawiałam ten zawód, nie lubiąc siebie w nim.

Myślałam wtedy, że może jest tak dlatego, że aktorstwo zostało mi narzucone, ale teraz wiem, że to jest wspaniały zawód, który jest moją terapią i spełnieniem zarazem.

Dlaczego jest wspaniały?
– Uwielbiam świat wewnętrzny i emocjonalny, jest dla mnie ciekawszy niż to, co pokazujemy na zewnątrz. Możliwe, że tak uważam dlatego, że jedyną pamięcią, jaką mam, jest pa-

eprasa.pl f179aa1425

mięć emocjonalna. Nie zapamiętuję fabuł filmów i książek, tytułów, autorów ani nazwisk twórców. Ja zapamiętuję wrażenia. To jest moja przestrzeń, z której w dodatku mogę korzystać w zawodzie.

Pogrążanie się w historiach i emocjach, które w realnym życiu nie byłyby mi dane, jest wspaniałe. Nie jest możliwe przeżycie tylu żyć, ile się przeżywa, będąc aktorką.

To z jakiego powodu wstydziłaś się, że nią jesteś?
– Krępowało mnie, jak ludzie reagują, dowiedziawszy się, czym się zawodowo zajmuję. Im się wydaje, że bycie aktorką jest zajęciem niezwykłym i wyjątkowym, a dla mnie było i jest czymś naturalnym.

Możliwe, że innych fascynuje w aktorstwie łatwy dostęp do emocji, ale ja miałam go od dziecka. Przychodzi mi z łatwością i wydawało mi się, że z powodu tej łatwości właśnie nie mogę być traktowana jako osoba, która robi coś wyjątkowego. To, co dla jednych jest bardzo trudne, dla mnie jest bardzo łatwe, a to, co dla innych jest bardzo łatwe, dla mnie jest bardzo trudne.

I żadnych kosztów?
– Oczywiście, że są koszty. Jednym z nich jest samotność. Przeżywasz emocje prawdziwie, ale one nie budują twojego życia osobistego. Zastanawiam się, czy dlatego, że tak bardzo się im poświęcam zawodowo, nie potrzebuję ich w życiu osobistym.

Nie czujesz, że życie w pojedynkę cię rozwija? Nie jesteś spełniona?
– Jestem i nie mam poczucia, że mnie coś omija. Ale

przez presję, że powinniśmy żyć w parach albo w bliskich relacjach, osoba samotna jest postrzegana jako ta, która coś traci. Może coś tracę, ale jeśli nie wiem co, to nie odczuwam wielkiej tragedii.

A jeśli pytasz o koszty, to skoro moja emocjonalność zawodowa i dostęp do bardzo trudnych emocji biorą się z własnych przeżyć, długo miałam poczucie, że muszę je w sobie pielęgnować przez długi czas. Bo jeśli gdzieś cię chcą, akceptują i jeszcze biją ci brawo, to ci się wydaje, że musisz w sobie te emocje utrzymać.

I rozgrzebujesz w sobie nieustająco swoje najbardziej bolesne tematy, bo z tego czerpiesz, zamiast pójść na terapię i je pozamykać. Wydawało mi się, że jak je pozamykam, to stracę zdolność przeżywania. Teraz wiem, że mam je w pamięci ciała i mogę je odtwarzać, nie muszę za każdym razem robić sobie wiwisekcji.

Chyba nie rozumiem.
– To jest tak jak ze śmiechem. Kiedyś nie umiałam się śmiać zawodowo. Komedia jest dużo trudniejsza niż dramat, tak samo śmianie się jest dużo trudniejsze do zagrania niż rozpacz. Przynajmniej dla mnie. I podjęłam wyzwanie, by sztucznie się śmiać.

Kiedy przez długi czas śmiejesz się sztucznie, to w końcu śmiech staje się naturalny. Ciało zapamiętuje ten mechanizm. Taka terapia śmiechem. I tak naprawdę wiele rzeczy opartych na własnych emocjach można wyćwiczyć, nie potrzeba wchodzić w swoje najciemniejsze zakamarki za każdym razem.

Na tym polega twój warsztat?
– Warsztat polega na tym, że potrafię wejść w rolę i z niej wyjść. Zajmuję się swoim życiem, wchodzę na scenę, jestem w tym, co robię, na sto procent, wychodzę i wracam do swojego życia.

Są aktorzy, którzy po zejściu ze sceny muszą się napić. Inaczej nie potrafią rozładować swoich emocji.
– Każdy ma swoje sposoby i trudności w tym zawodzie. Ja mam dużo obowiązków, które mnie uziemiają, i nie mogę sobie pozwolić, żeby ciągnąć za sobą swoje postaci. Poza sceną nie przeżywam ich żyć. Bez kostiumu, bez antrażu ich emocje we mnie nie istnieją. Musi kliknąć wszystko naraz, żeby się pojawiły.

Dużo pracujesz, prawda?
– Teraz tak, ale w naszym zawodzie albo się dużo pracuje, albo się nie pracuje. Mieszkając w Warszawie, chcąc dla dziecka bardzo dobrej edukacji, trzeba pracować, jeśli się nie wyniosło majątku z domu. Ja lubię pracować. W pracy też ładuję swoje baterie. Krążę teraz między Helem, gdzie kręcimy drugą część „Schedy", a Warszawą, gdzie gram w Teatrze Nowym.

Usłyszałaś kiedykolwiek od dziecka, że praca jest ważniejsza od niego?
– Słyszę to czasami. Były już momenty, że rzeczywiście chciałam odchodzić z teatru. Bo tam się spędza wieczory, a wieczory w domu są ważne.

Przecież kochasz teatr.
– Ale bardziej kocham córkę. Byłoby mi ciężko, bo ten teatr jest mi potrzebny, mimo że zdarza mi się na niego narzekać. Każda pracująca mama zmaga się z takimi zarzutami, każdy pracujący rodzic. Ale moja córka ma już 11 lat i czasami, kiedy ja mam wolny wieczór, to ona nie ma dla mnie czasu, bo spędza go z koleżankami. Więc nie daję się już wkręcać w poczucie winy.

Ale miałam je, bo bardzo szybko po porodzie wróciłam do pracy. Bardzo pomogła mi wtedy mama, która przeprowadziła się do Warszawy.

Zrezygnowałam z wielu rzeczy. Moje życie obecnie ogranicza się do pracy i do domu. Nie prowadzę bujnego życia towarzyskiego, mało chodzę do teatru, do kina, odpuściłam sobie tę część życia na parę lat. Ale nie żałuję, wiem, że za chwilę nie będę potrzebna w domu, więc się wtedy odkuję.

Przeczytałam, że wolisz zostać zapamiętana nie z ról, które zagrałaś, ale z tego, ile psów uratowałaś.
– Dalej to podtrzymuję.

Wspierasz schroniska?
– Wszystkie moje psy były i są z łapanek, czyli ze schroniska, albo z interwencji. Mam teraz trzy, pożegnałam sześć w przeciągu ostatnich 15 lat.

Zabierałam do domu stare psy, żeby sobie dożyły kochane, w domu. Mój typ to właśnie stare, bo mają w sobie mnóstwo spokoju. Dla tych psów przestawiłam swoje życie.

Kupiłam domek z ogrodem, żeby w nocy, w razie awarii, które u starych psów zdarzają się częściej, nie biegać po piętrach bloku.

Twoja córka jest tak jak ty wegetarianką.
– Jestem aspirującą weganką, ale jeszcze jestem w procesie, to znaczy: zdarzają mi się odstępstwa. Mięsa nie jem 25 lat.

Jak w każdym domu, dziecko wychowuje się w wartościach, w które wierzą ich rodzice. Córka ma dowolność poza domem, ale w domu nie jemy mięsa. Powiedziałam, że zwierzęta, które hoduje się przemysłowo, skazuje na cierpienie i zabija, są takimi samymi zwierzętami jak nasze psy i dlatego nie będziemy ich zjadać.

Od dziecka wiedziałam, że jak tylko wyjdę z rodzinnego domu, nie tknę mięsa. Każde wakacje spędzałam u babci w Horodle nad Bugiem, w rodzinnym domu ojca. Kiedy ocieliła się krowa, byłam przy tym emocjonalnym zdarzeniu. Zaprzyjaźniłam się z tym cielakiem. Spędziłam z nim niemalże całe wakacje, a potem zobaczyłam go wiszącego do góry nogami z poderżniętym gardłem.

Płakałam długie lata nad nim i nad innymi zwierzętami. Bardzo z nimi współodczuwam. Płaczę, gdy myślę o cielętach zabieranych po urodzeniu od matek i hodowanych w kojcach na cielęcinę. Są same. Szukając czułości, dotykają się językiem z kolegami z kojca obok, którzy też są w wieku niemowlęcym.

To jest przecież straszne. Tysiące krowich dzieci, które nigdy nawet przez chwilę nie poczują czułości matczynej. Albo trzymanie macior w kojcach porodowych, w których nie mogą się nawet obrócić. I karmią swoje dzieci przez metalowe pręty. Nigdy się z tym nie pogodzę.

Brałaś udział w akcji „Przerybane", która zwracała uwagę na cierpienie karpi w okresie świąt. Mam wrażenie, że mniej ludzi kupuje żywe ryby, poddusza je w reklamówkach w drodze z zakupów do domu, a potem wrzuca do wanny czy miski, by w końcu samemu je zabić.
– Pamiętam, jak ojciec wołał mnie do łazienki na zabijanie karpi. W ramach hartowania mnie, bo na wsi mówiło się: „Co ty taka wrażliwa jesteś?!". Dorastać w świecie, w którym jesteś kompletnie niezrozumiana, było nie do zniesienia.

Miewasz podejrzenia, że ludzie się z tobą przyjaźnią, bo jesteś aktorką wybitną?
– Nie, bo ja się przyjaźnię z garstką ludzi. Od lat. Poza pracą jestem odludkiem. Lubię spokój, ciszę, nie jestem za bardzo towarzyską osobą, tylko domatorką. Jeśli gdzieś jadę dla przyjemności, to do lasu.

Czy ta osobność jest konsekwencją ucieczki od środowiska, które do niedawna było patriarchalne, a milczenie o rozmaitych przekroczeniach ze strony przełożonych wynikało ze strachu przed wystąpieniem przeciwko autorytetom?
– Jestem bardzo wrażliwą osobą, chociaż przez długi czas nie myślałam w ten sposób o sobie. Dorastając zawodowo w świecie, o którym mówisz, bardzo się obudowałam. Maskowałam swoją wrażliwość twardzielstwem i wulgarnością.

To był sposób na odcięcie się od różnych nadużyć, także emocjonalnych, bo wiadomo, jak do niedawna były traktowane w moim zawodzie dziewczyny. Pracując w teatrze, pracując ciałem, trochę mam przesunięte granice, bo to moje narzędzie pracy.

Ale znalazłam swój sposób. Jeśli mnie kolega łapał za piersi, to ja go za dupę.

Nie dałam się zdominować, więc nie byłam przedmiotem takich przekroczeń. Albo raczej nie czułam się ofiarą. Oczywiście przybranie takiego pancerza twardzielki ma swoje konsekwencje. Przez długie lata nie wiedziałam, że przeklinanie i uchodzenie za chłopczycę jest moją samoobroną.

A wielkich słów używasz?
– Patriotyzm, bohaterstwo? To nie mój język.

Krępuje cię?
– „Wiemy o sobie tyle, ile nas sprawdzono". Jestem na co dzień odważną osobą, jeśli przy mnie dzieje się komuś krzywda, to interweniuję, nie jestem obojętna. Ale wielkich słów się boję. Bardzo cenię swoje autonomiczne życie i jeśli w Polsce wydarzy się coś strasznego, to chyba pakuję dziecko i wyjeżdżam.

Za dużo nasłuchałam się historii od moich babć i prababci o zgwałconych kobietach przez wojska, które rzekomo miały nieść wyzwolenie, i przez te, które okupowały ich wioski – a przy wschodniej granicy przemaszerowało ich trochę.

Zrobiłam o tym milion spektakli i za dużo się naczytałam, by nie wiedzieć, że w ekstremalnych warunkach w ludziach ujawniają się ich najgorsze cechy. Nigdy w życiu nie zrobię tego sobie i córce. Dla mnie córka jest najważniejsza i moje małe życie.

Bohaterstwo może mieć też swoją drugą stronę. Widziałaś „(A)pollonię" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego?

Tak. I czytałam książkę Grażyny Plebanek poświęconą jej babci Apolonii Machczyńskiej, która w 1943 roku została zastrzelona przez Niemców za ukrywanie Żydów.
– Bohaterowie są nam potrzebni, ale ich dzieci często też są ofiarami odwagi ich najbliższych. Jak syn Apolonii.

Chciałabym mieć odwagę Gai, ale nie wiem, co zrobiłabym na jej miejscu, dla mnie zawsze najważniejsze będzie bezpieczeństwo mojego dziecka.

Sądzisz, że zawód, który uprawiasz, może zmieniać świat?
– Chciałabym. Może nie cały świat, ale pojedynczych ludzi. Na pewno zadaje dużo pytań, podważa różne teorie i prowokuje do dyskusji. Sama uwielbiam przeżywać katharsis w teatrze, więc życzę tego moim widzom.

Zagrałaś w zaangażowanym filmie Agnieszki Holland „Zielona granica".
– Przypadkiem. Maćkowi Stuhrowi miała partnerować jego żona Katarzyna Błażejewska-Stuhr, ale się rozchorowała, a ja miałam ten dzień wolny. Zaproponowali mnie na zastępstwo. Maciek, podobnie jak moja siostra i kilku innych moich kolegów, jeździli na granicę białoruską i pomagali ludziom, którzy zostali przepchnięci na polską stronę przez białoruskie służby. Ja nie pojechałam.

Dlaczego?
– Chyba się bałam. Bałam się, że nie dam rady. Zrobiłam kiedyś z Agnieszką Łukasik film o uchodźcach w Szwecji.

„Dwa ognie".
– Grałam Białorusinkę polskiego pochodzenia. W ramach przygotowań przebywałam w szwedzkim ośrodku dla uchodźców. To było straszne doświadczenie. Wytrzymałam tylko jedną noc.

Dlaczego?
– Czułam się obrzydliwie uprzywilejowana. Konfrontowałam się z niesprawiedliwością i nie umiałam tego udźwignąć. Nie chodzi o warunki, bo w Szwecji wszystko jest uporządkowane, co w kontekście cierpienia ludzi robiło na mnie tym straszniejsze wrażenie, ale o poziom stresu.

Patrzyłam na matki, których dzieci nie chodzą do szkoły i dorastają w ośrodku, żyjąc w zawieszeniu, bo przecież nie wiadomo, kto i kiedy dostanie obywatelstwo, co zwykle zajmuje lata. I na mężczyzn, którzy z rozpaczą w oczach nerwowo palą papierosy i nie mogą nic zrobić, by poprawić życie swoich rodzin. Czekają.

Dowiedziałam się, jak wygląda życie na Białorusi, gdzie KGB istnieje, ale pod inną nazwą, i gdzie ludzie po prostu znikają. Nie umiałam sobie z tym poradzić.

Czy od tamtej pory unikasz wcieleniówek, czyli przygotowywania się do roli w miejscach, w których żyje twoja bohaterka?
– Tak. Nie chcę dosłownej, reporterskiej konfrontacji z rzeczywistością, bo odbiera mi to wszelkie umiejętności i przytłacza. Czuję się uprzywilejowana i skrępowana, że przychodzę popatrzeć na czyjeś życie.

Próbuję sobie wytłumaczyć, że opowiadając jakąś historię, oddaję ludziom swoje umiejętności i więcej osób może o ich cierpieniu usłyszeć, ale bezsilność, że nic nie mogę realnie zmienić, emocjonalnie mnie wykańcza. Myślę wtedy, że gdybym się urodziła w innych okolicznościach, to może i ja byłabym w takim ośrodku i walczyła o spokój dla moich dzieci. ●

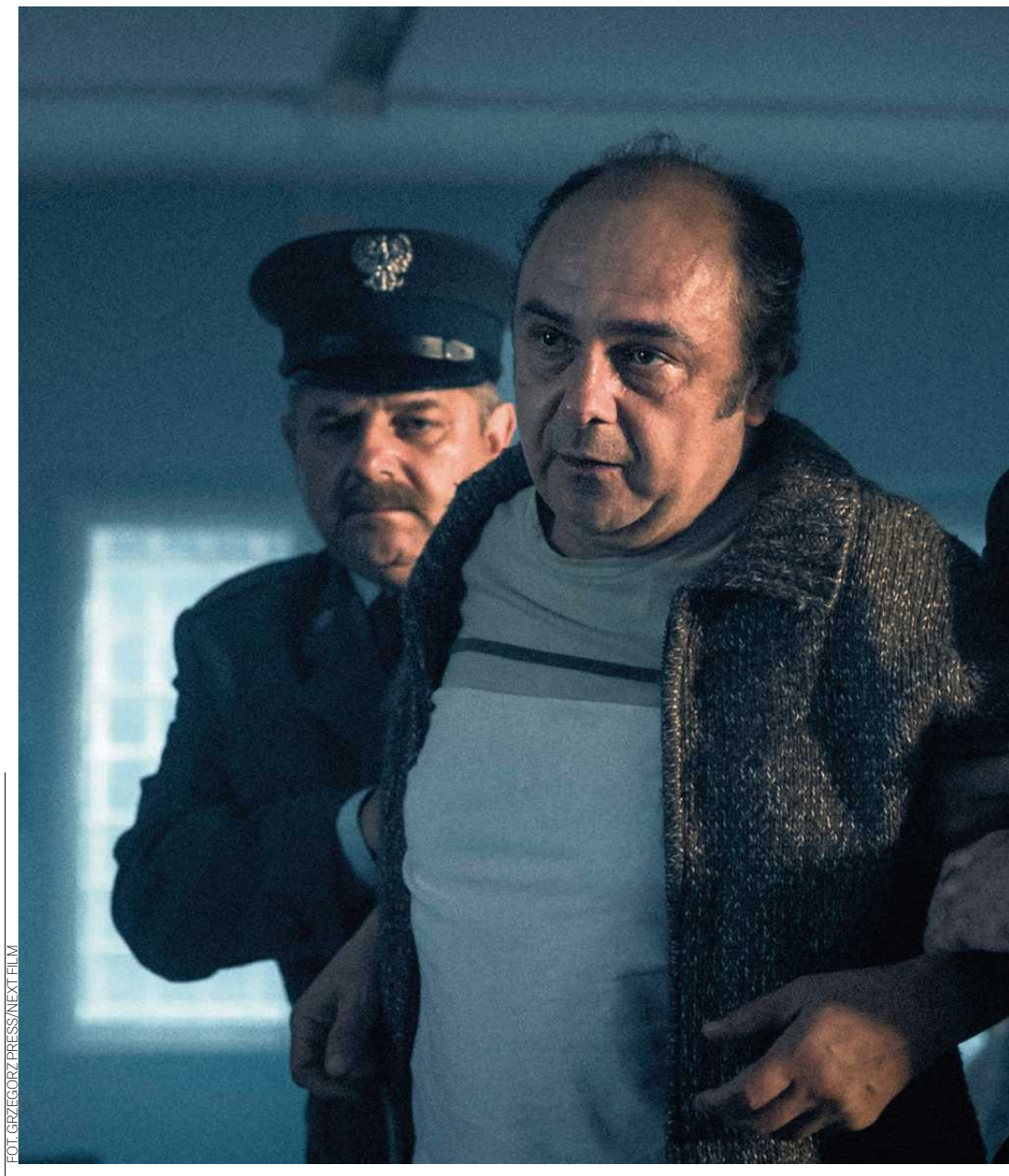
*Magdalena Popławska

• Ur. w 1980 r. w Zabrzu, aktorka teatralna, filmowa i serialowa, młodsza siostra Aleksandry Popławskiej. Popularność przyniosły jej role w serialach „Usta, usta" i „Przepis na życie", grała także Agnieszkę Osiecką w serialu „Osiecka". Rola w filmie „Atak paniki" Pawła Maślony przyniosła jej nagrodę na festiwalu w Gdyni, ma także na koncie Nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. Na co dzień występuje w warszawskim Nowym Teatrze.

eprasa.pl f179aa1425

Cztery i pół tysiąca papierosów

Co dzisiaj robiłby Jacek Kuroń, gdyby żył?
Trzymałby się z daleka od tych wszystkich oszustów, złodziei i manipulatorów. Usiadłby, zapalił fajkę i powiedział: „Pieprzyć to!”.



FOT. GRZEGORZ PRESS/NEXT FILM

Z **ARKADIUSZEM JAKUBIKIEM**
O JEGO ROLI W FILMIE
„NASZA REWOLUCJA”
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

Śpiewasz: „Nie wierzę politykom”. Słowa pożyczone od Tomka Lipińskiego, ale rozumiem, że się pod nimi podpisujesz?
– Musiałem to z siebie wykrzyczeć. Jestem głęboko rozczarowany tym, co dzieje się na scenie politycznej, i to absolutnie z każdej strony. Początkowo myślałem o napisaniu własnego numeru, ale przypomniałem sobie, że tekst, który idealnie oddaje, co czuję, już przecież powstał.

Kiedyś śpiewałem „Nie wierzę politykom” z Organkiem na Męskim Graniu, teraz nagrałem go z Dr. Misio w zupełnie nowej aranżacji. Jeśli brać się do tak kultowego kawałka, to tylko z siekierą. To tak, jakbyśmy wzięli „Satisfaction” Stonesów, zagrali dwa razy wolniej i wyrzucili najsłynniejszy riff w historii rocka. Z duszą na ramieniu wysłałem Tomkowi gotowy cover. Kiedy później zaśpiewaliśmy razem tę wersję na festiwalu w Sopocie, poczułem, że wszystko się dopełniło.

Czym jesteś najbardziej rozczarowany?
– Miałem już dość tego, co robiła z nami tamta władza: że narzucała, co mamy myśleć, jak żyć. Dawno temu wyłączyłem programy polityczne, w gazecie czytam tylko kolumny sportowe i kulturalne, może jeszcze naukę. Oczywiście, nie da się odciąć tak zupełnie. Informacje i tak mi wyskakiwały na telefonie albo pojawiały się w rozmowach. Obawiałem się tego, co przyniosą wybory w 2023 roku, ale pojawiła się nadzieja, że coś się zmieni, a przynajmniej nie będzie gorzej. Trzy lata później jest we mnie rodzaj zawodu. Nie mam złudzeń. Wyborcy są dla polityków tylko planktonem, którym się żywią, po to składają te wszystkie obietnice.

Nie jestem socjologiem, nie jestem politologiem, mówię z perspektywy obywatela, to moje prywatne odczucia. Gospodarka daje sobie radę. Na szczęście żadnej władzy nie udało się jej zepsuć. Polacy są najwyraźniej wystarczająco przedsiębiorczy. Natomiast mnie interesuje to, co się dzieje w moim obszarze, czyli w kulturze. Obserwuję działania Ministerstwa Kultury, kolejne zamieszania wokół Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, o których pisaliście w „Wyborczej”.

To, jak rozdaje się publiczne pieniądze, w jaki sposób wymienia się jednych dyrektorów, a przy innych trwa na przekór wszystkiemu. Pod tym względem niewiele się zmieniło.

Gdzie na dzisiejszej scenie politycznej znalazłby sobie miejsce Jacek Kuroń?
– Wiesz, że zastanawiałem się nad tym, kiedy zaczynaliśmy prace nad „Naszą rewolucją”? Co dzisiaj robiłby Jacek Kuroń, gdyby żył... I doszedłem do wniosku, że trzymałby się z daleka od tych wszystkich oszustów, złodziei i manipulatorów. Usiadłby, zapalił fajkę i powiedział: „Pieprzyć to!”.

Od tego zaczyna się film. Jacek i Grażyna rozmawiają o tym, żeby wreszcie zrobić sobie wolne. Oczywiście okoliczności są wtedy inne, jest koniec lat 70. Wygrywa poczucie obowiązku i odpowiedzialności za wszystkie sprawy, a przede wszystkim za ludzi. Myślisz, że dziś Kuroń nie miałby podobnych wątpliwości?
– Moim zdaniem Jacek rzuciłby politykę. Był człowiekiem z innej gliny. Nie potrafiłby się odnaleźć w świecie ludzi bez wartości, którzy myślą wyłącznie o słupkach poparcia i wypychaniu sobie kieszeni.

Pod pozorem troski o Polskę załatwiają swoje sprawy. Jacek pozostaje dla mnie jednym z niewielu prawdziwych autorytetów. Całe życie poświęcił walce o wolność. Dosłownie. Za swoje przekonania spędził w sumie dziewięć lat za kratkami. Który z polityków dzisiaj byłby w stanie pójść do więzienia, walcząc o swoje zasady?

Przecież znasz odpowiedź.
– Ale niech to wybrzmi: dziś w polityce takich ludzi w ogóle już nie ma.

Może tacy ludzie jak Kuroń są, ale po prostu trzymają się z daleka od polityki?
– Tak czy siak, efekt jest ten sam. Nie ma żadnej rozmowy o ideach. Boleję nad tym strasznie. Wiesz, że mam na swojej lodówce widokówkę z podobizną Władysława Bartoszewskiego i z cytatem: „Warto być przyzwoitym”?

I tak sobie pomyślałem, że jak już się skończy cały ten medialny szum związany z premierą „Naszej rewolucji”, to sobie sprawię podobną z Jackiem Kuroniem.

Myśl też już wybrałeś?
– To akurat proste: „Człowiek jest najważniejszy”. Jacek był tej zasadzie wierny przez całe życie. Był najbardziej lewicowy ze wszystkich lewicowców. Stał po stronie słabszych i pokrzywdzonych. Konsekwentnie angażował się w pomoc tym, którzy sami nie potrafili wywalczyć swoich praw. Chodził na rozprawy, wspierał prześladowanych robotników. Do Kuroniów mógł zapukać czy zadzwonić każdy, kto znalazł się w potrzebie. Nigdy nie odmówili pomocy.

Trochę ci zazdroszczę, bo ja nie mam nikogo, kogo bym sobie powiesił na lodówce. Mówisz o wartościach. Ja wyniosłem z domu takie: uczciwość, odpowiedzialność, rzetelność. Jestem za to wdzięczny rodzicom. Ale chwilami się zastanawiam, czy dzisiaj to jednak nie obciążenie. Uczciwość coraz częściej oznacza frajerstwo, rzetelność przestała mieć znaczenie, bo liczą się pozory i autopromocja.
– Widzę, co próbujesz teraz zrobić. Stawiasz się w pozycji adwokata diabła. Ale nie dam się podejść, bo jestem przekonany, że te same cechy, które dostałeś od swoich rodziców i teraz, w tej rozmowie, próbujesz zanegować, przekazujesz swojej córce.

No bo jak inaczej?
– Rozumiem cię, ja mam tak samo. Moja mama, która wychowywała mnie i mojego brata sama, bo tatuś wyjechał do Ameryki i nas zostawił, przekazała mi coś, co chyba zbiera w całość to, o czym mówisz: że trzeba być po prostu dobrym i pracowitym człowiekiem. I tyle. I to, co dostałem od mamy, przez całe życie starałem się przekazać moim synom.

Jestem ateistą, ale mama była osobą głęboko wierzącą. Też miała na lodówce obrazek ze swoim autorytetem. Obojętnie, z jakim świętym, kluczowy był podpis: „Nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe”. Co dokładnie znaczy to samo, co na mojej widokówce z prof. Bartoszewskim. Każdy ma swoich świętych, swoje autorytety i trzeba je mieć, bo w dzisiejszym świecie bez takiego punktu odniesienia, na kogo masz patrzeć, na influencerów? Bo przecież nie na polityków, to już ustaliliśmy.

Jesteś z rocznika 1969, więc kiedy powstawał KOR, miałeś siedem lat. Szkołę średnią kończyłeś pod koniec lat 80. Jacek Kuroń był już wtedy autorytetem dla nastolatka? Pomyślałbym, że prędzej wymienisz jakiegoś rockmana.
– Miałem w pokoju jeden plakat: ten kultowy, czarno-biały plakat TSA. Marek Piekarczyk to był gość, zresztą cały czas jest. Nigdy nie zapomnę, jak wystąpili w Opolu przed Nazareth, ale publiczność ewidentnie pokazała, kto powinien kogo supportować.

Skąd w takim razie Kuroń? To kwestia domu, twojej mamy?
– Było trochę inaczej. Niech no sobie tylko przypomnę. To musiał być rok 1988. Nie wierzyłem, że dostanę się do szkoły teatralnej. Byłem zakompleksiony, zresztą chyba do końca życia będę pracował nad samooceną. Awaryjnie złożyłem papiery na dziennikarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pamiętam, że przygotowałem trzy wywiady. Każdy miał przedstawić inny punkt widzenia na stan wojenny. Z jednej strony perspektywa mojego historyka, prof. Babicza, zadeklarowanego komunisty. Nie dorobił się niczego, ale przez całe życie szczerze wierzył, że komunizm ma sens.

Natomiast wiedzę o społeczeństwie prowadził u nas w liceum prof. Pałosz – i on z kolei znajdował się po drugiej stronie barykady: wszystkich czerwonych, jak mówił, wieszałby na drzewach.

A trzecia perspektywa?
– To była perspektywa 19-latka z małego miasteczka. Moja perspektywa. Musiałem odpowiedzieć sobie na pytania, które wcześniej zadałem nauczycielom. I to chyba wtedy nastąpiło moje pierwsze świadome spotkanie z Jackiem Kuroniem. Przeczytałem jego tekst „Przed tym, co może się zdarzyć” z podziemnego „Tygodnika Mazowsze”. Stanowisko Kuronia było dla mnie punktem odniesienia. Przesłanie było jasne: „Nie palcie komitetów, zakładajcie własne”. Powtarzał, żeby rozmawiać, że trzeba się doga-

eprasa.pl f179aa1425



• Na zdjęciu: Arkadiusz Jakubik w roli Jacka Kuronia w „Naszej rewolucji"

dać z komunistami. Nie widział innej drogi. Inaczej czołgi, które stały wtedy na granicy w 1981 roku, wkroczyłyby na terytorium Polski. Na szczycie państw Układu Warszawskiego decydowały się losy naszego kraju. Honecker już zacierał ręce. Jednak Kania jakimś cudem przekonał Breżniewa, że PRL-owskie władze będą w stanie opanować sytuację i poradzą sobie z tymi solidaruchami.

Wróciłeś do pism Kuronia przy okazji filmu?
– Dla mnie taką biblią, która była kluczem do poznania i zrozumienia Jacka Kuronia, była jego autobiograficzna „Wina i kara". Mądre i szczere rozliczenie się ze swoim życiem. Na pewno dużo dała mi też biografia „Jacek" Anny Bikont i Heleny Łuczywo. To, czego tam nie znalazłem, zwłaszcza à propos codziennego życia i wydarzeń, które nie nadawały się do oficjalnej publikacji, uzupełniła w rozmowach pani Joanna Liszkiewicz-Kuroń, synowa Jacka, która pomieszkiwała z nim i Gajką na Mickiewicza.

Ale chyba najważniejszą książką, która była dla mnie emocjonalną bazą, są „Listy jak dotyk", czyli zbiór kilkuset listów, które w latach 1965-1982 pisali do siebie Gajka i Jacek, kiedy siedział w więzieniach. Fantastyczny i poruszający zapis ich pięknej miłości.

Czy twoi synowie mieli w ogóle pojęcie, kim jest Kuroń?
– Moi synowie tak, ale Piotr Domalewski, reżyser „Naszej rewolucji", wspominał, jak tłumaczył się studentom ze Szkoły Filmowej w Katowicach, że musi przełożyć zajęcia, bo zaczyna film o Jacku Kuroniu. Na sali przyszły kwiat intelektualny polskiej kultury. Wszyscy wzrok wbity w ziemię. „Jacek Kuroń, kojarzycie chyba?" – dopytuje Piotrek, bo ma wrażenie, że nic im to nazwisko nie mówi. W końcu ktoś nieśmiało podnosi rękę, żeby ratować sytuację i mówi: „Czy to ten kucharz z TVN-u?".

Blisko.
– Prawda? Przynajmniej ta sama rodzina. Więc nie mam złudzeń. Młodzi ludzie nie wiedzą, kto to Jacek Kuroń ani tym bardziej, co to Komitet Obrony Robotników. Może jak pójdą do kina i zobaczą w tym filmie poruszającą opowieść o miłości swoich starych, to z czystej ciekawości sobie potem wygooglują? Chociaż staram się uciekać od myślenia o edukacyjnej roli „Naszej rewolucji".

Pamiętam pierwszą rozmowę z producentem Robertem Kijakiem. Zadzwonił do mnie sześć lat temu i zapytał: „Mam taki projekt. Zagrałbyś Jacka Kuronia?". Taka propozycja zdarza się raz w życiu: masz okazję zagrać kogoś, kto jest dla ciebie ważny, ale tak prywatnie ważny. Kto jest twoim autorytetem.

Jacek był niebywale wyrazistą i charakterystyczną osobą: z tą swoją chrypką, przepalonym głosem, charyzmą i gestykulacją. Na szczęście miałem dużo czasu, żeby się do tej roli przygotować, bo poprzednia władza nie bardzo sprzyjała projektowi. Do końca zmagałem się z dylematem, czy wejść w tę niebywałą charakterystyczność Kuronia. Dostałem trochę prywatnych filmów. Jacek chyba nie wiedział nawet, że jest nagrywany. Zachowywał się inaczej niż przed telewizyjną kamerą. Wybrałem pięć scen, spisałem teksty Jacka. Podkreślałem sobie akcenty, powtarzałem jeden do jednego, imitując jego głos i ruchy. Nagrywałem kolejne próby. I w końcu zrozumiałem, że nie tędy droga.

Zadałem sobie pytanie, co mnie jako widza w kinie najbardziej obchodzi, co mnie porusza. Mnie, Arka Jakubika. Czy to, że aktor potrafi kogoś naśladować, czy jednak to, że widzę na ekranie prawdziwe emocje? I na to postawiłem: na emocje, na człowieka. Uznałem, że próba imitowania Jacka Kuronia zamieni się w kabaret. Dlatego zrezygnowałem z chrypki i całej reszty. Zostawiłem tylko papierochy.

Ile tych papierosów było?
– Umówiłem się z Piotrkiem, że będę jarał w każdej scenie. Znalazłyby się może dwie, trzy sceny, w których nie palę. Dziś to się wydaje niewyobrażalne, ale wtedy palić można było wszędzie: w samolocie, w telewizji, w sądzie, nawet na sali szpitalnej. Jak się skończyły zdjęcia, przyszedł do mnie pan Krzysztof, nasz rekwizytor, i pyta: „Chcesz wiedzieć, ile wyjarałeś fajek w trakcie zdjęć?". „No dawaj". „Cztery i pół tysiąca. Wiem, bo wystawiałem faktury producentowi. Kupowałem sztangi i uzupełniałem ci papierosy w paczkach". To wychodzi prawie 100 fajek dziennie.

Rzućmy jednak palenie. Chciałbym wrócić do tego 19-letniego Arka, który złożył papiery na dziennikarstwo. Wiem, że to była opcja B, ale...
– To był całkiem świadomy wybór. Dziennikarstwo naprawdę mnie interesowało. Historia to był mój konik. Wcześniej myślałem o psychologii, a konkretnie o resocjalizacji. Ale jak pojechałem jako wychowawca z trudną młodzieżą na wakacje, to szybko wyleczyłem się z tego pomysłu. Koledzy, ich opiekunowie z ośrodka wychowawczego, wybili mi go z głowy. Stosowali kary cielesne, trzymali młodzież krótko. Zdałem sobie sprawę, że jestem za miękki. To były oczywiście inne czasy, koniec lat 80.

Kilka razy pracowałem jako instruktor żeglarstwa. Byłem takim drużynowym, trochę jak Jacek Kuroń, skoro o nim gadamy. W 1955 roku wydarzyła się nieprawdopodobna tragedia, troje jego podopiecznych się utopiło. Postępowanie ostatecznie umorzono przez amnestię. Co nie zmienia faktu, że Jacek miał doskonały kontakt z dzieciakami. Zakładał drużyny walterowskie. Uczył młodzież samodzielności i odpowiedzialności za siebie, rzecz niebywała jak na środek komuny. Na jednym z obozów poznał Grażynę. Opowiadał, że urzekł go jej piękny, długi, złoty warkocz. Powiedział jej: „Grażynko, poczekam na ciebie". Poczekał trzy lata, aż będzie pełnoletnia. Ślub wzięli w 1959 roku. Spędzili razem ponad 20 lat, to była miłość jego życia. Ja nazywam ich Romeem i Julią przełomu lat 70. i 80, bo w filmie opowiadamy o ostatnich latach ich związku. I o tym jest nasz film: o miłości. Polityka nas nie interesuje, pozostaje w tle.

> Uznałem, że próba imitowania Jacka Kuronia zamieni się w kabaret. Dlatego zrezygnowałem z chrypki i całej reszty

Z tym się akurat nie zgodzę, bo jeśli szukać tutaj konfliktu, czegoś, co staje pomiędzy Jackiem a Grażyną, to jest to właśnie polityka. Pokazujecie, że Kuroniowie właściwie nigdy nie byli ze sobą sam na sam, nawet we własnym domu. To powracający obrazek: Jacka otacza wianuszek współpracowników albo dziennikarzy. Grażyna go obserwuje, jest niby blisko, ale gdzieś z boku.
– Od tego zaczęliśmy naszą rozmowę: od wątpliwości Jacka. Kiedy kochasz drugą osobę, a masz robotę do wykonania, przychodzą chwile zwątpienia: może trzeba to wszystko zostawić, bo ona jest najważniejsza, bo chcesz pobyć z nią sam? Dlatego Jacek proponuje Gajce wakacje, wyjazd gdzieś daleko, żeby mogli choć na chwilę uciec od wszystkiego i pobyć tylko we dwoje, tak jak w ich ukochanym Borku.

„Nasza rewolucja" to także opowieść o tym, że Jacek Kuroń zawsze miał przy sobie Grażynę, która stawiała go do pionu, kiedy miał chwile słabości. Jak mówiło stare, babcine powiedzenie: mężczyzna jest głową rodziny, ale to kobieta jest szyją, która tą głową kręci.

Jest w filmie bardzo ważny moment, który skłonił mnie do pytania, co zrobiłbym na miejscu Jacka. Do mieszkanka Kuroniów wtargnęli karatecy z AWF-u, bandziory na zlecenie SB, i dotkliwie pobili Grażynę, Maćka i działaczy opozycyjnych. Co byś zrobił jako ojciec rodziny, widząc, że duszą twoją żonę, za chwilę mogą ją zabić, a twojego syna tłuką? Dla mnie odpowiedź była prosta: koniec, nie mogę na to pozwolić. Wycofuję się, zostawiam to wszystko, bo ona jest najważniejsza. Oni są.

Najpierw powiedziałeś „ona". To chyba nie przypadek. Maciek, syn Kuroniów, znajduje się na drugim planie. Powtarzasz, że nie chciałeś, żeby „Nasza rewolucja" była jak spiżowy pomnik, dlatego szukałeś pęknięć w postaci Kuronia. I jeśli ja widzę jakieś pęknięcie z mojej perspektywy rodzica, to właśnie tutaj.
– Masz rację. Też nie potrafię tego zrozumieć. Mówiłem już, że z Magdą Popławską, która tak cudownie zagrała Gajkę, sięgaliśmy do korespondencji Kuroniów zebranej w tomie „Listy jak dotyk". Pisali do siebie pięknie, emocjonalnie, choć czasem Jacek ocierał się o grafomanię: „moje ty słoneczko, królewno, moja śliczna mała dziewczynko, Gajeczko, Gajuniu". Ale ta miłość była szczera i prawdziwa. I teraz wyobraź sobie, że w setkach listów, które wymieniali głównie wtedy, gdy Jacek siedział w więzieniu, zaledwie dwa razy pojawia się pytanie o Maćka. Dwa razy.

Jacek i Grażyna nie widzieli świata poza sobą. O tym, jak bardzo ich syn był odsunięty na boczny tor, dużo opowiadała nam jego żona, wspomniana już pani Joanna Liszkiewicz-Kuroń. Usłyszeliśmy od niej historie, których nie znajdziemy w oficjalnych biografiach. Maciek był owocem tej wielkiej miłości, ale niestety także jej ofiarą.

Czy kiedy Piotr Domalewski zaproponował, żeby zagrał go twój syn, spojrzałeś na tę historię z jeszcze bardziej osobistej perspektywy?
– Pamiętam telefon od Piotrka, który zapytał, co sądzę o tym, żeby Maćka zagrał mój syn. Zapytałem: „Który?". Bo mam dwóch synów: Jan jest aktorem, Kuba reżyserem. On na to, że ten starszy. A ja mówię: „Ale Kuba nie jest aktorem". Piotrek zobaczył go w krótkim metrażu „Warszawa, Holandia", gdzie świetnie zagrał głównego bohatera, pasował mu do roli Maćka, w dodatku Joanna Kuroń zaakceptowała ten wybór. Nie ma więc mowy o żadnym załatwianiu roli przez tatusia, który jest niestety z tych, co nic nigdy nie załatwiają. To spotkanie na planie było dla mnie nowym doświadczeniem. Kiedy odtwarzaliśmy niektóre domowe sytuacje, zwłaszcza te związane ze śmiercią bliskich, uruchamiał się w nas inny rodzaj emocji.

Moi synowie sami myśleli o studiach za granicą – tak jak Maciek Kuroń, który po stanie wojennym wyjechał do Stanów. Zwykle nie wtrącałem się w ich decyzje, ale tym razem powiedziałem: „Jeśli chcecie znać moje zdanie, wolałbym, żebyście zostali w Polsce".

Bałeś się, że już by nie wrócili?
– To też. „Jesteście mądrzy, pracowici, macie talent. Jeśli wszyscy tacy ludzie wyjadą z Polski, to kto będzie ten kraj budował?" – zapytałem. Oczywiście, gdyby któryś z nich podjął decyzję o wyjeździe, pomagałbym mu. Chciałem tylko, żeby znali moje zdanie. I dzisiaj mogę powiedzieć, że stary miał rację. Jeździmy czasem z Dr. Misio za granicę, graliśmy ostatnio w Londynie, Birmingham i Bournemouth. Spotykaliśmy Polaków z różnych pokoleń, którzy mieszkają tam od kilku do kilkudziesięciu lat. Zdecydowana większość chce wracać do kraju. A moi chłopcy zostali, pracują tutaj i nie myślą o wyjeździe. Jest pięknie.

Szkoda, że Jacek Kuroń nie doczekał tych czasów. ●

Arkadiusz Jakubik

• (ur. w 1969 roku) – aktor filmowy, teatralny, reżyser, wokalista zespołu Dr Misio. Pochodzi ze Strzelec Opolskich. Grał m.in. w „Informacji zwrotnej", „Klangorze", „Weselu", „Domu złym", „Drogówce" i „Jesteś Bogiem".

eprasa.pl f179aa1425



DLA ZNAJĄCYCH ETYKIETĘ

Pierwsza reakcja: nuda i przerost formy nad treścią. Dopiero później Elżbieta odkryła, ile w tej grze jest techniki, precyzji i decyzji przed każdym uderzeniem.

• Pole golfowe na dawnej hałdzie kopalni Szombierki w Bytomiu

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Na polu golfowym pod Warszawą rosną grzyby, biegają zające, a ludzie witają się jak starzy znajomi. Pięknie jak w Shire Tolkiena, tylko Hobbita brakuje. Ale czy ta kraina, jak Shire, przyjmie każdego?

O golfie każdy ma wyrobione zdanie. Od czasu, kiedy nowojorski deweloper, gwiazdor telewizji i wielokrotny bankrut został prezydentem USA, to już na pewno.

Lecz odnosimy się do rzeczywistości czy stereotypu? Bo ilu i ile z nas miało styczność z tym sportem, nie licząc minigolfa na rodzinnych wakacjach. Częściej słyszymy o gradzie wielkości piłki golfowej, niż trzymamy ją w dłoni.

Sprawdziliśmy, czy pieniądze są największą barierą. Czy to sport dla snobów, nuworyszy oraz wannabe arystokratów. I czy to w ogóle sport.

●

Pierwsze pytanie Elżbiety Panas nie dotyczyło golfa. – Czy my nie jesteśmy spokrewnione? – zapytała współautorkę tego tekstu, Martę Panas-Goworską, kiedy się zdzwoniły. Raczej nie są.

Panas, aktorka znana między innymi z „Och, Karol" i „Kogel-mogel", od 30 lat popularyzuje golfa w Polsce, obecnie stoi na czele Polskiego Stowarzyszenia Golfa Kobiet. Nie lubi, kiedy przy golfie pojawia się słowo „snobizm". – Po co mówić takie brzydkie rzeczy? Przed wojną mieliśmy golfa, a po wojnie zabrali nam golfa. I coca-colę.

Traf chciał, że następnego dnia pod Warszawą odbywał się kobiecy turniej z akademią dla początkujących. Panas zaprosiła Martę do Rajszewa. Można będzie porozmawiać z golfistkami, zobaczyć pole, a przy okazji samemu spróbować gry – zachęcała.

Marta zastanawiała się, jak się ubrać i zachować, zanim w ogóle weźmie kij do ręki, gdy rzeczy potoczyły się szybko.

Panas zorganizowała jej podwózkę: Marta pojechała z mężczyzną pracującym dla jednej z marek samochodowych, który wybierał się na turniej służbowo, żeby zaprezentować nowe auto segmentu premium.

On także nigdy wcześniej nie był na polu golfowym. Znał się za to na samochodach i już na parkingu zauważył, że auta nie są szczególnie drogie auta. Jeden Lexus – prestiżowo, ale cenowo to poziom droższej Skody niż Porsche czy Maserati, poza tym raczej „zwyczajne Toyoty". Po chwili jednak dodał, że może golfiści przyjeżdżają drugimi autami, takimi bardziej „do tyrania".

Pod koniec września Rajszew był przede wszystkim piękny. Rozmówcy Marty zwracali później uwagę, że na polach golfowych krajobraz ma znaczenie: drzewa, woda i pagórki urozmaicają grę. Tu były nawet grzyby i przemykający zając. Na tarasie fotele ustawione do słońca, sponsorzy rozstawiali – wyjątkowo mało pstrokate, jak na polski biznes, również ten pozycjonujący się „premium" – stoiska, obok ćwiczyła anglojęzyczna rodzina z kilkuletnią córką. Poza klubowym pawilonem panowała cisza. Po prostu – przyroda.

Ale choć organizatorzy postarali się, żeby debiutantek nie spinały skojarzenia idące za słowem „golf" – zaproszenie, zapewniony transport i gospodarze, którzy wprowadzą, przedstawią klubowiczom – Marta czuła stres. Samo wejście w ten świat wymagało jednak pewnego rozeznania. Na basen można przyjść prosto z ulicy, wystarczy kupić bilet, mieć kostium i czepek. Tu był klub pełną gębą: eleganckie sale, kawiarnia, taras z leżakami, sklepik z akcesoriami za kilkaset złotych. Czy na leżakach można po prostu usiąść, czy są przeznaczone dla członków? Nikt niczego nie zabraniał, ale niepisanych zasad przecież nie zna się od razu.

I co oni sobie pomyślą, ci wszyscy ludzie w błyszczących półbutach i odprasowanych spodniach, na widok dziewczyny w ciuchach z Decathlonu?

Panas przywitała Martę uściskami i od razu zaczęła przedstawiać ją kolejnym osobom: „To Panas-Goworska, pisze artykuł". Tak Marta poznała Elżbietę Grendecką, dziennikarkę i golfistkę zajmująca się też historią polskiego golfa. Znała wcześniej pytania do tekstu.

Marta dla przełamania lodów rzuca coś żartem o „golfiarzach" i „golfiarkach". Reakcja otoczenia jest niemal taka, jakby ktoś zaklął przy stole. Grendecka wyjaśniła, że takie określenia pojawiały się przed wojną, dziś mówi się o golfistach i golfistkach.

Podczas oprowadzania tłumaczyła zasady golfowej etykiety: kiedy ktoś uderza, należy zamilknąć. Trzeba uważać, gdzie się stoi. Pilnować tempa gry i dbać o pole. Robiła to stanowczo, nie szczędząc początkującym upomnień. W jej sposobie opowiadania o golfowych regułach wyczuwało się nie tylko troskę o dobre maniery, ale też dumę z przynależności do świata, który ma własne zasady.

W jednym punkcie z Panas wyraźnie się nie zgadzały, bo ta przekonywała, że golf jest dla wszystkich.

– Nie – odpowiedziała Grendecka. – Dla tych, którzy znają etykietę.

●

Sama Elżbieta Panas nie wychowała się w golfowym świecie. Po raz pierwszy zobaczyła golfa na żywo za granicą w 1988 r. jako trzydziesto-

eprasa.pl f179aa1425

latka i wcale się nim nie zachwyciła. – Boże, co za nuda – wspomina pierwszą reakcję.

Nie rozumiała, po co zawodnik tak długo ogląda kartę pola, sprawdza odległości i przeszkody, a potem jeszcze zastanawia się, którego kija użyć. Później odkryła, ile w tej grze jest techniki, precyzji i decyzji podejmowanych przed każdym uderzeniem.

Na polskie pole zawitała w 1993 r., czyli pod koniec pionierskich lat popeerelowskiego kapitalizmu. Zapamiętała samochody na dyplomatycznych rejestracjach i chwilę zawahania. Jak ja mam wejść na to pole jak z zachodnich czasopism, do tego pachnącego nowością i pieniędzmi budynku klubowego? W końcu wzięła oddech, wkroczyła do środka i z głupia frant zapytała, czy może wziąć lekcję.

Golfowy świat był wtedy znacznie mniejszy niż dziś. Kobiet grało niewiele, znacznie więcej cudzoziemców. W Polsce działały raptem trzy pola – w Rajszewie pod Warszawą, w Kołczewie na Wolinie i w Postołowie pod Gdańskiem.

Inaczej wyglądała też nauka. Nie było internetu pełnego instruktaży ani łatwego dostępu do materiałów szkoleniowych. Kiedy ktoś jechał za granicę, golfiści prosili, żeby przywiózł kasetę wideo, z której można było podpatrzeć technikę. Próżno było szukać krajowych instruktorów; ludzie, którzy zaczynali wtedy jako juniorzy, dziś sami uczą kolejnych graczy.

Nawet ze sprzętem było pod górkę – w przeciwieństwie do hurtowni wielobranżowych, sklepów z podrabianą elektroniką w rodzaju „jamników" Panascanix oraz „butików" odzieżowych sklepy dla golfistów nie wyrastały na każdym rogu. I nikomu jeszcze nie śnił się Decathlon z kompletem kijów dla początkujących za 719 złotych.

W tym samym czasie do golfa trafił Andrzej Person, wówczas popularny dziennikarz i komentator sportowy, dziś były prezes Polskiego Związku Golfa i były senator. W 1991 r. aktor Andrzej Strzelecki zaprosił go z rodziną właśnie do powstającego Rajszewa. Pełnego pola jeszcze nie było, tylko *driving range* (patrz słowniczek), miejsce do ćwiczenia uderzeń.

Person wiedział już, że nie powinien przyjeżdżać w dżinsach i że koszulka powinna mieć kołnierzyk, ale kij pożyczył na miejscu. – To był tak inny świat od tego świata, który jest teraz – wspomina.

Nie uważa jednak, że stereotyp golfa jako sportu ludzi zamożnych i elity wziął się wyłącznie z niewiedzy czy uprzedzeń. Pamięta świeżych klubowiczów bardzo zadowolonych z tego, że obracają się wśród znanych aktorów i biznesmenów. Ci sami ludzie już nie byli tak zachwyceni, kiedy na polu zaczęli pojawiać się juniorzy. – A tu się kręcą jakieś dzieciaki – wspomina ich reakcje. Nazywa ten etap „naszym takim snobizmem narodowym".

Do obrazu golfa jako zajęcia ludzi z innego świata dokładała się także popkultura. Jak opowiada Person, Strzelecki zabiegał u scenarzystów „Klanu", żeby golf pojawiał się w serialu jak najczęściej. Sam grał tam doktora Tadeusza Kozielłę. Jego bohater – inteligent, ale z pieniędzmi – zawitał na ekrany telewizorów 26 kwietnia 1999 r. A właściwie wjechał na nie już wówczas zabytkowym Mercedesem z lat 50., Dużym Pontonem. Szyk, elegancja, sznyt arystokracji kojarzący się z II RP.

Na polu Strzelecki też miał charakterystyczny styl: ubierał się po przedwojennemu, między innymi w pumpy. Młodsi golfiści żalili się Personowi, że taki wizerunek trochę ich ośmiesza.

Z takim wyobrażeniem o golfie Person zetknął się też na Wiejskiej. Próbował przekonywać polityków w Sejmie, żeby traktowali grunty, w tym nieużytki, na których tworzono pola golfowe, jak tereny sportowe i obłożyli je niższymi opłatami. Reakcję Andrzeja Leppera, trybuna ludowego wyrosłego z protestów zubożałych rolników, zapamiętał tak: – Złodzieje nakradli się, pobudowali za to pola golfowe i teraz by chcieli, żeby ich zwolnić z podatku.

W czerwcu 1999 „Puls Biznesu" opisywał niewielki polski świat golfowy liczący około pięciu tysięcy graczy, z czego zaledwie tysiąc stanowili Polacy. Wśród klientów klubów byli zagraniczni menedżerowie i firmy finansujące pracownikom grę. Już wtedy jednak gazeta pisała, że elitarność tego sportu zaczyna zanikać. Nieco życzeniowo, sądząc po reportażu Ewy Winnckiej, która w 2005 roku opisała w „Polityce" plany budowy pola golfowego i rezydencji na 126 hektarach w Konstancinie. Wśród inwestorów byli dyplomata, były minister spraw zagranicznych, członek Rady Polityki Pieniężnej i międzynarodowy ekonomista Dariusz Rosati, jeden z najbliższych współpracowników Zygmunta Solorza, odpowiedzialny za rozwój Polsatu Piotr Nurowski oraz prezesi spółek związanych z Prokomem i Budimeksem.

I dziś sama informacja, że ktoś gra w golfa, może podsunąć myśl – mniejsza, pełną podziwu, zazdrosną czy zgryźliwą – o wysokim statusie danej osoby. Przy czym to wcale nie polska specyfika społeczeństwa wciąż na dorobku i mocno rozwarstwionego.

W eksperymentach Michaela Mutza, socjologa sportu z Uniwersytetu Justusa Liebiga w Giessen, badani oceniali krótkie opisy osób różniących się zawodem i uprawianym sportem. Wyniki opublikowane w styczniu 2026 w „Leisure Sciences" pokazują, że golf również w krajach starego kapitalistycznego Zachodu wciąż rozpoznawany jest jako zajęcie klasy wyższej, podobnie jak tenis, narciarstwo czy jeździectwo. Mało tego, w przeciwieństwie do wielu innych sportów, samo uprawianie golfa nie przysparza większego społecznego poważania.

Zresztą w ciągłym tłumaczeniu, że golf nie jest sportem bogaczy, czai się pułapka.

– Chcąc nie chcąc, my cały czas powtarzamy te stereotypy – mówi Michał Kopczewski, członek zarządu Królewskiego Klubu Golfowego w Wilanowie. On sam wolałby rozmawiać

Michał Kopczewski, dziś członek zarządu Królewskiego Klubu Golfowego w Wilanowie, startował w stukilometrowych biegach na orientację, gdy zaczynał przygodę z golfem. Pierwsza pełna runda tak go zmęczyła, że miał kłopot z ukończeniem osiemnastu dołków

o grze i osiągnięciach, bez obowiązkowego zaglądania do portfela. Bo gdy kolejny raz ktoś klaruje, że golfiści nie są bogaczami z cygarami w meleksach, właśnie ten obraz się utrwala.

Panas również ma dość opisywania całej dyscypliny przez jej najdroższą wersję. Podaje przykład roweru: można kupić model za sto tysięcy złotych, położyć go na Maybachu i pojechać trenować do południowej Italii. Można też kupić rower za 6 tysięcy i po prostu jeździć. Z golfem, przekonuje, jest podobnie.

Sprawdzamy, ile trzeba wydać, żeby zacząć.

●

Dwie golfistki, które poznaję w Rajszewie, podliczają ostatnią wizytę na niewielkim polu treningowym: koszyk 60 piłek – 40 zł, wypożyczenie kija – według ich relacji – 8 zł. Razem 48 zł za możliwość sprawdzenia, czy uderzanie piłki w ogóle sprawia przyjemność. W sumie tyle, co bilet do kina i kosz popcornu, połowę mniej, niż próbna godzina na ściance wspinaczkowej.

Własnego sprzętu na tym etapie nie trzeba kupować. Na *driving* piłki wybija się z wydzielonego stanowiska, a po każdej próbie można ustawić następną piłkę i powtórzyć zamach. Kobiety dodają, że na przykład w podwarszawskim Józefowie, gdzie często bywają, nie płaci się za godzinę zegarową jak na basenie: czas start i czego nie wykorzystasz, to przepada. Uiszcza się wstęp i hulaj dusza, można wybić połowę piłek, zrobić przerwę na kawę, a potem wrócić do pozostałych. Przy czym Józefów przedstawiono Marcie jako „budżetowy i egalitarny". Bo są też ośrodki, gdzie wykupuje się tak zwany koszyk i po wykorzystaniu piłek trzeba płacić za nowy. Ile klubów, tyle rozwiązań.

Panas podsuwa jeszcze akademię z trenerem, konkursami i lunchem za około 90 złotych. Na takie wydarzenia przychodzą zarówno osoby, które nigdy wcześniej nie trzymały kija, jak i golfistki chcące po prostu poćwiczyć.

Wśród uczestniczek są kobiety z Zieloną Kartą, papierem potwierdzającym znajomość podstaw gry i etykiety, pozwalającym na samodzielną grę na wielu tak zwanych polach mistrzowskich – czyli takich, na których prócz amatorów rywalizują zawodowcy – i na udział w zawodach dla początkujących. Okazuje się, że to ważne, bo „nowi" mogą spróbować gry w towarzystwie takiej osoby.

Jeśli ktoś chce przy grze zostać, rachunek rośnie. Używany komplet kijów to zdaniem Panas około tysiąca złotych. Kopczewski dokładnie pamięta swój pierwszy zestaw: zapłacił 799 zł i grał nim przez dwa albo trzy sezony. Do tego dochodzi strój, choć i tutaj Panas odrzuca wizję kosztownego obowiązkowego uniformu. Sama lubi tradycyjne golfowe ubrania, ale koszulka polo nie musi być „dedykowana" i kosztować 500 zł, polo za 50 złotych z sieciówki to wciąż polo. Podobnie buty – na początek wystarczą zwykłe sportowe z dobrą przyczepnością. Ona ma właśnie takie.

Osobnym wydatkiem jest tak zwane osiemnaście dołków, czyli rozegranie pełnej rundy. W klubie Mazury Golf & Country Club w Naterkach to 260 zł w dni robocze i 360 zł w weekendy oraz święta. Sobienie Królewskie podają 270 zł w większości dni roboczych i 350 zł w sobotę. Opłata za rundę nazywa się *green fee*. Dziesięć takich rund oznacza więc od 2600 do 3600 zł za samo wejście na pole.

Po doliczeniu używanych kijów za około tysiąc i kursu za około 700 zł robi się 4300-5300 zł.

To przykładowy rachunek pierwszego sezonu; do tego dochodzą dojazdy i ewentualne dodatkowe lekcje. Mowa o jednej osobie; gdyby czteroosobowa rodzina chciała wspólnie rozegrać rundę, zapłaciłaby od 1040 do 1440 zł za samo wejście na pole, bez sprzętu i dojazdu, o ile wszyscy płaciliby pełną stawkę *green fee*.

Choć przy częstszej grze rachunek wygląda inaczej. Dorota Tomaszewska, amatorka i klubowiczka związana z polem w Pabianicach, korzysta z członkostwa pozwalającego grać bez płacenia za każdą rundę osobno. Z jej doświadczenia wynika, że w takim wypadku należałoby się liczyć z kilkoma tysiącami za sezon.

Inny poziom kosztów zaczyna się wtedy, gdy ktoś jeździ po Polsce, bierze udział w turniejach i traktuje golf jako główne hobby. Tomaszewska szacuje, że aktywny sezon z wyjazdami to już kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ale jej własny początek był bezpłatny. Pracowała w firmie powiązanej z polem i mogła korzystać z darmowej nauki oraz dostępu do gry.

Wiele o Polsce mówi pobieżne zestawienie dzisiejszych opłat z cenami z końca lat 90.

W 1999 r. dzień gry kosztował około 100 zł w tygodniu i 200 zł w weekend, przy przeciętnym miesięcznym wynagrodzeniu 1706,74 zł brutto. Czyli 5,9 i 11,7 proc. przeciętnej pensji.

W drugim kwartale 2026 r. przeciętne miesięczne wynagrodzenie wynosiło 9233,13 zł brutto. Obecne stawki za rundę stanowią zatem 2,8-3,9 proc. tej kwoty.

Dawny cennik obejmował jednak cały dzień gry, obecnie – rundę osiemnastu dołków. Mimo tej różnicy koszt wejścia na pole stanowi dziś wyraźnie mniejszą część przeciętnego wynagrodzenia niż pod koniec lat 90.

●

Marta miała obserwować i zbierać materiał. Nowopoznane towarzyszki szybko uznały jednak, że samo patrzenie nie wystarczy.

Najpierw były kije: cięższe, lżejsze, z różnymi główkami. Potem rozgrzewka, ustawienie ciała i próby bez piłki. Ruch miał przypominać „zamiatanie dywanu". Młody instruktor tłumaczył z zagranicznym akcentem, że kij należy trzymać delikatnie, „jakbyście trzymały w ręku ptaszka". W grupie zrobiło się wesoło. Ktoś inny dopowiedział, że zamach ma być lekki, niemal od niechcenia.

Dopiero potem zaczęły się próby z piłką. Początkowo nie miały wiele wspólnego z uderzeniami oglądanymi w telewizji. W końcu jednak kij trafił czysto. Dobre uderzenie dało się rozpoznać także po dźwięku.

Samo wybijanie piłek w dal nie zachwyciło Marty. Ciekawiej zrobiło się przy dołku. Na *greenie*, czyli bardzo krótko przystrzyżonej części pola, piłkę trzeba precyzyjnie wtoczyć do celu. Tutaj wyraźnie widać, o ile uderzenie było za mocne albo za słabe.

Grendecka zorganizowała „kółko i krzyżyk": jeden dołek, trzy odległości i po trzy próby z każdej. Dziewięć uderzeń początkowo wydawało się aż nadto. Kiedy piłka zaczęła omijać cel, każda próba okazała się potrzebna. Marta trafiła pięć razy na dziewięć, ale najlepiej oczywiście radziły sobie kobiety, które Zieloną Kartę już miały. „A wiesz, że piłka ma znacznik? Obracaj ją zgodnie z nim, a łatwiej uderzysz w wybranym kierunku" – nie zadzierały nosa przed nowicjuszką, dawały podpowiedzi.

Zamiataj dywan swingująco, czyli słowniczek golfowy

- **Driving range** – miejsce do ćwiczenia uderzeń z wydzielonymi stanowiskami. Piłki wybija się na teren treningowy i nie biegnie się za nimi, gdy inni ćwiczą. Koszyk daje kilkadziesiąt szans na powtórzenie tego, co przed chwilą wyszło przypadkiem.
- **Green** – bardzo krótko przystrzyżony fragment pola wokół dołka. Tutaj toczy się piłkę do celu specjalnym kijem, putterem. Kilka kroków do celu potrafi zająć zadziwiająco wiele prób.
- **Tee** – miejsce, z którego rozpoczyna się grę na danym dołku. Tym samym słowem nazywa się kołeczek pod piłkę do pierwszego uderzenia. Z kontekstu zwykle wiadomo, czy chodzi o kawałek pola, czy o coś, co zmieści się w kieszeni.
- **Swing** – golfowy zamach przypominający zamiatanie dywanu. Jego nauka zaczyna się od ustawienia ciała i sposobu trzymania kija.
- **Flight** – grupa, zwykle do czterech osób, która rozgrywa rundę razem. Można dołączyć do nieznajomych. Po kilku godzinach łatwiej ustalić, czy chce się z nimi zagrać drugi raz.
- **Green fee** – opłata za rozegranie rundy na konkretnym polu. Jej wysokość zależy od obiektu, terminu i liczby dołków. Wypożyczenie sprzętu może wymagać osobnej opłaty.
- **Handicap (HCP)** – liczbowy wskaźnik poziomu gracza. Im niższy, tym lepiej gracz sobie radzi. Na jego podstawie wylicza się handicap gry, pozwalający porównywać wyniki osób o różnych umiejętnościach.
- **Zielona Karta** – potwierdzenie znajomości podstaw gry oraz zasad bezpieczeństwa i etykiety, wymagane przez wiele obiektów przed samodzielną grą. Uwaga, można ją mieć i nadal woleć tenis.
- **Meleks** – mały elektryczny pojazd używany na polu golfowym. Pozwala pokonać trasę osobom, które nie mogą przejść jej pieszo albo gardzą wysiłkiem fizycznym i plebejskim sposobem przemieszczania się, na przykład prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Dzięki niemu można rozegrać rundę z kimś, kto woli nieść torbę z kijami na plecach.

eprasa.pl f179aa1425



FOT. SHUTTERSTOCK

300
ZŁ
• **Przeciętny koszt pełnej rundy (18 dołków) na polu golfowym w Polsce**

4300
ZŁ
• **Szacunkowy koszt 10 rund oraz kursu podstawowego i kompletu używanych kijów**

1400
ZŁ
• **Szacunkowy koszt rundy dla 4-osobowej rodziny. Opłata tylko za wejście na pole bez kosztów sprzętu**

O golfowe początki pytamy starego wyjadacza, czyli Kopczewskiego. Na pierwsze zajęcia wybrał się z żoną w Wilanowie. Przed wyjazdem do Portugalii chcieli liznąć podstaw, bo słyszeli, że na miejscu łatwo będzie zagrać. Szybko okazało się, że przed wyjazdem nie zdążą nauczyć się tyle, żeby sensownie zagrać na pełnym polu. Mimo to zostali przy tym sporcie.

Kopczewski pamięta pierwsze sukcesy: raz nie trafisz, drugi raz też nie, potem piłka leci krzywo, aż wreszcie pokonuje kilkadziesąt metrów. Trudno się nie ucieszyć. – Żałuję, że odkryłem golfa tak późno – mówi. Zaczynał po czterdziestce, bo wcześniej właśnie stereotypowy obraz tej dyscypliny trzymał go z daleka od niej. Dziś myśli o dwudziestu albo trzydziestu dodatkowych latach przyjemności z gry, które mógł mieć, gdyby zaczął wcześniej.

Podobnie długo z decyzją zwlekał Jarek Bukowski, klubowicz z Wilanowa. Z golfem zetknął się w Szwecji już w 1991 r., później jeszcze kilka razy miał okazję „pobawić się kijami" i tyle. Nie oglądał golfa, coś tam czytał z doskoku.

Po pierwszym sezonie najbardziej zaskoczyła go nieprzewidywalność gry. „Tak wiele czynników wpływa na to, że jednego dnia czujesz się Tigerem Woodsem, a następnego, na tym samym polu, chcesz znieść samego siebie na noszach z »boiska«". Wraca właśnie dlatego, że nie wie, co wydarzy się następnym razem.

Kopczewski tę zmienność wiąże z ciągłą pracą nad techniką. Zdarza się, że po dobrej grze w sobotę już w niedzielę nic się nie układa, a opanowany wcześniej zamach trzeba znowu poprawiać. Gracz wraca do ruchu, z którym jeszcze niedawno nie miał kłopotu albo do uderzenia konkretnym kijem. Frustracja po rundzie szybko zmienia się w przekonanie, że już wiadomo, co poprawić następnym razem.

•

Jedna z uczestniczek akademii nazywa Zieloną Kartę „prawem jazdy na golfa". Dokument potwierdza znajomość podstaw gry oraz zasad bezpieczeństwa i etykiety. Teoretycznie dopuszcza amatorów do rozgrywek, ale wiele pól wymaga go od początkujących przed samodzielną rundą.

„To w dużej mierze sztuczna blokada wejścia do golfa" – pisze w mailu Wojciech Waśniewski, PGA Professional, czyli właściciel międzynarodowego certyfikatu pozwalającego prowadzić szkolenia i egzaminować na ową kartę. Uważa, że bywa „przydatna pod kątem sprzedażowym", czyli jest argumentem za kupieniem kursu zakończonego egzaminem.

Dostrzega jednak zalety: przygotowanie do zdobycia karty daje czas na poznanie dyscypliny, pomaga opanować zasady bezpieczeństwa i zapewnić komfort innym grającym, generalnie – motywuje. Waśniewski docenia też, że siłą rzeczy wpaja fair play i dbanie o pole.

A jak jest u innych?

W Niemczech działa DGV-Platzreife, ujednolicony egzamin sprawdzający przygotowanie do gry i znajomość zasad. O warunkach samodzielnej gry decyduje jednak gospodarz pola, a egzamin nie daje automatycznie wejścia na każdy obiekt. Odpowiedniki Zielonej Karty funkcjonują też w Czechach, na Łotwie i Litwie.

Za to w Anglii, wytwornej ojczyźnie tego sportu, wiele obiektów dopuszcza grę bez zaświadczenia o poziomie golfisty. W jednocześnie egalitarnych i niebywale klasowych USA przy rekreacyjnej rundzie też zwykle można się bez niego obejść.

Katarzyna Terej, sędzia golfowa, wiceprezeska Polskiego Związku Golfa, ujmuje to lakonicznie: „Chcemy obniżać próg wejścia, ale nie standardy zachowania". Rosnąca liczba graczy musi iść w parze z szacunkiem dla innych. Początkujący powinien mieć świadomość, jakie obowiązki bierze na siebie.

Trochę uśmiechamy się pod nosem, bo przecież jednak to kije i kawał łąki, nie taternictwo. Czy naprawdę potrzeba tylu zasad i namaszczenia, żeby uderzyć kijem w piłeczkę?

Marta powiedziała coś o „golfiarzach" i „golfiarkach". Reakcja była niemal taka, jakby ktoś zaklął przy stole

Grendecka pokazuje Marcie praktyczny sens etykiety. Trzeba wiedzieć, gdzie stanąć, żeby nie znaleźć się w zasięgu cudzego zamachu. Albo że za grającymi idzie kolejna grupa, której nie należy blokować. Uczestnicy muszą pilnować tempa także wtedy, kiedy sami potrzebują wielu prób. Trawę trzeba zostawić w takim stanie, żeby następni gracze mogli korzystać z niej na tych samych warunkach.

Trochę jak z savoir-vivre'em przy stole: sztućcami posługujemy się zgodnie z zasadami także po to, żeby współbiesiadnik dotrwał do deseru z obojgiem oczu i bez uszczerbku na poczuciu smaku.

Na *driving range* w Rajszewie toczy się ożywiona rozmowa zaaferowanych golfistek. Chodzi o niedawny incydent w podwarszawskim Józefowie, gdzie piłka golfowa, według relacji spacerującej z siedmiomiesięcznym synkiem kobiety, uderzyła w daszek wózka. Innym razem prasa donosiła o wybitej szybie w samochodzie.

Jedna z golfistek przyznawała, że jej samej zdarzało się wybijać piłki poza siatkę. Ale zainteresowanie mediów budziło oburzenie: „Kiedy już podchwycą taką historię, trudno cokolwiek odkręcić".

Person do szacunku dla innych zalicza uczciwe liczenie własnych uderzeń. Przywołuje Bobby'ego Jonesa, legendarnego amatora, który sam zgłosił poruszenie piłki i dopisał sobie karę, choć nikt inny tego nie zauważył. Dla Persona ta reguła obowiązuje nawet podczas towarzyskiej rundy, nawet jeśli stawką jest kawa.

Rozmówczynie z Rajszewa opowiadają, że dla nich kluczowe jest poprawne liczenie. Gracz podaje, że miał siedem uderzeń, a *marker*, czyli osoba zapisująca jego wynik, pamięta osiem. Wracają więc do kolejnych prób i porównują rachunki.

Jedna z nowych koleżanek przyznaje, że czasem zapisze sobie jedno uderzenie za dużo, bo myślami była gdzie indziej. Wtedy druga po prostu proponuje: policzmy jeszcze raz.

•

Pierwsze kilkanaście minut w klubie może onieśmielać. Angielka Charley Hull, jedna z czołowych golfistek świata, ma polskie korzenie po matce. W odpowiedzi na naszego maila w pierwszym akapicie, zwraca uwagę na obawę, że zrobi się coś niewłaściwego. U początkujących przypisuje temu większą wagę niż trudnościom technicznym. Uważa, że nową osobę ktoś powinien przywitać, pokazać obiekt i bez pytania zaoferować wypożyczenie sprzętu.

Słowem, oswoić i pokazać, że to normalni ludzie, nie perłowe Rolls-Royce, kapelusze jak w Ascot, pole minowe ceremoniału i masońskie tajniki.

Hull ceni przy tym tradycje, jak te dotyczące zdejmowania czapek i powstrzymywania się od rozmów telefonicznych w budynku klubowym. Zachęca juniorów, by spędzali czas ze starszymi graczami, od których mogą nauczyć się etykiety.

Takie życzliwe wprowadzenie pamięta jedna z rozmówczyń z Rajszewa, która określa się jako introwertyczka. Sama raczej nie odważyłaby się na „wjazd na pole". Potrzebowała koleżanki, która dodała odwagi, pokazała miejscówkę i wyjaśniła podstawy. Kilka towarzyszek Marty również kiedyś trafiło na pole za namową znajomych. Dziś one namawiają innych.

Na pole można przyjechać dla samego towarzystwa. W Rajszewie jest kobieta, która woli tenis i narty. Golfa próbowała, ale jej nie porwał; przyszła wspierać inne uczestniczki. Kolejna tłumaczy, że ma „dwie lewe ręce i dwie lewe nogi". Towarzystwo, kibicowanie, atmosfera i krajobraz w zupełności jej wystarczają.

Inna opowiada o córce i mężu, którzy grają, oraz o synu, który ma „bardzo dobry swing, czyli zamach, ale golf zwyczajnie go nie interesuje". Czasem pojedzie z ojcem na pole. – Tatuś lanczyk postawi – śmieje się.

Czyli golf jako integrująca rodzinna aktywność, niczym odwiedziny w parku rozrywki czy wycieczka za miasto? A iskra zainteresowania może pojawi się z czasem.

O własnych początkach pisze nam Marcelina Gregorowicz, studentka ekonomii na UW i golfistka z handicapem 25,1. Obserwowała wcześniej grę ojca i brata, ale obawiała się trudności i tego, czy wystarczy jej cierpliwości. „Bałam się, że sobie nie poradzę, ale szczęśliwie obok wielu porażek pojawiły się też motywujące sukcesy".

Na początku problemem był dojazd – golf to rzecz jasna aktywność plenerowo-podmiejska, nie „siłka" czy fitness, gdzie na każdym osiedlu tyle klubów, ile Żabek. A ona nie miała wtedy prawa jazdy. „Na szczęście mój brat zadbał o to, żebym co tydzień dotarła na lekcje golfa, za co jestem mu bardzo wdzięczna".

Marcelina przyznaje, że rodzinne wsparcie miało też wymiar finansowy. „Dla młodego człowieka nie jest to tani i dostępny sport, bez wsparcia rodziców ciężko jest zacząć".

•

O przyczyny rezygnacji wśród osób, które rozpoczęły naukę, pytamy Maksymiliana Sałudę, trenera PGA Professional z Binowo Park Golf Club. Czy decyduje cena, trudność gry, a może – przy wszystkich zapewnieniach o egalitaryzmie – poczucie obcości wynikające czy to z wyższościowej postawy klubowiczów, czy z własnej blokady wskutek stereotypów?

– Problem jest niejako zbiorowy i wszystkie te rzeczy mają wpływ – odpowiada. Największą rolę przypisuje jednak czasowi oraz logistyce. Sama rozgrywka to nie jest godzina czy dwie, poza tym na pole często trzeba jeszcze dojechać. Za to wśród swoich początkujących uczniów rzadko spotyka osoby, które rezygnują z powodów finansowych.

– Tyle że trener spotyka już tych, którzy na pierwszą lekcję dotarli, nie tych, których na nią nie stać – zauważa Marta.

Pełna runda to według Kopczewskiego około czterech i pół godziny gry. Zatem dziesięć rund sezonu to 45 godzin spędzonych wyłącznie na polu – o pięć więcej niż standardowy tydzień pracy. Przywykliśmy już do godziny na ruch między pracą a innymi obowiązkami, ale na pełną rundę trzeba wygospodarować dłuższy kawałek dnia. Tu potrzebny jest albo cały wolny dzień, albo – wolny zawód.

Kilka godzin na polu wymaga też wytrzymałości. Golfiści mie kojarzą się z kolarzami Pro Touru czy uczestnikami Runmaggedonu – wymach, spacer, wymach, spacer. A jednak pierwsza pełna runda mocno zmęczyła Kopczewskiego, który startuje w stukilometrowych biegach na orientację. Miał kłopot z ukończeniem osiemnastu dołków.

Bo początkujący może wykonać sto kilkadziesiąt uderzeń, często wkładając w każde znacznie więcej siły niż potrzeba. Do kilkugodzinnego marszu – Panas mówi o spacerze długości mniej więcej ośmiu kilometrów, a to wtedy, kiedy piłka leci tam, gdzie powin-

eprasa.pl f179aa1425

na – dochodzą więc zamachy. No i koncentracja, mózg zużywa całkiem sporo kalorii. – Im gorzej gramy, tym ciężej pracujemy – żartuje Person.

A równocześnie dla Terej te godziny są jedną z największych zalet. Ceni sobie skupienie, a po rundzie wrażenie, jakby przez tydzień nie było jej w domu i w pracy.

Wszystko to trzeba jednak zaplanować i potraktować logistycznie trochę jak wyjazd na narty. Co prawda Kopczewski upiera się przy porównaniu pola golfowego z pływalnią albo kortem tenisowym, obok których można przechodzić codziennie i któregoś dnia po prostu wejść. Niemniej na pełnowymiarowe pole zwykle trzeba wybrać się z wyraźnym zamiarem, zazwyczaj wyjechać za miasto.

Nawet mając sprzęt i umiejętności – czyli nie musząc uwzględniać czasu na wypożyczenie kijów i szkolenie – trzeba wygospodarować czas i skoordynować kalendarze domowników.

Na własnej skórze przekonaliśmy się, że z jednej strony to może być całkiem fajny wspólny dzień dla rodziny, z drugiej – jeśli rodzic nie gra, trening dziecka oznacza dowiezienie, czekanie albo kilka kursów samochodem. Person właśnie dlatego chciałby widzieć więcej małych, dziewięciodołkowych pól bliżej miast. Łatwiej znaleźć miejsce dla gry wśród innych obowiązków, bez przeznaczania na nią większej części dnia.

Takie mniejsze pola działają w Polsce. W podwarszawskim Józefowie można zagrać na sześciu dołkach, w Pabianicach na dziewięciu, w Zajączkowie sześciodołkowa akademia zaprasza nawet osoby bez Zielonej Karty.

Kilka czy kilkanaście takich miejscówek to wciąż niewiele. Ale przecież w turystycznych miejscowościach, od Bałtyku po Tatry, obok budek z kebabem, dmuchańców i stoisk z chińskimi ciupagami można znaleźć minigolfa. Czy to dobry sposób, żeby spróbować?

I tak, i nie. Minigolf pozwala poćwiczyć celność i wyczucie siły uderzenia, ale nie nauczy zamachu do posyłania piłki na kilkadziesiąt metrów. To raczej przedsmak.

●

Na pole można też przyjechać samemu. Standardowy *flight*, czyli wspólnie grająca grupa, liczy zwykle do czterech osób. Jeśli ktoś zapisuje się pojedynczo, może zostać dołączony do nieznajomych. – Poznajesz trzy całkowicie nowe osoby, z którymi spędzasz pięć godzin – mówi jedna z rozmówczyń.

Marta drąży, czy w klubach przeważa jakiś konkretny zawód albo środowisko. Wszyscy są zgodni: „Miszmasz straszny" Tomaszewska opowiada o przedsiębiorcach grających obok studentów i emerytów. Rozmówczynie z Rajszewa wspominają turniej weterynarzy, Ligę IT i firmowe akademie integracyjne.

– A co z kwestią płci? Jest równouprawnienie? – Marta kontynuuje badanie socjologiczne, a w głowie ma filmowe stopklatki z rumianymi, zażywnymi dżentelmenami w kaszkietach albo reklamówki transmisji Eurosportu, pełne żylastych graczy w czapkach z daszkiem obszytych logami sponsorów.

Terej szacuje udział kobiet w polskim golfie na około 20 proc. Osobne turnieje i akademie mają im ułatwiać wejście do gry, bez presji wyniku i konieczności dorównania bardziej doświadczonym zawodnikom.

Pytamy o to Tomaszewską. Nie przypomina sobie, żeby ktoś traktował ją protekcjonalnie, bo jest kobietą. „Ale na pewno miałam poczucie, że wchodzę do męskiego świata". Większość graczy i największych pasjonatów w jej otoczeniu to mężczyźni. Ale zastrzega, że woli mówić o wspólnym golfowym środowisku, bo z czasem część poznanych na polu osób stała się jej bliskimi znajomymi. Łapie się na tym, że mówi dziś o nich jak o drugiej rodzinie.

– A rywalizacja?

Oczywiście, choć wspólną grę osób na różnym poziomie ułatwia *handicap*. Przy porównywaniu wyników uwzględnia się różnicę w ich umiejętnościach. Kopczewski coraz częściej spotyka na polu trzy pokolenia: dziadka, ojca i wnuka. Starszy gracz, który nie może przejść całej trasy, może skorzystać z meleksa, gdy inni niosą torbę albo pchają wózek z kijami. – Wspólna gra nie wymaga, żeby wszyscy mieli tę samą kondycję i umiejętności.

Tu Person opowiada o trzech starszych golfistkach z Maidstone w Anglii. Miały średnio 94 lata, więc pozwoliły „młodemu" zagrać przed sobą, a gdy po kilku godzinach dotarł do osiemnastego dołka i odwrócił się, były tuż za nim. – Tak grają ci Anglicy – wspomina z podziwem.

Opowiada też o Czesławie Romankiewiczu, nestorze polskiego golfa z Torunia, który mając dziewiąty krzyżyk na karku, pojechał na mistrzostwa Europy do Portugalii i zdobył brązowy medal w kategorii 70+. Po powrocie poskarżył się: „Słuchaj, oszukali mnie". Kazali grać z „dzieciakami" po siedemdziesiątce.

Znajomości zawarte podczas rundy mogą trwać także po zakończeniu gry. Jedna z kobiet opowiada o końcu turnieju: schodzą z pola, po chwili grupy zaczynają się mieszać. „Tylko stoliki szurają". Do ludzi poznanych w jednym *flighcie* dołączają wcześniejsi znajomi.

Korzystając z entuzjastycznych opowieści o nowych znajomościach, relaksie, egalitaryzmie i ogólnej życzliwości pytamy o interesy załatwiane między dołkami. Ten stereotyp jest tak mocny, że trafił nawet do ulubionego serialu znajomych nastolatek, czyli „Gilmore Girls", i do ulubionej kreskówki naszych dzieci, czyli „Niesamowitego świata Gumballa". W jednym z odcinków o wielkim kontrakcie ma zdecydować partia golfa.

– Trudno prowadzić rozmowę biznesową w trakcie gry – odpowiada Kopczewski. Przecież każdy idzie do swojej piłki, dobiera kij i skupia się na kolejnym uderzeniu. Wbrew popularnej ikonografii, tym wszystkim zdjęciom i kadrom filmowym, w którym wsparci o kije lub meleksy gracze rozprawiają z zaangażowaniem o akcjach czy rokujących inwestycjach, rozmówcy nie przez cały czas są obok siebie, a gra wymaga uwagi.

– Oczywiście po rundzie można się spotkać i porozmawiać o interesach – dodaje. Ale i tak zazwyczaj rozmowa dotyczy właśnie zakończonej rundy. A najczęściej używanym słowem nie jest „deal", „amortyzacja" czy „dzienny kurs", ale „gdyby". Każdy przeżywa nieudane zagrania i wyobraża sobie, jak świetny byłby wynik, gdyby udało się lepiej uderzyć.

Marta docenia kolejne podejście do przełamania stereotypu, ale pozostaje sceptyczna. Nie trzeba negocjować kontraktu między dołkami, żeby zawierać przydatne znajomości.

Kilka godzin wspólnej gry, później rozmowy na klubowym tarasie, wykwintnej przekąsce i lekkim napitku, umówienie się na kolejną rozgrywkę dla pogłębienia znajomości, wymiana wizytówek i „a czym się zajmujesz?" – tak nawiązuje się kontakty procentujące zawodowo. Podobnie jak w tenisie, polo czy regatach, sportach z tej samej półki. Z tą różnicą, że próg wejścia i finansowy, i towarzyski, w polo czy regaty zdaje się nieco wyższy.

●

W niedzielę zadzwonił Person.

– Adrian Meronk właśnie wygrał Alfred Dunhill Links Championship w St Andrews – oznajmił.

To wielka chwila i dla zawodnika, i dla polskich kibiców. Ale Person nie byłby sobą, gdyby przy okazji nie dołożył edukacyjnego kontekstu. Konkretnie, zwrócił uwagę na warunki w Szkocji: w golfie większym przeciwnikiem niż deszcz potrafi być wiatr, a zwycięstwo na takim polu smakuje szczególnie.

Lecz furda wiatry i deszcze – w oczach całego, wcale nie tak nielicznego i hermetycznego świata, to sukces na miarę tenisowych zwycięstw Igi Świątek. ●

Okulary

Jarosław Sachajko sprawił sobie niedawno kosztowny gadżet i zrobił to, co wszyscy robią w takich przypadkach, to znaczy pochwalił się kolegom i koleżankom w pracy.



Michał Rusinek

Że Jarosław Sachajko jest posłem (przewodniczącym koła poselskiego Demokracja Bezpośrednia), więc pochwalił się gadżetem w Sejmie.

Są to okulary Even Realities, które informują Jarosława Sachajkę, jaki jest aktualnie dzień tygodnia, jaka temperatura na zewnątrz Sejmu, a także mogą służyć jako prompter.

Dzięki nim poseł Sachajko nie musi patrzeć na zegarek, co przecież bywa nieuprzejme, zawsze wie, w co się ubrać, oraz nie musi się ani uczyć na pamięć swoich wystąpień, ani czytać ich z kartki. Treść ich widzi bowiem we własnych okularach, a tekst może przesuwać za pomocą magicznego pierścienia Smart Ring.

Poseł Sachajko jest człowiekiem imponująco wszechstronnym. Ukończył fizjoterapię, studia rolnicze oraz ekonomię. Otrzymał stopień doktora nauk rolniczych na podstawie pracy poświęconej uprawie ziemniaka i pszenżyta jarego, pracował potem na dwóch uczelniach, ale był też analitykiem kryminalnym w prokuraturze okręgowej w Zamościu.

Teraz jest posłem, ale skromnie nazywa się trendsetterem. A także dziwi się, że inni posłowie nie wiedzą, że istnieją takie okulary, a są przecież na rynku już od kilku lat. „To tylko pokazuje słabość naszej ordynacji wyborczej, że mamy takich niedouczonych posłów" – komentuje.

●

Czyli każdy poseł i posłanka przed złożeniem przysięgi powinni przejść egzamin ze zdobyczy najnowszych technologii. Też jesteśmy za jakimś rodzajem egzaminu dla posłów, aczkolwiek akurat niekoniecznie ze znajomości gadżetów. Natomiast na przykład z zasad cyberbezpieczeństwa, ochrony danych i przeciwdziałania szpiegostwu.

Eksperci w tych dziedzinach zwrócili bowiem uwagę na to, że poseł Sachajko nie powinien używać swoich nowych okularów w Sejmie, bo są one wyposażone w aktywne mikrofony, które rejestrują dźwięk na potrzeby systemów sztucznej inteligencji.

Firma Even Realities jest chińska. Dane użytkowników z Europy przechowywane są wprawdzie na serwerach w Holandii, ale polityka prywatności firmy dopuszcza przetwarzanie ich w Chinach. Chińskie firmy podlegają chińskiemu prawu, a ściślej ustawie o wywiadzie narodowym, która wymaga od nich współpracy z chińskimi służbami specjalnymi.

I tu pojawia się pytanie, co mogli usłyszeć chińscy szpiedzy i jaki to będzie miało wpływ na nasze bezpieczeństwo.

Cóż, technologia jest nowa, mikrofony maleńkie, a w Sejmie panuje gwar, istnieje możliwość, że owi szpiedzy będą mieli problem ze zrozumieniem tego, co mówił poseł Sachajko. Ponieważ jesteśmy głęboko przekonani, że opaczne zrozumienie przez nich słów posła Sachajki może wyrządzić naszemu bezpieczeństwu więcej szkód niż zrozumienie ich poprawne, zrelacjonujmy wprost, co poseł Sachajko zwykle mówi.

●

Na przykład w okresie pandemii i dyskusji wokół wprowadzenia obowiązkowych szczepień przeciw COVID-19 dla wybranych grup poseł Sachajko stanowczo sprzeciwiał się przymusowi szczepień. Mówił wówczas: „Uważam, że dorośli ludzie mają prawo do tego, by umrzeć lub mieć powikłania. Jeżeli ktoś chce umrzeć i robi to z pełną świadomością, nie możemy mu tego bronić".

Owszem, też uważamy, że nikomu nie wolno zakazać powikłań, jeśli ich masochistycznie pragnie, gorzej jednak, jeśli ten ktoś daje się zarazić i zaraża innych, którzy już mogą powikłań nie chcieć. Tego jednak poseł Sachajko nie dostrzegł. Być może ze względu na swoją krótkowzroczność, za pomocą której tłumaczył się z konieczności sprawienia sobie wspomnianych okularów.

Jego namiętność do gadżetów i chwalenie się, że jako pierwszy poseł miał telefon komórkowy działający w technologii 5G, nie powstrzymały go od krytycznych wypowiedzi na temat tej technologii. Mówił bowiem o „elektromagnetycznej zupie", którą otaczają nas bezprzewodowe urządzenia elektroniczne, i postulował stworzenie „przestrzeni wolnych od promieniowania elektromagnetycznego".

Okulary Even Realities zagęściły wprawdzie jeszcze wspomnianą zupę, ale to tylko rzekoma sprzeczność między słowem a czynem. Posłowi Sachajce zależy bowiem, jak każdemu gadżeciarzowi, żeby tylko on miał najnowsze urządzenia. Cieszyłby się, gdyby inni posłowie ich nie mieli, ale nie ze względów zdrowotnych, lecz żeby być jedynym gadżeciarzem w przedszkolu. To znaczy: parlamencie.

Niegdyś zarzucał telewizji publicznej, że „w godzinach największej oglądalności emituje filmy z przeerotyzowanymi scenami, epatujące golizną". Wyraził też pogląd, że przepisy zmierzające do zakazania sztuki cyrkowej z udziałem zwierząt są „poważnym ograniczeniem prawa własności wszystkich właścicieli zwierząt", co każe nam zadać sobie pytanie, jakiegoż to egzotycznego pupila trzyma w domu poseł Sachajko. Trochę martwimy się o jego sąsiadów.

Swego czasu poseł Sachajko głosił również tezę, że Polska jest Kuwejtem Europy. Tego typu figury retoryczne zawsze kuszą nas do stawiania pytań, czy Kuwejt jest w takim razie Polską Półwyspu Arabskiego, ale zawieśmy to pytanie.

Ważniejsze jest, że poseł Sachajko głosi poglądy antyklimatyczne, a ściślej – posługuje się tzw. narracjami opóźniającymi: klimat wprawdzie się ociepla i trzeba temu przeciwdziałać, ale nie tak, jak chce tego Unia Europejska.

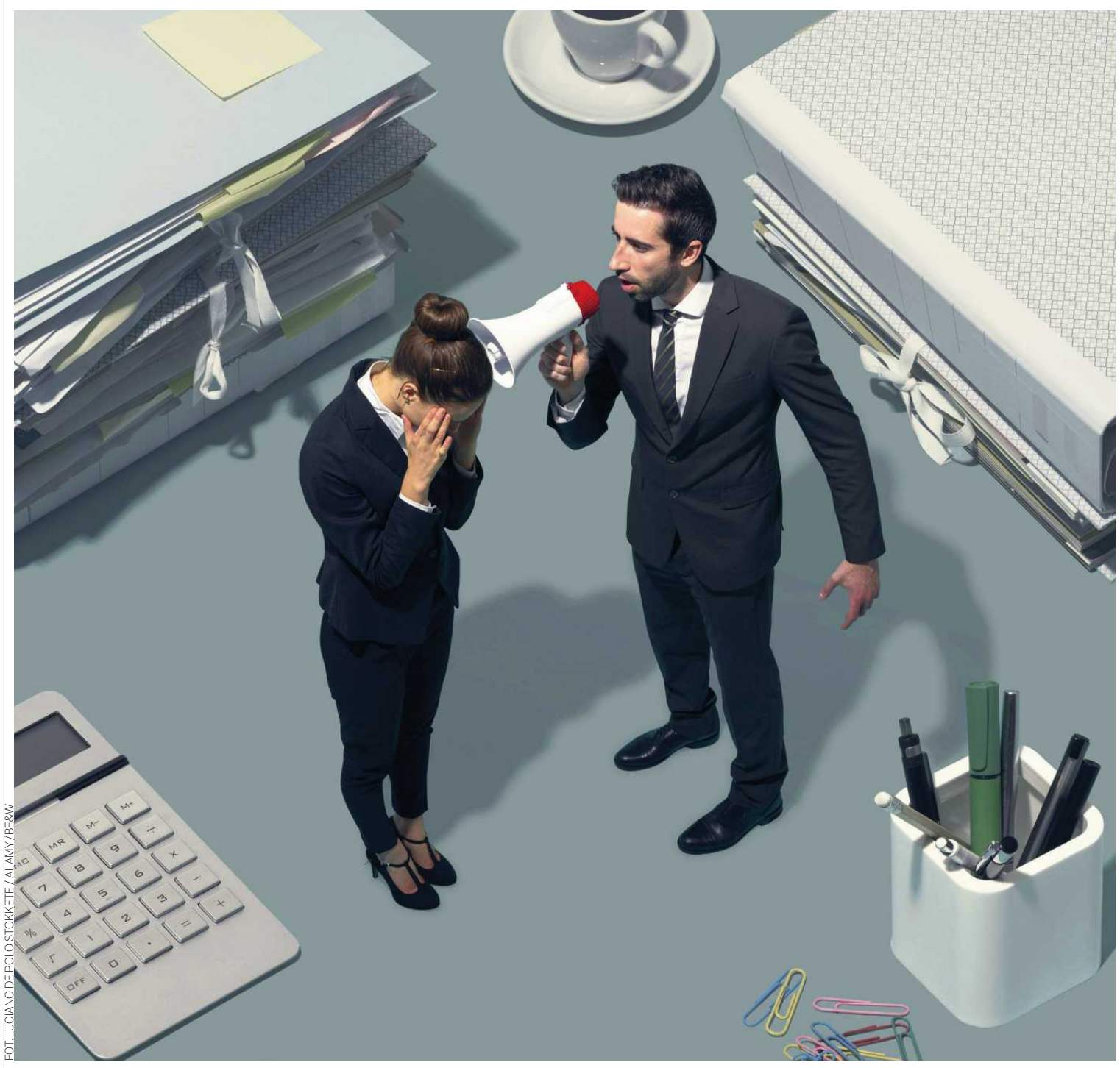
Polska jest – zdaniem posła Sachajki – potęgą w dziedzinie paliw kopalnych. Kilka lat temu jako przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Zapewnienia Bezpieczeństwa Energetycznego Polski w oparciu o Krajowe Nośniki Energii oraz OZE, zapraszał do Sejmu działaczy dość podejrzanego Ogólnopolskiego Komitetu Obrony Zasobów Naturalnych, którzy głosili różnego rodzaju pseudonaukowe teorie, według których węgla wystarczy nam na 9 tys. lat, a na każdego Polaka przypada od 5 do 30 milionów złotych w złożach naturalnych.

To tylko drobny wycinek bzdur, które można usłyszeć przez mikrofony umieszczone w okularach pana posła. Jest to jednak wycinek reprezentatywny. Liczymy, że na jego podstawie analitycy chińskich służb specjalnych błyskawicznie stracą zainteresowanie użytkownikiem Sachajką. Mamy też nadzieję, że nie tylko oni. ●

eprasa.pl f179aa1425

DUSZA W SINIAKACH

Właśnie zmieniły się przepisy o mobbingu. Już nie trzeba dać się zniszczyć.



FOT. LUCIANO DE POLO STOKKETE / ALAMY / BE&W

Z **KASIĄ MATYJEWICZ,** TRENERKĄ ANTYMOBBINGOWĄ, EKSPERTKĄ HR ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

Aż 66 proc. Polaków aktywnych zawodowo twierdzi, że doświadczyło mobbingu – podaje raport „Pracować po ludzku" z 2025 r. 13 proc. pracowników czuło się szykanowanych przez przełożonego, a 8 proc. przez współpracowników – to CBOS z 2024 r. Tymczasem, w zeszłym roku do Państwowej Inspekcji Pracy wpłynęło tylko 2626 skarg. Do sądów trafiło niespełna tysiąc spraw. Promil.

– Często osoby, które doświadczają mobbingu, są już tak upokorzone i zmęczone tą sytuacją, że nie mają siły walczyć. Tym bardziej że wiedzą, jak trudno będzie im udowodnić, że padły ofiarą przemocy psychicznej. Bo mobbing to nic innego jak przemoc psychiczna w pracy.

Wczoraj na warsztatach antymobbingowych, które prowadziłam, jedna z uczestniczek powiedziała: „Jestem pobita, chociaż po mnie tego nie widać". Gdyby ktoś ją fizycznie uderzył, reakcja otoczenia byłaby natychmiastowa, sprawca pewnie zostałby zwolniony dyscyplinarnie. Ale ona została uderzona psychicznie, a przemoc psychiczna jest niewidzialna.

Czemu aż tak trudno udowodnić mobbing?

– Bo taka jest jego natura. Mobber zawsze będzie zaprzeczał wszystkiemu, o co się go oskarża, bo nikt nie będzie zeznawał przeciwko sobie. Świadkowie boją się zeznawać z obawy, że przyklei się do nich łatka osoby, która „skarży".

Każdy następny pracodawca pomyśli: „Co, jeżeli u mnie zdarzą się jakieś nieprawidłowości? Będzie zeznawać przeciwko mnie". A wiadomo, że nieprawidłowości mogą się zdarzyć wszędzie. Tam, gdzie są ludzie, prędzej czy później dojdzie do zachowań niepożądanych.

O dowody materialne z kolei trudno, bo mobber rzadko zostawia ślady na piśmie, zazwyczaj ma jakiś instynkt samozachowawczy. Nagrania mogą być dowodem w sądzie, ale tylko pod warunkiem, że są dobrze zrobione. Sąd nie dopuszcza podsłuchów, czyli nie wolno zostawić ukrytego gdzieś dyktafonu; trzeba być cały czas obecnym przy nagrywaniu.

Trzeba też nagrać całą rozmowę, od początku do końca, żeby wykluczyć prowokację. Gdybym ja w tej chwili na przykład powiedziała: „Ale z ciebie idiotka! Jak można się było tak ubrać?", a ty, zdenerwowana, odpowiedziała mi czymś podobnym, to nagranie jedynie twojej kwestii stworzyłoby fałszywy obraz sytuacji.

Nawet kiedy sprawa trafi do sądu, czyli są świadkowie i dowody, wygranie sprawy o mobbing graniczy z cudem. W zeszłym roku sądy wydały 44 decyzje korzystne dla osób mobbingowanych. Dlaczego?

– Ze względu na obowiązujące prawo. Do tej pory taka osoba musiała udowodnić trzy rzeczy. Po pierwsze, że doszło do nękania.

Po drugie, że to nękanie było długotrwałe. Uwaga: prawo zmusza do tkwienia w przemocowej sytuacji przez długi czas i dokumentowania jej. Wiemy, jak bardzo szkodliwe dla naszej psychiki jest długotrwałe doświadczanie przemocy. Ale trzeba narażać swoje zdrowie psychiczne, bo inaczej to się nie liczy.

Po trzecie – i to jest największy absurd i największa krzywda – taka osoba musi wykazać, że doszło do zaniżenia oceny przydatności zawodowej. Prawo wymaga, żeby mobbing ją zniszczył. Trzeba wykazać się leczeniem psychiatrycznym i mieć świadków, którzy powiedzą w sądzie: „Płakała, ilekroć wracała z pracy" albo „Przed wyjściem do pracy miała biegunki". A to są bardzo wrażliwe informacje i nie każdy chce tym epatować w sądzie.

Zwłaszcza że te zeznania słyszy druga strona, która bardzo chętnie to podważa. „Ona zawsze była niestabilna emocjonalnie". Kiedy moja koleżanka powiedziała w sądzie, że przez traktowanie w pracy wpadła w depresję, jej przełożona się roześmiała: „Od kiedy to się da udowodnić?". Rzeczywiście, nie da się.

Rozmawiałam z wieloma osobami, które doświadczyły mobbingu. Większość z nich bała się nawet złożyć skargę w komisji antymobbingowej.

– Ponieważ prawo, które powinno nas chronić, w tym przypadku wymaga naszej krzywdy. Tego, żeby osoba doświadczająca mobbingu, uwierzyła mobberowi. Jeśli mówił jej, że jest beznadziejna, musi uwierzyć, że faktycznie jest beznadziejna. To jest właśnie zaniżenie oceny przydatności zawodowej. Gdyby mu odpowiedziała: „Sam jesteś beznadziejny", według prawa nie doszłoby do mobbingu! Jej siła psychiczna w tym kontekście jest jej słabością.

A jeśli mu uwierzy, pomyśli: „Faktycznie, wszyscy są lepsi ode mnie. Nie nadaję się do tej pracy", to czy taka osoba zgłosi mobbing?

Nie. Uważa, że to, co słyszy, jest prawdą, a nie żadnym mobbingiem.

– Właśnie. Rozmawiałam ze znajomym psychiatrą o tym, jak zachowują się pacjenci, którzy się do niego zgłaszają z powodu mobbingu. Opowiadał, że zmieniają często nie tylko pracodawcę, ale też zawód, bo uważają, że do tamtego się nie nadają. A w nowym zawodzie też bywa różnie. Każdy popełnia czasem błędy, zwłaszcza w nowej pracy.

Tylko że dla osoby wcześniej mobbingowanej każde niepowodzenie, każda najmniejsza krytyka ze strony nowego przełożonego stają się dowodem na to, że sytuacja się powtarza. „No tak. Ja naprawdę do niczego się nadaję". Wtedy w ogóle wypada z rynku pracy. Tacy ludzie nie trafiają do sądów.

Znajoma, która doświadczyła mobbingu, zgłosiła sprawę do komisji antymobbingowej, ale miesiąc później została zwolniona. Był to ostatni akord długotrwałego nękania. Ale komisja nie rozpatrzyła jej zgłoszenia, bo nie była już pracowniczką tej instytucji.

– Absurdalne... Na szczęście czeka nas prawdziwa rewolucja w obszarze antymobbingu.

Właśnie. 5 listopada wchodzą w życie nowe przepisy. Co się zmieni?

– Przede wszystkim definicja mobbingu. Z tych trzech rzeczy, które wymieniłam, zniknie trzecia. Hura! Nie trzeba będzie już udowadniać, że mobbing zniszczył nas psychicznie. Będzie się liczyć nie to, jak odbierzemy komunikat mobbera, tylko to, że on zachował się niewłaściwie.

Znika też druga kwestia: długotrwałość. Prawo nie będzie nas już zmuszać do tego, żebyśmy długo tkwili w przemocy, żeby zaliczyć jakiś okres czasu. Zostaje tylko pierwsza, czyli uporczywe nękanie.

1 RP

eprasa.pl f179aa1425

Jaka jest różnica pomiędzy uporczywością a długotrwałością?
– Uporczywość to nie czas, ale siła rażenia. Przemoc nie musi trwać kilka miesięcy; nawet w ciągu jednego dnia da się zniszczyć psychicznie człowieka, jeśli zadziała się kilka razy i z odpowiednią mocą. Powiedzmy, że jest to dzień, w którym masz ważną prezentację przed zarządem. Gdyby ktoś zaczął cię nękać tego dnia, w najbardziej kluczowych momentach, może ci zniszczyć karierę.

Natomiast nie może być to jeden incydent, tylko seria zachowań.

Jeden raz to za mało. To nie jest uporczywe nękanie. Jeśli ktoś raz cię obrazi, poniży, wykluczy, to powinien cię za to przeprosić. Przy czym prawo nie wchodzi w to, dlaczego tak postąpił.

Jeśli twój przełożony nie zaprosił cię na ważne spotkanie zespołu, to nie ma znaczenia, czy powodem było to, że cię nie lubi, czy to, że zwyczajnie zapomniał. Na następnym spotkaniu powinien cię za to publicznie przeprosić, bo było to zachowanie niepożądane. Natomiast jeśli to jest seria takich incydentów, to jest to już mobbing.

To od ilu razy zaczyna się mobbing? Od dwóch?
– To jest niedookreślone. Mobbing to nie matematyka, więc każdą sytuację trzeba oceniać indywidualnie. O tym będzie decydował sąd. Pewnikiem jest tylko to, że raz to za mało.

Nowe przepisy nakładają też na pracodawców więcej obowiązków. Do tej pory brzmiało to tak: „Pracodawca ma obowiązek przeciwdziałać mobbingowi w miejscu pracy". Koniec kropka. Sąd pytał: „Pracodawco, jak przeciwdziałałeś mobbingowi w miejscu pracy?". A pracodawca mógł odpowiedzieć: „Pięć lat temu przez miesiąc wisiał u nas plakat antymobbingowy", i miał zaliczone. Bo coś zrobił. Teraz pracodawca otrzyma precyzyjną instrukcję postępowania.

Pierwsza sprawa to prewencja. Wszyscy chyba się zgadzamy, że to jest absolutnie kluczowe. Są to szkolenia oraz obowiązkowe procedury antymobbingowe dla pracodawców, którzy zatrudniają więcej niż dziewięć osób na umowę o pracę. Ustawa daje pół roku, do 5 maja 2027, na dostosowanie procedur.

Druga rzecz to monitoring. Pracodawca nie może już tylko siedzieć biernie i czekać, czy wpłynie wniosek do komisji antymobbingowej, tylko sam aktywnie sprawdzać, czy nie dochodzi do naruszeń.

Jak?
– Robiąc anonimowe ankiety satysfakcji z pracy, w której znajdą się pytania o mobbing i dyskryminację. Nie tylko wprost: „Czy doświadczasz mobbingu? Czy widziałeś nękanie?", ale też: „Czy poleciłbyś to miejsce pracy innym?", „Czy boisz się przyznać do błędu?".

I trzeci obowiązek: reakcji. Jeżeli wpływa skarga albo z ankiet wynika, że coś jest nie tak, pracodawca ma obowiązek wyjaśnić tę sytuację w sposób bezstronny i zapewniając bezpieczeństwo psychologiczne.

Co się dzieje, kiedy pojawia się odpowiedź: „Tak, doświadczam mobbingu"? Przecież ankieta jest anonimowa.
– Pracownicy mają zwykle kilka razy w roku jakieś spotkania z HR – z okazji rozmaitych formalności, spotkań rozwojowych, oceny pracowniczej itd. Wtedy można wplatać pytania o mobbing. Ale również wybadać, czy nie dochodzi tu na przykład do działań odwetowych.

Bo zdarza się, że ktoś czuje się pokrzywdzony tym, że nie dostał awansu, i odbiera to jako nękanie.

Słyszałam też o przypadku, że cały zespół się zmówił, bo chciał się pozbyć swojego przełożonego, który był ich zdaniem zbyt wymagający. Trzeba to powiedzieć jasno: fałszywe oskarżenie o mobbing też jest mobbingiem.

Co w mniejszych firmach, w których nie ma działu HR? Jeśli nie pracujemy na umowę o pracę? W wolnych zawodach? Wielkie skandale mobbingowe z ostatnich lat dotyczą głównie instytucji artystycznych.
– Tam wciąż będzie problem. Niestety, nadal ochroną objęci będą tylko i wyłącznie pracownicy na umowę o pracę. Jeśli chodzi o sztukę, to jest to jedyny obszar w mobbingu, gdzie jeszcze dochodzi do rękoczynów. Wciąż myślimy, że dla sztuki trzeba cierpieć. Że jeżeli ktoś jest wybitny, to może sobie na więcej pozwolić. Niestety, mamy na to przyzwolenie społeczne.

Oczywiście nie wszystko jest mobbingiem. Każdy ma prawo do błędu, każdy czasem ma gorszy dzień i może wybuchnąć pod wpływem stresu. Ale wtedy należy za swoje zachowanie przeprosić. Dokładnie tego wymagamy od dzieci. Od dorosłych: nie zawsze.

W tej chwili wyroki są zero-jedynkowe: albo stwierdzono mobbing, albo nie udało się go udowodnić. Jeśli pracownik skarży się na mobbing, ale opis sytuacji świadczy o tym, że to nie mobbing, tylko nierówne traktowanie albo naruszenie godności, to wniosek jest oddalany. „Nie wyczerpano znamion mobbingu, nie procesujemy".

Nowe przepisy nie będą już wymagać od pracownika tego, żeby był ekspertem prawa pracy i poprawnie klasyfikował to, co mu się dzieje.

Kwalifikacją zajmie się komisja albo sąd, a pomiędzy mobbingiem i jego brakiem będą możliwe sytuacje pośrednie.

Czyli zmiany, które nadchodzą, oceniasz jako bardzo dobre?
– Tak, te zmiany są bardzo dobre, ale główny problem niestety się nie zmienia – wciąż według prawa za mobbing będzie odpowiadał nie sprawca, tylko pracodawca.

Zgłaszając mobbing, automatycznie wypowiadasz wojnę swojemu pracodawcy. Jeżeli mobbing się potwierdzi, to on jest winny, nawet jeśli starał się zapobiec. To on musi zapłacić. Do mediów trafia informacja, że w firmie X był mobbing, a nie to, że Jan Nowak mobbingował, mimo że to dorosły człowiek, który powinien odpowiadać za swoje czyny.

Widzisz w tym logikę? Bo ja nie. Pracodawca ma dopilnować, żeby w jego firmie nikt nikogo nie mobbingował. A przecież wiadomo, że żaden człowiek nie ma całkowitej kontroli nad drugim dorosłym człowiekiem. Należałoby więc za każdym razem rozpatrzyć, czy pracodawca zrobił, co mógł.

Dopiero niedawno w orzeczeniach sądu wprowadzono zasadę regresu i po wyroku sądu pracodawca może żądać zwrotu kosztów od sprawcy – za odszkodowanie, zadośćuczynienie i koszty procesowe.

Ale moim zdaniem niewiele firm się będzie na to decydować. Mobberzy to bardzo często osoby wysoko postawione, więc firmy nie będą chciały zrobić sobie z nich wrogów. Już choćby dlatego, że wiele wiedzą...

Skąd pomysł, żeby pociągać do odpowiedzialności nie sprawcę, tylko firmę?
– To zaszłość. Kilkadziesiąt lat temu faktycznie tak wyglądało zarządzanie firmą. Nikt nie przejmował się zdrowiem psychicznym, liczyła się efektywność. A

mobbing na samym początku jest bardzo efektywny. Ludzie ze strachu bardzo się starają, pracują bardzo ciężko.

W końcu nie wytrzymują tego, tracą koncentrację, zaczynają popełniać błędy. Wtedy wypadają, a na ich miejsce wchodzą nowi.

Ale to się zmieniło. Mówię to z pozycji osoby, która współpracuje z największymi pracodawcami w Polsce. Oni nie chcą mobbingu. Nie dlatego, że mają dobre serce, tylko dlatego, że widzą, iż długofalowo to im się nie opłaca, że ma to niszczący wpływ na cały zespół i że ludzie w takiej firmie nie chcą pracować.

Jeśli mają jakiś wybór...
– To prawda. To w dużej mierze reguluje rynek. Jeśli jest duża konkurencja, kiedy trzeba walczyć o pracownika, firma nie może sobie pozwolić na mobbing, bo nikt nie będzie chciał dla niej pracować. Ale jeśli pracodawca nie ma rywali, to ludzie są na niego zdani i wtedy może sobie pozwolić na więcej. Pracownicy to zniosą, bo nie mają wyjścia. Widać to szczególnie na wsiach, gdzie ludzie są uzależnieni od swojego miejsca pracy, bo inaczej musieliby się przeprowadzić.

Dlaczego twoim zdaniem utrzymano ten przepis?
– Bo to się opłaca skarbowi państwa i prawnikom. Gdyby odpowiadał sprawca, wyroki sądu byłoby zapewne niższe, a poza tym nie dochodziłoby tak często do ugód.

Pracodawcy boją się skandalu PR-owego, więc bardzo często dochodzi do ugody. Jedna trzecia tej kwoty trafia do skarbu państwa. Bo kto ma pieniądze na dobrą kancelarię? Ludzie zamożni. Wysokość odszkodowania zależy od pensji rocznej; najczęściej mówimy tutaj o naprawdę dobrej pensji menedżera, więc ugody opiewają na bardzo duże kwoty.

Ten przepis jest absurdalny. Firmy z jednej strony mają czynnie monitorować i wykrywać mobbing, a z drugiej strony, ponieważ to one za niego odpowiadają, nie mają interesu, żeby to robić. Prawo zachęca ich do zamiatania sprawy pod dywan, bo gdyby się przyznali, musieliby płacić i ucierpiałby ich wizerunek.

Powinniśmy zmienić narrację. Dziś pracodawcy mówią: „U nas nie ma takiego problemu". A powinni mówić: „Drodzy pracownicy, musimy być czujni, bo może dojść u nas do mobbingu. Uzbroimy was więc w wiedzę, żebyście potrafili rozróżnić, co jest dobre, a co nie, i w konkretne narzędzia, żebyście, widząc pierwsze oznaki niepożądanych zachowań, potrafili zareagować".

Trzeba to powiedzieć jasno: fałszywe oskarżenie o mobbing też jest mobbingiem

Mobberzy często nie zdają sobie sprawy, że mobbują. Nie rozumieją, że ich zachowania są przemocowe.
– Może tak być. To głęboki temat. Mogą pochodzić z rodzin, gdzie takie zachowania są na porządku dziennym; tak się po prostu mówi do ludzi. Mogą także mieć rys socjopatyczny. W nowej definicji nie będzie to miało znaczenia i to dobrze. Nie będziemy już patrzeć na intencje.

My często myślimy, że nas to nie dotyczy. Warto zdawać sobie sprawę, że w każdym z nas są dwa pierwiastki. Jeden sprawia, że jesteśmy mili, życzliwi i pomocni, a drugi – że jesteśmy zawistni, rywalizacyjni i chcemy jak najwięcej dla siebie. Taka jest po prostu natura ludzka.

Prewencja powinna zaczynać się od tego, żeby każdy z nas był uważny na siebie samego. Jeśli myślisz, że ty nigdy byś tak nie zrobiła, tym bardziej możesz dopuścić się nieprawidłowości.

Osoby, które pozwalają sobie na nieprawidłowe zachowania, to najczęściej ludzie na wyższych stanowiskach. Jak wiadomo, władza psuje. Trudno mi sobie wyobrazić, że prezes firmy będzie nagle przepraszać panią Anetkę z księgowości.
– To się zmienia. W większości firm jest większa równość. Nie ma już herbaty premium dla zarządu i tańszej dla reszty. Góra jest coraz bardziej dostępna, bezpośrednia, nie zaznacza już tak swojej wyższości; raczej podkreśla, że wszyscy jesteśmy jedną drużyną. Czy to jest zawsze autentyczne, to inna sprawa, ale na pewno zmieniają się obyczaje.

W dużych korporacjach tak, ale w instytucjach publicznych bywa różnie. To tam najczęściej zgłaszany jest mobbing: 63 proc. wszystkich spraw, z czego 54 proc. w urzędach, 13 proc. w służbie zdrowia, 11 proc. w policji...
– Niestety. Rozdawanie stanowisk w wielu spółkach skarbu państwa często nie odbywa się z klucza kompetencyjnego, tylko ze względu na kontakty, za przynależność do odpowiedniej partii, w nagrodę za jakieś przysługi.

A jeśli ktoś nie ma kompetencji, to czuje się zagrożony w swojej roli i umniejsza specjalistom, którzy są jego podwładnymi. To tym bardziej przykre, że my to fundujemy z naszych podatków i jako społeczeństwo tolerujemy.

Musimy zmieniać postawy społeczne. Powinniśmy uczyć tego już w przedszkolach i szkołach. Dzisiaj dużo mówimy o bullyingu. Wiemy, jakie to niebezpieczne, jak straszne żniwo zbiera. Bardzo się tym przejmujemy, bo dotyczy dzieci.

Ale przecież dokładnie te same mechanizmy występują w przypadku mobbingu. Ja bym powiedziała, że mobbing to takie dziecko bullyingu.

Jeżeli nie nauczymy dzieci na to reagować, to kiedy dorosną, pójdą do pracy, natkną się na mobbing i pomyślą: „Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Nie ma sensu z tym walczyć".

Jak jest w innych krajach UE?
– Różnie. We Francji za mobbing odpowiada sprawca; jeśli udowodni mu się winę, ma zakaz pełnienia przez lata funkcji zarządzających. W Czechach można pozwać swojego pracodawcę, odwołując się do przepisów BHP, i też świetnie to działa.

Definicja mobbingu i procedury mają mniejsze znaczenie niż kultura pracy. My staramy się nadrobić nasze zaległości przepisami. Ale z kolei w związku z tym, że dawniej nasze prawo było tworzone przez zaborców i okupantów, mamy bardzo dużą tolerancję na to, że prawo istnieje, ale nie funkcjonuje.

Kiedy zarząd mówi, że wprowadza politykę antymobbingową, to dla pracowników wcale nie oznacza, że naprawdę zacznie ona funkcjonować. Pracownicy patrzą na kadrę zarządzającą, żeby zobaczyć, czy faktycznie coś się zmienia.

Musimy pamiętać, że to wszystko jest w naszych rękach. Procedury są ważne, ale żadna procedura ani żadna definicja nikogo nie obroni, bo to są tylko słowa. Obronić nas mogą ludzie. Nasi koledzy i koleżanki.

Bądźmy więc uważni. Dbajmy o to, żeby nie naruszać niczyich granic. Zwracajmy uwagę tym, którzy naruszają nasze. Nikt tego za nas nie zrobi, żadna procedura, żaden dział HR, żaden pracodawca. To my tworzymy kulturę pracy w naszej firmie.

Tak, ale na pewno zapału dodałaby nam świadomość, że mamy szansę wygrać w sądzie z kimś, kto nas prześladuje.
– Mamy coraz większą szansę. Powoli, ale idzie to ku lepszemu. Kiedy czasem wydaje mi się, że świat jest fatalny, przypominam sobie, jak sytuacja wyglądała w latach 90. Dzisiaj rozmawiamy o mobbingu, ale w porównaniu z tym, że przez większą część historii ludzkości legalne było niewolnictwo, wydaje się to niuansem... Ten świat nie jest idealny, ale jest chyba najlepszy, jaki dotąd istniał. ●



Kasia Matyjewicz

• trenerka antymobbingowa, ekspertka HR, mówczyni motywacyjna, wykładowczyni na wyższych uczelniach, prelegentka na konferencjach.

eprasa.pl f179aa1425

Kulturalne weekendy

NIE TYLKO KOGUTKI

W Polsce Ludowej promowała Polskę ludową. Na Manhattanie handlowała kożuchami. Spragnionym retro oferowała biedermeiery. Dziedzictwo Cepelii jest bardziej złożone, niż się wam wydaje.



FOT. ANNA OLCHAWSKA/MNK

• **Komplet mebli do jadalni ze Spółdzielni Meblostyl w Czersku, lata 70. XX w. Na półce talerze z serii „huculskiej" ze Spółdzielni „Ceramika Artystyczna" w Bolesławcu**

Emilia Dłużewska

• **Wystawę „Obywatelka Cepelia"** można oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie (Gmach Główny) do 21 lutego 2027 r.

Krzesła „Sarenki", ręcznie malowane dwojaki i fajans z Bolesławca. Meble gdańskie, tkanina artystyczna i biżuteria. A także bursztynowe guziki, kogutki z wiórów i słomiane maty nad łóżko. – Prawdopodobnie nie było w Polsce domu, w którym nie byłoby czegoś z Cepelii – mówi Piotr Korduba, współkurator wystawy „Obywatelka Cepelia" w Muzeum Narodowym w Krakowie.

Choć korzenie Cepelii sięgają jeszcze II RP, to jej historia zrośnięta jest z historią Polski Ludowej. Nie tylko dlatego, że linie ich życia niemal dokładnie się nakładają. Pokrewieństwo sięga głębiej: jedna i druga mimo ludowości w nazwie flirtowała z luksusem i odwoływała się do sarmackich korzeni. Obie umiały docenić piękno, choć produkowały też spektakularny kicz. Nie tylko wspierały artystów, ale też potrafiły wykorzystać sztukę politycznie.

Wszystkie te twarze Cepelii pokazuje poświęcona jej przekrojowa wystawa, którą od 9 października można oglądać w Muzeum Narodowym w Krakowie. Jej twórcy Piotr Korduba i Anna Wiszniewska podchodzą do swojej bohaterki krytycznie, bez idealizowania, ale też bez przyprawiania jej gęby. Pokazują zarówno wytwarzane na zlecenie Cepelii perełki designu, jak i te projekty, które sprawiły, że nazwa „Cepelia" stała się synonimem kiczu w folkowym przebraniu. Przypominają też o mniej znanych aspektach jej działalności.

W Kaliszu i na Manhattanie

Utworzona w 1949 r. Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego była bowiem, jak mówią kuratorzy, projektem totalnym: miała nie tylko zaopatrywać obywateli w słomiane maty na ścianę, ale też prowadzić działalność badawczą, edukacyjną i propagandową. W ciągu ponad pół wieku istnienia opiekowała się twórcami ludowymi, wspierała artystów, prowadziła badania historyczne, eksperymentowała z nowymi projektami, kształtowała gust Polaków i budowała wizerunek kraju za granicą.

W szczytowym momencie sklepów Cepelii było w Polsce ponad 300, nie licząc kiosków z pamiątkami w kurortach. – Do tego ponad 100 spółdzielni, regionalne biura sprzedaży, zespoły folklorystyczne, sklep w Brukseli i w Nowym Jorku – wylicza Korduba.

Nowojorska Cepelia ulokowana była na Manhattanie, przy Piątej Alei. Początkowo miała być sklepem na pokaz – sygnałem, że i za żelazną kurtyną mamy się czym pochwalić. Dość niespodziewanie okazało się jednak, że nie brakuje klientów gotowych płacić w twardej walucie za polskie projekty.

Tak było m.in. z inspirowanymi podhalańskim folklorem kożuchami zaprojektowanymi przez Grażynę Hase, które w Polsce mało kto widział, bo cała partia została wysłana do Nowego Jorku – stąd na wystawie można zobaczyć tylko projekt. Kożuchy wyprzedały się do cna, choć kosztowały 200 dolarów, wówczas sporo nawet jak na amerykańską kieszeń. Cepelia trafiła w idealny moment: był 1969 r., przez Amerykę przetaczała się kontrkulturowa fala.



• **Figurka ceramiczna zaprojektowana przez Helenę i Lecha Grześkiewiczów, lata 60. XX w.**

FOT. MATERIAŁY MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Folkowe motywy były częścią hippisowskiej mody, ale też Hase była po prostu dobrą projektantką, która potrafiła łączyć ludowe tradycje z nowoczesną formą. Widać to choćby po innym włączonym na wystawę projekcie – odsłaniającej ramiona sukience z krakowskich wstążek.

Abakanowicz tka, ale się odcina

Hase nie była wyjątkiem. Z Cepelią w ciągu lat współpracowali wybitni twórcy, z Magdaleną Abakanowicz na czele, dziś jedną z najbardziej rozpoznawalnych na świecie polskich artystek. Jeszcze jako studentka projektowała wzory tkanin dla spółdzielni Ład, a w latach 60. powierzała tkanie swoich gobelinów warszawskiej spółdzielni Rękodzieło Artystyczne i krakowskiej Wandzie – wszystkie działały pod opieką Cepelii.

Sama Abakanowicz szybko zaczęła się od Cepelii dystansować. Chciała, by jej prace były traktowane jako sztuka, a nie rzemiosło, podkreślała, że jej abakany to rzeźby z tkaniny. Nie wszystkim twórcom ten szyld jednak przeszkadzał. Na wystawie w Krakowie można zobaczyć m.in. prace Wojciecha Sadleya: kompozycję „Barbarossa" i monumentalny gobelin „Przejście przez Morze Czerwone", również wykonane przez załogę Wandy. – To unikaty na miarę najważniejszych świato-

eprasa.pl f179aa1425

wych wystaw. Cepelia miała ogromny wpływ na pojawienie się zjawiska polskiej szkoły tkaniny – podkreśla Anna Wiszniewska.

Unikaty lub krótkie serie Cepelia produkowała nie tylko w tkaninie. W tej samej sali, w której wisi „Barbarossa", Wiszniewska pokazuje mi naczynia kształtem przywodzące na myśl greckie amfory. W kolorowym szkle zastygły dziesiątki bąbelków powietrza. – To tak zwane szkło leśne, lekko zanieczyszczone, nieprzejrzyste. Pojawiało się często w PRL-owskich produkcjach kostiumowych. Pasowało do sarmackiego świata, bo w tamtych czasach dostępne szkło nie było krystaliczne, tylko właśnie takie – opowiada.

Od drewnianych ptaszków po biedermeiery

Sarmackich wątków znajdziemy na wystawie więcej. Ze zdziwieniem odkrywam, że w kraju podkreślającym swoje chłopsko-robotnicze korzenie i głoszącym pochwałę nowoczesności jedna z najważniejszych instytucji decydujących o wzornictwie produkowała stylizowane na antyki meble neogdańskie, rokokowe czy biedermeiery, kopie zabytkowych kobierców i zegarów, a nawet pasy kontuszowe.

Piotr Korduba tłumaczy, że nurt retro w Cepelii narodził się, gdy instytucja włączyła się w odbudowę państwa polskiego po drugiej wojnie światowej. Zniszczone budynki użyteczności publicznej czy muzea potrzebowały odpowiednich mebli czy obić. Podobnie zresztą jak te nowo powstające: w Krakowie można obejrzeć m.in. fotele z wyposażenia Pałacu Kultury.

– Z początku Cepelia wykonywała krótkie serie, np. tkaniny obiciowe dla muzeów czy budynków użyteczności publicznej – tłumaczy Piotr Korduba. – Szybko jednak decydenci się zorientowali, że jest na to spora klientela. I tak instytucja uważana za ukochaną córkę PRL-u zaczęła już w latach 60. wytwarzać przedmioty ikonicznie kojarzone z kulturą szlachecką czy wręcz magnacką.

Stylizowane na antyki meble czy kobierce do tanich nie należały. Ale w latach 70. i 80. coraz więcej Polaków pragnęło mieć w domu choćby drobiazg w stylu retro. Jak wiele obyczajowych zmian, tak i tę dobrze uchwycił „Czterdziestolatek" Jerzego Gruzy: w czwartym odcinku serialu, wyprodukowanym w 1974 r., Karwowscy zmieniają wystrój mieszkania i wieszają na ścianie świeżo zakupiony portret „przodka". Akurat portretu w Cepelii by nie dostali, ale już różne pasujące do niego bibeloty z pewnością.

Choć już w latach 80. moda retro była krytykowana jako kicz, Piotr Korduba się z tą oceną nie zgadza – przynajmniej w większości przypadków. Kurator podkreśla, że meble, tkaniny czy obiekty powstawały we współpracy z muzealnikami, a projekty poprzedzały pogłębione studia historyczne.

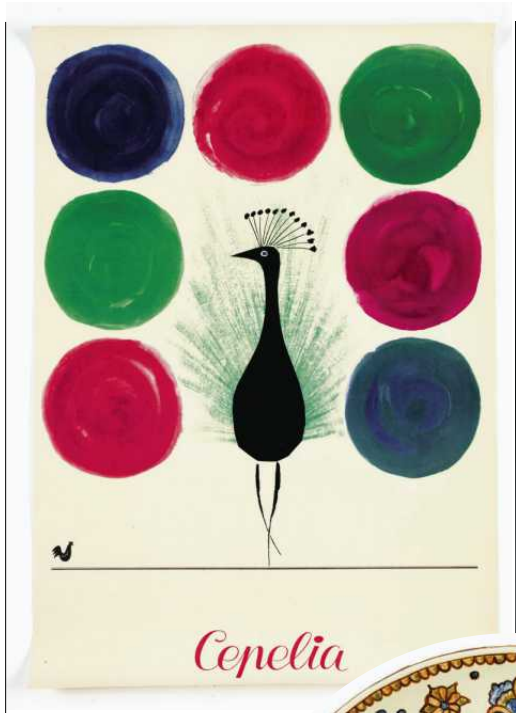
Huculi na Dolnym Śląsku

Unikatowe prace artystów, krótkie serie czy „antyki" to mniej znane odsłony działalności Cepelii. Wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym nie pomija tej najbardziej oczywistej. Choć ją bierze w krytyczny nawias.

– Ludowość, z którą Cepelia najbardziej się kojarzy, jest też najbardziej dyskusyjnym obszarem jej działalności, bo jest to ludowość wykreowana – mówi kurator.

– Ale grzech pierworodny popełniła tu nie Cepelia, ale Oskar Kolberg. To on przedstawił wyidealizowaną i wyestetyzowaną wizję polskiej wsi, która niemal wyłącznie tańczy i śpiewa – dodaje.

Państwowa opieka (którą można też nazwać państwowym nadzorem) mogła oznaczać poprawę sytuacji materialnej twórców, szanse rozwoju dla tych najbardziej utalentowanych czy szansę na ocalenie zanikającego dziedzictwa. Ale sprawiała też, że ludowa twórczość przestawiała być spontaniczna. Zaczynała być oceniana przez profesjonalnych etnografów. I stymulowana przez decydentów. Korduba: – Ludowy twórca rzeźbił ptaszka z drewna. Urzędnik przychodził i mówił: „Bardzo fajnie, to teraz zrób takich sto".





FOT. MATERIAŁY MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE (3)



• **Plakat „Cepelia" z 1965 r. Inspirowany ludową wycinanką a stworzony przez Huberta Hilschera**

• **Krzesło z „Kompletu Kwiatowego" zaprojektowanego przez Władysława Wołkowskiego w 1957 r.**

• **Talerz z serii „huculskiej" wykonany w 1978 r. w Bolesławcu. Projekt: Bronisław Wolanin; dekoracja: malarka Danuta Sernal. Fajans szkliwiony**

Jednym z głównych problemów, przed którymi stanęła Cepelia, był ten, że wytwarzane na wsi ludowe wyroby okazały się – cóż – zbyt ludowe jak na potrzeby mieszkańców miasta. A to oni mieli je kupować. Twórcy musieli więc iść na kompromisy. Korduba: – Na przykład derka na konia, by stać się zasłoną czy kapą na łóżko w mieszkaniu w bloku, musiała zmienić rozmiar i grubość.

Czasem trzeba było wymyślić dla przedmiotu nowe zastosowanie. Trudno wyobrazić sobie Magdę Karwowską niosącą mężowi inżynierowi obiad w ręcznie malowanych dwojakach. Ale już wstawiającą w te dwojaki kwiaty jak najbardziej. Przynajmniej w czasach sprzed portretu „przodka".

Jeszcze bardziej skomplikowana była sytuacja na Ziemiach Odzyskanych. Powojenne władze ze wszystkich sił podkreślały ich odwieczną polskość. Ale zachowana architektura i przedmioty codziennego użytku sugerowały coś wręcz przeciwnego. Cepelia na ziemiach zachodnich miała więc umacniać polskość, poszukując odpowiednich ludowych tradycji i pomijając inne.

Tak było choćby w przypadku fajansu z Bolesławca. Zasobny w glinę dolnośląski region ma tradycje ceramiki sięgające średniowiecza, gildie garncarzy powstawały tu już w XVII w., a w międzyczasie zmieniały się granice i władze. Ceramika z Bolesławca bywała ceramiką z Bunzlau. Założona tam w 1950 r. Spółdzielnia Rękodzieła Artystycznego „Ceramika Artystyczna" powstała w miejsce działającej od 1893 r. do 1945 r. wytwórni Julius Paul und Sohn.

W 1964 r. kierownikiem artystycznym spółdzielni w Bolesławcu został Bronisław Wolanin, wybitny ceramik znany z wdrażania nowoczesnych form. Na przełomie lat 70. i 80. dostał jednak inne zadanie – wyprodukować w zakładzie na Dolnym Śląsku ceramikę huculską. Choć Huculszczyzna należała do Polski przelotnie, a od Dolnego Śląska dzieliły ją setki kilometrów, Wolanin podszedł do tego poważnie: przeszukiwał archiwa, badał kulturę Hucułów, wybierał wzory. W końcu wyprodukował serię naczyń z malowanymi ptakami i jeleniami otoczonymi kwietnymi wieńcami.

Ostatecznie Cepelia z hucułów zrezygnowała, uznając je za kicz. A Bolesławiec wrócił do fajansów zdobionych charakterystyczną techniką stempelkową. Z czasem to właśnie ona zaczęła być kojarzona z polskim rzemiosłem, a dzbanki i filiżanki z granatowymi kółkami sprzedaje dziś od Australii po Kanadę.

Cepelia jako odtrutka

Hasło „kicz" w opowieści o Cepelii powraca. Jak przyznają kuratorzy, niebezpodstawnie. Sukces przedsiębiorstwa napędzał nadprodukcję – nowych wzorów powstawało coraz więcej, projekty były coraz słabiej kontrolowane i coraz gorzej wykonywane. Zwłaszcza w latach 80., gdy coraz trudniej było ukryć niedobory. Nie pomógł fakt, że w latach 90. wiele spółdzielni upadło, a szyld Cepelii przejęła fundacja masowo wydająca atesty „rękodzieła ludowego" prywaciarzom, którzy dzięki temu płacili niższe podatki.

Na wystawie w Krakowie obok cennych unikatów i perełek wzornictwa można zobaczyć również cepeliowskie koszmarki. W części wystawy poświęconej projektowaniu dla dzieci jest zarówno drewniane krzesełko Sarenka z 1971 r., genialny projekt Olgierda Szlekysa dla spółdzielni Ład, jak i szmaciany kaczorek o proporcjach tak wątpliwych, że mógłby być równie dobrze gęsią lub bocianem.

Ale, jak podkreśla Anna Wiszniewska, Cepelia bywała również odtrutką na kicz. Tak było w branży pamiątkarskiej. Niełatwej, nie tylko w Polsce.

– Właściwie od XIX w., kiedy narodziła się nowoczesna turystyka, towarzyszyły jej utyskiwania na jakość pamiątek – zauważa.

W tekście w katalogu wystawy Wiszniewska przywołuje wystawę pamiątek zorganizowaną w Krakowie w 1969 r. Specjalne miejsce dostały na niej pamiątki-potworki: „figurki Japonek na postumencie z podpisem »Kraków«, słonie z nazwą »Zakopane« umieszczoną na tylnej części ciała czy górale-maszkary reprezentujący okolice Ojcowa". – Cepelia miała z tym walczyć. Dbać o to, by pamiątka była estetyczna i edukowała społeczeństwo – tłumaczy kuratorka.

Projekty pamiątek oceniały specjalne komisje, w których skład wchodzili artyści, rzemieślnicy, etnografowie i handlowcy. Z blisko 12 tys. propozycji rocznie wybierali około 8 tys.

Ale kierownictwo Cepelii rozumiało, że musi nie tylko zadbać o to, by ładne pamiątki powstały, ale i to, by Polacy mogli realnie je kupić. W miejscowościach turystycznych wyrosły więc firmowane przez instytucję kioski. Co można było w nich znaleźć?

Między innymi proporczyki z nazwą miejscowości, figurki w strojach ludowych, koguciki wykonane z kolorowych drewnianych wiórków czy skórzane portfeliki ozdobione kawałkiem kolorowej krajki. Wiszniewska zwraca uwagę na odpowiedzialne gospodarowanie materiałem. – Wiele pamiątek powstawało z pozostałości po produkcji. Były spółdzielnie, które swoje obiekty potrafiły wyprodukować nawet w 90 proc. z resztek – mówi.

Dobrze zaprojektowana pamiątka musiała być nie tylko estetyczna, w miarę tania i związana z konkretnym regionem czy miastem. Powinna być też na tyle mała i lekka, by turysta mógł bez problemu zmieścić ją w bagażu. Tak w katalogu cepeliowskich pomysłów pojawiły się miniaturki: ceramiczne naczynia pomniejszone na tyle, by można je schować w plecaku. A na upartego i w kieszeni.

Kiedy Anna Wiszniewska pokazuje mi stojące w gablocie miniaturki, dociera do mnie, że i w moim domu jest przedmiot z Cepelii. No i w końcu znajduję odpowiedź na pytanie: dlaczego ten wazonik jest tak absurdalnie mały? ●

• **W cyklu „Kulturalne weekendy" dziennikarze „Wyborczej" przedstawiają muzea, filharmonie, instytucje kultury.** Odkrywają ich zasoby. Opowiadają o ludziach, którzy je tworzą. Odwiedziliśmy już Muzeum Warszawy, Filharmonię Łódzką i Oddział Muzeum Narodowego w Warszawie w Nieborowie i Arkadii. Dzisiaj opowiadamy o nowej wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Następne spotkanie w Zamku Królewskim w Warszawie.

• **Relacje wideo z tych podróży na Wyborcza.pl**

OGŁOSZENIE
Kraj/34452974



REKLAMA

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

PARTNER PROJEKTU:
PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA
PGE

eprasa.pl f179aa1425



• Karyntia słoweńska (Koroška) słynie z górskich krajobrazów, rozległych lasów i tradycji górniczych

NA KOŃCU ŚWIATA, ALE W CENTRUM

Górzysta Koroška oferuje to, co dzisiaj najcenniejsze: autentyzm, niezwykłą historię i szlaki, których nie zadeptała jeszcze turystyka masowa.

Nikodem Szczygłowski

Późnym wieczorem na stacyjce w górskim mieście Dravograd zalega mgła, a w pobliskim zamku Bukovje wiatr szumi w drzewach. Pociąg jedzie dalej, do Bleiburgu w Austrii, a ja po kilkunastu minutach spaceruję po ciemnym parku z widokiem na ruiny, dostrzegając w ciemności zarys pobliskich gór oraz słuchając szumu rzeki.

Zarówno Bleiburg, jak i Dravograd, między którymi odległość wynosi zaledwie ok. 25 km, leżą w Karyntii, historycznej krainie, która ma dwa oblicza, dwie opowieści o sobie i należy do dwóch państw.

Czym jest Karyntia?

Odpowiedź nie jest łatwa. „Kosmografia z Rawenny" (*Ravennatis Anonymi Cosmographia*), słynne dzieło opisujące znany ówczesny świat, sporządzone przez anonimowego duchownego w Rawennie ok. roku 700, wspomina o słowiańskim plemieniu Carantani jako o wschodnich sąsiadach Bawarczyków. Nieco późniejszy kronikarz Paweł Diakon, mnich benedyktyński z klasztoru na Monte Cassino, w swojej „Historii Longobardów" pisze zaś o „Słowianach w Carnuntum, które błędnie nazywają Carantanum". Nazwa ta, zdaniem badaczy, wywodzi się z praindoeuropejskiego rdzenia, który miałby oznaczać „skałę".

O utworzonym przez Słowian alpejskich na terenach dzisiejszej południowo-zachodniej Austrii i północnej Słowenii wczesnośredniowiecznym państwie o nazwie Karantania wiemy niewiele. Dokumenty wspominają jednak, że lud (*populus*) wybierał swojego przywódcę, są też opisy rytuału wyboru, do którego używano *knežji kamen* – kamienia książęcego, a de facto fragmentu rzymskiej kolumny z kapitelem, który pierwotnie znajdował się w Krnskim gradzie (dzisiejszy Karnburg w Austrii), co także łączone jest z nazwą późniejszej Karyntii. Na kamieniu miał zasiadać przedstawiciel wolnych chłopów, który przepytywał kandydata na księcia. Jeśli rozmowa wypadała pomyślnie, ustępował miejsca nowemu władcy.

Karantania stała się następnie częścią państwa Franków, a po jego upadku jej ziemie leżące na południowych obrzeżach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego stopniowo przeszły pod władzę Habsburgów, ostatecznie stając się ziemią koronną Cislitawii w CK monarchii. Po rozpadzie Austro-Węgier doszło do podziału prowincji – na większą część austriacką, dzisiejszą ziemię związkową, zwaną po niemiecku Kärtnen, i mniejszą, która weszła w skład Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, potem Jugosławii, a dziś Republiki Słowenii – po słoweńsku zwaną Koroška.

Uroki po słoweńskiej stronie

Słoweńska Karyntia jest niewielka, obejmuje trzy doliny nazywane od rzek, które je wyznaczają – Mežiška, Dravska i Mislinjska – oraz trzy pasma górskie: Pohorja, Karawanek i Alpy Sawińskie, które nadają temu regionowi rys niezwykłej, widowiskowej pierwotności i surowości. Z powierzchnią ok. 1000 km² i liczbą mieszkańców nieco ponad 70 tys. zalicza się do najmniejszych w i tak niewielkiej Słowenii.

W minionych stuleciach rozwinęło się tu górnictwo – surowce w górach wydobywano tu już w czasach rzymskich; następnie rozkwitły hutnictwo żelaza i przemysł drzewny, które ukształtowały dzisiejszą infrastrukturę regionu, który dziś stawia też na turystykę, lecz rozumianą nieco inaczej niż chociażby w sąsiadującej ze Słowenią Chorwacji.

„Uroku Karyntii należy szukać nie w majestatycznych zabytkach, lecz w drobnych skarbach, które ukształtowały natura i człowiek – wspólnie lub każdy z osobna. Jest ich wiele i są rozrzucone po ukrytych zakątkach osad oraz po okolicznych alpejskich dolinach wznoszących się u stóp potężnych szczytów. Albo, jak mówią o Karyntii ci, którzy regularnie od-



• **Podziemna trasa rowerowa w masywie góry Peca (2125 m n.p.m.) wiedzie przez wyrobiska i korytarze dawnej kopalni ołowiu i cynku w Mežicy** FOT. RRA KOROSKA

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl f179aa1425



FOT. RRA KOROŠKA

Słoweńska Karyntia

Region w północnej części Słowenii graniczący z Austrią



© GAZETA WYBORCZA



• Slovenj Gradec – dziedziniec zespołu zamkowo-pałacowego Rotenturn

FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

krywają jej wyjątkowość: wyjątkowość odkrywania małych skarbów natury i dziedzictwa materialnego oraz zakątków dzikiej przyrody pośród cywilizacji. Jakby to był koniec świata, choć w rzeczywistości znajduje się na skrzyżowaniu dróg Europy" – przekonuje prospekt STO – Słoweńskiej Organizacji Turystycznej.

Zwiedzając słoweńską Karyntię, rzeczywiście często mam uczucie, jakbym był na końcu świata ale przecież jestem w środku Europy.

– Co sprawia, że ten skrawek Słowenii jest wyjątkowy? – pytam Uroša Rozmana, dyrektora RRA Koroška – Regionalnej Agencji Rozwoju, która działa w Dravogradzie.

– Nie borykamy się z masową turystyką i przeciążeniem najczęściej odwiedzanych obszarów, dzięki czemu goście mogą odkrywać przyrodę, miejsca i ludzi w spokojniejszy i bardziej bezpośredni sposób. Właśnie to poczucie autentyczności stanowi ogromną wartość we współczesnym świecie – tłumaczy Uroš.

Granica na końcu świata

Rano, w słońcu, które stopniowo rozprasza mgły wznoszące się znad Drawy, tuż przy zamku Bukovje oglądam pamiątkę po wojnie dziesięciodniowej – pierwszej, która przypieczętowała rozpad Jugosławii i niepodległość Słowenii. To niewielki pojazd pancerny z armatką przeciwlotniczą i oznakowaniem Obrony Terytorialnej, słoweńskich jednostek, które walczyły z oddziałami Jugosłowiańskiej Armii Ludowej pod koniec czerwca 1991 r., usiłującymi w tym górzystym terenie przejąć kontrolę nad przejściami granicznymi z Austrią.

Austria leży tu na wyciągnięcie ręki, a kwestia przebiegu granicy stawała się w XX w. kilkakrotnie kością niezgody. Najłatwiej o tym się przekonać w Libeličach, bukolicznej wsi w zakolu Drawy poniżej pasma Libeliškej Gory. Drugi brzeg Drawy jest porośnięty wierzbami i należy już do Austrii, 400 m na północ od wsi znajduje się dawne przejście graniczne, a jedyna droga łącząca wieś z resztą kraju prowadzi na południe wzdłuż rzeki. Libeliče zasłynęły z wyników plebiscytu po I wojnie światowej: wieś miała się znajdować po austriackiej stronie granicy, lecz jej mieszkańcy się sprzeciwili.

– Po zakończeniu I wojny światowej nie było zgody na arenie międzynarodowej, gdzie w tym miejscu powinna przebiegać granica – mówi mi Adrijan Zalesnik, emerytowany profesor gimnazjum, pasjonat historii plebiscytu, który sprawił, że nazwa małej, nikomu nieznanej wsi karynckiej w 1920 r. znalazła się w nagłówkach europejskich gazet.

Razem z Adrijanem stoimy na wzgórzu przy Kościele św. Marcina, obok jest karner (łac. *carnarium*) z XII w., w którym gromadzone są kości pochowanych tu od prawie 600 lat mieszkańców parafii. W dole widać Drawę, owocowe sady, dolinę za rzeką i góry należące już do Austrii.

– Próbowano wtedy uregulować kwestię granicy: jedni się domagali, by przebiegała przez Karawanki, inni wzdłuż nurtu Drawy, a jeszcze inni, by dzieliła obszar, uwzględniając różnice językowe – opowiada Zalesnik.

Szczególny przypadek: Libeliče

Ostatecznie postanowiono (podobnie jak na Śląsku) w południowej Karyntii, zamieszkanej przeważnie przez ludność słoweńską, przeprowadzić 10 października 1920 r. plebiscyt. Wynik głosowania miał pomóc w ostatecznym ustaleniu granicy. Poprzedziła go zaciekła akcja propagandowa z obydwu stron.

– Austriacy obiecali słoweńskie szkoły, język słoweński w administracji, a do tego życie w kraju o stabilnej i bardziej rozwiniętej gospodarce – zaznacza Adrijan. – Ostatecznie większość z tych, którzy wzięli udział w głosowaniu na terenach objętych plebiscytem, ponad 60 proc., opowiedziała się za Austrią. Mieszkańcy wsi uznali jednak, że ta decyzja nie powinna ich dotyczyć, zwłaszcza że Austriacy od razu zapomnieli o swoich obietnicach i oficjalnym językiem w Libeličach z dnia na dzień stał się niemiecki. Libeliczanie rozpoczęli więc masowy bojkot decyzji plebiscytowej, czego najbardziej widowiskowym elementem było przenoszenie w nocy kamiennych słupków granicznych, tak aby zgodnie z nimi wieś znajdowała się na południe od austriackiej granicy, w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Walka małej wsi z rządem w Wiedniu trwała dwa lata i ostatecznie zakończyła się sukcesem: we wrześniu 1922 r. przebieg granicy w tym miejscu wytyczono zgodnie z wolą mieszkańców, pozostawiając wieś po jugosłowiańskiej stronie.

– Minęło wiele lat po plebiscycie, w latach 70. zbudowano tu drogę, która w końcu połączyła nas z resztą Słowenii, ale wciąż mieszkamy na naszym końcu świata tak samo jak kiedyś. Nie wpuściliśmy przemysłu do Libelič, żeby nie zniszczył pięknej przyrody, wciąż większość mieszkańców utrzymuje się z rolnictwa. Dobrze dogadujemy się z sąsiadami z tamtej strony granicy, niezależnie od tego, iż uważają, że są Windischarami, a nie Słoweńcami. „Vindišar" było kiedyś właśnie pejoratywnym określeniem karynckiego Słoweńca, a ich dialekt jest dokładnie taki sam jak dialekt naszej wsi. Granica już nas nie dzieli, a Drawę i góry mamy przecież wspólne – podsumowuje Adrijan.

Projekty ponad granicą

– Karyntia historycznie była jednolitym obszarem, dlatego więzi między słoweńską Koroško a austriacką Kärtnen są silne również dzisiaj – przekonuje mnie też Uroš Rozman. – I to zarówno na poziomie współpracy transgranicznej, jak i wspólnych działań rozwojowych. Jak w każdym takim obszarze, również tutaj pojawiają się przeszkody administracyjne, infrastrukturalne i organizacyjne, ale dzięki dobrej współpracy i wspólnemu planowaniu można je skutecznie pokonywać.

– Austriacka część Karyntii jest bardziej rozwinięta turystycznie i bardziej rozpoznawalna na rynkach zagranicznych [na zewnątrz promuje się pod nazwą Carinthia, w odróżnieniu od słoweńskiej części, która zostaje przy rodzimej nazwie regionu] – dodaje Uroš. – Ma wielokrotnie większą liczbę noclegów niż nasz region w Słowenii, co wskazuje na duży potencjał rozwojowy też dla nas. Dlatego integracja obu obszarów jest ważna, nie tylko z punktu widzenia wymiany wiedzy i dobrych praktyk, ale też w zakresie wspólnego rozwoju oferty turystycznej i dostępności komunikacyjnej.

Jako dobre przykłady podaje: transgraniczne połączenia autobusowe Štrekna bus i Geopark Bus, dostosowane do potrzeb zwiedzających region po obydwu stronach granicy na piechotę bądź z rowerem, oraz liczne działania w ramach globalnego geoparku UNESCO Karavanke, które ułatwiają odkrywanie oferty turystycznej po obu stronach granicy.

Centrum świata w Słowenii

W Slovenj Gradcu – największym mieście słoweńskiej Karyntii – rozmawiam z Klemenem Uršnikiem, historykiem, przewodnikiem, który pracuje w lokalnym muzeum krajoznawczym.

Pierwsza wzmianka o mieście pochodzi z 1091 r. Pięknie położone w dolinie między Pohorjem i masywem Uršlja, wraz z sąsiednimi Ravne na Koroškem i Dravogradem Slovenj Gradec tworzy aglomerację karyncką – centrum regionu rozwojowego słoweńskiej Karyntii.

Z Klemenem zwiedzam zabytkowe centrum, m.in. Kościół św. Ducha, dawną świątynię przy szpitalu miejskim z początku XV w. To piękny przykład architektury gotyckiej z robiącym niezwykle wrażenie barokowym wyposażeniem i freskami z końca XV w. przedstawiającymi 27 scen z Pasji. Tuż obok znajduje się imponujący gotycki Kościół Farny św. Elżbiety Węgierskiej z XIII w., pierwszy kościół tego wezwania w Europie, jak tłumaczy mi Klemen.

Z miastem jest związanych kilka postaci historycznych, których życiorysy są gotowym materiałem na film fabularny.



• **Jugosłowiański plakat propagandowy z okresu plebiscytu w 1920 roku. Pochodzi z wystawy poświęconej tamtym wydarzeniom w muzeum we wsi Libeliče**

FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

eprasa.pl f179aa1425

Na przykład Gusti Stridsberg (1892-1978), urodzona w Czerniowcach w rodzinie bankierów jako Augustine Franziska Mayer, dorastała w Wiedniu, w 1916 r. przeprowadziła się do posiadłości Hartenštajn w pobliżu Slovenj Gradca, gdzie spędziła ponad dekadę.

Nauczyła się języka słoweńskiego i odkrywała kulturę małego narodu, który do tej pory oznaczał dla niej jedynie „niewyczerpane źródło rolników i służących, poborców podatkowych i żandarmów", jak pisała w dzienniku. Ta zamożna dziedziczka, wykształcona poliglotka, właścicielka majątku i dworu, wolontariuszka podczas dwóch wojen światowych, korespondentka i reporterka, agentka służb specjalnych, badaczka w Szwedzkim Instytucie w Sztokholmie, tłumaczka i pisarka z pewnością wiele miała do opowiedzenia o burzliwych dziejach Europy XX w. na podstawie własnych doświadczeń. Jednak dolina Mislinji i posiadłość Hartenštajn z przepięknym widokiem na górę Uršlja, z aleją jabłoni, kamiennymi schodami i kwitnącą glicynią poruszyły ją tak głęboko, że w swoich powieściach nieustannie do nich wracała.

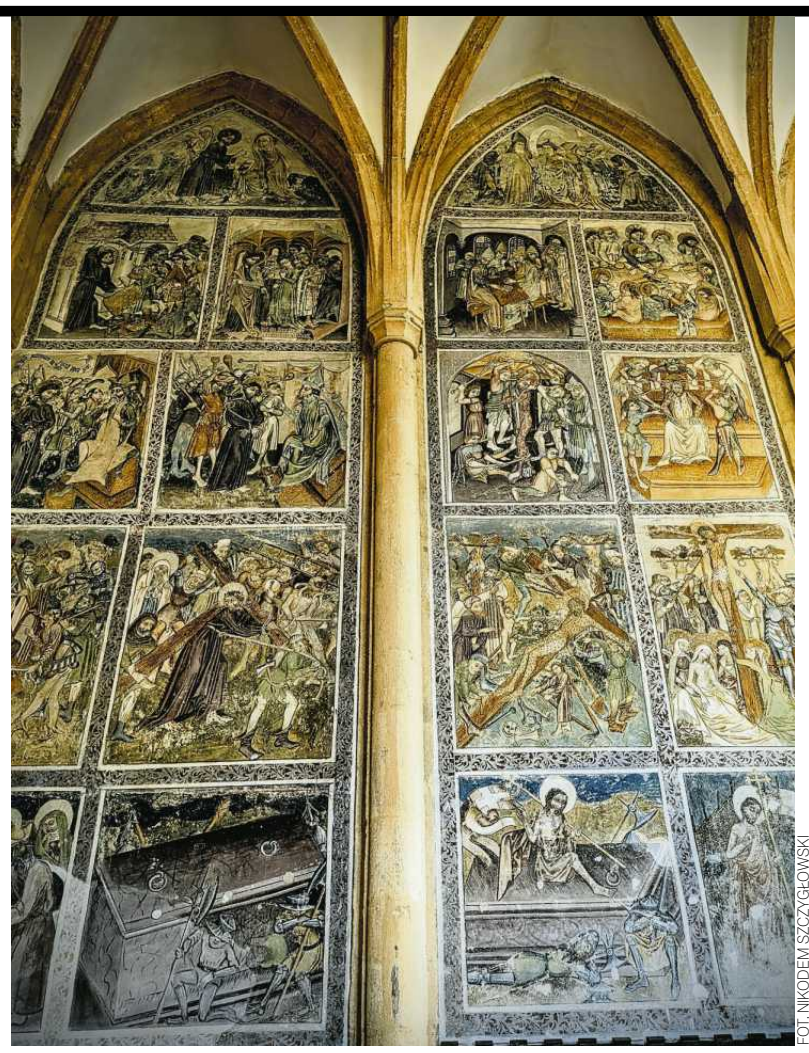
Inna postać to znany kompozytor Hugo Wolf, mistrz późnego romantyzmu, który w 1860 r. urodził się w domu przy Rynku Głównym. Tuż obok działa zakład Pergera, gdzie od 1757 r. ręcznie produkowane są pierniki i świece, obecnie już przez dziewiąte pokolenie tej rodziny. Wyroby Pergera otrzymują zazwyczaj w prezencie ważne osobistości z całego świata, które odwiedzają Słowenię.

Tradycja średniowiecznych rzeźbiarzy i barokowych mistrzów tego miasta przełożyła się też na cieszącą się uznaniem działalność Galerii Sztuk Plastycznych, dzięki której Slovenj Gradec w ciągu ostatnich czterech dekad zyskał rozgłos daleko poza granicami Słowenii.

Fasadę galerii, która mieści się w budynku dawnego ratusza, zdobi neon z napisem „Središče sveta" (Centrum świata), co pierwotnie miało wymiar żartobliwego performance'u. Jednak jest coś na rzeczy, jeśli się pomyśli, że to małe miasto w górskiej dolinie, liczące nieco ponad 7 tys. mieszkańców, do którego nie dociera kolej (ale jest heliport), organizuje rocznie nawet kilka międzynarodowych wydarzeń na najwyższym poziomie, m.in. I Feef Slovenia World Cup Inline Slalom 2026, spektakl sztuk średniowiecznych, festiwal filmu krótkometrażowego Shots, festiwal filmów animowanych Zebra oraz międzynarodowy kongres medyczny organizowany przez najlepszy w całej byłej Jugosławii szpital, który specjalizuje się w leczeniu choroby Fabry'ego.

Przy wyjeździe ze Slovenj Gradca spoglądam na góry i liczne ścieżki rowerowe, które prowadzą w dolinę.

– Gdybyśmy mieli wskazać kilka powodów, dla których warto odwiedzić Koroškę, na pierwszym miejscu byłyby przygody na świeżym powietrzu. Koroška jest wyjątkowym kierunkiem dla miłośników dwóch kółek – od parków i malowniczych tras rowerowych np. szlaki Štrekna pot i Dravska pot, po liczne możliwości indywidualnego odkrywania gór na rowerach gravelowych i górskich. Dzięki różnorodności terenu i dobrze rozwiniętej ofercie Koroška to raj dla rowerzystów – tłumaczy Uroš.



FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

• **Slovenj Gradec. Freski w Kościele św. Ducha ze scenami Pasji**

Podziemia wielkiej góry

Wśród regionów tak górskiego kraju jak Słowenia Koroška rzeczywiście należy do najbardziej górzystych. Wzniesienia zajmujące 90 proc. terytorium, to przedalpejskie pasma górskie. Najważniejsze z nich to szczyty Pecy, Raduhy i Uršlji, pasma Pohorje oraz Olševa. Na wschodzie, tam, gdzie Pohorje przechodzi w Karawanki, rozciąga się przepiękna dolina – Park Krajobrazowy Topla. Warto się tu zatrzymać i spróbować choć na chwilę uchwycić wzrokiem malowniczy krajobraz górskich łąk i zalesionych szczytów.

Na północy doliny, w miejscowości Mežica znajduje się też wielka atrakcja regionu – podziemia góry Peca, dawne tereny kopalni ołowiu i rudy żelaza. Przez wieki górnicy wykopali tu labirynt ok. 1000 km tuneli, z których niewielka część jest dziś udostępniona turystom. Zwiedzić kopalnię można, korzystając z pociągu górniczego, który kursuje przez długi na 3,5 km tunel Glančnik do serca góry, skąd dalszą drogę można pokonać pieszo z przewodnikiem. Szczególnym przeżyciem jest przejażdżka specjalną trasą podziemną na rowerach górskich lub spływ kajakowy po zalanych tunelach i wyrobiskach. Podziemia Pecy stanowią też punkt wyjścia transgranicznego do Geoparku Globalnego UNESCO Karawanki.

Od pasjonata lokalnej historii Vladimira Ovniča otrzymuję tu potężną dawkę wiedzy historycznej na temat górnictwa i hutnictwa w regionie, które napędzały rozwój gospodarczy w XIX i na początku XX w.

Dowiaduję się o największej kopalni węgla na ziemiach słoweńskich w pobliskim Prevalje, o Anglikach, którzy modernizowali przemysł kopalniany na przełomie wieków i wprowadzili wśród miejscowych Słoweńców kulturę picia herbaty, a także o czasach okupacji niemieckiej i słoweńskiej partyzantce, która prężnie działała właśnie tu, w lasach i górach Karyntii. I o słoweńskim ruchu oporu przeciwko nazizmowi na północ od Karawanek, w austriackiej części Karyntii, który zaczął się już w 1942 r. i dzięki któremu m.in. po zakończeniu wojny Austria uzyskała status odmienny od Niemiec.

Historia toczy się przez tę ziemię niczym nurt Drawy i jak podziemia Pecy ukrywa jeszcze wiele opowieści.

W trójce zalesionych

W Słowenii jest więcej lasów niż w większości krajów w Europie, a słoweńska Karyntia należy do najbardziej zalesionych regionów kraju. W zachodniej części Pohorja lasy są głębokie i ciemne, miejscami nie do przebycia, okolice Ribniškiego Pohorja zaś porasta świerk Sgerma, który ze swoją wysokością 61,8 m jest uważany za najwyższe drzewo w Europie Środkowej. Dla mieszkańców Karyntii drzewa to pradawny symbol życia. W wielu miejscach przy starych gospodarstwach królują wielowiekowe lipy, które mają szczególne znaczenie w kulturze ludowej Słoweńców. W Karyntii można też podziwiać najstarszą słoweńską lipę – liczy sobie ponad 770 lat i rośnie przy gospodarstwie Najevnik pod górą Smrekovec.

W miejscowości Radlje ob Dravi, w XVII-wiecznym zamku Radlje (niem. Mahrenberg), funkcjonuje dziś wyjątkowo nowoczesne, interaktywne muzeum poświęcone lasom, które łączy lokalne dziedzictwo z historią regionu oraz tradycjami leśnictwa.

– Leśnictwo ma ogromne znaczenie dla Słowenii i Słoweńców – mówi mi Alenka Verdinek, starsza kustoszka muzeum. – Gdziekolwiek się udamy i spojrzymy, widzimy las. Nawet nasze miasta w większości leżą w pobliżu obszarów leśnych.

Idea leśnictwa, czyli gospodarowania lasami w zgodzie z naturą, zaczęła się urzeczywistniać po II wojnie światowej, gdy w Słowenii, wówczas republice związkowej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii, zakazano wycinki całkowitej, co miało na celu ochronę ekosystemu leśnego.

– Dlatego dzisiaj możemy się pochwalić tym, że ponad 60 proc. powierzchni kraju pokrywają lasy – z dumą mówi Alenka. – I jest to powierzchnia większa niż przed II wojną światową. Słowenia jest w pierwszej trójce w Europie pod tym względem, razem z Finlandią i Estonią – podkreśla i opowiada mi historię życia człowieka, który stworzył podwaliny bogactwa leśnego Słowenii – Franjo Pahernika, któremu poświęcona jest część ekspozycji muzeum.

Lasy Pahernika

Na stacji kolejowej w Vuhredzie, rodzinnej miejscowości Pahernika, czekając na pociąg do Maribo-ru, rozmyślam nad jego życiorysem. Urodzony w 1882 r., dyplomowany w 1905 r. w Wiedniu inżynier leśnictwa Franjo Pahernik odziedziczył niewielki las w pobliżu Vuhredu. Stopniowo go powiększał i uzyskał spójny kompleks leśny o powierzchni 552 ha, skupił się na wdrażaniu nowych metod gospodarki, polegających m.in. na naturalnej odnowie i pielęgnacji lasu.

Zalesiał tereny odpowiednimi gatunkami drzew, zakładał szkółki leśne, do II wojny światowej zdołał tak zagospodarować ok. 100 ha opuszczonych pastwisk i łąk. W 1935 r. opracował pierwszy plan gospodarki leśnej dla swoich lasów i tak położył podwaliny pod leśnictwo przyjazne środowisku, a później został uznany za pioniera zrównoważonej gospodarki leśnej w dolinie Drawy. Podczas okupacji nazistowskiej trafił do okrytego ponurą sławą obozu Jasenovac w NDH, który cudem przeżył.

Los nie był dla niego łaskawy – konfiskata całego majątku przez niemieckiego okupanta, śmierć syna w Jasenovcu w kwietniu 1945 r., emigracja córki do USA, wywłaszczenie przez powojenne władze. Mimo to Pahernik aż do śmierci w 1976 r. starał się, aby jego lasy, mimo wywłaszczenia, zachowały zrównoważony rozwój. Jego koncepcję leśną przejęli współpracownicy, a lasy Pahernika stały się międzynarodowym obiektem edukacyjnym, który dziś odwiedzają wycieczki i eksperci leśnictwa.

„Zielona, aktywna, zdrowa"

Logotypem, którym promuje się słoweńska Karyntia, jest przekrój pnia drzewa w kształcie przypominającym serce. Hasłem, które ma oddawać to, jak Słoweńcy postrzegają turystykę, jest: „Zielona, aktywna, zdrowa". Co powoduje, że turyści przybywający do tego kraju wybierają wśród jego licznych atrakcji region raczej niszowy nawet w krajowym kontekście?

Uroš Rozman widzi to tak: – Turyści przybywający do Koroški nie szukają turystyki masowej, wielkich parków rozrywki ani przepełnionych ośrodków turystycznych. Przyjeżdżają ci, którzy szukają autentycznych wrażeń na łonie natury, spokoju, relaksu i aktywnego wypoczynku. W tym tkwi jedna z największych zalet Koroški: oferuje przestrzeń, kontakt z naturą i wrażenia, które wciąż nie są jeszcze masowe. Połączenie aktywnego wypoczynku, kuchni wysokiej jakości, wyjątkowych wrażeń i komfortowych noclegów tworzy to, co chcemy, aby gość wyniósł z Koroški: poczucie autentyczności i powód, by tu wrócić. Jest to również jeden z kluczowych sposobów, dzięki którym rozpoznawalność regionu stopniowo rośnie.

Zastanawiam się, czy we współczesnym świecie turystyka rzeczywiście może być czymś, co nie łączy się ze słowem „masowy", a jednocześnie wspiera rozwój regionu.

– Turystyka ma przynosić korzyści nie tylko odwiedzającym i gospodarce, ale także, a może przede wszystkim, lokalnej społeczności oraz przyczyniać się do ochrony przyrody, dziedzictwa kulturowego i jakości życia – przekonuje mnie Uroš. I dodaje, że najważniejszym elementem pobytu w słoweńskiej Karyntii są autentyczne i prawdziwe przeżycia, które trudno znaleźć gdzie indziej.

Właśnie autentyczne historie, które można poznać tu, w górach i lasach na końcu (a jednocześnie w centrum) świata, sprawiają, że Koroška, czyli słoweńska Karyntia, jest tak wyjątkowa. ●



FOT. RRA KOROŠKA

• **XVIII-wieczny zamek Bukovje w miejscowości Dravograd, to jeden z najcenniejszych zabytków architektury barokowej w słoweńskiej Karyntii**

Nikodem Szczygłowski



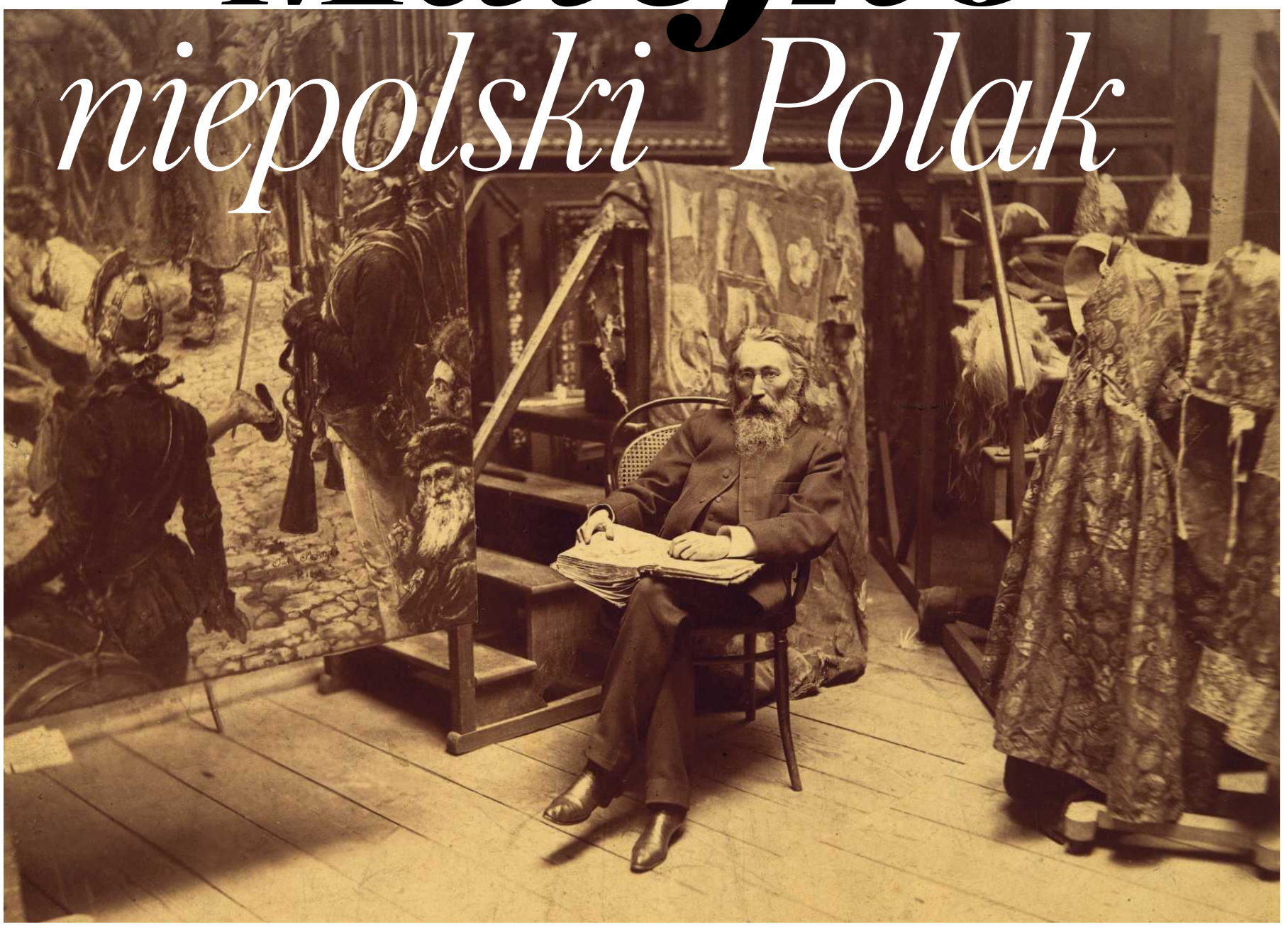
• Ur. w 1978 r. publicysta, dziennikarz, eseista, pisarz i tłumacz specjalizujący się w Europie Środkowej, zwłaszcza w Słowenii. Autor tekstów poświęconych historii i kulturze Słowenii oraz tłumacz dzieł słoweńskich pisarzy, m.in. Draga Jančara.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl f179aa1425

POLECA ADAM MICHNIK

Matejko niepolski Polak



• **Jan Matejko w pracowni przy obrazie „Konstytucja 3 Maja 1791 roku”, fotografię wykonał Juliusz Mien, 1891.** REPR. JAROSŁAW CYGANIK/MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Ten artysta zawarł w swej sztuce wiele ciekawych przekazów kompozycyjnych i psychologicznych. **Ale w popularnym odbiorze zagłusza je huk oręża i ekspresja tłumów tworzących historię.**

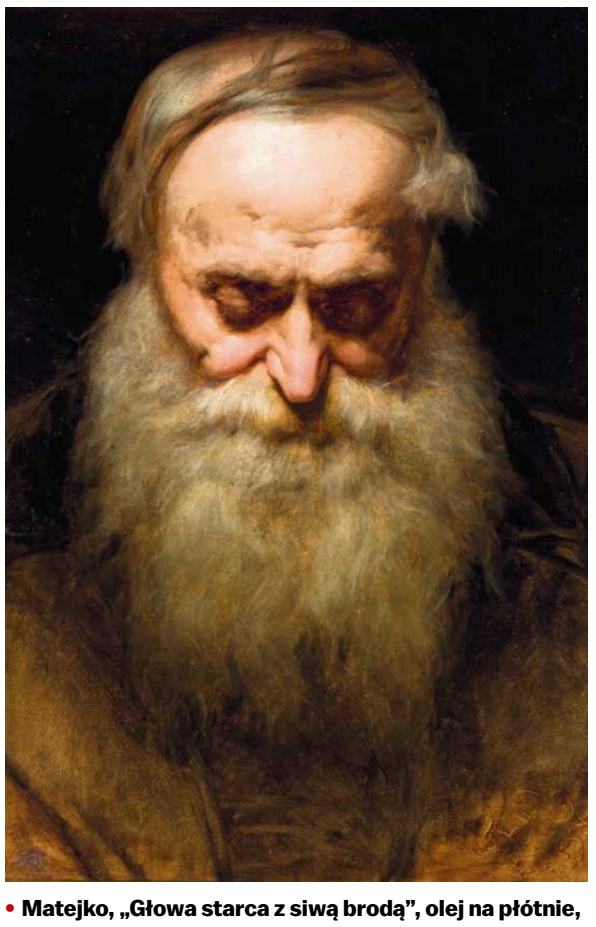
Maria Anna Potocka*

To naprawdę zaskakujące, że skrajni politycy prawicowi – którzy tak lubią zaglądać pod podszewkę urodzenia i pochodzenia – nie wystąpili jeszcze z propozycją usunięcia Jana Matejki z historii sztuki polskiej. Zapewne przyczyna tkwi w brakach edukacyjnych.

Ojciec Jana był Czechem, a matka, z domu Rossberg, pochodziła ze spolonizowanej rodziny o niemieckich korzeniach. Wszyscy czuli się Polakami, rozmawiali po polsku, a Jan stał się wręcz symbolem polskości. Ten artysta do tego stopnia zaraził się historią Polski, że w końcu poczuł się za nią odpowiedzialny.

Najpierw psychologia

Matejko bardzo starannie przygotował się do tego szczególnego zadania, jakim było „wyniesienie polskiej historii na cokół malarstwa”. Szkicował wszystko, czego nie mógł mieć fizycznie, a co wydawało się ważnym dokumentem. Poza tym zbierał stroje, broń, siodła i kolekcjonował rekwizyty historyczne. Miał nawet wypchanego konia.



• **Matejko, „Głowa starca z siwą brodą”, olej na płótnie, 1858, 62×44, Muzeum Narodowe w Krakowie**
FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

Rysował prawie bez przerwy, a potem malował, chyba że akurat spał lub jadł. Powstało 300 obrazów – w tym sporo gigantów – oraz mniej więcej pięć tysięcy rysunków.

Ale Matejkowska świadomość historyczna narastała powoli, a swoje początki miała najprawdopodobniej w zainteresowaniach psychologicznych tego wnikliwego człowieka. Wprawdzie już pierwsza jego znana praca – miał wtedy 12 lat –przedstawia scenę historyczną, ale można odnieść wrażenie, że historia była tu tylko pretekstem pozwalającym na podglądnięcie ludzkiego charakteru. Szymon Konarski był okrutnie torturowany, ale wytrzymał męki i stał się symbolem niezłomności.

W późniejszych obrazach Matejki – wprawdzie jeszcze bardzo młodego, ale malarsko już zupełnie swobodnego artysty – zainteresowania ludzką psychiką ujawniają się jeszcze wyraźniej.

Malarz jak chirurg, pędzel jak skalpel

Sztandarowym przykładem wnikliwości psychologicznej mistrza Jana jest „Portret starca”, będący przenikliwą analizą fenomenu starości. Ten stary człowiek nie patrzy przed siebie, tylko kieruje oczy w dół, gdzie jego bliska przyszłość. Życie zapisało się na jego twarzy gęstwiną faktów, doświadczeń i myśli. Usta ma zaciśnięte w ten szczególny sposób, który kryje w sobie rozczarowanie pomieszane z niezgodą. Jego zabawna fryzura z „pożyczką” ujawnia resztki kokieteryjnej słabości. Ten portret kryje w sobie niemal pełnię duchowego niepokoju starości.

Matejko miał 20 lat, kiedy namalował ten niesamowity portret. Skąd się wtedy brali tacy przenikliwi młodzi

eprasa.pl f179aa1425

ludzie? Z trudności i upokorzeń dzieciństwa, surowości rodziców, wyroku samodzielności?

Matejko w tym wieku osiągnął wnikliwość „rentgenowską". Potrafił jak chirurg – skalpel pędzla – przeniknąć stan ducha człowieka starego. Wykorzystał przy tym wiele chwytów i podstępów kompozycyjnych. Jest to najbardziej refleksyjne studium starości w sztuce polskiej.

Jednak mistrz Jan nie z tym talentem przebił się na karty wielkiej historii sztuki, ponieważ „nie tam go szukano". Swój czujny talent - polegający na zaglądaniu człowiekowi do duszy i bezbłędnym wyrażaniu tego malarstwem - zagłuszył Matejko superprodukcjami. Wybitnymi inaczej. Ale oczywiście nic straconego, bo to wnikliwe spojrzenie terapeuty znajduje potem wyraz w jego historycznych tłumach i jest wykorzystywane – chociaż nie tak dogłębnie – w licznych portretach.

Na tym polegała główna przyjemność, jaką Matejko znajdował w malarstwie; widzieć więcej, dłużej i gęściej niż pozwala na to nadmiernie ruchliwa i rozproszona rzeczywistość, zatrzymać rzeczy ważne w stop-klatce, która unicestwia przemijanie czasu, unieruchomić człowieka z wyrazem, który oddaje go najdobitniej. Tę artystyczną mądrość wprowadzał również do autoportretów.

Malarstwo potrafi spełniać marzenia człowieka patrzącego wnikliwiej. To superkreatywny „zatrzymywacz" tego, co „komuś" wydaje się ważne. I ten „ktoś" dostaje – ale tylko czasem i tylko niektóry – prawo do wejścia ze swoim komentarzem do naszych umysłów.

Narzędzie magiczne

Dociekliwość młodego Matejki szukała tematów pozwalających na podglądnięcie zachowań ludzkich. Namalował Kochanowskiego stojącego w pełni zgrozy i zdumienia nad trumienką Urszulki, córeczki, w której odkrył pokrewną duszę poetycką. To człowiek, który stracił spory kawałek siebie.

Innym obrazem będącym – znacznie bardziej rozbudowaną – sceną podglądów psychologicznych jest „Otrucie królowej Bony". Mam do tego obrazu szczególny sentyment. Przez wiele lat pracowałam jako rzeczoznawca w Desie i ten obraz trafił na jedną z komisji. Nasze zadanie polegało na potwierdzeniu autentyczności i podaniu ceny. Miałam go wiele razy w rękach i oglądałam z każdej strony. Po naszych ustaleniach dzieło zostało zakupione przez Muzeum Narodowe w Krakowie.

Ten obraz przedstawia zaaranżowaną scenę historyczną, w której dla artysty ważne są jedynie gry psychologiczne. Wprawdzie Bona była królową Polski, ale jej otrucie nie miało nic wspólnego z Polską. Mieszkała wtedy w Bari, w Apulii, i starała się odzyskać pieniądze pożyczone hiszpańskim Habsburgom. Udaremniono jej to w najbardziej skrajny sposób.

Mamy na tym obrazie cztery stany duchowe związane z tym zdarzeniem. Bona wydaje się zdesperowana. Zawiesiła ekspresyjnie rękę pod zabójczym kielichem, ale czujemy, że go weźmie i pójdzie za losem. Jej piękna dwórka to ciekawe pomieszanie uczuć przenikających spokojną na pozór twarz. Są w niej napięcie, wyrzuty sumienia i wyczekiwanie skutku. Niewątpliwie jest wtajemniczona.

Starzec podający kielich wydaje się niewinny, ale niekoniecznie. Za dużo w nim współczucia. Czyżby zmuszono go do podania trucizny? W szparze kurtyny widzimy postaci obserwujące scenę. W ich pozach widać napięte oczekiwanie na efekt pierwszoplanowej akcji. Co za theatrum stanów ducha!

Matejko również traktował czasem malarstwo jako narzędzie magiczne. Po śmierci swojego młodego szwagra, z którym był zaprzyjaźniony, namalował „Wskrzeszenie Łazarza", gdzie twarzy ożywionego bohatera nadał rysy księdza Stanisława Giebułtowskiego. Ale w tych wczesnych obrazach najważniejsze było znalezienie scen, które wymuszają na uczestnikach zdarzenia ciekawe i niezwykłe reakcje psychologiczne. Temu na początku służyło aranżowanie scen historycznych.



• **Matejko, „Otrucie królowej Bony", olej na płótnie, 1859, 77,5×62, Muzeum Narodowe w Krakowie** FOT. PAWEŁ CZERNICKI

Matejko miał 20 lat, kiedy namalował niesamowity „Portret starca". Skąd się wtedy brali tacy przenikliwi młodzi ludzie? Z upokorzeń dzieciństwa, surowości rodziców, wyroku samodzielności?

Po pewnym czasie Matejko zaczął się jednak coraz bardziej angażować w sensy historyczne, wyciszając tym samym zainteresowania psychologiczne. Ten proces doprowadził do poczucia posłannictwa, które najczęściej ma tylko jeden kierunek – spełnić zadanie. Matejko podjął swoje przeznaczenie i tym tematom poświęcił największy wysiłek.

Ale w międzyczasie – na wielokrotnie mniejszych płótnach – z różnym skutkiem folgował swoim pasjom psychologicznym. Najgorzej mu to wychodziło w czułościach Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną.

Wykuwanie polskości

Matejko stał się tak bardzo Polakiem, że postanowił poświęcić swój talent, zdrowie i siłę, aby innym Polakom pomóc w staniu się lepszymi Polakami. Z jednej strony napominał, z drugiej podbijał poczucie dumy narodowej.

Pierwszym obrazem w tym warsztacie wykuwania polskości było „Kazanie Skargi": „Teraz do was mówię". Potem idą napomnienia: „Polonia – rok 1863", „Rejtan". A po nich wiele tematów patriotycznie „pochlebnych", w tym najważniejsze: „Unia lubelska", „Stefan Batory pod Pskowem", „Zawieszenie dzwonu Zygmunta", „Bitwa pod Grunwaldem", „Hołd pruski", „Jan Sobieski pod Wiedniem", „Kościuszko pod Racławicami", „Chrzest Litwy", „Konstytucja 3 Maja".

Artysta nie stara się o oddanie prawdy historycznej, tylko o odpowiednią godność strony polskiej. Batory wynosi się zwycięsko nad wysłannikami Iwana Groźnego, chociaż Pskowa nie zdobył, a jedynie zawarł rozejm. Inna bajka – chociaż tam bez żadnych podmalówek zwyciężyliśmy spektakularnie – pojawia się w obrazie „Sobieski pod Wiedniem".

To dzieło jest chyba najbardziej spektakularnym „przegięciem" malarskim Matejki. Obraz przedstawia scenę mocno absurdalną. Bitwa niedawno się skończyła, koń Sobieskiego dyszy jeszcze napięciem bitewnym i wykrzywia ekspresyjnie „twarz". Ale zasiadający go król jest już majestatycznie spokojny. Wygląda na to, że siedząc na koniu, zdążył jakoś pod koniec bitwy napisać list do papieża z informacją o zwycięstwie, które uratowało chrześcijaństwo. Teraz wręcza ten list swojemu kanonikowi, który – jak dowodzą tego dokumenty – był w tym czasie w Rzymie.

Historia woli być opowiadana według wyższych potrzeb. Nie szkodzi jej przesada. Lubi symboliczne deformacje i zagęszczenia; na pewno w malarstwie. Wokół sceny centralnej panuje pod Wiedniem malarski chaos pobitewny. Kotłują się konie, dostojnicy, kler, żołnierze, sztandary, broń, a poniżej kopyt króla leży nawet martwa kobieta z odkrytą piersią. To najbardziej tajemniczy przekaz tego obrazu.

Jakby tego było mało, całość kompozycji jest zwieńczona - jak katedralnym portalem – wyjątkowo wyrazistą tęczą, rysującą się na niebie, z którego schodzi burza.

Ten obraz został przez Matejkę namalowany w 200. rocznicę odsieczy wiedeńskiej. Artysta postanowił podarować go papieżowi. W 1883 roku wyruszył z nim z Krakowa. Zatrzymał się w Wiedniu, gdzie wynajął „godną" salę i udostępnił wiedeńczykom swoje dzieło - obraz będący dowodem na to, że miasto Wiedeń (i nie tylko) uratował Polak. Potem obraz ruszył do Rzymu, gdzie został przekazany papieżowi. Było to wielkie wydarzenie dyplomatyczne. Matejko dostał papieski medal, a obraz stał się ważnym eksponatem w Muzeum Watykańskim.

Malczewski, Wyspiański i inni uczniowie

Cała akcja była jednym z aktów hojności, z jakiej słynął ten artysta. Muzeum Narodowemu w Krakowie podarował „Kościuszkę pod Racławicami". Z kolei Wawelowi ofiarował „Hołd pruski", jednak ten obraz z dawno minionych powodów politycznych „przykleił się" do Sukiennic. Francuzom chciał koniecznie podarować Joannę d'Arc, ale tym razem krakowianie się postawili, uznając, że „dość tego dobrego i jak można tak rozdawać NASZE".

Darowizny zagraniczne traktował Matejko jak akty dyplomatyczne. Miały głosić chwałę Polski, wyrażać nasz szacunek dla danego kraju, ale również zobowiązywać obdarowanego do Polski. Pod intencją prezentu dla Francuzów kryła się jeszcze wdzięczność profesora, który wysyłał tam na nauki – za pieniądze uczelni i własne – swoich studentów. Za co mu się obrywało, chociażby od Wyspiańskiego, który czuł się zniewolony koniecznością składania raportów z pobytu w Paryżu.

Szkoła Sztuk Pięknych powstała w 1873 roku. Matejko został jej dyrektorem i był nim do końca życia. Bardzo wiele zrobił dla tej uczelni, między innymi zbudował gmach przy placu – jeszcze wtedy nie Matejki - gdzie obecnie mieści się Akademia Sztuk Pięknych. Sądząc po jego osiągnięciach „produkcyjnych", musiał być dobrym nauczycielem. Jako profesor ma na swoim koncie czterech wybitnych artystów: Malczewskiego, Wyspiańskiego, Mehoffera i Wyczółkowskiego. Żaden z nich nie zaraził się Matejką i nie poszedł jego tropem. Mistrz Jan najwyraźniej wyczuwał czyjś geniusz i potrafił wypuścić cudzego „konia" na wiatr.

Zakochał się w tematach własnych obrazów

Z tej grupy najbardziej wnikliwym komentatorem Matejki – i również krytykiem – był Wyspiański. Jak wszystko u tego najwybitniejszego polskiego artysty, również wyplątywanie się z osobowości mistrza miało niezwykłą formę.

Rozprawa z podejściem Matejki do historii pojawia się wyraźnie w „Weselu". Została przeprowadzona niezwykle czujnie i inteligentnie. Nad sceną akcji autor powiesił dwa obrazy Matejki: „Wernyhorę" i „Kościuszkę pod Racławicami".

Sztuka Wyspiańskiego podważa mity zawarte w tych obrazach. Narzędzie, które ma urzeczywistnić przepowiednię wizjonera, zostaje głupio zawieruszone, a utopijna wiara w sprzymierzenie szlachty z chłopstwem w ferworze „walk weselnych" staje się karykaturą. Wyspiański – na wyżynach subtelności - rozprawia się z patosem historycznym Matejki i pokazuje, że historia może być poważną przeszkodą w dążeniu do prawdziwego istnienia w czasie współczesnym.

.



***Maria Anna Potocka**

• Krytyczka i kuratorka, autorka książek o filozofii sztuki, w latach 2010-24 dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

eprasa.pl f179aa1425

Jako profesor ma na swoim koncie czterech wybitnych artystów: Malczewskiego, Wyspiańskiego, Mehoffera i Wyczółkowskiego. Choć żaden z nich nie poszedł jego tropem

Ta lekcja Wyspiańskiego, niestety, nie zapisała się w polskim genotypie. Ciągle nasza historia bywa więzieniem dla polskiej mentalności, i to w czasach, gdy jedyną współczesnością powinna być europejskość. W ramach genialności Wyspiańskiego mieści się też wizjonerstwo; on „wiedział do przodu". Do wielu żyjących polityków polskich świetnie pasuje jego diagnoza: „Znam mężów odważnych słów,/ którzy się poją dźwiękiem,/ zwalczają się Armadą mów,/ zgłuszają mów tych szczękiem,/ lecz czyn przerasta wzrost ich głów" („Wiersze", 1904).

Matejko zupełnie inaczej podchodził do historii niż Wyspiański. Paradoksalnie z mniejszym napięciem. Z malarskiego punktu widzenia traktował historię jako źródło rozbudowanych kompozycji, w których bawił się „osobnymi" twarzami uczestników scen, którzy nigdy nie patrzą jeden na drugiego, zachowując się niemal tak, jakby nikogo w ich pobliżu nie było.

Dodatkowo ćwiczył ekspresję materii i koni. Malarz jest jak chirurg; nie może się przejmować całością ciała, tylko musi być skoncentrowany na fragmencie, który ma być „zdrowy". Dobrze to oddaje ironiczny komentarz do jednego z malarzy religijnych: „Ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze".

Matejko nie malował historii na kolanach, nawet nie za bardzo dbał o jej prawdziwość. Ale ten dystans artysty nie zamykał go na historię jako człowieka. Macając ją pędzlem, coraz bardziej otwierał na nią swoje serce. W pewnym momencie zakochał się w tematach własnych obrazów. I tym samym historia stała się niego bardzo ważna.

Jako neofita polskiego patriotyzmu, traktował ją z podwójnym przejęciem, a poza tym widział w niej narzędzie psychologii społecznej, mające podsycać w Polakach poczucie odpowiedzialności narodowej, do której zobowiązuje doniosłość naszej historii. Udało mu się wprowadzić do genotypu duszy polskiej poczucie patetyzmu narodowego. I to nieoczywistymi ścieżkami, bo większość obrazów Matejki przedstawia – w dalszej konsekwencji – polskie porażki.

Zakuta Polonia, dyplomatycznie niewykorzystany Grunwald, porażka hołdu pruskiego, oddanie 12-letniej Chrobrówny w „niewolę" Rusi Kijowskiej (na obrazie wygląda na trzydziestkę), zasmucony błazen, leżący starzec z nagą piersią jako obrońca rozsądku polskiego, i tak dalej – wcale nie lepiej.

Ale mimo to – jak to się zwykło mówić – ten artysta podnosił na duchu. Być może niektóre narody mają taką szczególną - żeby nie powiedzieć perwersyjną - naturę, że tylko „niezasłużona" porażka daje im poczucie niezwykłości i wielkości. Oddziaływanie tych obrazów może tego dowodzić.

Szkodnik. Ale niewinny

Za skutecznością Matejkowskiego przesłania stał mistyczny argument. Jeżeli ten mały, słaby i chorowity człowiek, skazany na życie obok opresyjnej, psychicznie chorej kobiety, potrafił namalować tyle monumentalnych obrazów, niemal przekraczających ludzkie możliwości, to musiała za tym stać siła wyższa, w tym wypadku znaczące przesłanie zaklęte w naszej historii – czasem zwycięskiej, częściej natchnionej symboliczną porażką.

Malarz Matejko zawarł w swojej sztuce wiele ciekawych przekazów kompozycyjnych i psychologicznych, na dodatek najczęściej mistrzowsko sformułowanych. Niestety w popularnym odbiorze zagłusza je huk oręża i ekspresja tłumów tworzących historię. Dominującym przekazem, jakie nadal wychodzi z tej sztuki, jest oświadczenie, że historia polska jest przepełniona wielkością i krzywdą.

I tutaj – aczkolwiek z bólem serca – trzeba spojrzeć na Matejkę jak na mimowolnego szkodnika. Obecna racja współistnienia politycznego wyklucza zarozumiałą izolację na terenie własnych dziejów. W dzisiejszych czasach każde działanie, które nakręca megalomanię narodową – i to jakiegokolwiek narodu - trzeba uznać za krok wstecz.

Ale Matejko jest tu zupełnie niewinny. Jego wybitna propaganda malarska miała w tle inne czasy i inne potrzeby. On nie miał Polski, my ją mamy. Ewentualną odpowiedzialność za „szkodliwość" Matejki ponosi konserwatyzm kulturowy Polaków; czytają stare jak nowe i własne. A tymczasem do mistrza Jana trzeba podejść jak do pięknego i niezwykle imponującego dokumentu przeszłości, czasów zupełnie innych, które, miejmy nadzieję, nigdy nie wrócą, ponieważ nad „tamtym" zapanuje sens europejskiej wspólnoty. ●

Śródtytuły tekstu - „Wyborcza"

PRZED 108. ROCZNICĄ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jan Lechoń*

Z cyklu „Polonia Resurrecta"

Da Bóg nam kiedyś zasiąść w Polsce wolnej,
Od żyta złotej, od lasów szumiącej,
Da Bóg, a przyjdzie dzień nieustający
Dla srebrnych pługów udręki mozolnej.



Jeszcze oddźwięką kamienie na młoty
I z twardym ziemia pogada lemieszem,
I z wszystkich jeszcze kamieni wykrzeszem
Iskier snop złoty.

Więc gdy wiosennym oglądam wieczorem
W mgły otuloną zagonów szarzyznę,
Ktoś w moim sercu wykuwa toporem
Moją ojczyznę.

1917

***Jan Lechoń** - 1899-1956, poeta, eseista, tłumacz, krytyk. Współtwórca grupy Skamander. Wiersz za: Lechoń, „Poezje", Wydawnictwo Lubelskie 1989.

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W SOBOTĘ 14 LISTOPADA Z „WYBORCZĄ"

na narty

- Gdzie jeździć, biegać i skakać
- Noga w bucie nie musi boleć
- Jak wycinać idealne skręty

SPONSOR WYDANIA
Tirol AUSTRIA



1 RP

eprasa.pl f179aa1425

ALE HISTORIA



Polskie serce

ROSY BAILLY

„Co do tłumaczenia moich wierszy: Ty je zrobiłaś?
– pyta Rosę Maria Pawlikowska-Jasnorzewska.
– Jeśli tak, to gratuluję ci, ponieważ wydają mi się lepsze od oryginału”.

Stanisław Zasada

eprasa.pl f179aa1425

„Podłe kalumnie” – odpowiada tym, którzy zarzucają Polakom antysemityzm. Nie widzi polskiej niechęci do Ukraińców, Białorusinów. Ani autorytarnych rządów sanacji

Rosa Bailly przekłada na francuski także Kazimierza Tetmajera, Staffa, Tuwima, Nałkowską, Leśmiana. Nad Sekwaną promuje Boya-Żeleńskiego, wystawia Matejkę i Wyspiańskiego, organizuje obchody polskich rocznic.

Za Polską agituje, gdy nie ma jej na mapach. W czasie kolejnej wojny pomaga polskim jeńcom. Po Jałcie nie chce się pogodzić z utratą naszych Kresów.

PAMIĘĆ

Katedra wojskowa w Warszawie. W kaplicy z Ukrzyżowanym i Matką Boską z Ostrej Bramy kilkanaście tablic: sławią bohaterów.

„Pamięci Francuzów z Les Amis de la Pologne, Towarzystwa Rosy Bailly, niosących pomoc polskim żołnierzom-tułaczom podczas II wojny światowej” – napis na jednej z nich.

Wygląda na to, że o Rosie Bailly jedynie Polacy pamiętają. Kilkanaście lat temu francuska Polonia uratowała jej grób w dalekich Pirenejach, bo nie miał kto go opłacić.

STYL

Chodzi do kościoła i na zebrania sufrażystek. Głęboko wierząca katoliczka, związana z francuską prawicą. Ale też niezależna kobieta, która nie waha się opuścić męża i poświęcić własnym pasjom.

Uparta. Jak coś postanowi, musi doprowadzić do końca. Za cenę niewygody, biedy. Ale zawsze musi być tak, jak ona chce. Będzie tym zrażać do siebie.

Egzaltowana. Lubuje się w przymiotnikach, styl napuszony. „Myśli płyną nad rozległym krajobrazem, rozpływają się w marzenia. Upajamy się ostrym powietrzem, wpadamy w zachwyt” – to jej opis polskiej prowincji.

Konfliktowa. Pokłóci się z wieloma. Między innymi z Wacławem Bronisławskim – zasłużony działacz polonijny, wprowadzał ją w środowisko polskiej emigracji, przyjaciel i powiernik. Rozstaną się burzliwie.

Z Danutą Łomaczewską – dziennikarka pomogła jej przyjechać do komunistycznej Polski. Ale gdy poprosiła o wsparcie odnowy cmentarza Orląt Lwowskich, zażyłość się skończyła. Rosa uznała, że nikt nie będzie jej mówił, co ma robić.

Bogoojczyźniana. Pisarza i zesłańca Wacława Sieroszewskiego nazwie „najczystszą inkarnacją duszy polskiej”. Z okładki ostatniego przedwojennego numeru jej pisma będzie patrzył Władysław Łokietek – pokonał Krzyżaków. Na wrześniowej Chrystus będzie uginał się pod krzyżem.

Apodyktyczna. Gdy bliscy współpracownicy mają krytyczne zdanie o jej pracy, szybko się z nimi rozstaje. Mało życzliwie. Tak jak ze znanym dziennikarzem Henrim de Montfortem – najpierw rozpływa się na temat jego zasług, potem rozpocznie „kampanię oszczerstw” (tak nazwie to przyjaciel Monforta).

Honorowa. Polskie władze chcą jej podarować willę na Pojezierzu Augustowskim, a ona odmawia. Tłumaczy, że nie chce wykorzystywać kraju, który ma tyle potrzeb.

Ma literackie ambicje. Ale te spełnią się tak sobie.

Politycznie – pogubiona. „Chciał ocalić to, co mógł” – broni marszałka Pétaina. Kolaborującego z Hitlerem szefa rządu Vichy otacza niemal kultem. Dla niej to bohater spod Verdun, żaden zdrajca.

W Polsce zakochana. Bezkrytycznie.

Tę z dwudziestolecia międzywojennego opisuje jako kraj wolności i tolerancji. Stalinowskiej nie uznaje. Ale polubi tę z czasów Gomułki i Gierka. Narazi się tym polskiej emigracji.

IMIĘ

Ciemne włosy splotła w węzeł, przysiadła pod drzewem, w ręku trzyma kapelusz. Uśmiecha się.

Aimée Rosa Mathilde Dufour wygląda tak około roku 1914. Ma dwadzieścia cztery lata. Drugie imię (tylko jego będzie używać) powinno właściwie brzmieć z francuska: Rose. Ale we Francji u szczytu sławy jest wówczas malarka Rosa Bonheur. To na jej cześć Edouard i Juliette Dufour dają córce Rosa.

Ze sztuk plastycznych będzie akurat słaba – na szkolnych świadectwach ma przeważnie mierny. Za to z innych przedmiotów „bien” i „très bien”. Polonistka jest pod wrażeniem jej literackiego talentu. Przestrzega jednak przed gadulstwem. Tego akurat się nie wyzbędzie.

W dziecięcym opowiadaniu hrabiny Sophie de Ségur czyta o dwóch młodych ułanach z bitwy pod Ostrołęką. „Oni to podbili moje serce na zawsze” – wyzna na starość.

W rodzinnym Saint-Florin-sur Cher w środkowej Francji małżonkowie Dufour mają cukiernię. Córce nie wzbraniają się kształcić, pozwalają na samodzielność. Rosa kończy prestiżową Ecole Normale Superieure w Sevres pod Paryżem – szkoła kształci przyszłe nauczycielki.

Trzy lata paryskich studiów ukształtują dziewczynę z prowincji na całe życie. Rosa przesiaduje w bibliotekach, odwiedza muzea, chodzi do teatru. I na spotkania sufrażystek, popiera przyznanie praw politycznych kobietom – Francuzki będą mogły głosować dopiero w 1944 roku, ćwierć wieku po Polkach. Przyjaźni się z Jekateriną – rosyjską studentką, której blisko do socjalizmu. Rodziców uspokaja, że Rosjanka nie miesza się do polityki.

Przeżywa pierwszą wielką miłość. I miłosny zawód: po czterech latach rozstaje się z narzeczonym. – Porzucił mnie dla panny umiejącej dobrze gotować – pożali się Boyowi.

Stratę przeżywa.

◀ Rosa Bailly (1890-1976), prozaiczka, poetka, tłumaczka, francuska i polska patriotka, zdjęcie z 1931 roku

FOT. AUTOR NIEZNANY, KONCERN ILUSTROWANY KURIER CODZIENNY - ARCHIWUM ILUSTRACJI, ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

EMANCYPACJA

Początek XX wieku. Dla Francuzek dobry czas. Pomogła im reforma oświaty. Dziewczęta nie muszą już poprzestawać na szkole elementarnej, mogą się kształcić dalej tak jak chłopcy. A dzięki temu utrzymywać się z pracy zawodowej i rozporządzać własną pensją. Większość i tak siedzi w domach. A Rosa po studiach uczy przedmiotów humanistycznych w żeńskich liceach. W Valenciennes, później w Cahors.

W Valenciennes, na północy, sporo polskich górników, którzy wyemigrowali za chlebem. Rosa dowiaduje się o ich ciężkiej doli. W Cahors, na południu, przyjaźni się z rodziną polskich rolników. Słyszy pierwsze polskie słowa: „dzień dobry”, „dziękuję”.

Niedługo polszczyznę opanuje do perfekcji.

KLATKA

Ernesta Bailly poznała w szpitalu. Podporucznik artylerii armii belgijskiej trafił do lazaretu z frontu Wielkiej Wojny. Wysoki brunet z sumiastym wąsem – mógł się podobać kobietom. Mają po 26 lat, gdy ślubują sobie miłość na całe życie. Ale romantyczna, wojenna przygoda nie sprawdzi się w normalnym życiu. Odmienne charaktery, inne oczekiwania. Ona artystyczna, niezależna dusza, działaczka. On – biznesmen. Wolałby żonę siedzącą w domu. Rosie to nie odpowiada – nie na darmo chodziła na zebrania feministek. „Małżeństwo to klatka dla ptaków” – zapisze w pamiętniku. Wielkimi literami.

To wtedy mąż postawi ją przed wyborem: „Albo ja, albo Polska”. On pojedzie do Brukseli zająć się rodzinną firmą. Ona – do Paryża. Piszą do siebie jeszcze listy, Ernest przysyła pieniądze, odwiedza ją we Francji. Ale to tylko listowne małżeństwo. Rozwiodą się po 17 latach, choć nie byli ze sobą już od dawna. Zgodził się, żeby używała jego nazwiska. Pozostaną w dobrych relacjach.

GROSIK

Może to był artykuł w gazecie? Ożeniony z Polką dziennikarz Georges Bienanimé ubolewa na początku 1916 roku, że Francja porzuciła sprawę polską. „Opuszczona” – zatytułował artykuł w „La Victoire”. A może zaczęło się od tamtych ułanów spod Ostrołęki? A może jedno i drugie?

W każdym razie od roku 1916 żyje tylko Polską.

Zaczyna nieśmiało. „Sous Polonais” (Grosik polski) – tak nazwała zbiórkę pieniędzy na polskie sieroty. Grosz zbierają najpierw licealistki w Cahors, potem dołączą uczniowie innych szkół. Datki przekazują do Francuskiego Komitetu dla Polski „Mickiewicz-Michelet”. Przy okazji Rosa zakłada czterostronicowe pisemko. „Aby poruszyć serca dzieci i pozyskać je do współdziałania z nami, niezbędne jest przybliżenie im Polski” – pisze w pierwszym numerze „Journal du Sous Polonais”. Pismo redagują uczennice. W każdym numerze miesięcznika jest lista ofiarodawców.

Pół roku później zamiast czterech stron będzie osiem. Zmieni się tytuł – „La Pologne” stanie się dwutygodnikiem.

Uczy się polskiego.

PRZYJACIELE

„Uczynić Polskę znaną i kochaną” – to cel stowarzyszenia Les Amis de la Pologne. Pod egzaltowanym zdaniem (sama je wymyśliła) kryje się ambitna akcja propagowania Polski i jej kultury wśród Francuzów. Stowarzyszenie zakłada w marcu 1919. Czas jej sprzyja: odrodzona po latach zaborów Polska to bliski sojusznik Francji. Do honorowego prezydium zaprasza najpotężniejszych ludzi francuskiej polityki. Są: marszałek Ferdynand Foch, prezydent Raymond Poincaré, generał Maxime Weygand – przyszły szef Misji Wojskowej w Polsce.

W Paryżu działa już Komitet France-Pologne – założył go Kazimierz Woźnicki, działacz emigracyjny, bliski współpracownik Dmowskiego, dyplomata. Są tarcia. Rosa zarzuca polskiej ambasadzie, że faworyzuje Woźnickiego (pracuje tam). Żali się, że jest niedoceniana w Polsce. „Przyjaciele Polski” tułają się po klitkach. W końcu osiądą przy l’Abbé de l’Epée, naprzeciw Ogrodu Luksemburskiego. Rosa chce dotrzeć do zwykłych Francuzów: oddziały stowarzyszenia działają na prowincji, w szkołach, na uniwersytetach. Wychodzi pismo „Les Amis de la Pologne”. W kamienicy przy Bulwarze Saint-Germain otwiera muzeum: w jedenastu salach polskie pamiątki historyczne, regionalne stroje, obrazy. Wygłasza odczyty, pisze artykuły, książki, zaprasza polskich pisarzy, tłumaczy ich wiersze, wystawia Grottgera, Matejkę, Wyspiańskiego. Wystara się, żeby na Sorbonie nauczano polskiego.

Naciska na polityków, by popierali „polską sprawę”. Jak wtedy, gdy po pierwszej wielkiej wojnie potężni tego świata debatują w Wersalu nad nową Europą. Polska już niepodległa, ale granice niepewne. Jak na Górnym Śląsku – nie wiadomo, czy zostanie w Niemczech, czy będzie polski? Mieszkańcy mają zdecydować w plebiscycie. Wybuchną trzy powstania. Rosa agituje za polskością Śląska: pisze artykuły, jeździ w teren, zbierze kilka milionów podpisów.

Dziesięć lat później wrażliwa na przyrodę poetka wyzna zaskakująco: „Gdybym miała zamieszkać w Polsce, wybrałabym Katowice, wolałabym je od Krakowa, wspaniałego miasta nauki, czy Warszawy, z jej niezrównanym humorem. Mimo mgły, przez którą nabawiają się ludzie chorób, mimo całej brzydoty fabryk, mimo sąsiedztwa z Niemcami”. Za kilka lat będzie mieć przez to kłopoty.

Na razie są jeszcze lata 30. Więzi Warszawy i Paryża osłabły. Są problemy: co rusz musi prosić o pieniądze na działalność. Cenią ją za to wreszcie: prezydent Mościcki da jej Komandorię Orderu Odrodzenia Polski, od Pił-

eprasa.pl f179aa1425

sudskiego dostała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Warszawa mówi o niej: najlepsza ambasadorka Polski we Francji.

POLSKA

„Podłe kalumnie" – odpowiada tym, którzy zarzucają Polakom antysemityzm. Nie widzi polskiej niechęci do Ukraińców, Białorusinów. Ani autorytarnych rządów sanacji. W „Les Amis de la Pologne" ani słowa o Berezie Kartuskiej. Gdy do więzienia wsadzą Wojciecha Korfantego, długo się zastanawia, nim kiwnie palcem w jego obronie. Ale i tak słabo.

Wielbicielka Piłsudskiego. Po zamachu majowym pisze o „dyktaturze serca" – woli pokazać kult, jakim Polacy darzą Marszałka. Jego śmierć odbierze jak narodową tragedię.

Popiera zajęcie Zaolzia przez polskie wojsko. Rozpływa się w pochwałach na temat zwykłych Polaków. „Większość twarzy jest naiwna i dobra" – tak widzi warszawską ulicę. „Idealizujesz Polaków, nie wiesz, jakim aparatem intryg mogą zabijać moralnie" – ostrzega ją w liście przyjaciółka.

Nie znała naszych wad?

Małgorzata Nossowska, jej biografka: „Równoważyła je cechami, które podziwiała i które chciała uczynić głównym elementem wizerunku Polaka w świadomości przeciętnego Francuza".

PIRENEJE

Że zostanie poetką, wie już chyba w szkole elementarnej. Ma dziesięć lat, jest u ciotki. W listach do domu dziecięcym jeszcze pismem opisuje pomniki, wystawy, spacery, przyrodę, wizytę w muzeum. Ale styl już wyrobiony, jak nie u dziesięciolatki.

Dorosła, w wierszach opisywać będzie przeważnie góry – to jej druga, po Polsce, pasja. Alpy, marokański Atlas. Poematami o jej ulubionych Pirenejach zachwyci Pawlikowską-Jasnorzewską. W wojennych wierszach idealizuje polski patriotyzm. Bez reszty pochłania ją polska działalność. Boy przyzna: „I z poezji swej, jak z życia osobistego, zrobiła ofiarę dla Polski".

W czasie wojny spisuje „Memoires" – pamiętniki. Notuje to, co przeżyła pod niemiecką okupacją, jak pomagała Polakom. Powieść „La Chatte" poświęci swojej ulubionej kotce Giselle. Dużo tam autobiograficznych wątków. Dostaje literackie nagrody. Ale jej poezja, która tak zachwycała Jasnorzewską, nie przetrwa próby czasu. Nazwiska Rosy Bailly próżno szukać w podręcznikach historii literatury.

SPÓŁGŁOSKI

W Polsce jest co roku. Kraków, Wilno, Lwów, Warszawa, Poznań, Bydgoszcz, Zakopane, Częstochowa. Zna prawie wszystkich. Wszędzie ją fetują, zbiera zaszczyty. Lubi to. „Nie wyobrażasz sobie mojej popularności. Wszystkie gazety poświęciły mi artykuły" – pisze do matki w 1927 z Warszawy. A po powrocie do domu: „W dzisiejszej poczcie list od marszałka Piłsudskiego. Zobacz, jakie mam eleganckie kontakty".

Nie tylko na salonach bywa. Tłucze się po piaszczystych drogach Polesia, pływa z rybakami po poleskich bagnach, zachodzi na targ w Pińsku. Na Podolu zwiedza opuszczoną pustelnię, ogląda szyby naftowe w Borysławiu.

Powstanie z tego zbiór reportaży. Książka „W sercu Polski" pokazuje polskie dwory, pałace, kościoły. Francuskiego czytelnika uczy, jak wymawiać naszpikowane spółgłoskami trudne polskie słowa: Buczacz, Horodyszcze, bryczka.

Gdy coś jej się nie spodoba, zrzuca to na obcych. „Jak można było wznosić takie straszydła?" – piekli się na Niemców za architekturę dworców w byłym zaborze pruskim. Przypominają jej fortece.

Latem 1939 roku szykuje się do kolejnej podróży do Polski. Nie zdąży przyjechać.



• Rosa Bailly (w środku) zwiedza tzw. park balonowy w towarzystwie majora Stanisława Mazurka, kierownika Centralnych Zakładów Balonowych w Legionowie

FOT. AUTOR NIEZNANY, ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

RÓŻYCZKA

Swój „Balet powojów" Maria Jasnorzewska dedykuje po francusku „Madame Rosa Bailly". Ze wzmianką, że „jest pod wrażeniem" jej „zbioru poematów »Montagnes Pyrénées«". Przyjaźnią się. Gdy Jasnorzewscy uciekają przed wojną z Polski, pomoże im znaleźć na krótko schronienie w Paryżu.

Ze skamandrytów najbardziej zna Tuwima (też go tłumaczy) i Lechonia (pracował w polskiej ambasadzie w Paryżu). W 1927 roku organizuje wielki objazd Francji przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. A dwa lata później – Wacława Sieroszewskiego.

„I kiedy o tem dziś jeszcze myślę, nie mogę się wstrzymać od podziwu dla odwagi i literackiej intuicji Różyczki (tak nazywają ją polscy przyjaciele), która nie bała się puścić Zielonego Balonika pod kopułem Sorbony" – napisze potem Boy. Poświęci jej cały felieton. Piszą do siebie.

Przyjaźni się z artystami. Nina Alexandrowicz szkicuje ją zamyśloną. Na akwarelowym portrecie Mai Berezowskiej trzyma w ręku książkę.

KLĘSKA

79 par skarpet, 43 swetry, 15 czapek z wełny, 61 szalików wełnianych, 33 koszule, 33 pary kalesonów. Tyle udało się wysłać polskim żołnierzom do końca listopada 1939. Do dziergania swetrów, szalików i skarpet Rosa powołała specjalne „brygady dzianinowe".

Druga wojna światowa zaczęła się dla niej wcześniej niż dla większości Francuzów – po agresji Hitlera na Polskę. „W 1939 roku nasza aktywność uległa przemianie" – notuje w pamiętnikach. Po klęsce wrześniowej armia polska we Francji liczy 85 tysięcy żołnierzy i oficerów. Les Amis de la Pologne zbierają dla nich ciepłą odzież. Pomagają polskim uchodźcom na Węgrzech i jeńcom w niemieckich obozach.

Od swojego rządu Rosa żąda stanowczo wypełnienia zobowiązań sojuszniczych wobec Polski. Pierwsza wpłaci trzysta franków na polski fundusz obrony narodowej.

Wzruszy się, gdy po wojnie usłyszy od jednego z polskich żołnierzy, że na pierwszej paczce, jaką dostał w jenieckim obozie, było jej imię.

GRUZY

Smutny chłopiec przysiadł przed rozbitym domem, osmaloną twarz podpiera lewą ręką. Trójka dzieci stoi przed świeżą mogiłą. Na drewnianym krzyżu maciejówka ojca. Dwa końskie szkielety na ulicy. Dla kontrastu – reprodukcje Canaletta.

Zdjęcia zrobiono w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku i pierwszej okupacyjnej zimy. Ktoś przeszmuglował je na Zachód. Les Amis de la Pologne zrobili wystawę. Paryżanie oglądają ją na Polach Elizejskich. „Warszawa w gruzach" – krwistoczerwony tytuł dobrze widać na tle szarego budynku. Ze zdjęć bije smutek, śmierć, bieda.

Rosa w „Wiadomościach Polskich": „Nigdy już nie będziemy jeździli do Warszawy z lekkim sercem". Za kilka tygodni przeżyje kolejny cios – upadnie Francja.

GESTAPO

Szuka jej gestapo. Naziści nie mogą jej darować agitacji za przyłączeniem Śląska do Polski. W Paryżu niszczą polskie muzeum przy Saint-Germain, zbiory i archiwum nigdy się nie odnajdą. Rosa ucieka do Tuluzy, miasto leży w kolaborującym z Hitlerem marionetkowym Państwie Vichy. W „wolnej strefie" czuje się bezpiecznie. Szykowała się co prawda do ewakuacji z polskim wojskiem do Anglii, ale spóźniła się na wyjazd. Nie żałuje. „Tuluza była wtedy stolicą polskiego nieszczęścia, jakże więc mogłabym tutaj nie pozostać".

Jedzie do Vichy, chce się dostać do marszałka Pétaina. Szef rządu jej nie przyjmie. Ale u jego ministrów wybłaga zgodę na to, by internowani polscy żołnierze (zostało ich kilkanaście tysięcy) mogli skończyć francuskie szkoły albo studia. Stara się dla nich o zatrudnienie w kopalniach, fabrykach, na farmach. Zbiera pieniądze.

Grudzień 1942. Nie jest już bezpieczna – do Tuluzy wkraczają Niemcy. Prawie dwa lata będzie się ukrywać. Ma fałszywe papiery, ale ryzyko jest duże – zna ją tu każdy policjant. Ktoś jej doradzi, żeby wyjechała na prowincję. Posłucha.

LWÓW

„Ludzie wszystkich krajów, zastanówcie się nad losem Lwowa!" – krzyczy już po wojnie. Nie może darować aliantom, że oddali miasto Stalinowi. Tak jak całe Kresy. Od Jałty mija dekada, gdy pisze: „Miasto walczy o wolność". Opisuje walki o Lwów po pierwszej wojnie światowej. „Żadne miasto nie jest bardziej polskie" – przekonuje. W komunistycznej Polsce nie ma co liczyć na druk. Wyda książkę po angielsku.

Występuje w Radiu Wolna Europa, ma kontakty z polską emigracją polityczną we Francji i w Wielkiej Brytanii. Stalinowską Polskę przekreśliła, ale pisze listy do przyjaciół, wysyła książki za żelazną kurtynę. Chce wznowić działalność Les Amis de la Pologne. Nie uda się jej.

Żyje w nędzy. „Uważam, że nie możemy pozwolić, by ostatni przyjaciel nie miał na znaczki, na opał, na życie" – alarmuje w listach polskie środowisko emigracyjne Kazimierz Wierzyński.

Pomogą jej wyjść z biedy.

GOŁĘBIE

Karmi gołębie na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Z Mają Berezowską siedzą na ławce w parku. Przy kawiarnianym stoliku rozmawia z Ireną Dziedzic.

Rok 1959. Znowu jest w Polsce. Po dwudziestu latach. Przyjechała na zaproszenie Związku Literatów Polskich i Ministerstwa Kultury. Skończył się stalinizm. Ekipie Gomułki zależy na wyjściu z międzynarodowej izolacji. Rosa nadaje się do tego jak mało kto. Szybko polubi „nową Polskę". Ona też ją hołubi. Władze przyznają jej specjalną rentę – 50 tysięcy franków. Dostanie nagrodę Polskiego Pen Clubu, pisze w polskiej prasie: „Tygodnik Powszechny", „Życie Literackie", „Stolica", „Słowo Powszechne", „Express Wieczorny".

Nie wszystkim emigrantom się to spodoba. Mieczysław Grydzewski długo się zastanawia, czy opublikować w swoich „Wiadomościach" jej relację z podróży do komunistycznego kraju. W listach do polskich przyjaciół Rosa żali się na „nieufność i gniew emigracji".

A ona chwali Gierka. Ujął ją odbudową Zamku Królewskiego – odda na ten cel swoją biżuterię. Są też zgrzyty. Czytelnik przymierza się do wydania jej pamiętników. Ale żąda, żeby wyrzuciła peany na cześć Pétaina. Odmawia. „Memuary" nigdy nie wyjdą. Ani po polsku, ani po francusku.

WYGNANIE

„Pau to dla mnie miejsce wygnania" – żali się Władysławowi Żeleńskiemu, bratankowi literata. Do położonego u stóp Pirenejów miasteczka przeprowadza się w 1967. Paryskie mieszkanie na Montparnassie ciążyło jej na starość. Piąte piętro, bez windy. Lekarze też zalecali zmianę klimatu. Z astmą i słabym sercem nienajlepiej się czuła w zawilgoconym Paryżu.

W Pau powietrze zdrowsze. Mieszka na parterze, mieszkanie nasłonecznione, z widokiem na ukochane Pireneje. Ma ciszę i spokój, ale czuje się samotna. Ubywa jej sił. Coraz trudniej zrobić zakupy, ugotować. Mai Berezowskiej zwierza się, że coraz częściej żywi się „z puszki".

Zmartwień ma więcej: większość jej utworów nie doczekała się publikacji, lęka się, że po śmierci zostanie zapomniana.

Stara się, żeby Boy miał w Paryżu ulicę. W Dziesiątej Dzielnicy francuskiej stolicy jest ulica Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Ale dopiero od 1982 roku, sześć lat po jej śmierci. Wystarał się o nią bratanek literata. Zapewne na fali wzrostu sympatii Francji do Polski – był stan wojenny.

Jej ostatni sukces: namówiła Mennicę Paryską na wybicie medalu ku czci Maksymiliana Kolbego.

DWA KOLORY

Co do pogrzebu, życzenia ma dwa: być pochowana obok Polaków i żeby nie było przemówień. Marzy jej się Montmorency, największa nekropolia polska we Francji – leżą tam Olga Boznańska, Norwid, Wat i Bronisław Piłsudski – brat marszałka. Polscy przyjaciele wystarali się już nawet o zgodę, ale transport ciała z Pau do Paryża kosztowałby pół miliona starych franków. Rezygnuje z Montmorency. Godzi się na miejski cmentarz w Pau. Są tam trzy polskie groby. Jeden to Niny Alexandrowicz, która rysowała jej portret. Będzie więc wśród Polaków.

Ostatnie trzy lata są katastrofą. Straciła wzrok, nie może czytać ani pisać. Z łóżka dyktuje ostatnie listy. Chce, żeby czytać jej na głos gazety i książki. Narzeka, że wolontariuszki znają tylko francuski, przez co nie jest „na bieżąco". Dobija ją utrata Giselle – ulubionej kotki.

15 czerwca 1976 rok, wtorek, na cmentarzu w Pau chowają Rosę Bailly (umarła dzień wcześniej). Trumna przykryta biało-czerwoną flagą. Nikt nie przemawia. Pogrzeb ma taki, jak chciała. Cichy, z polskim akcentem.

Na nagrobku obok imienia i nazwiska kazała sobie wyryć: „Poetka". ●

Korzystałem z książek: Małgorzata Nossowska, „O Francuzce, która pokochała Polskę", Tadeusz Edward Domański, „Rosa Bailly: wielka Francuzka o polskim sercu", „Żyłam z wami, cierpiałam i płakałam z wami", red. Łukasz Stefaniak.

eprasa.pl f179aa1425

Polecamy

ŻEBY BYŁO U NAS JAK NA ZACHODZIE

Książka Michała Przeperskiego o transformacji to portret Polski lat 90. pokazany z wielu perspektyw: rządzących i rządzonych, beneficjentów i przegranych.

Marek Beylin

Polska nieokiełznanych żywiołów, mało znana, bo nikt jej dotąd dobrze nie opisał. Polska bezkrwawej rewolucji, gdy nagle wszystko się zmienia, a my, uczestniczki i uczestnicy, usiłujemy za zmianami nadążyć, pniemy się na szczyty lub spadamy na dno, żyjemy w entuzjazmie bądź – co nadeszło szybko – w lękach i poczuciu utraty. Polska wolności, w której wszystko zdaje się możliwe, oraz rodzących się nowych wykluczeń, murów stawianych przed aspiracjami. Polska politycznej mądrości i ślepoty na problemy. Każde z tych stwierdzeń zawiera część prawdy o szalonych latach 90. zwanych transformacją, żadne nie oddaje tej prawdy w pełni.

Niemal wszyscy mamy jakieś opowieści, własne, rodzinne czy zasłyszane o tamtym czasie, ale są one cząstkowe. Fragmentaryczna jest również spisywana historia tamtych lat. W efekcie nie spojrzeliśmy jeszcze na tę przeszłość w całym jej bogactwie zmian, osiągnięć, porażek, nadziei ziszczonych i upadłych. W debatach publicznych także współcześnie nader często poruszamy się wśród skrajnych ocen, mamy więc czarną i świętą wersję transformacji. Według jednej sporą część społeczeństwa wepchnięto do piekła, według drugiej rozpoczęliśmy gremialną wyprawę do szczęścia i raju. A owo wpisanie naszych społecznych losów w kategorie niemal religijne pokazuje i to, jak wciąż ważna jest dla nas ta przeszłość, i to, jak bardzo jesteśmy wobec niej intelektualnie bezradni.

Wpędza nas to w jeszcze jeden kłopot, bo lata 90. jeszcze nie umarły, nie stały się tylko przeszłością. Przeciwnie, wykształcone wtedy wzory myślenia, postawy, konflikty społeczne i konflikty wartości nadal są obecne, współtworzą teraźniejszość i nasze jej postrzeganie, niezależnie od tego, do jakich należymy pokoleń. Toteż porządne zrozumienie polskiej transformacji pozwoliłoby lepiej identyfikować nasze obecne atuty oraz niebezpieczeństwa dla demokracji i rozwoju, jakie sami stworzyliśmy. A to bezcenne dziś, gdy narastają zagrożenia zewnętrzne i wewnętrzne, nasze rodzime skrajne siły w sporej mierze zaś żywią się utrwalonymi błędami lat 90.

PĘD DO LEPSZEGO ŻYCIA

Dlatego uważam za ważną książkę Michała Przeperskiego „Prawie Zachód” opowiadającą o tamtych przemianach. Autor nie tworzy historycznej syntezy, nie kusi go też próba całościowego opisu. Oglądamy transformację portretowaną z wielu indywidualnych perspektyw. Mówią do nas rządzący i rządzeni, beneficjenci i przegrani, przedsiębiorcy, robotnicy i chłopi, kobiety i mężczyźni, uczniowie i nauczyciele. Nie zliczę wszystkich kategorii i szczęśliwie ten społeczny wielogłos przeważa nad wycieczkami w politykę oraz w świat mediów. W tej sprawie zresztą muszę się przyczepić: Przeperski, ukazując eksplozję wolnej prasy i telewizji od 1989 roku, z niezrozumiałych dla mnie względów niemal pomija „Gazetę Wyborczą”, dziennik niezwykle wpływowy i współtworzący transformację.



• **Uroczyste otwarcie pierwszej restauracji McDonald’s w Zabrzu, 12 listopada 1993 roku** FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ale ten brak nie unieważnia zalet książki. Jawią się bowiem w opowieści autora rodzące się wówczas i potem trwałe potężne konflikty oraz różnice społeczne. A ponad nimi jest coś, co od początku obejmuje nas wszystkich: nieposkromiony pęd do lepszego życia, do tego – sam pamiętam te marzenia – by było u nas jak na Zachodzie. Tyle że, to też pamiętam, był to w oczach wielu Zachód tyleż realny, co zmistyfikowany: raj konsumpcji, łatwego życia oraz niewzruszonych demokracji. Do takiego Zachodu pędziliśmy, to on wyznaczał horyzont naszych aspiracji.

I w dużej mierze, co książka Przeperskiego uświadamia, właśnie relacje z tym marzeniem rozdzierały społeczeństwo już na początku lat 90. Częsty stereotypowy sąd głosi, że podzieliliśmy się wtedy z grubsza na tych, którzy rzucili się w nowoczesność oraz przyszłość, i na „sieroty po PRL”, przestraszone zmianami i im niechętne. Określał ich epitet „homo sovieticus”. Oczywiście, jakaś część społeczeństwa nigdy nie wyszła mentalnie z PRL, ale – jak myślę – większą rolę w wyrastaniu społecznych trwałych animozji, jak się później okazało, odegrało nie sieroctwo po dawnym reżimie, lecz szybkie osierocenie po wielkich nadziejach, jakie rozbudziły nowe czasy. Bo rozbuchały się też wtedy nierówności, także w sprawie szans na sukces.

NOWI KAPITALIŚCI

Znaczna część Polski eksplodowała przedsiębiorczością. Wolny rynek uwolnił potężną energię skierowaną na bogacenie się. Początki były spektakularne, choć niezbyt estetyczne. Pamiętam polskie miasta, ulice, place usłane łóżkami i straganami, z których początkujący przedsiębiorcy sprzedawali towary, często tandetne, przywiezione z Zachodu. Ten rodzaj handlu przez jakiś czas prosperował, jednak my, nabywcy, zaczęliśmy żądać czegoś więcej, szerszego wyboru i lepszej jakości. Rodziły się więc stabilne sklepy oferujące bardziej zróżnicowaną paletę towarów. Wypierały handel uliczny, co stanowiło źródło konfliktów; jak opisuje Przeperski, w pewnym mieście część handlarzy tracąca klientów uznała, że winę za to ponoszą miejskie władze, które pozwalają na powstawanie sklepów. Takich miast było rzecz jasna więcej, bo owe rzesze małych przedsiębiorców po raz pierwszy zetknęły się z niemiłym zjawiskiem, jakim jest konkurencja oraz groźba utraty dorobku.

Ludzie w biegu uczyli się reguł kapitalizmu, a ponieważ ciężko harowali i ryzykowali, rodziło się wśród nich, w tej powstającej klasie średniej, przekonanie, że nikomu nic nie są dłużni – ani państwu, ani reszcie społeczeństwa, zwłaszcza tej jego części, która wskutek przemian nagle zbiedniała czy bezpowrotnie straciła pracę. Od początku naszej transformacji koncepcja państwa solidarnego była nader często wyklęta w bogacących się grupach społecznych. Ta niechęć obejmowała również przymus płacenia podatków, a zwłaszcza polityki społeczne mające wspierać słabszych i biedniejszych. Egoizm ten wspierała zaś również część klasy politycznej i mediów uwiedzionych pędem do kapitalizmu.

Owszem, nie wszyscy. O gospodarce społecznej solidarności mówił premier Tadeusz Mazowiecki, minister Jacek Kuroń tworzył zaczyn państwa socjalnego, wspierała go w tym spora część Unii Demokratycznej. Za takim państwem opowiadała się też spora część SLD, co ułatwiło tej partii wygraną w wyborach w 1993 roku. Ale hasło: „Twój los, twoja sprawa”, było bardziej nośne niż przekonanie o tym, że silniejsi powinni być solidarni ze słabszymi. W tym sensie polska droga do kapitalizmu rozpoczęła się bardziej w stylu amerykańskim niż europejskim, bo w zachodniej części naszego kontynentu państwo socjalne stanowiło fundament demokracji liberalnej.

PASOŻYTY I WYZYSKIWACZE

Radykalny, amerykański model kapitalizmu, zwany neoliberalnym, którego symbolem stał się Leszek Balcerowicz, obejmował też stosunek rządu do jeszcze państwowych fabryk i zakładów pracy. Wiele z nich było niewydolnych, ale część mogła zapewne sprawdzić się na konkurencyjnym rynku, gdyby otrzymała na początku wsparcie państwa. Zapanowało jednak przekonanie, że rząd nie powinien się do tego mieszać, niech o przyszłości tych zakładów rozstrzygnie jedynie wolny rynek. Czyli często dzika prywatyzacja. Tak upadł choćby przemysł stoczniowy będący w całkiem niezłej kondycji.

Oczywiście, nie tylko Balcerowicz opowiadał się za takim wariantem kapitalizmu. Z entuzjazmem wprowadzała go w życie pokaźna grupa dość młodych pracowników administracji. Było to, pisze Przeperski, doświadczenie pokoleniowe „i wyraźnie męskie. Grupa mężczyzn mniej więcej w tym samym wieku. Krótko przed czterdziestką, krótko po czterdziestce”. Jak komentuje dziś jeden z nich, „zapewne należało więcej uwagi poświęcić skutkom społecznym”, ale ich wiek oraz wiara, że wszystko jest możliwe, ograniczała „zdolność do refleksji. Ta przychodzi później”.

Ówczesna droga do kapitalizmu dodatkowo pogarszała sytuację pracownic i pracowników wielkich i mniejszych zakładów. Często bezrobotni, chwytający się prac dorywczych i – co równie ważne – wyzuci z dawnej stabilności oraz z nadziei na przyszłość nie czuli się pełnoprawnymi uczestnikami i uczestniczkami rodzącej się demokracji. Bo ich troską było to, jak przetrwać w niespodzianie trudnych czasach, a nie to, jaka ma być polska polityka. „Nie potrzebowałem rewolucji, tylko świętego spokoju” – mówi jeden z nich.

Znaleźli się w dodatku pod ostrzałem tych, którym się wiodło. „Pasożyty żerujące na pomocy państwowej”, „nieudacznicy” – takie epitety krążyły również w sferze publicznej. Zaś atakowani nie pozostawali dłużni, nazywając ludzi bogacących się złodziejami i wyzyskiwaczami.

Właśnie wtedy, w latach 90., stanęły naprzeciw siebie dwie Polski: zaradna, prosperująca oraz ta, która wypadła z drogi do kapitalizmu.

Długo nie zauważaliśmy tego fundamentalnego podziału, więc wzajemne uprzedzenia tylko krzepły. To one wielce przyczyniły się do zwycięstw PiS. I w różnych mutacjach trwają do dziś. Tak jak trwa rozbudzony wówczas społeczny egoizm odrzucający solidarność społeczną, choćby przez płacenie podatków na państwo socjalne. O czym świadczy na przykład kariera Konfederacji.

RACHUNEK ZA BŁĘDY I ZANIECHANIA

Takich ciągłości jest więcej, i to także w sprawach fundamentalnych. Przecież wybuch rodzimej przedsiębiorczości na początku przemian stworzył podwaliny późniejszego rozwoju Polski. Bez tego nie udałoby się nam tak skutecznie korzystać z unijnych funduszy.

Ale po tamtym czasie odziedziczyliśmy też chwiejną, słabującą demokrację. Nie tylko wskutek systemowego lekceważenia słabszych i wykluczonych. Wielce przyczyniła się do tego bierność elit politycznych w kwestii wychowania do demokracji. Nie uczono o niej w szkołach. Toteż w znacznej mierze lukę tę wypełnił Kościół na lekcjach religii. A wielu biskupów i księży marzyło nie o demokracji liberalnej, lecz o państwie teokratycznym w rodzaju dyktatury Salazara. W dodatku marzenia te wspierała już wówczas istniejąca fundamentalistyczna prawica.

W efekcie opresyjny konserwatyzm uderzający choćby w prawa kobiet, zwłaszcza w prawo do aborcji, i – jak dziś mówimy – w osoby LGBT+ – władał wielką częścią zbiorowej mentalności. Współczesne rozpanoszone mizoginia i homofobia to też nasz spadek po transformacji.

Nie winiłbym jednak za to wszystko pierwszej ekipy rządzącej. Bo rząd Mazowieckiego odziedziczył po PRL państwo upadłe, niezdolne do działania. Trzeba je było budować w pośpiechu, za pomocą skromnych środków i w permanentnym kryzysie. To było przedsięwzięcie iście szalone, niemożliwe do racjonalnego zaplanowania. Pierwszy rząd odziedziczył też potężną siłę Kościoła, któremu raczkująca demokracja nie miała jak się przeciwstawiać. Stąd m.in. lekcje religii w szkołach czy kościelne przywileje finansowe.

Dużo większa odpowiedzialność za błędy i zaniechania spada na kolejne rządy działające w bardziej komfortowych warunkach. Nie potrafiły one, ba, jak pamiętam, nawet nie bardzo chciały tworzyć korekty pierwszej fazy przemian. Dlatego wciąż jesteśmy tak silnie uwikłani w tamte lata i tamte wybory. ●



Prawie Zachód. Historie polskiej transformacji

Michał Przeperski
Wydawnictwo PORT 2026

eprasa.pl f179aa1425

GDY CIERPIENIE JEST

Ministra zdrowia, która przeforsowała w Holandii ustawę zezwalającą na eutanazję, zapłaciła za to życiem.

Marta Grzywacz

Ils Borst 8 lutego 2014 roku bierze udział w zjeździe swojej partii, centrowej i socjalliberalnej D66, w Amsterdamie. Jest aktywna, zabiera głos. Po zjeździe idzie na stację, skąd pociągiem odjeżdża w kierunku Utrechtu. Mieszka pod miastem, we wsi Bildhoven, w domu z ogrodem, za solidnym płotem i rozsuwaną automatycznie bramą. Tamtego dnia publiczność widzi ją po raz ostatni.

MINISTRA WPROWADZA ZMIANY

Borst zakończyła ośmioletnią pracę na stanowisku ministra zdrowia w obu rządach premiera Wima Koka 12 lat wcześniej. Była ceniona – w 1994 roku wzmocniła pozycję pacjentów, przyznając im prawo do informacji i odmowy leczenia. W 1996 roku uporządkowała przepisy o dawstwie narządów. Pilotowała uchwaloną w 2001 roku ustawę o tkankach płodowych, która legalizowała ich wykorzystanie do celów badań medycznych. Pobranie tkanek mogło się odbyć za zgodą rodziców i pod warunkiem, że doszło do aborcji lub poronienia. W 2002 roku zgodziła się, aby grupa Women on Waves na pokładzie łodzi „Aurora" oferowała kobietom w ciąży pigułki poronne. Swoją długą karierę przypieczętowała przeforsowaniem ustawy o eutanazji w 2001 roku. Dyskusja na ten temat toczyła się już wówczas w Holandii od blisko półwiecza.

GŁOS SUMIENIA

Jako umowną datę można przyjąć rok 1952 – orzeczenie sądu w spawie lekarza z Eindhoven, który pomógł umrzeć swojemu choremu na gruźlicę bratu. Początkowo odmawiał jego prośbie, ale w końcu podał mu tabletki Codinovo i morfinę w dawkach śmiertelnych. Został oskarżony o zabójstwo. Przed sądem argumentował, że w związku z cierpieniem brata nie miał innego wyboru, jak tylko posłuchać głosu sumienia. Sąd pierwszej instancji w wyroku, który później podtrzymał sąd odwoławczy, orzekł, że sumienie nie może być argumentem za odebraniem życia drugiej osobie. Nawet jeśli ta osoba bardzo cierpi i wyraźnie żąda, aby oszczędzić jej dalszego bólu.

Lekarz dostał rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok. To łagodny wyrok, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że artykuł 293. holenderskiego kodeksu karnego mówi, że za pozbawienie kogoś życia na jego „wyraźne i usilne żądanie" grozi 12 lat więzienia lub grzywna piątej kategorii. Dziś jest to maksymalnie 110 tysięcy euro.

To pierwszy raz, gdy niderlandzki wymiar sprawiedliwości mierzy się z problemem eutanazji. O kodyfikacji zjawiska, które właśnie weszło do historii orzecznictwa, nie ma jeszcze wówczas mowy. Ale dyskusja się rozpoczęła.

CHCEMY ŻYĆ INACZEJ!

Jej temperaturę zmienią lata 60., gdy na ulicę wyjdą studenci żądający liberalizacji poglądów na uczelniach, łatwiejszego dostępu do studiów, niższego czesnego. Młodzi dochodzą do wniosku, że społeczeństwo jest przedmiotem ideologicznej manipulacji i ucisku, zarówno politycznego, jak i ekonomicznego, i że należy to zmienić. Chcą żyć inaczej niż ich rodzice. Ważniejszy od Kościoła jest dla nich klimat. Potępiają wojnę w Wietnamie. Są przeciwni monarchii.

W ruch idą policyjne pałki i ciężkie buty, ale Holendrzy nie dają sobie odebrać głosu. Są w końcu narodem, który pokonał hiszpańskiego najeźdźcę, przez stulecia skutecznie odsuwał od swoich domów wodę i groźbę powodzi, sprzeciwił się podczas strajku w 1941 roku represjom wobec Żydów.

Państwo kapituluje, protesty wygasają. Młodzież dostaje szansę uczestniczenia w sprawowaniu władzy – na uczelniach, w samorządach lokalnych. W głosowaniu powszechnym będą mogły brać udział już osiemnastolatki.

KOŚCIOŁY TRACĄ WIERNYCH

W latach 70. zarówno protestanci, jak i katolicy masowo opuszczają swoje Kościoły. Partie socjalistyczne, które po wojnie walczyły o to, żeby Holendrom żyło się lepiej, odebrały zwolenników partiom konserwatywnym. A co za tym idzie – Kościołom. Okazuje się, że ludzie są zależni nie tyle od woli Boga czy sił nadprzyrodzonych, ile od nowych technologii i prosocjalnych rozwiązań ekonomicznych.

Religia przestaje odgrywać rolę dominującą, a oparcia moralnego Holendrzy zaczynają szukać w wartościach świeckich. Teraz liczą się jednostka i jej autonomia, a więc i prawa – do antykoncepcji, do aborcji, do wolnego seksu, w końcu także do prośby o eutanazję. Skandale, które wybuchają po informacjach o molestowaniu i innych okrucieństwach wobec dzieci w katolickich klasztorach, tylko utwierdzają Holendrów w przekonaniu, że Kościołowi nie należy ufać. Budynki sakralne zamieniają się w baseny, przechowalnie rowerów, sale bankietowe, księgarnie i piwiarnie.

ZŁAMANE TABU

Słabnąca pozycja konserwatystów powoduje, że tabu związane z eutanazją zostaje przełamane. O tym, że powinna być ona dozwolona, jako jeden z pierwszych mówi pod koniec lat 60. Piet Admiraal, anestezjolog ze Szpitala Świętego Hipolita w Delft. Na wykładach i odczytach, z którymi jeździ po kraju, przekonuje słuchaczy, jak wielkie znaczenie ma wsparcie medyczne osób pragnących zakończyć swoje cierpienie. Szczerze przyznaje, że sam także wykonuje eutanazje, a z czasem napisze dla kolegów lekarzy ulotkę informującą, jakich środków używać do uśmiercenia pacjentów, którzy „cierpią w sposób nie do zniesienia" i którym medycyna nie może już pomóc.



• **Leeuwarden, 7 lutego 1973 roku, dr Geertruida Postma, lekarka, która zastrzykiem morfiny zakończyła życie swojej cierpiącej matki wchodzi do gmachu sądu. Jej proces był ważnym momentem w walce o legalizację eutanazji w Holandii**

FOT. BERT VERHOEFF / ANEFO / NATIONAL ARCHIVES OF THE NETHERLANDS

Debatę o końcu życia podgrzewa też rozwój technologii medycznej. Lekarze coraz częściej potrafią odraczać śmierć, nawet jeśli nie mogą już wyleczyć pacjentów. W 1968 roku niderlandzki psychiatra i liberalny protestant Jan Hendrik van den Berg publikuje broszurę „Medische macht en medische ethiek" (Władza medyczna i etyka medyczna), w której pisze, że jedną z konsekwencji postępu medycyny jest – paradoksalnie – krzywdzenie pacjentów. Ci, którzy jeszcze parę lat temu nie przeżyliby choroby, teraz utrzymywani są przy życiu na siłę, co przysparza im tylko dodatkowego cierpienia. W takich sytuacjach, przekonuje, eutanazja powinna być możliwa nawet bez prośby ze strony chorego.

„MAMO, BĘDZIE DOBRZE..."

Gdy w 1973 roku na wokandzie sądu w Leeuwarden zawisa sprawa dr Geertruidy Postmy, o eutanazji jest już bardzo głośno. Doktor Postma podaje śmiertelny zastrzyk swojej matce. 79-letnia kobieta jest po wylewie, częściowo sparaliżowana, ma problemy z fizjologią, źle mówi i słabo słyszy. Prosi lekarzy w domu opieki, a także członków rodziny, żeby skrócili jej życie. Bardzo cierpi, choroba odebrała jej godność, na poprawę nie ma szans.

Lekarze boją się konsekwencji prawnych. Któregoś dnia dr Postma zastaje matkę siedzącą na krześle i przywiązaną do oparcia – pielęgniarz uznał, że starsza pani musi spędzać więcej czasu poza łóżkiem. „Patrzyłam na moją matkę, która wisiała na krześle i była wrakiem człowieka. Nie mogłam znieść tego widoku. Krzyknęłam jej do ucha: »Mamo, będzie dobrze! Zaopiekuję się tobą!«". Następnego dnia podaje matce 200 miligramów morfiny i zgłasza to szefowi domu opieki. A ten zawiadamia prokuraturę.

Wieść obiega media. Lekarze z całej prowincji podpisują list otwarty do ministra sprawiedliwości, w którym przyznają, że każdy z nich popełnił to samo „przestępstwo" co najmniej raz. Dwa tysiące osób z miasteczka Noordwolde, w którym mieszka lekarka, wydaje oświadczenie popierające eutanazję. Prokurator nie jest zadowolony, że musi oskarżać w tej sprawie, bo nie ma wątpliwości, że „doktor Postma jest kobietą o nieskazitelnej reputacji"; mimo to „jej czynu nie da się usprawiedliwić, nawet jeśli wydaje się zrozumiały z ludzkiego punktu widzenia". Ostatecznie żąda dla oskarżonej jedynie miesiąca pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata.

Doktor Postma trwa na stanowisku, że postąpiła słusznie. „Fizyczne cierpienie mojej matki nie było »nie do zniesienia«, nieznośne było jej cierpienie psychiczne. I to było dla mnie najważniejsze. Teraz, po tych wszystkich miesiącach, jestem zdania, że powinnam była pomóc jej odejść znacznie wcześniej" – mówi przed sądem.

eprasa.pl f179aa1425

NIE DO ZNIESIENIA



CAŁKOWITA CZYSTOŚĆ MOTYWÓW

Zanim sąd pierwszej instancji wyda wyrok, powołuje biegłego inspektora zdrowia, który zeznaje, że większość lekarzy w Holandii sprzeciwia się przedłużaniu życia pacjenta za wszelką cenę. Ujawnia też, że powszechnie akceptowaną praktyką jest podawanie ciężko chorym pacjentom dużych ilości leków przeciwbólowych, które niosą ze sobą ryzyko wcześniejszej śmierci. Po konsultacji z innymi lekarzami radzi sądowi, aby dopuszczał wyjątki od zasady ochrony życia, jeśli spełnionych zostanie kilka warunków: pacjent będzie nieuleczalnie chory, jego cierpienie psychiczne lub fizyczne stanie się nie do zniesienia, chory wyrazi chęć zakończenia życia, a lekarz przychyli się do tej prośby. I ostatni warunek: pacjent będzie się znajdował w terminalnej fazie choroby, tuż przed naturalną śmiercią.

Sąd zgodzi się ze wszystkimi argumentami inspektora poza ostatnim. W uzasadnieniu wyroku napisze, że do skrócenia życia powinny mieć prawo także osoby, które mogłyby żyć jeszcze „przez długi czas”, ale ich fizyczne lub psychiczne cierpienie z powodu choroby czy urazów spowodowanych wypadkiem jest bardzo znaczne.

Sąd w Leeuwarden skaże Geertruidę Postmę na tydzień pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok. W uzasadnieniu wyroku napisze, że wzięto pod uwagę „całkowitą czystość motywów oskarżonej”, a symboliczną karę otrzymuje tylko dlatego, że nie próbowała ulżyć matce inaczej, niż wykonując śmiertelny zastrzyk.

W przeciwieństwie do wyroku z Eindhoven z 1952 roku werdykt w tej sprawie jest szeroko komentowany. Dyskusja prowadzi do konkluzji, że podstawowym warunkiem niekaralności eutanazji może być tylko świadoma i dobrowolna decyzja pacjenta. Skoro chcemy mieć wpływ na własne życie, mówią Holendrzy, to miejmy wpływ także na to, jak je zakończymy.

KOŚCIÓŁ MÓWI: TAK

W 1985 roku synod Kościołów reformowanych przyjmuje raport dotyczący pomocy w umieraniu. Stwierdza w nim, że „z punktu widzenia wiary chrześcijańskiej decyzja o zakończeniu własnego życia nie musi być bezzasadna”. W sytuacji upokarzającego cierpienia „prośby o eutanazję – nawet w Kościele Chrystusowym – nie powinny być odrzucane”.

– Niektórzy powiedzą, że zgoda Holendrów na eutanazję wynika z ruchów emancypacyjnych w latach 60. i 70. oraz pragnienia, żeby uwolnić się od wpływu religii – mówi prof. Theo Boer, etyk z Protestanckiego Uniwersytetu Teologicznego w Utrechcie. – Ale ona wynika z samej istoty wyznania protestanckiego. Dla nas cnotą jest transparentność. To typowo kalwińskie podejście. Zamiast kryć się z pewnymi praktykami, stawiamy na procedury oparte na przejrzystości. Przekonanie, że jesteśmy obserwowani przez wspólnotę, zawsze wymuszało na nas postępowanie przykładne, transparentne i racjonalne.

– Poza tym – dodaje rzecznik prasowy Niderlandzkiego Stowarzyszenia na recz Dobrowolnej Eutanazji Rob Edens – my, Holendrzy, jesteśmy praktyczni. Jeśli mamy do czynienia z powtarzającym się zjawiskiem, które zaczyna funkcjonować jako szara strefa, to znaczy, że istnieje jakaś tendencja albo naturalna potrzeba, której powinniśmy się przyjrzeć. Czasem, zamiast czegoś zakazać, a potem karać za łamanie prawa, lepiej jest stworzyć przepisy, które osadzą dane zjawisko w jakichś ramach. Szkody społeczne będą wówczas mniejsze. Tak było w przypadku małżeństw jednopłciowych, aborcji, miękkich narkotyków, tak się też stało z eutanazją.

NIE ŻYCZYSZ TEGO NIKOMU

Eutanazję popiera także Els Borst, w latach 80. dyrektorka do spraw medycznych Szpitala Uniwersyteckiego w Utrechcie. Ma już na tym polu własne doświadczenia, jej krewna chorowała na raka jelita grubego. „W pewnym momencie poprosiła o eutanazję i zabieg wykonano – opowiada Borst w jednym z wywiadów. „Kiedy jelita są zablokowane i zaczynasz wymiotować treścią jelitową, to takich doznań nie życzysz nikomu”.

W latach 80. i 90. zapadają kolejne wyroki sądowe, które ustanawiają wyjątki od zasady karalności eutanazji. Dyskusja wokół nich powoli wyznacza ramy przyszłej ustawy. Przez ponad 30 lat – licząc od wyroku w sprawie dr Postmy – eutanazja w Holandii funkcjonuje jednak wyłącznie w orzecznictwie.

Wreszcie, w 1993 roku, partia D66 przedkłada parlamentowi projekt „Ustawy o zakończeniu życia na wniosek i pomocnictwie w samobójstwie”, który zostaje jednak odrzucony głosami polityków partii chrześcijańskich. Atmosfera polityczna zmienia się sześć lat później, gdy do władzy w Holandii dochodzą liberałowie i socjaliści. Pomysł pilotuje Els Borst, wówczas już ministra zdrowia. Jest przekonana do swoich racji. Eutanazja bez opieki paliatywnej nie miałaby racji bytu, ale wobec tego, że jej rząd zadbał o podniesienie poziomu opieki i standardów leczenia bólu u pacjentów terminalnych, przeciwnicy ustawy nie mogą się już powoływać na złe funkcjonowanie systemu ochrony zdrowia.

Społeczeństwo niderlandzkie przyzwyczaiło się już do myśli, że człowiek w pewnym stopniu może decydować o swoim życiu. Poparcie dla eutanazji wzrasta z prawie 50 proc. w 1966 roku do 90 proc. w roku 1998.

ŚMIERĆ NA WNIOSEK

Debata nad ustawą trwa trzy dni. Posłowie spierają się nie tylko o prawo do przerwania życia osoby cierpiącej na chorobę somatyczną, ale też o uwzględnienie wśród uprawnionych do eutanazji chorych z problemami psychicznymi, nowo narodzonych dzieci z dużym stopniem niepełnosprawności lub w stanie letalnym oraz osób z demencją. Zastanawiają się, jak uregulować te kwestie i nie dopuścić do nadużyć. Zgadzają się, że zabieg może wykonać tylko lekarz.

Projekt ustawy wciąż jednak spotyka się z krytyką – począwszy od obywateli, przez organizacje pozarządowe, na rządach obcych państw kończąc. Powtarzają się argumenty, że skracanie życia pacjentów jest niezgodne z obowiązkami i odpowiedzialnością lekarza oraz że pacjenci będą nakłaniani, by poddali się eutanazji. Kraj znajdzie się na równi pochyłej, bo będzie dochodzić do niekontrolowanego zabijania osób chorych i starych.

Els Borst tłumaczy, że prawa pacjentów będą zabezpieczone podwójnie: po pierwsze, przez nadzór regionalnych komisji do spraw oceny eutanazji – jeśli komisja stwierdzi nieprawidłowości, sprawa trafi do prokuratury, po drugie, przez wymóg uzyskania niezależnej opinii drugiego lekarza.

Wątpliwości zgłasza nawet Kościół protestancki, do tej pory adwokat eutanazji. Popierał to rozwiązanie, dopóki eutanazja stanowiła wyjątek od zasady, a poszczególnymi przypadkami zajmowały się sądy, każdy rozpatrując osobno. Idea skodyfikowania tak delikatnej materii jak aktywne odbieranie życia zaczyna budzić sprzeciw w szeregach mniej liberalnych duchownych, teologów i etyków.

Ich krucjatę Els Borst skomentuje w 2001 roku w wywiadzie dla „Reformatorisch Dagblad”: „Szanuję ludzi, dla których Biblia jest jedyną wskazówką w życiu. Ale oni mogą już tylko z tęsknotą wspominać czasy, gdy Kościół i państwo stanowiły jedność, a Biblia wskazywała kierunek także w polityce. Dziś nie rządzimy już krajem w ten sposób”.

NIE DUMA I NIE WSTYD

Pierwsza na świecie ustawa o eutanazji zostaje uchwalona przez izbę niższą niderlandzkiego parlamentu 28 listopada 2000 roku. Projekt zostaje przyjęty stosunkiem głosów 104 do 40. Teraz decyzja należy do Senatu. Przeciwnicy nie odpuszczają. Przed budynkiem parlamentu zbierają się protestujący.

W izbie wyższej przemawia Els Borst, o której posłowie szepczą, że potrafi uciszyć salę uniesieniem brwi. „Ta ustawa rozwieje nareszcie niepewność pacjentów i lekarzy” – mówi na dzień przed głosowaniem. Walkę partii chrześcijańskich przeciwko eutanazji nazywa „donkiszoterią”. 10 kwietnia 2001 roku ustawa zyskuje aprobatę Senatu. Za głosuje 46 parlamentarzystów, przeciwko – 28. Jeden senator jest nieobecny. Lekarze rodzinni są zadowoleni, 90 proc. z nich dokonało lub jest gotowych dokonywać eutanazji. Nie chcą się przy tym czuć jak przestępcy.

„Ktoś musiał być pierwszy. Nie ma powodu do dumy ani do wstydu” – podsumowuje Jacob Kohnstamm, były wiceminister spraw wewnętrznych i rzecznik partii D66. W przyszłości zawsze będzie podkreślał, że eutanazja w Holandii nie jest prawem ani obowiązkiem lekarza wobec pacjenta. Jest tylko wyjątkiem od reguły. I dotyczy wyłącznie Holendrów, dlatego obawy o turystykę eutanazyjną są bezpodstawne.

1 kwietnia 2002 roku ustawa wchodzi w życie. Co do zasady eutanazja czy też pomocnictwo w samobójstwie nadal podlegają karze, z wyjątkiem sytuacji, gdy cierpienie pacjenta jest nie do zniesienia i beznadziejne, prośba pacjenta o skrócenie życia jest dobrowolna i przemyślana, pacjent jest poinformowany o swojej sytuacji i perspektywach, nie ma rozsądnych alternatyw leczenia, zabieg wykona lekarz, który skonsultuje się przedtem z innym, niezależnym lekarzem.

Z ROZKAZU BOGA

Od wprowadzenia w życie ustawy o eutanazji mija 12 lat. Jest 8 lutego 2014 roku, sobota. Els Borst wróciła już do domu ze zjazdu swojej partii, ale przez następne dwa dni nie daje znaku życia. Jedna z przyjaciółek nie może się do niej dodzwonić, więc jedzie do Bilthoven. Ciało 81-letniej polityczki znajduje niedaleko garażu. Już na pierwszy rzut oka widać, że nie umarła śmiercią naturalną. Sekcja zwłok wykaże, że nie żyje od dwóch dni i że ktoś zadał jej 41 ran kłutych.

Przez rok policja nie trafia na żaden trop. Pewnego dnia aresztowany zostaje jednak Bart van U. Zabił swoją siostrę, ponieważ – jak twierdził – nękała go i próbowała doprowadzić do samobójstwa, między innymi proponując mu ciastka, których nie lubił, a ona przecież o tym wiedziała. Pobrane od zabójcy DNA jest identyczne ze znalezionym na ciele Els Borst. Bart van U. przyznaje się do zamordowania byłej ministry. Podczas śledztwa powie, że tak „kazał mu Bóg”, bo jego ofiara była odpowiedzialna za wprowadzenie ustawy o eutanazji. Podjechał pod jej dom, zadzwonił do bramy, chciał rozmawiać. Borst wpuściła go środka.

Sąd uznaje go za częściowo niepoczytalnego, wymierza karę ośmiu lat więzienia i kieruje na przymusowe leczenie. Bart van U. nadal przebywa w zakładzie zamkniętym. Dyskusja o różnych aspektach eutanazji w Holandii wciąż się toczy. ●



Umrę jutro o szesnastej. Holendrzy o eutanazji i innych sposobach na śmierć

Marta Grzywacz
Wydawnictwo Czarne

eprasa.pl f179aa1425



Nowy człowiek Z MIASTA SZKÓŁ

W Bartoszycach dochodziło do adopcji, ale nie wszystkie dzieci na nie czekały. Niektóre, jak tylko przyjeżdżały rodziny z Warszawy, uciekały do pobliskiego lasu i nie wychodziły z niego aż do wieczora.

Z **BERNADETTĄ DARSKĄ,**
AUTORKĄ KSIĄŻKI „REPUBLIKA LUDZI MŁODYCH. OPOWIEŚĆ O NOWYM CZŁOWIEKU”,
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Dlaczego w Bartoszycach powstał w 1947 roku Centralny Ośrodek Wychowawczo-Szkoleniowy im. Janusza Korczaka?
PROF. BERNADETTA DARSKA: Po drugiej wojnie światowej było w Polsce 1,7 mln sierot. Ta liczba brzmi szokująco i wtedy, i dzisiaj. Dzieci nie tylko straciły rodziców, ale były również świadkami strasznych sytuacji, często chodziły głodne, chore, bezdomne, zdarzało się, że musiały walczyć o przetrwanie. Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, czyli środowisko przedwojennych idealistów i socjalistów systemowo zajmujące się opieką nad sierotami również po 1945 roku, zaczęło organizować w całej Polsce domy dziecka. Towarzyszyły temu idee opieki, wychowania i edukacji. W pewnym momencie pojawił się pomysł stworzenia modelowego miejsca, w którym zostałyby zrealizowane konkretne idee wychowawcze. Chodziło o „nowego człowieka” w nowym państwie socjalistycznym.

Już w wakacje 1946 roku delegacja RTPD wybrała się do Bartoszyc, małego poniemieckiego miasteczka [dziś woj. warmińsko-ma-

eprasa.pl f179aa1425



Wychowankowie domu dziecka podczas zabawy na dziedzińcu ośrodka. Serię zdjęć w Bartoszycach w 1948 roku wykonał słynny fotoreporter David Seymour w ramach projektu „Children of Europe”. Jedno z nich ukazało się w świątecznym wydaniu magazynu „Life”

FOT. DAVID SEYMOUR / MAGNUM PHOTOS / FORUM

zurskie], aby obejrzeć wybudowane tam tuż przed wojną koszary Ludendorffa. Odizolowane od miasta nasypem kolejowym, z dwóch pozostałych stron otoczone rzeką Łyną i lasem – okazały się miejscem idealnym. Stwierdzono, że stosunkowo słabo zniszczone przez działania wojenne ogromne budynki, a także bliskość natury idealnie odpowiadają na potrzeby dzieci. Alejki parkowe, las i rzeka miały sprzyjać powrotowi dzieci do normalnego życia.

Nie bez znaczenia okazała się infrastruktura – budynki, które można było przeznaczyć na warsztaty, boiska, sala gimnastyczna, basen, byłe kasyno i domy pooficerskie, w których mieli zamieszkać pracownicy. Odizolowanie od miasta też miało znaczenie, ponieważ Centralny Ośrodek Wychowawczo-Szkoleniowy miał być miejscem funkcjonującym na własnych zasadach i kontrolowanym centralnie. Rozpoczęto przygotowania i już na początku 1947 roku przybyli pierwsi wychowankowie.

Jaki model pracy z dziećmi miał zostać wypracowany w Bartoszycach?

– Fundamentem Ośrodka był dom dziecka. W dokumentach założycielskich zaznaczono, że docelowo znajdzie się tam 3 tys. dzieci. Ostatecznie było ich mniej, ale i liczba około siedmiuset podopiecznych poraża. Przez kilkadziesiąt lat dom dziecka w Bartoszycach był największym w Polsce. Ośrodek nazywany był niekiedy koncernem lub kombinatem pedagogicznym czy miastem szkół. Oprócz domu dziecka w ramach ośrodka funkcjonowała szkoła podstawowa, tzw. ćwiczeniówka, liceum dla wychowawczyń przedszkoli, liceum pedagogiczne, potem także drugie liceum pedagogiczne z językiem ukraińskim, warsztaty nauki zawodu – szewskie, krawieckie, stolarskie, mechaniczne, ogród, masarnia, dom kultury dziecka. Do ośrodka należały trzy majątki poniemieckie, które zaopatrywały go w owoce, warzywa, nabiał i mięso. Były też plany utworzenia instytutu pedagogicznego, który miałby charakter jednostki uniwersyteckiej. Tego ostatniego punktu nie zrealizowano.

Do Bartoszyc przyjeżdżali znani pisarze – Maria Dąbrowska, Melchior Wańkowicz, Igor Newerly, Władysław Broniewski czy Jerzy Putrament. Często bywał też Paweł Jasienica, bo jego ojciec kierował dziecięcą orkiestrą w ośrodku, a siostra była tutaj lekarką. Dzieciom wyświetlano filmy, odbywały się koncerty filharmoników i przedstawienia teatralne, organizowano liczne koła zainteresowań. W Bartoszycach myślano więc o dzieciach w sposób systemowy, co miało stanowić wzór dla innych podobnych miejsc.

Jak rekrutowano nauczycieli?

– Z tym był największy problem, ponieważ po wojnie ich brakowało. Do Bartoszyc przyjechali pedagodzy z Polski centralnej, reemigranci z Francji, repatrianci z Wileńszczyzny i zza Buga. Nauczycielami zostawali często młodzi ludzie, niewiele starsi od wychowanków, którzy na przykład kończyli bartoszyckie liceum pedagogiczne albo odbywali praktyki zawodowe na miejscu. Twórcy ośrodka ogłaszali potrzebę zatrudnienia kolejnych osób, zachęcając do przyjazdu także tym, że pracownicy mieli zapewnione mieszkanie i wyżywienie.

W Bartoszycach chciano stworzyć idealnego, komunistycznego obywatela?

– Oczywiście, przecież mówimy o pierwszych latach instalacji systemu socjalistycznego w Polsce. Ale nie jest to tak jednoznaczne, jak mogłoby się wydawać. Używano kategorii „nowego człowieka”. To ten „nowy człowiek” miał być modelowy dla odbudowywanego po wojnie państwa. Inspiracją była pedagogika Janusza Korczaka, który kładł duży nacisk na podmiotowość dziecka, samorządność i autoanalizę własnego zachowania.

Drugim odniesieniem były teorie wychowania Antona Makarenki, radzieckiego pedagoga, autora „Poematu pedagogicznego” stawiającego na wychowanie kolektywne. W niektórych publikacjach pisano nawet, że Bartoszyce są polskim poematem pedagogicznym. Nie chodziło tutaj jednak o naśladowanie Korczaka czy Makarenki. Akcentowano, że w ośrodku powstaje model bartoszycki, który stanie się wzorcem dla instytucji opiekuńczo-wychowawczych w całym kraju.

Indoktrynowano dzieci?

– Odbywały się różnego rodzaju pogadanki, świętowano uroczystości, podczas których akcentowano fenomen państwa socjalistycznego, zdarzały się odwiedziny radzieckich wojskowych opowiadających o niedawno zakończonej wojnie. Tyle że tak było wtedy i w innych instytucjach szkolnych. Nowy człowiek ostatecznie okazał się nie tyle produktem działań ideologicznych, ile raczej kimś przygotowanym do czynienia dobra, zauważania potrzeb drugiego człowieka, kimś empatycznym, gotowym pomagać innym. Ważne było zaszczepienie w dzieciach wiary w przyszłość. Młodzi wychowawcy, którzy mieli za sobą traumatyczne i tragiczne doświadczenia wojenne, w pewnym sensie odcięli się od własnej przeszłości i zaangażowali w proces odzyskiwania dla społeczeństwa dzieci. Ta metafora pojawiała się często w ówczesnej publicystyce i trzeba przyznać, że była zasadna: młodzi wychowawcy pracowali ponad siły, żeby dzieci uwierzyły w siebie, zaczęły ufać innym, poczuły się bezpiecznie.

Czy na takie samo traktowanie mogły liczyć dzieci niemieckie, które trafiły do Bartoszyc?

– Tak. Obok kształtowania modelu bartoszyckiego w kontekście „nowego człowieka” drugim ważnym projektem, który także miał stać się modelowy dla całego kraju, była repolonizacja. W ośrodku znalazła się duża grupa dzieci autochtonów. Nie znały języka polskiego, mówiły tylko po niemiecku. Ciekawe jest, jak świadomie operowano słowami po to, by ideologicznie opowieść była spójna. Mówiono o Mazurach i o repolonizacji, a więc przywróceniu do polskości. Rzecz działa się na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Odzyskiwano więc Polaków. Mówienie o repolonizacji nie oddawało prawdziwego charakteru pracy z mazurskimi dziećmi mówiącymi po niemiecku. Odpowiednim określeniem byłaby „polonizacja”, ponieważ młodzi ludzie nigdy nie byli Polakami, nie używali języka polskiego, nie znali polskiej kultury, zwyczajów czy religii. Bardzo ważne jest, że w spisach zaznaczano dane dotyczące wcześniejszej tożsamości. Ci, którym nadano polskie imię i nazwisko, w dokumentach mieli ślad dawnego życia. W razie odnalezienia krewnych pozwalało to na ustalenie rodzinnych więzi i wyjazd do Niemiec.

Zdarzało się, że takich informacji nie było w ogóle. Wśród wychowanków znalazły się dzieci bez żadnych dokumentów dotyczących ich pochodzenia. Tylko posługiwanie się językiem niemieckim było informacją. Nauczyciele musieli wypełniać specjalne ankiety repolonizacyjne, w których zapisywano postępy w nauce języka i pogłębiania niechęci do niedawnego wroga. Jako sukces postrzegano słowa dzieci, które same z siebie zaznaczały, że nie są Szwabami, tylko Polakami. Dzieci nie szykanowano, nie stygmatyzowano, traktowano je tak samo jak polskie. To ważne, bo w innych miejscach w kraju takie podejście nie było wcale tak oczywiste.

Czy w polonizacji miały pomagać polskie dzieci?

– Tak, szczególną rolę mieli odegrać ci, którzy walczyli w powstaniu warszawskim i stanowili obok podopiecznych z Ośrodka Boduena kolejną grupę, która trafiła do Bartoszyc. Na samym początku zareagowali oni na dzieci mówiące między sobą po niemiecku z ogromną niechęcią. Nie dziwię się, bo młodzi ludzie widzieli w walczącej Warszawie potworne sceny, ich wrogami byli uzbrojeni Niemcy, którzy chcieli zabić ich rodziny. Dlatego na samym początku pojawiło się sporo napięcia między polskimi a niemieckimi dziećmi, które to problemy z czasem zostały rozwiązane przez wychowawców. Ci ostatni potrafili przekonać powstańcze dzieci, że warto odrzucić nienawiść i spróbować zbudować nową wspólnotę. Pokazali, że mają intuicję, empatię i talent pedagogiczny.

A w jaki sposób dbano o dobrostan psychiczny dzieci?

– Oczywiście metody wychowawcze sprzed 80 lat mocno odbiegają od współczesnych wyobrażeń. Dzisiaj każde straumatyzowane dziecko pewnie porozmawiałoby z psychoterapeutą, odbyłoby kilka takich sesji i konsekwentnie omawiało trudne doświadczenia. Pod koniec lat 40. XX wieku nie podchodzono w ten sposób do traum wojennych. W Bartoszycach przypadkowo w sumie utworzona grupa wychowawców intuicyjnie dobierała metody pedagogiczne, tworząc w domu dziecka przyjazną, pozytywną atmosferę. Przy takiej liczbie wychowanków nie udało się zbudować wielu silnych, bliskich relacji, ale – jak wynika ze wspomnień – udało się zapewnić dzieciom elementarne poczucie bezpieczeństwa. I co najważniejsze: podopieczni pierwszy raz od wielu lat mieli co jeść. Przeglądając jadłospisy z tamtych czasów, widzimy powtarzające się proste dania, ale ważniejsze było co innego: dzieci jadły po pięć posiłków dziennie.

Jednocześnie młodzież rozwijała się intelektualnie, uczyła się, czytała, oglądała filmy i miała czas na zabawę na świeżym powietrzu. Wychowankowie mogli zapomnieć o wojennych doświadczeniach, ponieważ mieli zapełniony po brzegi czas: korzystały z basenu, pływały kajakami, wyjeżdżały na wykopki, a zarobione pieniądze przeznaczały na wycieczki. Starsi opiekowali się młodszymi. Dzieci czuły się bezpieczne, były chronione przez dorosłych. To wszystko miało wymiar terapeutyczny.

Co z adopcjami?

– Odbywały się, to oczywiste. Ale nie zawsze dzieci na nie czekały. Niektóre osoby, jak tylko przyjeżdżały rodziny z Warszawy, uciekały do pobliskiego lasu i nie wychodziły z niego aż do wieczora. Wolały pozostać w ośrodku. Rozumiem ten strach przed nieznanym: dzieci trafiały do Bartoszyc jako kilkulatki, nie znały innego życia, nie pamiętały swoich rodziców, dobrze im się żyło wśród rówieśników i kochających wychowawców. Przebywanie w domu dziecka było dla nich czymś zwyczajnym. Czuli się częścią realnie istniejącej wspólnoty.

Wspomniała pani o warsztatach, w których młodzi ludzie uczyli się zawodów. Podopieczni mieli mieć ułatwiony start na progu dorosłości?

– Tak, nauka zawodu, edukacja były wyjątkowo istotne, ale chyba ważniejsze jest coś innego: dzieci otrzymywały wyraźny sygnał, że nie są gorsze od rówieśników żyjących poza ośrodkiem i mających rodziny. Widać, że inwestowano w ich poczucie własnej wartości. Ten psychologiczny kontekst miał duże znaczenie. RTPD zrezygnowało też z mówienia o sierotach. W Bartoszycach w ramach ośrodka powstał dom dziecka, a nie ochronka dla sierot.

Zrezygnowano też z religii.

– To prawda, edukacja miała świecki charakter. Mieszkańcy Bartoszyc podchodzili początkowo sceptycznie do tego pomysłu, budziło to ich nieufność, ale szybko okazało się, że poziom nauczania za bramami ośrodka jest znakomity. Osoby kończące liceum pedagogiczne zostawały świetnymi wychowawcami, a ci, którzy opuszczali jako osoby pełnoletnie dom dziecka, często kończyli dobre szkoły, a dyrekcja często pomagała im znaleźć pracę czy mieszkanie. Nie zostawiano ich samych sobie.

A czy w ośrodku dochodziło do przemocy?

– Pewnie czasami tak. Byłoby zaskakujące, gdyby okazało się, że tego typu sytuacje nie miałyby miejsca w tak dużej grupie ludzi. Najtrudniejszy i opisany także jako wyzwanie był moment zderzenia dzieci z powstania warszawskiego z dziećmi autochtonów. Niechęć, przejawy agresji, bójki – ale dorośli szybko ten problem opanowali. W historii ośrodka zdecydowanie jednak dominuje dobro, co jest i budujące, i niezwykłe.

Kto był w pionierskiej grupie prowadzącej ośrodek?

– W sensie ideowym ważną postacią był Aleksander Lewin. Pracował z Januszem Korczakiem, podczas wojny założył Polski Obwodowy Dom Dziecka w Monetnej koło Swierdłowska na Uralu. W 1946 roku wraca z dziećmi do Polski. Już w Terespolu wszyscy są świadkami nieprzyjemnej sytuacji. Wychowanków, którzy marzyli o powrocie do Polski, dorośli pytają, jak im było w Związku Radzieckim. Kiedy słyszą, że dobrze, zmienia się ich nastawienie. Lecą w ich kierunku kamyki, niektórzy plują. Dzieci trafiają do Domu Rozdzielczego w Gostyninie. Lewin dba o to, by dzieci nie zostały rozłączone. Jako jedyny przenosi wszystkich swoich podopiecznych do pałacu w Sławięcicach, gdzie tworzy dla nich dom dziecka. Potem kilkanaście osób z tej grupy przyjedzie do Bartoszyc. Kiedy

eprasa.pl f179aa1425

staną się dorosłymi, niektórzy będą pracować w ośrodku. Na przykład Józef Małecki najpierw był wychowankiem, potem wychowawcą, wreszcie został wieloletnim dyrektorem domu dziecka. Jego żona, Janina, też przyjechała z Monetnej i też pracowała w ośrodku. Siostry Starczewskie – Adela (potem Szarpak) i Maria (potem Oberkoch) – były lubianymi wychowawczyniami, także przyjechały z Monetnej. Ośrodkiem interesowały się władze centralne – prezydent Bolesław Bierut, premierzy Edward Osóbka-Morawski i Józef Cyrankiewicz. Często przyjeżdżał tam Eustachy Kuroczko, prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ci, którzy angażowali się w funkcjonowanie ośrodka, często byli związani z Robotniczym Towarzystwem Przyjaciół Dzieci.

Mówimy cały czas o sprawach pięknych, ale Lewin ma też inną kartę w biografii: kształcił wychowawców pracujących w więzieniu dla młodocianych przestępców w Jaworznie, o którym aż do lat 90. nie mówiono publicznie.

– Kierowano tam w pierwszej połowie lat 50. XX wieku młodych ludzi, którzy ideowo nie byli spójni z systemem socjalistycznym. Wywodzili się z inteligencji, a jako więźniowie byli zmuszani do katorżniczej pracy w kopalniach i na budowach. Zniszczono im w ten sposób zdrowie na wiele lat, a często na całe życie. Lewin był jedną z osób odpowiadających za kształcenie wychowawców w Jaworznie. Lewin nigdy nie traktował tego działania jako błędu i uważał Jaworzno za kolejny sukces pedagogiczny. Natomiast ten eksperyment nie mógł się udać. Młodzi więźniowie byli lepiej wykształceni od wychowawców, nie było więc szansy na takie oddziaływanie, jakie planował w swoim „Poemacie pedagogicznym" Makarenko. W książce piszę o awersie i rewersie – z jednej strony triumf dobra w Bartoszycach, z drugiej mroczny kontekst zła w Jaworznie.

Dzisiaj Lewin jest głównie kojarzony z opieką nad spuścizną Korczaka.

– To prawda. Został zapamiętany przede wszystkim jako osoba opiekująca się spuścizną po Starym Doktorze. Bartoszyce i Jaworzno w jego biografii są właściwie zapomniane.

Czy do Bartoszyc trafiały dzieci żydowskie?

– Jeśli tak, to tylko pojedyncze osoby. Nie ma dokumentów potwierdzających obecność większej grupy, ale we wspomnieniach niektórych podopiecznych pojawia się informacja o obecności także dzieci żydowskich. Wątek ten jednak nigdy nie został szerzej rozwinięty.

Pani babcia pracowała w ośrodku, prawda?

– Tak. I dziadek, i babcia. Włodzimierz Obłamski, kuzyn babci, reemigrant z Francji, był kierownikiem Liceum Pedagogicznego w Ośrodku. Babcia, mieszkająca wtedy w Olsztynie, przeczytała o tym w gazecie i wysłała dziadka do Bartoszyc, żeby dowiedział się, czy nie znajdzie się dla nich praca i mieszkanie. To dzięki niemu moja rodzina znalazła się w Bartoszycach. Babcia i dziadek z dziećmi zamieszkali w jednym z domów pooficerskich, tam żyli do końca swoich dni, tam wychował się mój ojciec, tam bardzo często bywałam. Pracowali w ośrodku krótko, ale stali się jego częścią na zawsze. Co ciekawe, choć bywałam u babci często, nie znałam historii ośrodka, nie zdawałam sobie sprawy z rozmachu tego przedsięwzięcia i z tego, że sąsiedzi babci byli ludźmi, którzy współtworzyli Wielką Historię.

Nie zajmuje się pani pracą historyczną, a książka ma taki charakter. Jak pani pracowała?

– Z wykształcenia jestem literaturoznawczynią, a także krytyczką literacką. Jako badaczka od lat zajmuję się reportażem. Moje wcześniejsze książki miały charakter eseistyczny, zawsze mi na tym zależało. Chyba najbardziej „Berlinowanie. Zapiski z doświadczania miasta". W tym wypadku wyzwaniem były dwie kwestie – upływ czasu i wybór formy. Uczestnicy opisywanych przeze mnie wydarzeń już odeszli, nie mogłam więc z nimi porozmawiać. Wiele dokumentów zostało zniszczonych. Dlatego wyjątkowo ważne było dla mnie dotarcie do dokumentów związanych z powstaniem i zamknięciem ośrodka.

Kluczowe było też ustalenie, że David Seymour, jeden ze współzałożycieli legendarnej agencji fotograficznej Magnum, przyjechał w 1948 roku do Bartoszyc i w ramach projektu „Children of Europe" fotografował wychowanków domu dziecka. Jedno z tych zdjęć mogli obejrzeć Amerykanie w świątecznym wydaniu magazynu „Life" w tym samym roku. No i forma – chyba najbliżej tej książce do reportażu, a odsłanianie kolejnych fragmentów tej historii ma pokazać, że z przeszłości często zostają skrawki, puzzle, cząstki.

Ośrodek nie przetrwał. Dlaczego? Warszawa stwierdziła, że eksperyment się nie udał?

– W sensie formalnym istniał krótko – do 1951 roku, ale tak naprawdę dłużej. Instytucje wchodzące w jego skład działały dalej. Co więcej, ich kierownicy szybko zrozumieli, że muszą dalej współpracować, by zachować to, co udało się osiągnąć wcześniej – poczucie odpowiedzialności za części wspólne, negocjowanie rodzących się problemów, myślenie całościowe o codzienności wychowanków, towarzyszenie dzieciom na kolejnych etapach edukacji i wychowania.

Warto wspomnieć, że do dzisiaj dawne koszary Ludendorffa w Bartoszycach to miejsce, w którym funkcjonują jednostki wywodzące się z tych należących do ośrodka oraz powiązane z kształceniem. Pracują w nich często potomkowie pierwszych wychowawców i podopiecznych. Można się więc pokusić o stwierdzenie, że idea ośrodka trwa już 80 lat.

I dlaczego powinniśmy dzisiaj o nim pamiętać?

– Ponieważ ta historia dużo mówi także o współczesności. Eksperyment pedagogiczny w Bartoszycach udowadnia, że można w każdych okolicznościach uwierzyć w przyszłość. Można próbować ją budować nawet wtedy, jeśli przeszłość wiąże się z totalną katastrofą, cierpieniem, stratą wszystkiego.

To opowieść o tym, że dorośli mogą pomóc niewinnym dzieciom. Za naszą wschodnią granicą trwa wojna, dzieci doświadczają zła, lecz opisana przeze mnie historia pokazuje, że mimo śmierci, zniszczenia i traumy można uwierzyć w drugiego człowieka i spróbować być szczęśliwym nie tylko na własny rachunek, ale razem z innymi ludźmi. Opisana przeze mnie historia daje nadzieję także w kontekście tego, co dzieje się dzisiaj i co wydarzy się kiedyś. Tak, to jest taka historia, która daje nadzieję, jestem tego pewna. ●



Republika ludzi młodych. Opowieść o nowym człowieku

Bernadetta Darska
Wydawnictwo Iskry

Prof. dr hab. Bernadetta Darska

• jest literaturoznawczynią i krytyczką literacką. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Napisała 13 książek, m.in. „Szejnert. Szczegół". Jurorka nagród literackich.

Antypolityka historyczna

Język i myśl

Postanowiłem napisać tekst językiem epoki oświecenia po to, żeby zobaczyć, kiedy utrudnia mi on wyrażenie myśli.

Maciej Janowski



Przyszło mi kiedyś do głowy napisać kilkustronicowy esej takim językiem, jakiego używał wykształcony Polak w czasach napoleońskich, i takimi pojęciami, które byłyby dla niego zrozumiałe. Chciałem sprawdzić, czy potrafię na tyle myśleć duchem XIX wieku, a więc epoki, której dziejami się zajmuję, aby wejść w jej język. Miałem z tym dużo zabawy i przypuszczam, że to był mój główny motyw; ale był i zamysł inny, poważniejszy. Otóż wiele lat temu czytałem z ogromną fascynacją „Tylko Beatrycze" Teodora Parnickiego. Główny bohater żyjący w XIII wieku jest przekonany, że ma talent poetycki równie wielki jak Dante. Cóż z tego, skoro nie ma narzędzia, aby go spożytkować, bo język polski jest na tyle słabiej rozwinięty od włoskiego, że żadnego wielkiego dzieła literackiego nie da się w nim napisać.

Ta myśl nie dawała mi spokoju, bo przypomniałem sobie własne odczucia podczas lektury powieści Jane Austen. Pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy zorientowałem się, że „Duma i uprzedzenie" powstała w czasach napoleońskich. Miałem wrażenie, że czytam tekst napisany mniej więcej w pokoleniu Bolesława Prusa, a więc o jakieś trzy czwarte stulecia później. Innymi słowy, ten stopień zdolności wyrażania emocji, przedstawiania stanów psychicznych, które polszczyzna osiągnęła w ostatniej ćwierci XIX wieku, język angielski miał już na początku stulecia. Miałem więc do czynienia z tym samym zjawiskiem, o którym pisał Parnicki, tyle że w odniesieniu do czasów późniejszych.

Czyżby więc – zastanawiałem się – Parnicki miał rację? Przecież już myśliciele polskiego oświecenia zastanawiali się nad tym, czy ich język nadaje się do wypowiedzenia tych wszystkich subtelności, które da się powiedzieć po francusku. Oni pisali o wyrażaniu raczej skomplikowanych emocji niż idei gospodarczych czy filozoficznych – ale problem jest ten sam. Kwestie podobne badano wielokrotnie; o wpływie języka na kształt wypowiedzi mówi tzw. hipoteza Sapira-Whorfa, ale ona nie dotyczy historycznego rozwoju, tylko porównania różnych języków w tym samym momencie, nie mogła więc dać mi jasnej odpowiedzi.

Postanowiłem zrobić eksperyment: samemu napisać tekst z epoki oświecenia po to, żeby zobaczyć, kiedy język stawia mi opór; kiedy utrudnia wyrażenie myśli. Tekst taki miał być swoistą „próbą obciążeniową" późnooświeceniowej polszczyzny. Jak próba obciążeniowa mostu polega na ustawieniu na nim dużej liczby ciężkich samochodów, tak samo i moja próba polegała na „obciążeniu" ówczesnej polszczyzny dodatkowymi znaczeniami, aby sprawdzić, jak wiele znaczeń ten język byłby w stanie unieść. Chodziło mi o to, jakie idee gospodarcze można było wyrazić ówczesnym językiem; czy na przykład brak pogłębionej refleksji na temat gospodarczych korzyści i ryzyka inwestycji państwowych wynika z braku zainteresowania problemem, z braku samej myśli o tym, że państwowe inwestycje mogą być marnotrawcze, czy z języka – innymi słowy: z ograniczeń myślowych czy językowych?

Wynik tego eksperymentu był oczywiście niejednoznaczny. Osobiście utwierdziłem się w przekonaniu, że istnieje coś takiego jak stopnień zdolności języka do wyrażania treści. Ograniczenia słownictwa są tu chyba najważniejsze. Bardzo powoli kształtują się centralne pojęcia; ileż czasu musiało upłynąć, zanim „rynek" nabrał znaczenia szerszego niż tylko „plac targowy". Zwykłe, codzienne słowa i zwroty nabierają precyzji. Istniała w polszczyźnie fraza „zależy na czymś", której znaczenie było takie same jak dwóch dzisiejszych fraz: „polegać na czymś" i „zależeć od czegoś". Bardzo powoli w ciągu XIX wieku ta dawna fraza rozpadła się na dwie nowe, z korzyścią dla precyzji języka.

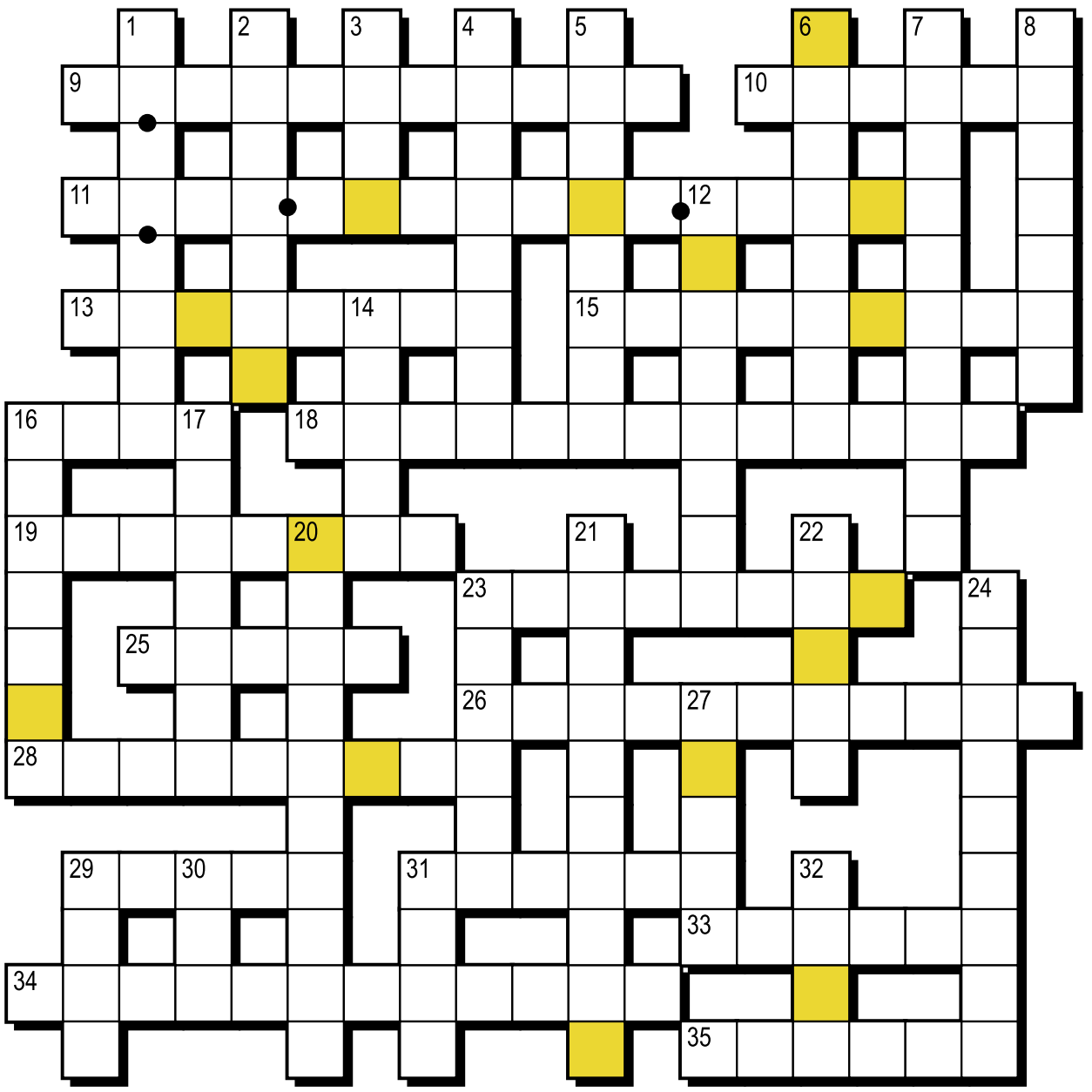
Ale możliwość przekazania myśli nie zależy tylko od słownictwa. Zależy od łatwości tworzenia różnych form gramatycznych, przede wszystkim form warunkowych, które umożliwiają rozumowanie kontrfaktyczne, kluczowe dla wszelkich analiz politycznych i gospodarczych. Zależy też od zdolności języka do wyrażania ironii, która wbrew pozorom jest ważna w tekstach analitycznych, bo ironiczna modyfikacja znaczeń słów pozwala na wyrażanie bardziej zniuansowanych poglądów.

Kogo ciekawi, może zajrzeć (tekst mój wraz z omówieniem ukazał się w „Wieku Oświecenia" nr 39, 2023) i samemu ocenić, czy pisanie w języku sprzed ponad dwustu lat może być czymś więcej niż tylko literacką zabawą. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku

eprasa.pl f179aa1425

weekendówka nr 229



L JAK LISTOPAD

Odgadywane wyrazy zaczynają się taką samą literą. Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
9) pracownie z kolbami, pipetami, menzurkami
10) przestarzale: łobuziak, drapichrust
11) powieść Marii Rodziewiczówny
13) rycerz Okrągłego Stołu, uwiódł żonę króla Artura
15) przewozi inne pojazdy specjalnym samochodem z platformą
16) nie lubi się z Biedronką
18) przypadłość zwana także somnambulizmem
19) płyta wydana przez artystę (z angielskiego)
23) rzadkie imię żeńskie (ze słówkiem „oka”)
25) wieś, w której toczy się akcja powieści „Chłopi”
26) urzędowe stwierdzenie wiarygodności, ważności czegoś
28) wesołe miasteczka
29) „Jedzą, piją, ... palą, tańce, hulanka, swawola”
31) w mitologii greckiej: matka Apollina
33) wnuczki narysowały je dla babci i dziadka
34) głośny płacz, zawodzenie
35) lozańskie – w literackim dorobku Adama Mickiewicza

Pionowo:
1) musical filmowy z Emmą Stone i Ryanem Goslingiem
2) niestety, topnieją za sprawą globalnego ocieplenia
3) Barbie i Ken
4) przyrząd optyczny z piosenki grupy Golec uOrkiestra
5) luksusowe samochody made in USA
6) mowa pochwalna
7) miejsce, w którym zgromadzono kamienne fragmenty rzeźb, nagrobków, pomników
8) jedno ze skrzywień kręgosłupa
12) roślina z liter wyrazu „konwalie”
14) ... Palmer, zamordowana w serialu „Miasteczko Twin Peaks”
16) Joachim (zm. 1861), polityk i historyk
17) dolnośląskie miasto nad Kaczawą
20) chodzi do ogólniaka
21) imiennicy Pastusiaka, marszałka senatu w latach 2001–2005
22) Franciszek, węgierski kompozytor
23) najsłynniejsza powieść Władimira Nabokova
24) hasają po Krakowie podczas zabawy ludowej w oktawę Bożego Ciała
27) wyborczy lub rozrywkowy
29) król z dramatu Szekspira, ojciec trzech córek
30) „Henry ...”, ballada Nicka Cave’a
31) Robert Lewandowski dla milionów kibiców
32) lokum Wenus z Milo

Leszek Rydz

Rozwiązanie weekendówki nr 228 z 31 października (krzyżówka Strachy na Lachy)
POZIOMO:
2) piec 4) gorąc 9) oko 10) szatan 11) południce 12) Leonardo 13) zwid 15) licho nie śpi 17) Drakula 19) kabaret 20) piekło 23) stara wiedźma 26) Woland 27) pakt 28) karczma 29) kałuża 30) makabra 32) kozły 34) Diabeł z Auxerre 35) koszmarny sen

PIONOWO:
1) Urwis 2) prawdziwek 3) co nagle to po diable 4) Godzilla 5) Coelho 6) borowik 7) msza 8) głaz 11) pazury 14) diabli nadali 16) hart ducha 18) układ 21) paskudztwo 22) zabawa 23) szpilka 24) Joe Alex 25) kaduk 31) Biesy 33) faun 34) dom
HASŁO: Boruta i Rokita

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34454980



GAZETA wyborcza

We wtorek 17 listopada w Wyborczej kalendarz przyrodniczy

Łoś, żubry, wróble, dzik, sowa i wiele innych zwierzaków na zdjęciach Adama Wajraka

2 RP

eprasa.pl f179aa1425



Kraj/34455830

eprasa.pl f179aa1425

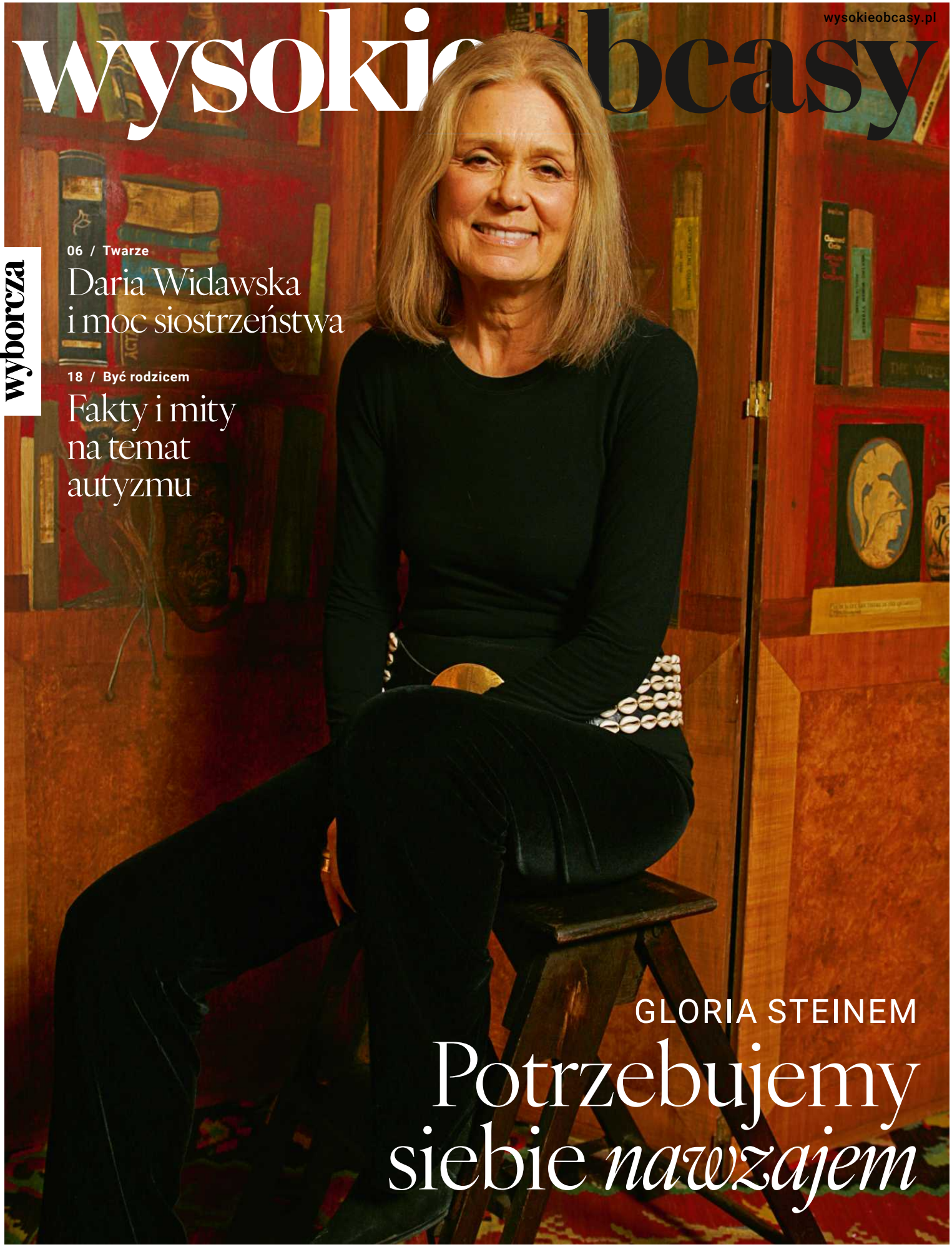
wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

06 / Twarze
Daria Widawska i moc siostrzeństwa

18 / Być rodzicem
Fakty i mity na temat autyzmu



GLORIA STEINEM

Potrzebujemy siebie *nawzajem*

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 44 (1415) SOBOTA – CZWARTEK, 7-12 LISTOPADA 2026

WYBRANE MIEJSCA NOCLEGOWE NA TWOJE ZIMOWE WAKACJE



APARTMENTS HOHENBERGER
www.hohenberger.at



HOTEL BERGKRISTALL ★★★★
www.bergkristall-mallnitz.at



HOTEL BADMEISTER ★★★
www.badmeister.at



SATTLEGGERS ALPENHOF ★★★
www.embergeralm.com



LANDHOTEL POST
www.landhotel-post.at



HOTEL FLATTACHER HOF ★★★★
www.flattacherhof.at

Inne propozycje zakwaterowania

Południe Austrii

KARYNTIA

MÖLLTALER GLETSCHER
GROSSGLOCKNER HEILIGENBLUT
ANKOGEL MALLNITZ

Trzy wysoko położone ośrodki narciarskie, otoczone majestatycznymi trzytysięcznikami, ponad 100 kilometrów doskonale przygotowanych tras, kuszące tereny do freeride'u oraz gwarancja śniegu. Region Parku Narodowego Wysokich Taurów to idealne miejsce dla wszystkich, którzy chcą w pełni cieszyć się zimowym urlopem.



www.nationalpark-hohetauern.at

Emocje, praca i humanizm



MAGDALENA KARST-ADAMCZYK

Nie żyć w kieracie pracy, nie mieć nad sobą szefa, nie nastawiać na rano budzika. Nie musieć pracować. Jestem szczęściarą, która lubi swoją pracę i nie wyobraża sobie bez niej życia, ale wiem, że w przypadku wielu osób życie bez obowiązku pracowania to jedna z największych fantazji. Ostatnio często o tym myślę w kontekście tego, co dzieje się na rynku pracy.

Kilka dni temu Microsoft, czyli jeden z gigantów branży technologicznej, ogłosił program dobrowolnych odejść, który ma dotyczyć nawet 60 tys. pracowników. Firma szuka w ten sposób oszczędności, które chciałaby zainwestować w dalszy rozwój sztucznej inteligencji, co w sposób nieunikniony odbierze pracę kolejnym tysiącom. Nie tylko w Microsofcie.

Na skutek rozwoju AI sytuacja na rynku pracy już dziś nie wygląda dobrze. Nie ma tygodnia bez informacji o redukcjach zatrudnienia w kolejnych firmach i branżach.

Bill Gates, szef Microsoftu, jeden z architektów współczesnego świata z AI w roli głównej, zdaje się jednak nie tracić optymizmu i przekonuje, że za mniej więcej dwie dekady nastanie czas obfitości, w którym praca będzie opcjonalna (opcjonalna!), bo AI i roboty humanoidalne wykonają za nas większość obowiązków, więc pieniądze stracą na znaczeniu. Gates próbuje przekonywać, że świat stworzony przez niego i jego kolegów/rywali z branży big tech to w dłuższej perspektywie eldorado. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość i przeczekać dwie dekady (dwie dekady!), które – jak przyznaje – będą czasem poważnych turbulencji i czasem, w którym wielu osobom będzie trudno znaleźć zatrudnienie i cel. Uproszczę słowa Gatesa: te dwie dekady to czas, gdy praca wciąż będzie koniecznością, tyle że wiele osób utraci do niej dostęp.

Abstrahując od dziur w długofalowej wizji Gatesa, przyjrzyjmy się rzeczonym dwóm dekadom turbulencji. Dwie dekady to w pewnym uśrednieniu jedna czwarta naszego życia. To połowa zawodowego życia człowieka. Mnie jednak zaciekawiły te konkretne dwie dekady, bo tak się składa, że zbiegną się one z kluczowymi dekadami życia moich dzieci. Tymi, w których lata nauki zaczynają dawać owoce, w których wchodzi się na rynek pracy, pragnie się działania, poczucia wpływu, rozwoju i niezależności. W którym marzy się o własnym kącie, a przy odrobinie szczęścia znajduje osobę na życie. To czas, w którym sporo się oczekuje od życia tu i teraz. Tymczasem Gates mówi – w najlepszym przypadku – o trwaniu w poczekalni. Zastanawiam się, w jakim stanie pokolenie moich dzieci doczłapie się do tego czasu obfitości, w którym życie stanie się przyjemne, a praca opcjonalna. Ile po drodze czeka ich frustracji? Ile kryzysów? Ile lat samotności, społecznej izolacji? Nim się obejrzymy, kryzys nastolatków przerodzi się więc w kryzys młodych dorosłych.

Mam wrażenie, że tak jak moje pokolenie i starsze marzyły o życiu bez konieczności pracowania, tak pokolenie moich dzieci i młodsze mogą zamarzyć o obowiązkach, porannym wstawaniu i rutynie.

W tym numerze przeczytają Państwo – premierowo – wstęp do wydanej pośmiertnie książki Glorii Steinem „Życie nieoczekiwane. Wspomnienia". Steinem pisze w gruncie rzeczy o sprawach fundamentalnych – o tym, że najważniejsze w jej życiu były głębokie relacje oraz praca, która dawała jej poczucie sensu i celu. Obawiam się, że my to, co najważniejsze, właśnie powoli tracimy. Dlatego słowa Steinem „Potrzebujemy siebie nawzajem" traktuję jak najważniejsze przesłanie na te czasy, bo pod ich powierzchnią kryją się emocje, więzi i humanizm. ▲

Magdalena Karst-Adamczyk – redaktorka prowadząca

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Magdalena Karst-Adamczyk

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 2-3, 11, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 44 (1415)
NA OKŁADCE:
GLORIA STEINEM
FOT. TODD PLITT/ GETTY IMAGE





ŚWIEŻO I PROMIENNIE

Nowy korektor Skin Illusion All-in-One, Clarins, koryguje cienie pod oczami, niedoskonałości i zaczerwienienia. Nadaje wypoczęty wygląd. Zawiera organiczny ekstrakt z uczepu owłosionego, escynę z kasztanowca, kofeinę, kwas hialuronowy ***(10 ml/155 zł, Clarins.pl).***





MUFFINY I CYNAMON

W Hagi są już limitowane zestawy świąteczne: pachnący piernikowymi muffinkami żel do mycia ciała z balsamem ***(600 ml/80 zł),*** a dla panów żel pod prysznic 2w1 i krem miejski ze skarpetkami w prezencie ***(250 ml/89 zł).***

PUDROWA SZKATUŁA

Paleta Ambient Lighting Edit Unlocked, Hourglass, dostępna jest tylko w sezonie świątecznym 2026. Zawiera pięć rozświetlających odcieni pudrów, które zapewniają efekt świeżej cery. Zdobią ją zawieszki francuskiej projektantki biżuterii Lauren Rubinski. A 5 proc. zysku netto ze sprzedaży tej kolekcji idzie na rzecz ochrony praw zwierząt w Nonhuman Rights Project ***(1,4 g x 6/470 zł, Sephora.pl).***





PRZEŁOM DO SKÓRY Z ATOPIĄ

Dermatolog, prof. alergologii i immunologii klinicznej Jean Francois Nicolas, nazywa to zmianą paradygmatu i przełomem naukowym w dziedzinie egzemy atopowej. Naukowcy Biodermy opracowali balsam, który koi swędzącą skórę po 1 sekundzie i zawiera 15 kluczowych lipidów odbudowujących barierę skóry w atopii, Atoderm AD ***(75 ml/58 zł).***



DO KOSMETYCZKI... PUPILA

Dog Care to pierwsza kolekcja marki Rituals dla psów. Obejmuje siedem produktów: odświeżający spray do wnętrz i tkanin, suchy szampon, szampon, balsam do łap, spray odświeżający oddech, chusteczki oraz perfumy dla psa – te ostatnie to bezalkoholowa mgiełka do odświeżenia sierści o zapachu piżma, prażonych migdałów i korzenia irysa, Smell like a Pup-Star ***(165 zł).***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK



DARIA WIDAWSKA

Doceniam moje życie

Wiele osób mnie pyta, czy w czasie choroby na kimś się zawiodłam. Zgodnie z prawdą odpowiadam, że nie. Mam to szczęście, że dobrze wybieram przyjaciół



Z **DARIĄ WIDAWSKĄ**, AKTORKĄ,
ROZMAWIA **ANGELIKA SWOBODA**
ZDJĘCIA **MARCIN STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL**

Boimy się badać i mówić o raku piersi, bo nie chcemy obarczać ewentualnym chorowaniem swoich bliskich?
– Myślę, że w ogóle boimy się mówić o chorobach, zwłaszcza o tych, które kojarzą się z ciężką walką. A taki jest nowotwór. Dotyka on całą rodzinę. Jest jak kolejny lokator w domu, w dodatku kompletnie nieproszony. To po prostu ludzki system wypierania tego, co złe. A my nie lubimy tego, co złe, prawda? Jeśli więc przychodzi choroba, która ma przerażające statystyki, to ze strachu nie chcemy o niej mówić.

Pani mówi jako ambasadorka ogólnopolskiej kampanii społecznej Dotykam = Wygrywam, która od 15 lat uczy kobiety troski o zdrowie piersi. Ale także dlatego, że pani mama zmarła na nowotwór. Kasia Zdanowicz opowiadała mi o tym, jak choroba mamy wpłynęła na całe jej dzieciństwo. Kiedy inne dzieci się na przerwie bawiły, ona czekała na wiadomość ze szpitala. U pani też tak było?
– Jestem ambasadorką tej kampanii od początku. Przyjęłam zaproszenie do udziału w niej od Izy Sakutovej właśnie ze względu na mamę. Pierwszy raz usłyszałam o jej chorobie, kiedy byłam na studiach. Właściwie kończyłam już szkołę teatralną i – przepraszam za to, co powiem – ale było mi łatwiej, bo już nie byłam w domu. Nie byłam więc codziennym świadkiem choroby mamy, choć oczywiście bardzo mocno w niej uczestniczyłam. Przyjeżdżałam, dzwoniłam, załatwiałam wiele rzeczy. Byłam przy mamie przy pierwszej operacji, przy drugiej, byłam też przy chemiach. Nie przy wszystkich, ale zawsze starałam się dostosowywać swój warszawski grafik do tego, co się działo w Gdyni. Dzieliła nas odległość, więc cały ciężar choroby spadł na tatę. Kiedy jednak przyjeżdżałam do domu i widziałam, że on emocjonalnie nie daje już rady, przejmowałam ten ciężar na siebie.

W jaki sposób?
– Czasami prowadziłam rozmowy z lekarzami. Pomimo że miałam wtedy zaledwie 23 lata, to ja podejmowałam decyzje, które wydawały mi się słuszne. Oczywiście rozmawiałam o nich z tatą i z mamą. Mama była absolutnie świadoma, i to ona ostatecznie decydowała o swoim leczeniu. Jak się okazało, nasze kroki były słuszne, bo udało się przedłużyć mamie życie o dziewięć lat. Jestem wdzięczna za każdy rok, który wspólnie przeżyliśmy. Cieszę się, że zdążyła poznać wnuka. Zresztą w pewnym momencie nawet udało się nam zapomnieć o chorobie. To niesamowite, jak podczas choroby rzeczy, które wcześniej wydawały nam się ważne, stały się kompletnie nieistotne.

Wszystko się przewartościowało? Pani mama też zmieniła podejście do życia?
– Moja mama bardzo kochała życie, które sobie stworzyła. W tej kwestii zresztą byłyśmy podobne. Ja też bardzo moje życie doceniam. Jestem szczęśliwa, mam rodzinę taką, jaką chciałam mieć. Moja mama też zawsze żyła na własnych zasadach. Bardzo chciała wrócić do życia sprzed choroby i skierowała wszystkie swoje siły na to, żeby jak najszybciej wyzdrowieć.

Miała sporo mądrości życiowej?
– Czy to jest mądrość życiowa? Nie wiem. Myślę, że to zależy od jakości życia, które mamy przed chorobą. Jeżeli jesteśmy spełnione, to nie chce się chyba niczego zmieniać. Obserwowałam moją mamę i wydaje mi się, że tak było. Zresztą moje doświadczenie chorobowe było podobne.

Nie chodzi mi o diametralną zmianę życia, ale o sposób myślenia. Kiedy zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy śmiertelni, przestajemy odkładać swoje marzenia na za lat 20.
– Mam swoją historię chorobową, która nie była związana z nowotworem, ale też była dosyć poważna. I powiem pani, że jedyne, co się zmieniło w moim myśleniu przez 17 lat od zakończenia leczenia, to to, że się po prostu nie boję śmierci. Wymazałam ten rok ze swojego życia i w ogóle nie chcę do niego wracać. Chcę się cieszyć moimi dziećmi, moją rodziną, moimi najbliższymi. Mam też dużą uwagę na przyjaciół, na spędzanie wspólnego czasu i zabieganie o ten czas, ale generalnie żyję tak jak przed chorobą. Pracuję dużo, bo lubię swoją pracę, i czuję się spełniona. Pomimo zmęczenia czy różnych niekomfortowych sytuacji uważam się za ogromną szczęściarę. Mogę robić to, co kocham, i mam szczęśliwą rodzinę.

I naprawdę nie odkłada pani marzeń na emeryturę?
– Na emeryturze chciałabym podróżować z moim mężem, ale i teraz to robimy. Może częściej będziemy chodzili do teatru, bo może ja będę mniej grała; może będziemy więcej odwiedzać filharmonię, do której lubimy oboje chodzić. Teraz nie mamy czasu, bo wieczorami jestem zajęta w teatrze.

Rodzice nauczyli mnie, że trzeba spełniać swoje marzenia i robię to, na ile mi czas pozwala, bo nie wiadomo, czy na emeryturze będę miała siłę.

A jednak! W pani słowach też pobrzmiewa sporo życiowej mądrości.
– Nie chcę nazywać tego mądrością życiową, bo pewnie dużo głupich błędów też popełniłam. Ale rodzice pokazali mi swoim przykładem, żebym nie koncentrowała się na bylejakości. I ma to też swoje konsekwencje, bo w związku z tym jestem perfekcjonistką. Bardzo trudno mi niektóre rzeczy przyjąć, po prostu się spalam. Chcę za dużo, za intensywnie i nie zawsze każdy może za mną nadążyć. Może to powodować jakieś zgrzyty nie tylko w prywatnym życiu, ale również zawodowym, ale inaczej nie potrafię. Staram się robić wszystko najlepiej, jak potrafię. Punktualnie, z nauczonym na blachę tekstem. Nie umiem wejść na scenę, nie będąc do końca pewną tego, co mam wykonać.

A w domu?
– Lubię, żeby obiad był perfekcyjnie ugotowany, chociaż nie lubię gotować. Lubię, żeby przyjęcia, które organizuję, były piękn-



Bycie przez całe życie fit nie leży w mojej naturze. Lubię fajnie spędzać czas, a u mnie wiąże się to z dobrym jedzeniem

ne i fantastyczne i zapadały w pamięć. Nie mam pustych przebiegów. Jak człowiek jest na takiej nakrętce, to się spala i trudno mu odpocząć, i z tym mam problem. Ale lubię, żeby życie, które jest tu i teraz, było przyjemne. I zdaję sobie sprawę, że nie będzie takie przyjemne, jeżeli nie włożę w to pracy.

W tym swoim perfekcjonizmie znajduje jeszcze pani czas na badanie się?
– W tej materii nie jestem perfekcjonistką, nie ukrywam. Jednak zawsze we wrześniu robię sobie przegląd. Ginekologiczny, stomatologiczny, badania krwi i piersi również. We wrześniu płacę za ubezpieczenie samochodu i tak sobie wymyśliłam, że wtedy też ja się badam. Samochód to bezpieczeństwo drogowe, a moje badania to bezpieczeństwo zdrowotne.

Jest w pani lęk?
– Zawsze. Te wrześniowe badania nie są dla mnie przyjemne emocjonalnie, ale jak już je przejdę, bardzo się cieszę. Jeden dzień badań wywołuje dreszcz na plecach, ale jak jest wszystko dobrze, to nie zaprzątam sobie tym głowy przez kolejny rok czy przy niektórych badaniach przez pół roku.

Czyli nie należy pani do kobiet, która zaniedbuje swoje potrzeby, bo ważniejsze są sprawy członków rodziny?
– Nie mogłabym się zajmować rodziną, gdybym była chora. W związku z tym najpierw muszę być zdrowa, żeby załatwiać ich sprawy. Jak z maseczką w samolocie, którą najpierw zakładamy sobie, a potem dziecku. Poza tym nie wydaje mi się, żeby moi bliscy jakoś szczególnie odczuwali te dwa dni, które raz w roku spędzam na badaniach. Są w szkole czy w pracy, nawet o tym nie wiedzą. A ja chcę być dla nich, zdrowa.

Zastanawia się pani czasem, co by było, gdyby wyniki były złe?
– Kompletnie nie. Już raz przeszłam przez bardzo trudny okres w swoim życiu i wiem, żeby się tak nie zachowywać. Jestem zadaniowa i rozwiązuję problemy w momencie, kiedy są. Nie rozważam, co by było, gdyby... Jak miałam wypadek samochodowy, nie zastanawiałam się, co by było, gdyby z naprzeciwka jechał tir. Dziękowałam losowi, że tira nie było. I już nigdy później do tego nie wróciłam. Cieszyłam się, że jesteśmy cali i zdrowi, to było najważniejsze.

To prawda. W jakimś stopniu jednak znaczenie ma dla pani ciało, które jest także narzędziem pracy aktorki. Czy pani stosunek do niego się zmienia?
– Z upływem czasu moje ciało wymaga zdecydowanie więcej pracy. Szczególnie w teatrze, kiedy ma do wykonania różne rzeczy fizycznie, musi być sprawne. A ja nie mam już takiej sprawności jak 20-latka i mam tego świadomość. Kiedy odczuwam, że mam parę kilo więcej, pracuję na siłowni, trochę mniej jem i zaczynam patrzeć na to, co jem. Jestem łasuchem, więc mam momenty, kiedy trochę odpuszczam. Ale ponieważ jestem zadaniowcem, to jak sobie powiem: „Przez rok zrzucę dziesięć kilogramów", to zrzucę.

Problem pojawia się później, kiedy trzeba tę wagę utrzymać, bo tu już konsekwencji nie ma. Musiałabym napisać sobie na kartce: „Przez rok nie możesz przytyć ani pół kilograma" – to byłoby dla mnie kolejne działanie. Zamiast tego mówię: „Zasłużyłaś na nagrodę". I pojawia się jakaś czekoladka, a ja czekoladki lubię, niestety. Znowu mówię: „O Boże, tak nie może być", i od początku walczę o trzy kilo mniej. Tak w koło Macieju, taka genetyka, cóż poradzę. Bycie przez całe życie fit nie leży w mojej naturze. Lubię fajnie spędzać czas, a u mnie wiąże się to z dobrym jedzeniem.

Czy w trudnych momentach, kiedy stawia sobie pani jakiś cel, mówi pani: „Daria, musisz być silna"?
– W ogóle sobie tego nie mówię, bo ja wiem, że jestem silna. Przez całe życie. Po prostu nie muszę sobie tego powtarzać. To zarozumiale brzmi, ale jestem silna. Wręcz czasami wydaje mi się, że za mocno sobie to wmówiłam i jak podejmuję decyzję, to się jej trzymam. Nie muszę się nawet specjalnie motywować, bo

osiągnięcie celu daje mi ogromny wyrzut szczęścia i poczucie dumy z siebie. To nagroda, której nie dostanę od nikogo innego.

Kiedy miała pani ostatnio taki wyrzut szczęścia?
– Kiedy zrzuciłam piętnaście kilo. Trochę pomógł mi syn, bo powiedział, że to niemożliwe. Jak usłyszałam słowo „niemożliwe" z jego ust, powiedziałam: „No nie, przegrasz". I przegrał, bo się założyliśmy. Było mi go żal, ale jednocześnie byłam taka szczęśliwa, że udowodniłam 18-latkowi, który we mnie nie wierzył, że dałam radę. Ostatni tydzień był dosłownie walką o każdy gram. Zakład dotyczył czasu od końca wakacji do początku kolejnych. Wzięłam się za siebie, bo uznałam, że było już bardzo źle i moje ciało w aspekcie zawodowym zaczęło mnie ograniczać. A to budziło we mnie ogromną frustrację.

Daje pani sobie prawo do słabości, kiedy coś panią przerasta?
– Bardzo rzadko. Jestem z kobiet walczących, które uważają, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Co nie oznacza, że nie kosztuje to emocjonalnie dużo wysiłku. Jeżeli jednak dochodzę do wniosku, że daję z siebie za dużo, a problem nie jest na tyle ważny, po prostu go odrzucam.

To znaczy, że z drugiej strony daje pani prawo kobietom do tego, żeby powiedzieć: „Nie radzę sobie"?
– Mam świadomość, że nie każdy jest skonstruowany tak jak ja. Nie każdy wyrósł w takim domu jak mój, który dawał ogromny wiatr w skrzydła i wsparcie. Proszę mnie nie brać za osobę, która wszystkich mierzy swoją miarą. Każdy z nas ma swoje traumy, doświadczenia, niedoskonałości. Nie jestem największą fighterką tego świata, są kobiety dużo silniejsze ode mnie. Poza tym nie miałam osobistych traum, los bardzo dobrze się ze mną układa.

Los też tak to ułożył, że może pani czerpać siłę z siostrzeństwa?
– Mam całe grono przyjaciółek, których problemy bardzo przeżywam i staram się je wspierać. A one mnie. Swojej choroby prawdopodobnie bym tak łatwo nie przeszła, gdyby nie ogromne wsparcie rodziny i przyjaciół. Dostałam niezwykłą moc i siłę. Przez trzy i pół miesiąca leczenia ani razu nie zjadłam szpitalnego jedzenia, bo bliscy i przyjaciele codziennie przynosili mi posiłki. Przychodzili porozmawiać, zmieniali mi pościel.

Ma pani rodzoną siostrę?
– Niestety, nie. Jestem jedynaczką. Ale mam brata ciotecznego i jedną osobę w swoim życiu, którą nazywam siostrą z wyboru.

Chyba się domyślam, o kogo chodzi.
– Moja przyjaźń z Agnieszką Dygant zaczęła się na castingu do „Prawa Agaty". Coś kliknęło, a później na planie ta więź się umacniała. Obie miałyśmy małych synów, więc zbliżyło nas macierzyństwo i identyczne poczucie humoru. Nawet przy odmiennych zdaniach nasza rozmowa nigdy nie jest podszyta chęcią dyskredytacji, jest pięknym dyskursem intelektualnym. Dajemy sobie wzajemnie poczucie bezpieczeństwa i ze sobą nie rywalizujemy. Ani w byciu lepszą aktorką, ani kobietą. Czasami dzwonimy do siebie, żeby powiedzieć: nie mogę gadać, ale życzę ci fajnego dnia, bądź silna. W przyjaźni, tak jak w miłości, liczy się chęć wykonania pracy dla drugiej osoby. Gestów, które mówią: jestem. Albo: dawno się nie widziałyśmy, jeszcze tylko pojadę tam, zrobię to i będziemy mogły porozmawiać. Zdarza się, że odkładam zobowiązania, które są mniej ważne, żeby mieć czas, by się spotkać.

Przyjaźń to cały aspekt życia, również zdrowotny. Pilnujemy jedna drugą w kwestii badań profilaktycznych. Aga bardzo o to dba, a ja próbuję jej dorównać kroku. I sama dopinguję dziewczyny, żeby robiły przegląd swojego ciała. Jeżeli trzeba, to pomagam w pokierowaniu, do którego lekarza najlepiej się udać. Mam jeszcze drugie grono siostrzeństwa. To klub księżniczek z czasów „Magdy M.". To dziewczyny z tego klubu bardzo mocno mnie wspierały, gdy chorowałam.

Moment choroby to sprawdzian siostrzeństwa i przyjaźni, prawda?
– Wiele osób mnie pyta, czy w tamtym czasie na kimś się zawiodłam. A ja zgodnie z prawdą odpowiadam, że nie. Mam to szczęście, że dobrze wybieram przyjaciół. Nie mam rodzeństwa, więc mam silną potrzebę szukania osób, które mogą mi towarzyszyć w drodze życiowej. Wtedy nie czuję się sama.

Dlaczego siostrzeństwo jest tak ważne?
– Bo to darmowa psychoterapia. Z moimi przyjaciółkami rozmawiam nie tylko o tym, jaką szminkę warto kupić, ale też o sprawach życiowych. Są kobiece tematy, których nie poruszymy z mężem czy partnerem, a z przyjaciółką tak. Możemy się razem wypłakać, żeby pozbyć się tego, co nas gryzie. Mężczyzna nie zawsze jest w stanie wejść w skórę kobiety, przecież różnimy się psychofizycznie. Partnerzy, choć bardzo by chcieli, nie zawsze potrafią czytać nasze emocje. Poza tym problemy, które musimy przegadać z przyjaciółkami, dotyczą czasem osób, z którymi na co dzień żyjemy. Poczucie, że nie jestem sama, jest dla mnie ogromnie ważne. Nie wyobrażam sobie, żebym nie miała wokół siebie przyjaciółek, którym ufam i na które mogę liczyć. I którym sama nie mogę pomóc. Wspieranie osób bliskich mojemu sercu sprawia, że czuję radość. To mnie buduje.

I właśnie to powiedziałaby pani kobietom, zachęcając je do siostrzeństwa?
– Absolutnie! Może to brzmi banalnie, ale wsparcie i radość z sukcesów naszych najukochańszych przyjaciółek daje nam poczucie szczęścia. A zawiść, zazdrość czy kopanie pod kimś dołków jest dla nas niszczące. To proste. Umiejętność powiedzenia „przepraszam", gdy zrobimy coś niefajnego, to przejaw naszej siły, nie słabość. Gdy czasem nie zachowałam się w porządku, zżerało mnie to przez długie tygodnie. Czułam, że powinnam przeprosić, więc to robiłam. Od razu przestawała mnie boleć głowa i żołądek, nie chodziłam z gulą w gardle i lepiej spałam. Moje przyjacielskie i siostrzeńskie relacje opierają się na prawdzie. Zawsze mówię, co myślę. Oczywiście nie wywalam wszystkiego w kategoryczny sposób, ale swoje zdanie wypowiadam. Zapytana nie owijam w bawełnę. Jeśli wydarza się coś niefajnego, też mówię wprost: „Słuchaj, zachowałam się jak świnia, ale ty też nie byłaś w porządku". Szczerą rozmową można wiele wyjaśnić i naprawić. ▲

DARIA WIDAWSKA

– aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna. Absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej. Popularność przyniosły jej role w serialach „Magda M.", „39 i pół", „Prawo Agaty". Ma dwóch synów



hagi

ODKRYJ NOWĄ
LINIĘ DO WŁOSÓW

VITAMIN

REPAIR B5+B7

Energia
witamin dla
regeneracji
i odbudowy
włosów

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

hebe

DOSTĘPNE W HEBE
I NA HAGI.COM.PL

Życie, jakiego *pragniesz*

Otwarcie książki i znalezienie przyjaciółki to jedne z moich największych radości

TEKST **GLORIA STEINEM**
TŁUMACZENIE **ANNA DZIERZGOWSKA**

Dawno, dawno temu śniłem, że jestem motylem: latałem tu i tam, motyl pod każdym możliwym względem. Byłem świadom jedynie tego, że jako motyl jestem szczęśliwy, zapomniałem, że ja to ja. Wkrótce zbudziłem się i oto znów niewątpliwie byłem sobą. I nie wiem teraz, czy to wówczas byłem człowiekiem, któremu śniło się, że jest motylem? A może jestem motylem, któremu śni się, że jest człowiekiem?"

Zhuangzi, filozof chiński

Kiedy piszę te słowa, jestem zarazem starsza, niż kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że będę, i szczęśliwsza, niż kiedykolwiek wyobrażałam sobie, że mogłabym być. Zostałam nagrodzona przyjaciółkami i przyjaciółmi, moją rodziną z wyboru. Mam zaufane koleżanki i kolegów w różnych krajach, łączy nas dążenie do wolności i bezpieczeństwa oraz nadzieja na pokojową demokrację na świecie.

Jako zwierzęta społeczne jesteśmy skłonne i skłonni wynajdywać sobie wymyślonych przyjaciół i obrońców, niezależnie od tego, czy jesteśmy dziećmi bojącymi się ciemności, czy dorosłym człowiekiem, który na ścianach izolatki skrobie wiadomość dla kolejnego więźnia, którego nie zna. Nieprzypadkowo na całym świecie izolatka jest najgorszą i najpowszechniejszą karą. Potrzebujemy siebie nawzajem. W izolacji cierpimy. Kochamy towarzystwo, nie tylko w obrębie własnego gatunku, kochamy towarzystwo wszystkich żywych istot, i ta miłość pokazuje, jak bardzo w istocie jesteśmy wspólnotowe i wspólnotowi.

Niezależnie od języka i od słów celem przyjaźni jest rozumieć i być rozumianą. Jako istoty ludzkie mamy to szczęście, że dysponujemy językami, podobnie zresztą jak zwierzęta – od trąbienia słoni po sygnały, które pozwalają mrówkom wznosić wyrafinowane, współdzielone konstrukcje. Tak jak ptaki, które podróżują tysiące kilometrów w stadach, ufając, że pory roku i prądy je wesprą, możemy podróżować na drugi koniec świata, ufne, że ludzki język i zrozumienie powitają nas tam, gdzie przybędziemy. Niezależnie od tego, czy łączą nas wspólna krew czy wspólne idee, czy żyjemy w harmonii czy podzielone ze względu na gatunek, wojnę, religię, rasę czy klasę, wszystkie i wszyscy jesteśmy pasażerkami na statku kosmicznym Ziemia.

Czytanie książki takiej jak ta jest formą wzięcia udziału w rozmowie prowadzonej bez ograniczeń. Mam nadzieję, że w trakcie lektury będziesz bez skrępowania dopisywać uwagi na marginesach. Dzięki temu kolejna czytelniczka lub czytelnik twojego egzemplarza także weźmie udział w tej ponadczasowej rozmowie. Ostatecznie, jak mówią nam uczeni i uczone, trzepot skrzydeł motyla może wpłynąć na pogodę setki kilometrów dalej. Wyobraź sobie, jak wiele każda i każdy z nas może zmienić za pomocą słów, myśli i uczynków. Wszyscy i wszystkie mamy tę moc. Może ona zostać zniweczona, tylko jeśli nam samym zabraknie wiary.

Każda i każdy z nas może zmienić pogodę, blisko i daleko.

GNIAZDO

Jak ptak mam gniazdo zbudowane z miłością i troską, miejsce, w którym mogę pracować, mieszkać, zapraszać w odwiedziny przyjaciółki, przyjaciół, moją rodzinę z wyboru.

W moim przypadku gniazdem jest mieszkanie w starym domu z czerwonego piaskowca na wyspie Manhattan, w mieście, które kocham, które przez stulecia było przystanią dla statków i osadników. Zanim rozrosło się do rozmiarów metropolii, ludzie byli w stanie wyżywić się dzięki jego morskim brzegom. Różne kultury i języki stanowią element jego codziennego życia, od Harlemu, gdzie nadal znajdują schronienie rodziny, których historie zapewne rozpoczęły się w Afryce, po Chinatown w śródmieściu, gdzie wiele opowieści często zaczyna się w Azji. Wszystkie te dzielnice są o wiele młodsze niż pierwotna społeczność rdzennych Amerykanów, którzy wciąż nazywają tę wyspę Mannahatta.

W delikatesach na rogu rozmawiam ze sprzedawcą o jego ogrodzie w Egipcie, a z moją sąsiadką o jej rodzinie w Kolkacie, mieście, w którym mieszkałam jako dwudziestoparolatka. Moje życie zaczęło się i upływało w czasach dzieciństwa w Michigan i Ohio, ale to w Nowym Jorku o wiele bardziej czuję, że należę do społeczności świata. Wiem, że jeśli zaproszę przyjaciółki i przyjaciół z Indii czy Anglii, znajdą na Manhattanie jedzenie, sklepy, języki i ludzi, którzy będą im przypominać dom.



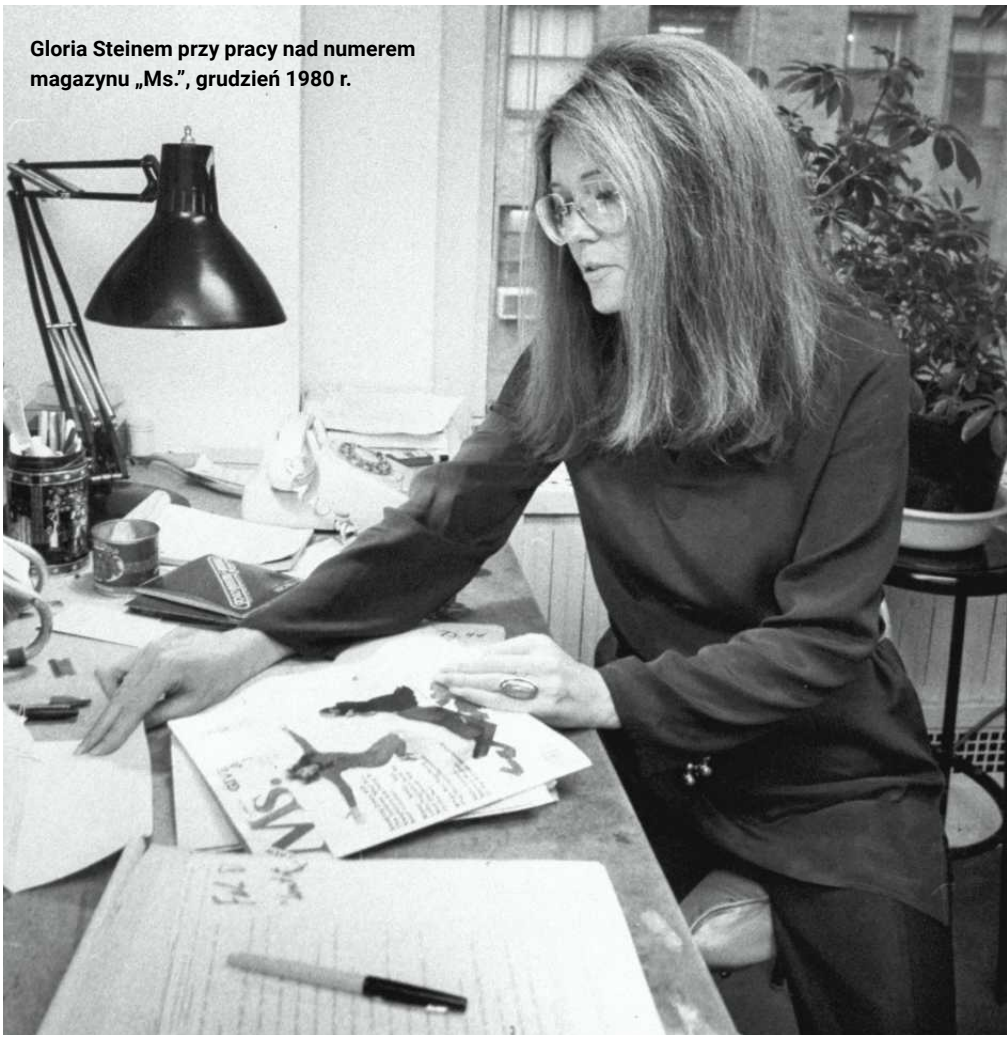
GLORIA STEINEM

– amerykańska dziennikarka, pisarka i ikona feminizmu, zmarła 2 września 2026 roku w swoim domu w Nowym Jorku. Miała 92 lata. Odeszła tuż przed publikacją swoich wspomnień

Podróżowałam do Europy i do Indii i objechałam prawie całą Amerykę, a teraz od ponad pięćdziesięciu lat mieszkam w tym domu z czerwonego piaskowca. Jeśli czas i pomysłowość pozwolą, mam nadzieję, że zdołam kupić w nim pozostałe piętra i zamienić cały budynek w schronienie dla najprzeróżniejszych kobiet, które potrzebują miejsca, gdzie mogłyby się zatrzymać, albo po prostu miejsca, żeby się spotykać. Dostrzegam to, że teraźniejsza ja wciąż próbuję uratować siebie z przeszłości. Część moich najmłodszych lat spędziłam, zaglądając w oświetlone okna z myślą: „Wszyscy oprócz mnie mają dom". Jeśli przez lata pragnęłam domu, zapewne wynikało to z tego, że dorastałam w niezbyt bezpiecznych warunkach. Nie dlatego, żeby moja rodzina kiedykolwiek nie była kochająca i opiekuńcza, ale dlatego, że wychowywali mnie ludzie, którym brakowało gotówki, dysponowali natomiast nadmiarem optymizmu.

Zaczynałam w tym domu od jednego piętra, które ponad pięćdziesiąt lat temu dzieliłam ze współlokatorką artystką, po czym ostatecznie awansowałam do dwóch własnych pięter. Mam to szczęście, że mieszkam w stabilnej dzielnicy i nie powstały tu wielkie apartamentowce czy centra handlowe.

Jedną przecznicę dalej znajdują się powozownie, niegdyś przynależne do domów, każda z miejscem na konia i powóz. Dziś trzyma się w nich samochody, artyści wykorzystują je jako pracownie, czasem nawet mieszkają w nich rodziny. Kiedy u siebie w domu powiększałam okno, znalazłam między cegłami centa z 1870 roku, pozostawionego przez jakiegoś robotnika. Chociaż w kominkach w pokojach nie ma już drewna ani węgla, a za ogrzewanie odpowiada piec w piwnicy, wciąż lubię czuć więź z dawnymi mieszkańcami, którzy gromadzili się tu w poszukiwaniu ciepła.



Gloria Steinem przy pracy nad numerem magazynu „Ms.", grudzień 1980 r.

FOT. MICHAEL CHILDERS/GETTY IMAGE; MEL FINKELSTEIN/NY DAILY NEWS ARCHIVE VIA GETTY IMAGES; JAMES M. THRESHER/THE WASHINGTON POST VIA GETTY IMAGES

Moje życie zaczęło się i upływało w czasach dzieciństwa w Michigan i Ohio, ale to w Nowym Jorku o wiele bardziej czuję, *że należę do społeczności świata*

Poza tym w Nowym Jorku wygodne jest to, że nie potrzebuje się samochodu. Mogę wszędzie dojść. Podejrzewam, że jestem jedną z niewielu osób w Stanach, które nigdy nie kupiły, ani nawet nie wynajmowały, samochodu. Nauczyłam się prowadzić w szkole średniej, ponieważ prawo jazdy było oznaką dorosłości. Mimo wysiłków producentów aut, starających się wymusić nabywanie samochodów i zniszczyć transport publiczny, wyspa Manhattan pozostaje miejscem, w którym dominują zbiorowe metro i autobusy, a także taksówki. Kalifornia i inne miejsca nie miały tyle szczęścia. Tam producenci samochodów wykupili i zniszczyli wiele publicznych linii kolejowych, żeby zrobić miejsce dla samochodów.

Dotarłam do tego miejsca w życiu dość niespodziewaną drogą, bez małżeństwa, dzieci, a nawet bez zabezpieczenia, jakie daje praca etatowa. Byłam w stanie nieregularnie zarabiać na życie jako niezależna autorka, a przez wiele lat także jako wykładowczyni i redaktorka próbująca współtworzyć czasopisma nowego rodzaju, najpierw dla miasta w „New York", a później, na skalę krajową, dla amerykańskich kobiet w „Ms".

JAK ZŁOŻYĆ KARTKĘ NA TRZY

Kiedy jako dziecko byłam pytana, kim chcę zostać, moją odpowiedzią najczęściej było nazwisko mojej ulubionej pisarki: Louisy May Alcott, autorki „Małych kobietek". Wracałam do tej książki nieustannie, rok w rok, pragnąc odnaleźć właściwą jej rodzinność, a także ducha przygody. Mimo to nie pamiętam, żebym w szkole średniej czy w college'u mówiła komukolwiek, że chcę zostać pisarką ani żebym to skrycie planowała.

Gdybyś spytała mnie o przyszłość, kiedy byłam nastolatką, pewnie odpowiedziałabym, że liczę na życie tancerki, jak kobiety, których zdjęcia oglądałam na ścianach studia tańca, gdzie uczęszczałam na zajęcia. Jedynie w filmach widziałam kobiety, które

nie były matkami, nauczycielkami czy służącymi – tymi trzema głównymi drogami podążało się w mojej okolicy.

Gdybyś spytała mnie, kiedy byłam młodą dziewczyną, jak będzie wyglądało moje życie, przewidywałabym dla siebie pracę po studiach, prawdopodobnie jako dziennikarki, później małżeństwo i kilkoro dzieci, przy czym pewnie nadal bym pracowała, chociaż moja praca nie byłaby aż tak ważna jak praca mojego męża. Innymi słowy, przewidywałabym tę tajemniczą rzeczywistość, najczęściej określaną jako „normalne" życie kobiety. Mówię „tajemniczą", ponieważ chociaż oglądałam filmy, w których opiewano konwencjonalne wybory kobiet, nie znajdowało to odzwierciedlenia w moim doświadczeniu. Moja matka, która była dziennikarką, porzuciła pracę po wyjściu za mąż. Dorastałam w latach pięćdziesiątych, w czasie, kiedy mój kraj, jak wiele na świecie, pragnął po II wojnie światowej odzyskać tak zwaną normalność. Mężczyźni wracali na swoje stanowiska z czasów pokoju, a kobiety, które „zajęły" te stanowiska w czasie wojny, zachęcano, żeby je porzuciły i zostały pełnoetatowymi matkami i gospodyniami domowymi, często na nowo zbudowanych przedmieściach. Ja też wyobrażałam sobie, że tym właśnie się zajmę – tylko jeszcze nie teraz. Byłam w szczęśliwych romantycznych związkach z kilkoma dobrymi, miłymi mężczyznami, ale mimo wszystko nigdy nie chciałam zrobić kolejnego kroku, do małżeństwa. Moi byli kochankowie stawali się za to, i pozostawali, częścią mojej rodziny z wyboru. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że bardzo duży wpływ wywarło na mnie to, że kiedy dorastałam, opiekowałam się chorą matką i nie chciałam znów być odpowiedzialna za inną istotę ludzką. Wiem, że obawiałam się także, że moje życie stanie się drugorzędne wobec życia męża, bo to właśnie obserwowałam dookoła.

Jako dziennikarka i pisarka zawsze pracowałam przede wszystkim z domu i nie doświadczyłam typowego ośmiogodzinnego dnia pracy. Nadal mam skłonność do tego, by pracować w rytmie deadline'ów i pojawiających się pomysłów. Łatwiej mi o taki schemat zapewne dlatego, że zanim się urodziłam, moja matka także była dziennikarką. Kiedy byłam mała, pokazywała mi, jak złożyć kartkę na trzy części, żeby dało się trzymać ją w dłoni jak notatnik reporterski. Powiedziała mi też, że pracowała kiedyś dla „Toledo Blade", gazety w naszym rodzinnym mieście. Niewiele z tego pamiętałam, póki sama nie zostałam freelancerką. To niesamowite, jak czas przyszły zawsze zawiera się w przeszłym – i jak rzadko zdajemy sobie z tego sprawę. Mój ojciec także miał mentalność wolnego strzelca. Dwie rzeczy stanowiły dla niego powód do dumy: nigdy nie nosił kapelusza, mimo że od mężczyzn z jego pokolenia tego oczekiwano, i nigdy nie miał pracy, co oznaczało, że zarabiał na własny rachunek, latem prowadząc tancbudę, a zimą skupując i sprzedając antyki.

SALA SPOTKAŃ W TOLEDO

Trudno wyobrazić sobie dwie osoby, których małżeństwo byłoby gorzej dobrane niż moi rodzice. Poznali się, kiedy oboje studiowali na Toledo University. Matka, dziewczyna z protestanckiej rodziny z klasy robotniczej, kochała książki i poezję. Ojciec pochodził z rodziny zamożnych żydowskich imigrantów, jego matka z kolei była aktywistką. Można powiedzieć, że moja matka zakochała się w swojej teściowej Pauline Perlmutter Steinem. Mój ojciec był towarzyskim, pulchnym mężczyzną, nieustannie snującym marzenia, które nigdy tak do końca się nie spełniały. Matka zazwyczaj wyjaśniała mi ten fenomen, mówiąc, że każde dziecko jest jak nasienie kwiatu, ale nikt nie wie, czym się stanie, póki nie zakwitnie.

Kiedy się urodziłam, cała ta pokoleniowa historia zniknęła. Mam wspomnienia związane z babką od strony matki, która od czasu do czasu wpadała posprzątać i pomóc nam, kiedy moi rodzice się rozstali i razem z matką zamieszkałyśmy same w East Toledo. Jednak tylko w pamięci sensorycznej zachowałam tykanie zegara na kominku w mieszkaniu babki ze strony ojca plus to, czego dowiedziałam się z rodzinnych opowieści o jej osiągnięciach jako gospodyni domowej, pionierki edukacji zawodowej i matki czterech synów. Co rzadkie w przypadku kobiet z jej epoki, Pauline uzyskała również dyplom nauczycielski, zasiadała w kilku radach nadzorczych, a na liście swoich osiągnięć miała również to, że przyczyniła się do rozwoju sądu dla nieletnich w Ohio. Dopiero znacznie później, kiedy pewna feministka napisała jej monografię, dowiedziałam się, że była pierwszą kobietą wybraną do rady szkolnej w Toledo i że startowała w koalicji z anarchistami i socjalistami. Organizowała również kobiety do walki o prawa wyborcze.

OGŁOSZENIE



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora



Gloria Steinem z Mayą Angelou, poetką, pisarką i aktywistką, podczas marszu na Waszyngton, 27 sierpnia 1983 r.

– z chrześcijańskiej. Jestem ogromnie wdzięczna za te liczne popołudnia, podczas których siedziałam z kolorowankami albo z egzemplarzem „Legends and Tales: Lotus Leaves for the Young" na zapleczu sali spotkań w Toledo, co tydzień wynajmowanej dla mojej matki i jej kręgu znajomych, którzy spotykali się, by rozmawiać o teozofii. Chociaż w Stanach Zjednoczonych kwestie „rasy" i pochodzenia etnicznego wciąż stanowiły źródło głębokich podziałów, dla mojej matki liczyła się wiara w demokrację przyszłości i odpowiednie do tej wiary postępowanie. Mawiała, że dzieci to mali obcy, którzy pojawiają się u ciebie w domu, a twoim obowiązkiem – i twoją radością – jest opiekowanie się nimi i kochanie ich, ale nie należą do ciebie. Jest to filozofia, która chroni indywidualność, a zarazem zapewnia bezpieczeństwo.

Moje nauczycielki i nauczyciele samym swoim przykładem również pomogli mi zrozumieć lepiej, jak jesteśmy połączone. W naszym mieście na Środkowym Zachodzie nauczycielki i nauczyciele, których szanowałam, pochodzili z odległej Rosji lub Niemiec, dlatego w moich dziecięcych oczach świat jawił się jako miejsce pozbawione granic. Bez wątpienia pomogło mi to dorastać w przemysłowym mieście na Środkowym Zachodzie i jednocześnie utożsamiać się z Europą, a nawet z Indiami jako z potencjalnym przyszłym domem. Patrząc z perspektywy czasu, miałam szczęście, bo przecież w dzieciństwie chłoniemy wszystko jak gąbka.

Istnieje wiele sposobów i nie ma jednego słusznego na to, jak zaspokoić potrzebę bycia kochanymi i zaopiekowanymi jako wyjątkowe jednostki. Opowiadamy sobie nawzajem historie naszego życia nie tylko po to, żeby znaleźć zrozumienie, ale też po to, by stać się częścią ludzkiej rzeczywistości. Każda i każdy z nas musi zostać wysłuchany, jeśli chcemy należeć do rodziny ludzkiej.

Jest coś takiego w słowach pojawiających się w druku, osobistych, a zarazem przenośnych, *że potrafią zmienić nasze wyobrażenie o tym, co możliwe*

Moja babka i matka wykonywały pracę, którą kochały, nie oznaczało to jednak, że ich osiągnięcia były nagradzane, fetowane czy choćby zapamiętywane. Obecnie, dzięki ruchom na rzecz sprawiedliwości społecznej, które zmieniły nasze rozumienie pracy, zarówno tej wykonywanej w domu, jak i poza nim, obserwuję dziewczyny i kobiety, chłopców i mężczyzn, którzy są w stanie wyobrazić sobie przyszłość taką, jak im pasuje, nieograniczoną oczekiwaniami dotyczącymi ról płciowych. Mężczyźni zajmują się dziś dziećmi, a wiele kobiet pracuje w zawodach, które kiedyś należały przede wszystkim do mężczyzn.

Tak się też zdarzyło, że urodziłam się w rodzinie, w której inspirowano się teozofią, światowym ruchem głoszącym uniwersalną wartość każdego człowieka, a także nastawionym na poszukiwanie prawdy i wiedzy. Teozofia miała być kombinacją wszystkich wielkich religii świata, ale promowała ideę reinkarnacji i pozostawała pod wyraźnym wpływem hinduizmu i innych religii Wschodu. Obydwie moje babki, a później także moja matka, były teozofkami. Matka mojego ojca wywodziła się z tradycji żydowskiej, matka matki

WYBRAŁAM SŁOWA

Mam nadzieję, że wędrując przez niniejszą książkę, znajdziesz na kolejnych stronach wsparcie wspólnoty w wybieraniu życia, jakiego się pragnie. Mam nadzieję i wierzę, że znajdą się wśród czytających osoby, które w życiu i w pracy także kierowały się zainteresowaniami zrodzonymi w dzieciństwie. Dorosłość może dodać mocy demokratycznym przekonaniom, które instynktownie żywimy od najmłodszych lat. Pomyśl na przykład o Harriet Tubman, która nigdy nie uwierzyła w hierarchię rasową, albo o Albercie Einsteinie, który zawsze kochał pewność matematyki. Sprawiłoby mi wielką radość, gdyby którekolwiek z zapisanych tu słów pomogły każdej czytelniczce i czytelnikowi odnaleźć drogę życia – wyjątkowego, a zarazem mającego wartość uniwersalną. Jest coś takiego w słowach pojawiających się w druku, osobistych, a zarazem przenośnych, że potrafią zmienić nasze wyobrażenie o tym, co możliwe.

Istnieje wiele sposobów na to, by docierać do siebie nawzajem, od dotknięcia dłoni po dźwięk głosu. Ja wybrałam słowa

i pisanie, ponieważ to właśnie książki najbardziej poruszały mnie, kiedy dorastałam, a także – ponieważ książki można tłumaczyć i tym samym mogą rozchodzić się po różnych częściach świata. Pisanie nie jest, rzecz jasna, ani jedyną, ani najlepszą formą komunikacji. Fotografia, malarstwo albo obraz cyfrowy mogą zmienić naszą świadomość tak samo, a może nawet silniej niż książka. Jestem pełna wdzięczności dla wszystkich, które i którzy dokumentują i komunikują się za pomocą obrazów. Kluczową, wspólną kwestią jest to, że wszystkie i wszyscy musimy się uczyć od siebie nawzajem, w dowolnej formie. Jeśli chodzi o mnie, zawsze pisałam szkice i z nich składałam książki, chociaż podziwiałam znajome osoby, które pisały całą książkę na jeden temat, podobnie jak i te, które tworzyły filmy i programy telewizyjne. Każdy i każda z nas wybiera swój sposób opowiadania.

Zaczęłam polegać na słowie pisanym na długo, zanim poszłam do szkoły. Od najmłodszych lat mogłam chodzić do lokalnej filii biblioteki, w której czytałam książki, idąc od lewej do prawej wzdłuż półek. Pamiętam serię „Jalna", szesnastotomową opowieść o życiu kolejnych pokoleń bogatej rodziny Whiteoaków. Niezależnie od tego, co przydarza się w życiu, na książkach można polegać.

Mówię o tym, aby przypomnieć, że książki mogą się stać naszym własnym narzędziem edukacji. Mam w pamięci „451 stopni Fahrenheita", książkę Raya Bradbury'ego, na podstawie której wielki reżyser François Truffaut nakręcił film. Opowiada o autorytarnym reżimie, który nakazał spalenie wszystkich książek, i o grupie wyrzutków, w której każda osoba wybiera jedną książkę, aby nauczyć się jej na pamięć i tym samym zachować ją przy życiu. W poruszającej ostatniej scenie widzimy setki osób w lesie, spacerujących w kręgu i powtarzających słowa cennej książki, którą zdecydowały się zachować – żyjąca biblioteka, której nie można zniszczyć, która zostanie przekazana dalej.

W niniejszej książce każdy szkic stanowi zamkniętą całość. Można czytać każdy z nich osobno, ale każdy ma też swoje miejsce na spirali, która zaczyna się od pierwszych doświadczeń i rozwija ku kulturom i historiom. Mam nadzieję, że podzieliłam się z tobą możliwościami ożywienia zasady przyświecającej twojemu życiu, wspólnocie, polityce, działalności czy światopoglądowi.

Słowo pisane zawsze było dla mnie magiczne. Mam nadzieję, że będzie też takie dla ciebie. Otwarcie książki i znalezienie przyjaciółki to jedna z moich największych radości. Mam nadzieję, że na tych stronach znajdziesz kogoś bliskiego.

Bo skoro trzepot skrzydła motyla może zmienić pogodę setki kilometrów dalej, to to, co robisz, może zmienić świat. ▲



Tekst jest przedmową do książki Glorii Steinem „Życie niespodziewane. Wspomnienia" („An Unexpected Life. A Memoir") w przekładzie Anny Dzierzgowskiej, która ukaże się w listopadzie 2026 roku nakładem wydawnictwa Poradnia K. Lead i śródtytuły pochodzą od redakcji „Wysokich Obcasów".

OGŁOSZENIE





Pół miliona neuroatypowych dzieci codziennie próbuje odnaleźć się w polskich szkołach. Kaufland Polska, Fundacja Avalon i Vito Bambino ruszają z ogólnopolską kampanią społeczną i bezpłatnym Pomarańczowym Telefonem Wsparcia. Pomoc można uzyskać, dzwoniąc pod numer: 530 001 130.

Autyzm. Prawdy i mity

Kiedy odkryto teleskop, pojawiło się wiele nowych planet i gwiazd. To samo można powiedzieć o zaburzeniach ze spektrum autyzmu. One były zawsze, tyle że my ostatnio zaczęliśmy je widzieć

Z **DR. N. MED. KRZYSZTOFEM MARIĄ WILCZYŃSKIM**, PSYCHIATRĄ DZIECI, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **MAGDA PANKIEWICZ**

Myślałam, że mit o szczepionkach powodujących autyzm został już dawno obalony, ale na stronie CDC znalazłam informację, że „badania naukowe nie wykluczyły możliwości związku szczepień z autyzmem".

– CDC jest agencją rządową Stanów Zjednoczonych i na jej stanowisko wpływ mają poglądy tych, którzy są u władzy. A Donald Trump wielokrotnie mówił, że istnieje związek szczepień z autyzmem. Poza tym w kontekście badań naukowych zawsze można powiedzieć: „to nie jest jednoznacznie wykluczone". To jest takie bezpieczne stwierdzenie. Chociaż przeprowadzono wiele badań obserwacyjnych, które nie potwierdziły związku szczepień z autyzmem, to zawsze ktoś może powiedzieć, że nie było wystarczająco dużo obserwacji. To jak w podręcznikowym przykładzie z łabędziem.

Proszę go podać.

– Przez stulecia Europejczycy byli przekonani, że łabędzie występują tylko w wersji białej. Potwierdzało to wiele ich obserwacji. Można więc powiedzieć, że wykluczyli możliwość istnienia czarnych łabędzi. Wszystko się zmieniło, gdy przed oczami podróżników pojawił się czarny łabędź. Ale na ten moment badania oraz zwykła logika wskazują, że takiego związku nie ma. Poza tym szczepienia są różne i rozmowa, że cokolwiek powodują, jest pozbawiona sensu. Każda szczepionka to osobny preparat z osobnymi działaniami niepożądanymi.

Ta analogia chyba nie przekona tych, którzy widzą związek szczepień z autyzmem.

– Na podobnej zasadzie można by było powiedzieć, że badania naukowe nie wykluczyły tego, że używanie spadochronów powoduje autyzm. Ktoś, kto ma nawet mgliste pojęcie o tym, jak działa spadochron, wie, że to niemożliwe, by używanie spadochronu powodowało autyzm. Ktoś, kto wie, jak działają szczepienia, wie też, że nie ma mechanizmu, za pomocą którego mogłyby doprowadzić do autyzmu.

Tyle że działanie spadochronu jest o wiele łatwiejsze do zrozumienia niż działanie szczepionek.

– To prawda i przeciętny człowiek nie jest w stanie samodzielnie ocenić bezpieczeństwa szczepionek. Dlatego należy wierzyć ekspertom immunologii. A ich konsensus jest taki, że szczepienia nie powodują autyzmu. Mogą natomiast okresowo nasilić objawy autystyczne. Chodzi o to, że podanie szczepionki wywołuje odpowiedź immunologiczną i w związku z tym pewien dyskomfort, a objawy zaburzeń neurorozwojowych nasilają się przy dyskomforcie.

Czy wiadomo, co powoduje autyzm?

– Badania pokazują duże znaczenie genów. Dziedziczność tego zaburzenia może wynosić nawet 95 proc. Nie chodzi o jeden gen, ale tysiące wariantów różnych genów, z których każdy ma minimalne znaczenie, ale jeśli razem wystąpią, to nabierają większego znaczenia. Wszyscy mamy jakieś cechy autystyczne. Manifestują się np. tym, że kawę pijemy tylko z jednego kubka, że musimy obejrzeć o 18 ulubiony serial, że gryzie nas wełna. Czynniki środowiskowe mogą te cechy w niewielkim stopniu nasilać lub osłabiać.

Proszę podać przykład.

– Jeśli np. we wczesnym dzieciństwie pozwolimy dziecku oglądać dużo telewizji, co zawsze dzieje się kosztem zabawy swobodnej czy kontaktów społecznych, to jego cechy autystyczne mogą się trochę nasilić, a jeśli zamiast tego zapewnimy mu częsty kontakt z innymi, efekt będzie odwrotny.

Kiedy stawia się diagnozę: spektrum autyzmu?



DR N. MED. KRZYSZTOF MARIA WILCZYŃSKI

– psychiatra dzieci i młodzieży, adiunkt w Katedrze Psychiatrii i Psychoterapii Wieku Rozwojowego Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Autor i współautor publikacji naukowych w obszarze zaburzeń neurorozwojowych oraz podręczników akademickich dotyczących psychiatrii dzieci i młodzieży

– Jeśli te cechy zaburzają funkcjonowanie. Poziom autyzmu jest określany na podstawie tego, czy pacjent wymaga minimalnego wsparcia, umiarkowanego czy dużego. I nie jest tak, że jeśli dziecko wymaga minimalnego wsparcia, to ma zespół Aspergera, a jeśli wymaga dużego wsparcia – autyzm dziecięcy.

A jak jest?

– Zespół Aspergera to podtyp zaburzeń ze spektrum autyzmu. Można go uznać za termin archaiczny, bo w klasyfikacji ICD-11 już go nie ma, ale w Polsce wciąż obowiązuje nas klasyfikacja ICD-10, więc nadal się go używa. Zespół Aspergera charakteryzuje się tym, że nie towarzyszy mu niepełnosprawność intelektualna, dziecko wchodzi w interakcje z innymi dziećmi i w pełni rozwija mowę, zanim ukończy trzeci rok życia.

Jeśli u każdego można znaleźć cechy autystyczne, to może dlatego dziś tak często diagnozuje się autyzm.

– Miałem nadzieję, że padnie to stwierdzenie, bo często słyszę od nauczycieli: „Teraz co drugie dziecko ma zaburzenia ze spektrum autyzmu". W 2023 roku zestawiliśmy na Śląskim Uniwersytecie Medycznym liczbę orzeczeń o konieczności kształcenia specjalnego z powodu autyzmu z liczbą dzieci w Polsce. Wyszło, że to zaburzenie ma 1,68 proc. populacji szkolnej. To wcale nie tak dużo. To prawda, że dziesięć lat wcześniej było 0,2 proc., ale wtedy mieliśmy też mniej psychiatrów dziecięcych. Korelacja między ich liczbą a liczbą zaburzeń ze spektrum autyzmu jest bardzo silna. Kiedy odkryto teleskop, pojawiło się wiele nowych planet i gwiazd. To samo można powiedzieć o zaburzeniach ze spektrum autyzmu. One były zawsze, tyle że my ostatnio zaczęliśmy je widzieć. Jak się czyta Platona czy Michela de Montaigne'a, nie ma wątpliwości, że to są autyści. Jak się czyta „Imię róży", nie ma wątpliwości, że opisane przez Umberto Eco klasztory benedyktyńskie w XIV wieku były rajem dla osób ze spektrum autyzmu. Znaczny wzrost liczby tych zaburzeń jest więc mitem.

A co jest mitem w leczeniu autyzmu?

– Głównie to, że autyzm można wyleczyć.

Jest pełno ofert leczenia autyzmu.

– Nie istnieją metody, które leczą autyzm u podstaw, ale istnieją metody, które celują w konkretne obszary problemowe i które mogą poprawiać jakość życia dziecka z au-

tyzmem. Podstawowy deficyt w tym zaburzeniu dotyczy komunikacji i nawiązywania relacji rówieśniczych, w związku z tym osobom ze spektrum autyzmu zaleca się trening umiejętności społecznych. Dzieciaki, które mają opóźniony rozwój mowy, potrzebują terapii językowej. U tych, które mają zaburzenia integracji sensorycznej, dobre efekty może przynieść trening SI (integracji sensorycznej).

On naprawdę działa?
– W badaniach nie ma jednoznacznych na to dowodów, natomiast z mojej obserwacji klinicznej wynika, że jest grupa dzieci z autyzmem mających problemy z zachowaniem wynikające z zaburzeń integracji sensorycznej i u nich trening SI daje dobre efekty. Podobnie jest z treningiem słuchowym Tomatisa. On nie jest wystarczająco przebadany, ale zauważyłem, że pacjentom z autyzmem i potężną nadwrażliwością słuchową pomaga.

Jakie mity dotyczące leczenia autyzmu są szczególnie niebezpieczne?
– Trzeba pamiętać, że wszystkie specyfiki, jakie podajemy dziecku, mogą być niebezpieczne. Obojętnie, czy są naturalne, czy nie. Nie istnieją takie, które leczą i nie mają skutków ubocznych. Zawsze więc porównuje się potencjalne korzyści z potencjalnymi szkodami. Był np. lek, z którym wiązano duże nadzieje – wszedł już nawet do badań klinicznych – ale chociaż dawał dobre efekty w kontekście deficytów społecznych w autyzmie, wycofano go z powodu jego działań niepożądanych. I to jest ważne: lek musi przejść rygorystyczne testy bezpieczeństwa, a specyfik, który lekiem nie jest, tylko np. suplementem diety – nie musi. Mogę coś zmielić, zamknąć w kapsułkę i sprzedawać jako „specyfik naturalny". Wokół tych alternatywnych metod powstał nimb bezpieczeństwa i powrotu do korzeni, ale często zapomina się, że osoby, które je oferują, też biorą za to pieniądze.

Czy wie pan o jakichś niebezpiecznych metodach, które rodzice stosowali?
– Pamiętam rodziców, którym terapeutka kazała działać dokładnie wbrew temu, co chce dziecko. Jeśli ono chciało tańczyć do muzyki w swój specyficzny sposób, to mieli zakaz puszczania muzyki. Kazała spalić kocyk, z którym dziecko wszędzie chodziło. Kiedy dziecko do mnie trafiło, miało nasilone zaburzenia lękowe. Rozjechało się, bo wszystkie zachowania, które terapeutka próbowała wyeliminować, były metodami, którymi dziecko regulowało sobie emocje. To była bardzo przemocowa metoda.

A słyszał pan o podawaniu dzieciom doustnie i doodbytniczo dwutlenku chloru, czyli wybielacza? To ma rzekomo niszczyć pasożyty wywołujące autyzm.
– Nie dość, że jest to nieskuteczne, to jeszcze bardzo szkodliwe, może prowadzić nawet do zgonu. W medycynie nie ma zastosowania dla takiego środka. Poza tym pasożyty nie wywołują autyzmu.

Rozumiem, że rutynowe odrobaczanie też nie ma sensu?
– Nie ma. To tak, jakbyśmy przyjmowali różne antybiotyki na wszelki wypadek, bo być może mamy jakieś nieprawidłowe bakterie. Człowiek nie jest psem. Jeśli zachowuje podstawowe zasady higieny, tak łatwo się pasożytami nie zarazi. Oczywiście można wykonywać regularnie badania w tym kierunku i jeśli wyjdą dodatnie, to wtedy jest powód, żeby się odrobaczać. Wiadomo, że jeśli dziecko ma robaki, to czuje z tego powodu dyskomfort, a on – jak już mówiłem – nasila objawy autyzmu. Po podaniu odpowiednich leków dziecko zacznie lepiej funkcjonować. Podobnie z dietami eliminacyjnymi. Ze spektrum autyzmu często współwystępuje nietolerancja laktozy. Dzieci, które na nią cierpią, mogą być bardziej drażliwe z powodu dolegliwości żołądkowo-jelitowych. Jeśli u nich zastosuje się dietę bezlaktozową, poczują ulgę i ich zachowanie się poprawi.

Groźnie brzmi także stosowanie chelatacji w terapii autyzmu. Metoda, stosowana w medycynie w niektórych przypadkach zatruć metalami ciężkimi, bywa stosowana także u osób z autyzmem.
– Nie dość, że ona nie działa, bo mitem jest, jakoby autyzm był wywoływany przez zawarte w szczepionkach metale ciężkie, to jeszcze bardzo uszkadza nerki.

A tlenoterapia i terapia komórkami macierzystymi?
– Jak pokazują badania, w przypadku autyzmu są nieskuteczne i mogą wywołać działania niepożądane. Tlenoterapia może uszkodzić bębenki słuchowe, a komórki macierzyste stosowane w taki sposób, jak to się robi u dzieci z autyzmem, mogą zwiększać ryzyko chorób autoimmunologicznych i nowotworów.

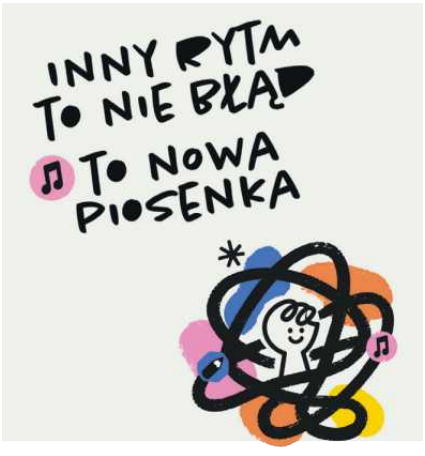
Trafiłam też na biorezonans.
– Nie ma żadnego udowodnionego działania w medycynie.

To może porozmawiajmy o tym, co rzeczywiście może pomóc. Są jakieś leki?
– Ponieważ dzieci z zaburzeniami ze spektrum autyzmu mają często problemy z zasypianiem, skuteczna bywa melatonina. Dużo dowodów na korzystne działanie w tej grupie pacjentów mają też kwasy omega-3, witamina B12, glicyna oraz witamina D3 – pod warunkiem, że kontroluje się ich stężenie we krwi. Nadmiar może być gorszy niż niedobór. A jeśli występują poważne zachowania agresywne lub autoagresywne, czasem podaje się leki przeciwpsychotyczne.

Wciąż pojawiają się nowe metody, skąd rodzic ma wiedzieć, czemu może zaufać?
– Przypomina mi się mem internetowy, którego jestem fanem. Kiedy psuje nam się samochód, idziemy do mechanika. Kiedy choruje pies, idziemy do weterynarza. A kiedy mamy problemy ze zdrowiem psychicznym, uparcie unikamy wizyty u psychiatry.

To już chyba się zmienia.
– Ale powoli. Zaburzenia ze spektrum autyzmu pozostają z pacjentem przez całe życie, więc trzeba znaleźć psychiatrę, któremu się ufa i jego się trzymać. Nie twierdzę, że on rozwiąże wszystkie problemy, ale na pewno pomoże zweryfikować różne metody. Jeśli jakaś metoda nie niesie za sobą niebezpieczeństwa i nie koliduje z uznanymi metodami, to można ją wypróbować. ▲

REKLAMA



INICJATOR KAMPANII Kaufland
PARTNER MERYTORYCZNY fundacja avalon
PATRON MEDIALNY wysokieobcasy.pl

Granice solidarności



MARTA NOWAK
– dziennikarka, publicystka, twórczyni internetowa (IG: @marta__no). Współprowadzi podcast „Co to będzie" o światowej polityce

Mają za sobą lifting, botoks, plastykę powiek, wypełnienie ust. Do tego sztuczne rzęsy i równie sztuczną opaleniznę, długie loki, ciemny bronzer. Kim są? Polityczkami. Ambasadorkami. Członkiniami amerykańskiego rządu.

Na dworze Donalda Trumpa panują bardzo konkretne trendy w zakresie urody i stylu. Kobiety (i nie tylko kobiety) z amerykańskiej prawicy poddają się tym samym zabiegom medycyny estetycznej. Tak samo czeszą się i malują. Zjawisko doczekało się już licznych analiz i własnej nazwy. „Twarz z Mar-a-Lago", czyli Wersalu Trumpa.

Przykłady? Porównajcie sobie oficjalne portrety Kristi Noem – byłej szefowej Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego USA – z roku 2013 i 2025. Ten sam styl ma córka prezydenta Lara Trump. Albo Kimberly Guilfoyle, która pracowała przy kampanii Trumpa w 2020, potem była narzeczoną jego syna, a wreszcie została ambasadorką USA w Grecji. Nie trzeba być polityczką, żeby wpasować się w ten typ estetyczny. Podobnie wygląda Lauren Sánchez Bezos, żona Jeffa Bezosa. A ostatnio wielkie wrażenie w sieci zrobiła Susan Dell, kiedy gościła w Białym Domu wraz z mężem, prezesem firmy Dell Technologies.

Wiemy, jak odległe od pierwowzorów potrafią z czasem stawać się twarze celebrytów, którzy bez skrępowania korzystają ze zdobyczy medycyny estetycznej. U osób z republikańskich kręgów efekty bywają równie szokujące. A przecież stać je na najlepszych chirurgów. Do tego – jeśli spojrzeć na stare zdjęcia Susan Dell czy Lauren Sánchez – widać, że zawsze wpisywały się w obecne kanony piękna. To wszystko rodzi pytanie: dlaczego? Po co się aż tak kroić i ostrzykiwać?

Odpowiedź brzmi: bo celem niekoniecznie jest to, żeby wyglądać ładnie.

„Twarz z Mar-a-Lago" to w dużej mierze sygnał przynależności do grupy. Jeśli chcesz wejść do elitarnego klubu, w którym większość kobiet reprezentuje tak spójny styl, jeśli chcesz się w takim klubie zakorzenić – nie bardzo możesz odstawać. Fryzurą, makijażem, twarzą po botoksie dajesz znać: jestem jedną z was. Poświęciłam na to dużo czasu, pieniędzy, zachodu.

Idźmy dalej. W 2016 r. dwoje socjologów – Jaclyn Wong i Andrew Penner – zbadało monetarne korzyści związane z atrakcyjnością fizyczną. Wyszło im, że konwencjonalnie atrakcyjne osoby zarabiają ok. 20 proc. więcej niż te uznawane za „przeciętne". Ale u kobiet – w zawodowo-finansowym kontekście – „premia za atrakcyjność" zależy nie od rysów twarzy, tylko od tego, czy widać, że dbają o swój wygląd. Styl Mar-a-Lago do tego pasuje. To nie kult piękna. To kult bycia pracowicie umalowaną, wysportowaną, odchudzoną, pozbawioną oznak starzenia. Zabiegi widać – bo ma być widać.

I trzecia warstwa, może najprostsza. Donald Trump lubi ten typ urody. Jego żony – Melania, przedtem Ivana – reprezentują ten sam rodzaj estetyki co rzeczniczki czy ambasadorki. (Oczywiście są wyjątki – niech za przykład posłuży nam szanowana wśród republikanów Susie Wiles, szefowa personelu Białego Domu). W przeszłości Trump dosadnie krytykował wygląd kobiet, które nie spełniały jego standardów estetycznych. W czasie poprzedniej kadencji oczekiwał, że pracownice Białego Domu będą „ubierać się jak kobiety". A dziś na amerykańskim dworze impuls Trumpa ma moc windowania i łamania karier. Dlaczego więc ambitna republikanka ma samej sobie utrudnić życie, nie włożyć sukienki, nie zakręcić loków oraz nie wstrzyknąć gdzieniegdzie kwasu hialuronowego?

No dobrze. Teraz zwrot akcji: wyjeżdżamy z Ameryki i jedziemy na polski Instagram.

W październiku opublikowałam post, w którym – krócej i nieco swobodniej – omawiałam fenomen twarzy z Mar-a-Lago. Jego popularność przerosła moje oczekiwania, w trzy dni został wyświetlony ponad 800 tys. razy. Ale w komentarzach często przewijała się też pewna kontrowersja: czy można tak krytykować wygląd innych kobiet?

Moja opinia brzmi: można. Kiedy rozmawiamy o twarzy z Mar-a-Lago, nie naśmiewamy się, że ktoś jest przysadzisty, ktoś łysy, a ktoś ma krzywe nogi. Moda na określone typy modyfikacji ciała w określonym środowisku to zjawisko kulturowe – a te podlegają analizie i krytyce. Więcej: nie jest to nawet krytyka medycyny estetycznej jako takiej. Twarzy z Mar-a-Lago bliżej do elżbietańskiej dworskiej mody na wybielanie twarzy tlenkiem ołowiu niż do twojego botoksu.

To, że część z nas od razu reaguje sprzeciwem na krytykę wyglądu kobiet, które dosłownie rządzą dziś naszym światem, sporo mówi o tym, jak postrzegamy feminizm. Wyobraź sobie, że jedna chłopka pańszczyźniana upomina drugą, że nie wolno źle mówić o buzi księżnej pani, bo to jest brak kobiecej solidarności. Kuriozalne? Pewnie. Ale nie bardziej niż apele o wolność pań z Mar-a-Lago od krytyki ich liftingu.

Wiele z nas uwierzyło, że płeć różnicuje ludzi bardziej niż klasa społeczna, władza i pieniądze. Tak nie jest. Kristi Noem była przełożoną służb imigracyjnych, które po łapankach na ulicach osadzały kobiety w obozach deportacyjnych, odrywały je od rodzin, stawiały ich kilkuletnie dzieci przed sądem bez adwokata. Lauren Sánchez Bezos wyszła za szefa Amazona i ma złote życie między innymi dzięki tysiącom kobiet, które w pocie czoła wyrabiają normy na halach jej męża. Nie powstrzymała ich kobieca solidarność. A jeśli chodzi tylko o wygląd: to właśnie takie osoby jak Noem czy Sánchez Bezos windują – dla nas wszystkich! – standardy tego, jak wygląda „zadbana kobieta". Ich wybory przyczyniają się do tego, że w pewnym wieku kobieca twarz nietknięta skalpelem, laserem i igłą zaczyna być uznawana za zaniedbaną. Tak, możemy to krytykować. W obronie własnej.

Twarz z Mar-a-Lago to temat interesujący sam w sobie – ale to dyskusja o nim prowadzi do naprawdę palących pytań. Jak ustawiasz swoje mentalne sojusze? Gdzie są granice twojej solidarności? Z jakimi kobietami się utożsamiasz? I: jak ci to na przyszłość zaszkodzi? ▲

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Powstrzymać *zbrodnie!*

Netanjahu chce postawić przed sądem osoby, które wystąpiły w filmie „Naza". „Nazywają nas zdrajcami" – mówią twórcy

Z **YUVALEM ABRAHAMEM** I **RACHEL SZOR**, TWÓRCAMI FILMU „NAZA", ROZMAWIA **DARIA SIENKIEWICZ**

Film „Naza" miał premierę we wrześniu na festiwalu filmowym w Wenecji. Zrobił bardzo duże wrażenie i był najdłużej oklaskiwanym filmem festiwalu. Co zmieniło się w waszym życiu od tego czasu?

YUVAL ABRAHAM: Na pewno znacznie zmieniły się nasze plany. Oboje mieszkamy na stałe w Jerozolimie, ale aktualnie przebywamy w Wielkiej Brytanii. „Nazę" wyprodukowaliśmy we współpracy z magazynem „The Guardian", dlatego na ten moment to dla nas najbezpieczniejsze miejsce. Nie ukrywamy jednak, że chcemy wrócić do kraju i pokazać film Izraelczykom.

RACHEL SZOR: Czekamy, aż sytuacja trochę się uspokoi. Wrócimy do domu tak szybko, jak będzie to możliwe.

W koncepcji wizualnej waszego filmu można dostrzec inspirację „Strefą interesów" Jonathana Glazera, w którym pokazano sielskie życie Rudolfa Höss, komendanta obozu Auschwitz, oraz jego rodziny tuż za murem obozu. Jak waszym zdaniem te dwa filmy ze sobą rozmawiają?

Y.A.: Jonathan mówił, że choć w jego filmie ofiary pozostają poza kadrem, nigdy nie znikają z naszej świadomości. Myślę, że przyjęliśmy podobną zasadę w kreacji języka wizualnego „Nazy". To była dość ryzykowna decyzja, bo przez większą część filmu pokazujemy Tel Awiw, czyli, mówiąc w pewnym uproszczeniu, izraelską stronę konfliktu. Rozmawiamy z izraelskimi żołnierzami i oficerami, przyglądamy się izraelskim strukturom wojskowym, analizujemy izraelskie systemy służące do masowego zabijania. Jednak sednem tego filmu, powodem, dla którego powstał, są ofiary ludobójstwa w Gazie.

R.S.: Podczas pracy nad „Nazą" nieustannie dyskutowaliśmy o tym, czy pokazywać w nim nagrania z Gazy. Ostatecznie zdecydowaliśmy się włączyć je dopiero do końcówki materiału. Chcieliśmy podkreślić, że wszyscy występujący w filmie oficerowie działają z oddali, zza ekranu monitora. Izraelski system zabija na odległość, dlatego nie pokazujemy w kadrze samych ofiar zbrodni, ale Tel Awiw nocą, gdzie w samym centrum miasta znajduje się główna siedziba izraelskiego dowództwa. Wielu żołnierzy, z którymi rozmawialiśmy, uważa się za przedstawicieli izraelskiej elity, także tej liberalnej. Czują związek z tym miastem. Wywiady przeprowadziliśmy w miejscu, w którym nie widać tego, co dzieje się w Gazie, mimo że oddalone jest od niej zaledwie 60 kilometrów.

„Naza" to świadectwo ludobójstwa przeprowadzonego za pomocą najnowszych technologii, w tym AI. Rozmowy z przedstawicielami izraelskiego wywiadu przeprowadziliście pod osłoną nocy na dachach Tel Awiwu, miasta znanego z najbardziej rozwiniętych ekosystemów technologicznych na świecie. Wasze śledztwo dowodzi, że liberalna elita, z którą do niedawna kojarzyliśmy pracowników branży technologicznej, współtworzy systemy zabijania na masową skalę. Czy w trakcie pracy reporterskiej udało wam się ustalić, w jakim stopniu systemy te zostały zaprojektowane wewnętrznie, a na ile uczestniczyli w tym kluczowi gracze branży technologicznej?

Y.A.: Udział osób i firm z sektora technologicznego w tym mordzie był nieunikniony. Szef izraelskiej jednostki 8200, odpowiednika amerykańskiej NSA, czyli jednostki wywiadu elektronicznego, napisał książkę, w której opisuje, jak dawniej rozwijano oprogramowanie szpiegujące, w tym wirusy atakujące telefony. Początkowo tworzyło je wojsko, przewodząc rynkowi, a dopiero później rozwiązania trafiały do prywatnych firm, takich jak izraelska NSO. W przypadku sztucznej inteligencji sytuacja wygląda odwrotnie – wojsko jest pod pewnymi względami mniej zaawansowane niż prywatne przedsiębiorstwa, więc państwo musi w większym stopniu na nich polegać. Nie chcę wymieniać nazwy korporacji, nie mając pewności, że brała udział w działaniach wojskowych w Gazie albo pomagała izraelskiej armii, ale mogę wspomnieć o dużym śledztwie, które przygotowałem z redaktorkami i redaktorami z „The Guardian". Opisaliśmy w nim, jak izraelska armia, a konkretnie jednostka 8200, wykorzystywała serwery Microsoftu w Holandii do przechowywania milionów rozmów telefonicznych palestyńskich cywilów. Dzięki temu mogła uzyskać praktycznie nieograniczoną przestrzeń do przechowywania danych, potrzebną do inwigilowania niemal całej populacji. Na państwowych serwerach zabrakło miejsca i mocy obliczeniowej, więc przeniesiono dane do Microsoftu. Izraelska armia oczywiście początkowo zaprzeczała, że tak się dzieje. Microsoft przeprowadził jednak własne dochodzenie, które potwierdziło nasze ustalenia, i wyłączył serwery wykorzystywane przez izraelską armię.

Według naszych doniesień wojsko przeniosło później dane do Amazon Web Services. To pokazuje, że izraelska armia, podobnie jak siły zbrojne innych krajów, potrzebuje prywatnych firm do swoich działań wojennych. Szefowie wielkich firm, jak choćby Elon Musk, dysponują ogromną władzą, bo przechowują i analizują dane milionów ludzi. W przypadku Izraela związek między masową inwigilacją a masowym zabijaniem jest niezaprzeczalny.

Jako Izraelczycy rozliczacie ojczyznę z jej grzechów, opowiadacie historie Palestyńczyków, którzy stracili szansę, by opowiedzieć je samodzielnie. Niektórzy traktują to jako zarzut w waszą stronę.

Y.A.: Wielokrotnie podkreślaliśmy, że nie trzeba było czekać na świadectwa izraelskich żołnierzy, by wiedzieć o horrorze, który rozgrywa się w Gazie. Dla wielu ludzi na całym świecie było to jasne – przecież Palestyńczycy sami dokumentowali w internecie to, co się u nich działo. Przez to, że nakręciliśmy „Nazę", nie możemy wrócić do domu, ale tej ceny nie da się porównać z ceną, jaką zapłacili i wciąż płacą palestyńskie dziennikarki i dziennikarze, narażający życie, by dokumentować zbrodnie Izraela. Jednym z powodów, dla których zrobiliśmy ten film, jest świadomość, że jako Izraelczycy mamy przywilej dostępu do pewnych osób. Palestyńscy współtwórcy filmu „Nie chcemy innej ziemi" prawdopodobnie zostaliby bezterminowo aresztowani, a nawet zabici, gdyby próbowali się kontaktować z izraelskimi urzędnikami państwowymi czy oficerami wywiadu.

Zbrodnie w Gazie wciąż trwają. W październiku izraelski operator drona zabił ośmioletnią Shahd Abdul-Razzaq al-Najjar w zachodniej części Gazy. Uważam, że powinniśmy zabierać głos, nawet jeśli to niesprawiedliwe, że ludzie, którzy nie słuchali Palestyńczyków, mogą wysłuchać teraz izraelskich żołnierzy. Powinniśmy budować jak najszerszą koalicję, która pomoże powstrzymać te zbrodnie.

W jaki sposób weryfikowaliście wypowiedzi swoich rozmówców?

Y.A.: Pracowaliśmy nad tym wspólnie z zespołem śledczym „The Guardian". Proces składał się z kilku etapów. W produkcji wypowiadają się 24 osoby, ale dziennikarskie śledztwa stanowiące jego podstawę opierają się na rozmowach z ponad setką poufnych źródeł. Zadbaliśmy o to, by każde istotne zdanie znalazło potwierdzenie w kilku niezależnych źródłach. W niektórych przypadkach było ich ponad dwanaście. Oczywiście sprawdziliśmy tożsamość wszystkich rozmówców. Często mieliśmy też szczegółowe informacje o konkretnych nalotach: datę, miejsce i cel. Nie pokazujemy ich jednak na ekranie, by chronić nasze źródła.

R.S.: Musieliśmy znaleźć równowagę między liczbą informacji, które możemy ujawnić w filmie, a bezpieczeństwem rozmówców. Weryfikacja była niezwykle skrupulatna. Wiem, że izraelska armia próbuje zdyskredytować nasze śledztwo i twierdzi, że przedstawione w nim informacje są nieprawdziwe. Wiele z naszych ustaleń potwierdziły jednak także międzynarodowe redakcje, między innymi „The New York Times", „The Washington Post", „Der Spiegel", „El País", a także izraelski dziennik „Haaretz". Jesteśmy więc przekonani, że żołnierze powiedzieli nam prawdę.

Netanjahu chce wszcząć dochodzenie i postawić przed sądem osoby, które wystąpiły w waszym filmie. Jak na to reagujecie?

Y.A.: Wspólnie z „The Guardian" podjęliśmy kroki, by chronić tożsamość naszych poufnych źródeł. Przygotowaliśmy się na taki scenariusz. Uważam, że reakcja rządu Netanjahu jest bardzo niepokojąca. Oczekiwałbym, że dziennikarze na całym świecie, także w Izraelu, gdzie spotkaliśmy się z ostrą krytyką ze strony części środowiska, okażą solidarność. Nawet jeśli ktoś nie zgadza się z naszym stanowiskiem, takie działania będą miały przecież destrukcyjny wpływ na stan izraelskiego dziennikarstwa.

R.S.: Nie chodzi tylko o 24 osoby, które występują w filmie. Chodzi również o to, by inni izraelscy żołnierze i oficerowie nie bali się mówić o tym, co widzieli. „Nazę" obejrzą tysiące żołnierzy i wielu z nich będzie wiedziało, że przedstawione w nim relacje są prawdziwe. Mam nadzieję, że więcej dziennikarzy w kraju okaże solidarność i sprzeciwi się groźnym działaniom Netanjahu.

Czy macie poczucie, że izraelskie społeczeństwo zaczyna rozliczać się z tym, co wydarzyło się w Gazie?



Po premierze „Nazy" w Izraelu pojawił się mural z podobiznami twórców filmu i napisem „zdrajcy"

Y.A.: Skrajne reakcje na nasz film pokazują, że wielu Izraelczyków wciąż żyje w zaprzeczeniu. Pojawiają się jednak niewielkie pęknięcia w murze. Obok agresji i gróźb śmierci, z jakimi się mierzymy, spotykamy też osoby, które zadają sobie pytanie: „A co, jeśli to, co pokazano w filmie, jest prawdą? Niektórzy nazywają nas zdrajcami, ale zastanawiają się, dlaczego izraelskie media same nie przeprowadziły takich śledztw. Trzeba też pamiętać, że Izraelczycy nie mieli jeszcze okazji obejrzeć filmu, bo żadne kino w Izraelu nie zgodziło się dotąd na jego pokaz.

R.S.: Bardzo chcemy, aby go obejrzeli, dlatego zdecydowaliśmy, że w przyszłym miesiącu udostępnimy go bezpłatnie w internecie na stronie „The Guardian". Nie jesteśmy naiwni – wiemy, że przeważająca część reakcji będzie wroga, ale mamy nadzieję, że te niewielkie pęknięcia nieco się powiększą.

Krytycy zarzucają wam, że nie poświęciliście wystarczająco dużo uwagi wydarzeniom z 7 października 2023 r., kiedy Hamas przeprowadził masowy atak na południowy Izrael. Twierdzą, że zlekceważyliście zbiorową traumę Izraelczyków.

Y.A.: To, czego 7 października dokonał w Izraelu Hamas, wyraźnie nazywamy w „Nazie" masakrą, uznając jej potworność. Mówiliśmy już niejednokrotnie, że nic jej nie usprawiedliwia. Ta agresja nie może jednak usprawiedliwiać tego, o czym rozmawiamy na ekranie, czyli zabijania cywilów i całkowitego zniszczenia Gazy. Coraz powszechniej uznaje się, że działania te mogą stanowić naruszenie przyjętej przez ONZ konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa z 1948 roku. Jedne zbrodnie nie mogą usprawiedliwiać kolejnych. Film nie zapomina o 7 października ani o grozie tamtych wydarzeń. Sami jesteśmy przecież Izraelczykami. Tego strasznego dnia zginęły trzy znane mi osoby. Współczujemy ofiarom, ale rozumiemy również cierpienie Palestyńczyków. Argument o rzekomym pominięciu zbrodni Hamasu jest nieuczciwy i ma na celu zdyskredytowanie filmu, zanim ludzie go obejrzą.

Izraelski rząd promuje teraz propagandowy film naśladujący stylistyką „Nazę", zatytułowany „Naza: Prawdziwa historia". Przedstawia on izraelską armię jako „najbardziej moralną armię świata". Co o tym sądzicie?

Y.A.: To frustrujące. Ten propagandowy film wprowadza widzów w błąd: ma taki sam tytuł oraz podobne założenia wizualne, bo dzieje się na dachach miasta. Wyraźnie chodzi o to, by odbiorcy pomyśleli, że to nasza produkcja. Wierzę jednak, że widzowie potrafią samodzielnie wyciągać wnioski.

W „Nazie" żołnierze opowiadają nam o bombardowaniu całych rodzin w ich domach, o strzelaniu do przypadkowych ludzi oraz o systemach AI służących do koordynacji eksterminacji. Tymczasem w tym drugim filmie inni żołnierze opowiadają o niezwykle precyzyjnej kampanii wojskowej prowadzonej przez – jak wspomniałaś – najbardziej moralną armię świata. Wystarczy spojrzeć na to, co wydarzyło się w Gazie: większość zabitych stanowią cywile, w tym starsze kobiety i dzieci, a całe miasta zostały doszczętnie zniszczone. Można przyjrzeć się sytuacji na miejscu, posłuchać Palestyńczyków, a potem świadectw żołnierzy z naszego filmu. Każdy może wybrać wersję bardziej propagandową, przypominającą komunikat rzecznika, i sam ocenić, która brzmi bardziej wiarygodnie i lepiej odpowiada temu, co widzieliśmy na własne oczy w Gazie. ▲

Rozmowa odbyła się przed październikowymi wyborami parlamentarnymi w Izraelu.

FOT. DAVID LEVENE; AP PHOTO/ARIEL SCHALIT/EAST NEWS



„Dziki Koń Dziewięć", najnowszy film z Parker Posey, w kinach od 13 listopada

Kto się boi Parker *Posey?*

Miała opinię królowej kina niezależnego, ale jak się okazało, w Hollywood taka korona nie otwiera wszystkich drzwi

TEKST **JUSTYNA GROCHAL**

„Bardzo się cieszyłam, że mogłam zagrać kogoś, kto jest tak stuknięty" – mówiła Parker Posey o roli w „Białym Lotosie", hitowej serialowej satyrze Mike'a White'a o bogaczach na wakacjach i pracownikach hotelu, którzy im służą.

Posey i White poznali się dawno temu na jednej z nowojorskich imprez. „Jestem twoim fanem" – powiedział na widok aktorki amerykański reżyser. „Tak? A co mi to da? Daj mi pracę" – rzuciła krótko Posey. Wiele lat później spotkali się ponownie, tym razem na przyjęciu u Jennifer Coolidge, najjaśniejszej gwiazdy dwóch pierwszych sezonów „Białego Lotosu". White pracował wtedy nad trzecią częścią, a jedną z ról pisał właśnie z myślą o Posey.

Była zachwycona jego scenariuszem. Zagrała Victorię Ratliff, zblazowaną żonę amerykańskiego finansisty i matkę trojga dorosłych już dzieci. Komiczny południowy akcent, kwaśna mina i słabość do leków psychotropowych zrobiły z jej bohaterki – czyli także z Posey – ulubienicę internetu i bohaterkę licznych memów.

Podobnie jak Coolidge dla części publiczności stała się odkryciem sezonu. Inni dobrze ją znali: z niezależnych komedii lat 90., filmów Chistophera Guesta czy „Krzyku 3". Przez ponad trzy dekady Posey konsekwentnie budowała karierę, która wymykała się prostym kategoriom. „Była tak dobra w małych filmach, że stała się wielką gwiazdą" – pisano o niej w „New York Timesie". W 1997 roku magazyn „Time" nadał jej przydomek Queen of the Indies, czyli królowej kina niezależnego. Nie był to tytuł na wyrost, ale jak się okazało – w Hollywood taka korona nie otwiera wszystkich drzwi.

ENERGIA NOWEGO JORKU

Na początku lat 90. amerykańskie kino niezależne tworzyło własny obieg – z mniejszymi budżetami, odważniejszymi pomysłami i twórcami, którym nie po drodze było z opowiadaniem historii według hollywoodzkich reguł. Parker Posey szybko odnalazła się w tych warunkach. „W tamtym czasie w Nowym Jorku naprawdę można było znaleźć się w samym centrum wydarzeń. Za dnia mogłam grać w operze mydlanej, a wieczorami występować w teatrze" – wspominała tamten okres.

Na początku dekady zagrała między innymi w kultowej „Uczniowskiej balandze" Richarda Linklatera, później w filmach Hala Hartleya, Noah Baumbacha czy Gregga Arakiego.

„Nie ma sceny, której Parker Posey nie mogłaby skraść" – napisał w 2023 roku „Vogue". Rzeczywiście od początku potrafiła przyciągnąć uwagę i zostawić po sobie mocne wrażenie, nawet gdy grana przez nią postać nie była w centrum opowieści. Miała komediowe wyczucie, nieposkromioną energię i zadziorność, a ten rodzaj ekrano-



W filmie „Rozrywkowa dziewczyna" Posey wcieliła się w nowojorską imprezowiczkę Mary, 1995 r.



Rola Victorii Ratliff przyniosła Posey nominacje do Emmy i Złotego Globu

wej wyrazistości szybko przyciągnął uwagę twórców.

ODRĘBNY GATUNEK AKTORSKI

Przełomem okazała się „Rozrywkowa dziewczyna" Daisy von Scherler Mayer z 1995 roku. Posey zagrała tam Mary, nowojorską imprezowiczkę, która podejmuje pracę w bibliotece. Jest głośna, próżna, roztrzepana i rozkochana w modzie. Już tą rolą Posey pokazała szczególną umiejętność, za którą pokochało ją kino niezależne: potrafiła być ekscentryczna, groteskowa, irytująca, nawet nieznośna, ale nigdy nie sprowadzała swoich bohaterek wyłącznie do żartu.

Zanim skończyła trzydzieści lat, zagrała już w kilkunastu filmach niezależnych i stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy tego środowiska. „Była niemal odrębnym gatunkiem aktorskim. Jej ekscentryczne kreacje – ostre, zwariowane, bezwzględne, absurdalne do granic możliwości – sprawiają, że nawet jej najmniejsze role zapadają w pamięć w niezwykły sposób" – pisał o niej „New Yorker".

Ten status nie przekładał się jednak na hollywoodzkie gaże ani nie dawał gwarancji głównych ról w wielkich produkcjach. Na planie „Rozrywkowej dziewczyny", która stała się wielkim hitem kina artystycznego i przyniosła dochód trzykrotnie przekraczający budżet 150 tys. dolarów, Parker zarabiała ledwie 75 dolarów dziennie.

NIECH ZOSTANIE AKTORKĄ

Przyszła na świat w 1968 roku, ale ledwo przeżyła poród. Najpierw urodził się jej brat bliźniak, o życie Parker lekarze musieli walczyć. Szczęśliwie wyrosła na energiczną dziewczynkę, która od najmłodszych lat przejawiała zamiłowanie do wszelakich występów. Najmocniej marzyła o karierze baletnicy. Trenowała kilka lat, ale ostatecznie nie przyjęto jej do szkoły baletowej. Od egzaminatora jej rodzice usłyszeli wtedy: „Niech zostanie aktorką, ma osobowość".

„Byłam wielką ekscentryczką" – przyznaje Posey. Opowiadając o dzieciństwie, często wspomina postać babci, szykownej damy z Południa, która wywarła ogromny wpływ na jej teatralne postrzeganie świata. „Każdego dnia nakładała sztuczne rzęsy i zakładała buty na wysokim obcasie – nawet gdy szła tylko pograć w brydża albo zostawała w domu, by obejrzeć ze mną »Cały ten zgiełk«" – opowiada aktorka.

Rodziców też miała kreatywnych – to oni zaszczepili w niej miłość do kina, puszczając jej i bratu filmy Miloša Formana czy Jima Jarmuscha. Matka była co prawda szefową kuchni, a ojciec właścicielem salonu samochodowego, ale Parker „wydawali się aktorami". „Bardzo lubili się popisywać. Byli prawdziwymi showmanami, zwłaszcza mój tata" – opowiadała.

W wydanej w 2018 roku autobiografii „You're on an Airplane: A Self-Mythologizing Memoir" opisała doświadczenie życia z ojcem, który zmagał się z PTSD po powrocie ze służby wojskowej w Wietnamie. „Potrafił być apodyktyczny i emocjonalnie nieobecny. Pił i lubił imprezować; moi rodzice byli niesamowici w latach 70. – opowiadała na łamach magazynu »Interview«. – Przeczytał moją książkę i bardzo mu się spodobała – potraktowałam jego narcyzm z wystarczającym poczuciem humoru, by uczynić z niego postać, którą sam by zaakceptował. Nie ujawniłam, jak surowy był wobec nas".

Baletnicą nie została, ale posłuchała podpowiedzi nauczyciela i wybrała aktorstwo. Studiowała w szkole policealnej SUNY Purchase w Nowym Jorku, ale trzy tygodnie przed ukończeniem przerwała naukę. Przyjęła propozycję roli w operze mydlanej „As the World Turns", w której pierwsze aktorskie kroki stawiała m.in. Julianne Moore. Wkrótce potem, gotowa na podbój świata filmu, przeprowadziła się do Nowego Jorku.

ZBYT NIEZALEŻNA

„Zawsze chciałam grać małe role w wielkich hollywoodzkich filmach" – powiedziała w jednym z wywiadów. To nie tak, że nie próbowała przedostać się do głównego nurtu. Pojawiała się w dużych produkcjach, między innymi w komedii romantycznej „Masz wiadomość" czy wspomnianym „Krzyku 3", a w 2006 roku nawet w fil-

FOT. JUSTIN LUBIN; HBOMAX; TCD/PROD.DB / ALAMY STOCK PHOTO

mie „Superman: Powrót". Z jakiegoś jednak powodu nikt w Hollywood nie chciał powierzyć jej prowadzenia całej historii. Gdy w końcu zapytała swoich agentów o powód, usłyszała: „Cóż, jesteś za bardzo niezależna". Zrozumiała wtedy, że etykieta, która miała być komplementem i podkreślać jej pozycję, stała się ograniczeniem i pozbawiała ją możliwości zawodowych.

Nie oznacza to jednak, że Posey przestała pracować. Przeciwnie – w kolejnych latach grywała w filmach i serialach, współpracując z uznanymi twórcami. W „Szukając miłości" z 2007 roku pokazała bardziej kruchą, melancholijną stronę swojego aktorstwa. Zagrała u Woody'ego Allena w „Śmietance towarzyskiej" i w „Columbusie" Kogonady. W 2022 roku wcieliła się w prokuratorkę Fredę Black w miniserialu „Schody", a rok później pojawiła się w „Bo się boi" Ariego Astera.

„Miałam wrażenie, że w momencie, gdy zostałam dostrzeżona – podobnie jak cały ruch kina niezależnego – wszystko to zostało przejęte przez system wielkich studiów filmowych i przekształciło się w coś zupełnie innego – opowiadała po latach. – Nagle okazało się, że nie jestem już osobą, dzięki której można zdobyć finansowanie filmu. Było to dla mnie ogromne wyzwanie psychiczne: musiałam chodzić na przesłuchania do hollywoodzkich produkcji, mimo że wcześniej grałam główne role w filmach niezależnych, które powstawały w zaledwie 23 dni".

W 2014 roku przeszła załamanie nerwowe. Przy okazji wydania książki „You're on an Airplane: A Self-Mythologizing Memoir" przyznała, że w pewnym momencie nie była pewna, czy nadal będzie pracować. Pisanie stało się dla niej sposobem na stworzenie czegoś własnego poza rolami, które oferowała branża.

NOWY ETAP

Udział w „Białym Lotosie" nazywa prawdziwym darem. Na siedem miesięcy przeniosła się do Tajlandii, gdzie kręcono trzeci sezon. „To doświadczenie było dla mnie naprawdę uzdrawiające, zmieniło moje życie i miało ogromne znaczenie" – mówiła o pracy nad serialem.

Rola Victorii Ratliff przyniosła jej nominacje do Emmy i Złotego Globu, ale także nowy etap kariery. Wraz z popularnością serialu wróciło zainteresowanie jej wcześniejszymi filmami. Młodsi widzowie zaczęli zaczepiać ją na ulicy i pytać o „Rozrywkową dziewczynę" i inne niezależne filmy sprzed lat.

W 2024 roku Posey pojawiła się w serialu „Pan i pani Smith", później w komedii grozy „Rodzina kontra duch". W tym roku gościła na festiwalu filmowym w Wenecji, gdzie premierę miał „Dziki Koń Dziewięć" Martina McDonagha (w polskich kinach od 13 listopada) z Johnem Malkovichem i Steve'em Buscemim w rolach głównych. W filmie Parker wciela się w Marge, żonę bohatera granego przez Sama Rockwella. A to nie koniec przygód. W październiku Parker zadebiutowała w zupełnie nowej roli – jako prowadząca reality show „The Mob".

„Zawsze czułam, że w tym wieku będę czuła się najbardziej komfortowo" – mówi Posey, która w listopadzie świętuje 58. urodziny. Po latach funkcjonowania na obrzeżach Hollywood znów znalazła się w centrum filmowego obiegu. I kto wie może nawet tytuł królowej kina niezależnego nie smakuje już tak gorzko. ▲

OGŁOSZENIE



W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

Temat numeru:
Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?

Herstoria:
Dla Mary Cassatt niezależność była jak Gwiazda Polarna, która prowadziła ją przez życie

Psychologia:
Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może



Zamów na prenumerata24.pl
z dostawą do domu
lub z bezpłatną
dostawą
do paczkomatu



Numer dostępny **z książką**
lub magazynem **„Psychologia. Żyć lepiej”**